



alessia gazzola

STARSZY PAN MUSI UMRZEĆ

Bridget Jones spotyka
doktora House'a

MIŁOŚĆ I MEDYCYNĄ sądowa

alessia gazzola

STARSZY PAN MUSI UMRZEĆ

Przełożyła Natalia Mętrak

Dla Stefano i Olly

*W tym świecie nawet życie
motyla jest chaotyczne.*

Kobayashi Issa

Mój Instytut Medycyny Sądowej jest jak nieufny kochanek, który bierze, nic nie dając w zamian.

Dzisiejszy dzień był kolejnym dowodem antymerytokracji. Wszystko zaczęło się od krótkiego, acz intensywnego egzaminu, jako że tylko jedno z nas – jakbyśmy byli uczestnikami reality show – wygra miejsce na seminarium medycyny sądowej w Paryżu. Kandydatami w tym małym, wewnętrznym konkursie byliśmy my wszyscy, lekarze na specjalizacji, a gdyby bukmacherzy obstawiali wyniki, ja byłabym warta niewiele albo wręcz zupełnie nic. Byłby to zresztą poważny błąd, ponieważ oddałabym się nawet intensywnej prostytutce, byle tylko zwyciężyć.

Nie wracam dzisiaj do domu bez biletu do Paryża. Do rywalizacji silnie motywuje mnie to, że dzięki seminarium miałabym szansę spędzić tydzień w mieście, które – pomijając już to, że jest najpiękniejsze na świecie – gości obecnie jedyne człowieka na ziemi, dla którego jestem gotowa dawać się egzaminować niczym pod mikroskopem przez tę megierę Wally. Chodzi o Arthura Malcomessa, syna mojego szefa, reportera wojennego Agence France Presse, a jednocześnie – z woli losu – mojego chłopaka.

To dlatego znajduję się teraz w sali tortur, to znaczy w pokoju Wally, asystentki Najwyższego, która rok temu naraziła mnie na utratę zdrowia psychicznego poprzez groźbę wyrzucenia, po której jeszcze się nie otrząsnęłam. Ryzykowałam epokowe oblanie roku, w samym środku studiów, co jest zdarzeniem niezwykłym i przez to właśnie wyjątkowo fatalnym.

Obok niej stoi sam Najwyższy, każdego dnia coraz bardziej zmęczony i marudny.

Nie ma wielu studentów na specjalizacji, a egzamin odbywa się w porządku alfabetycznym.

Całkiem niespodziewanie dla kolegów, przełożonych, a nawet dla sprzątaczk, ja zdaję egzamin najlepiej.

To prawda, szczęście mi dopisało, ale była to doprawdy niewielka pomoc z jego strony.

Wally w przekonaniu, że zadaje trudne pytanie, swoim smolistym głosem kazała mi mówić o niczym innym, jak o nabijaniu na pal – a wydawałoby się, że nie żyjemy w czasach Drakuli – napędziwszy stracha kolegom, którzy czekali na swoją kolej. Nie

mogła wiedzieć, że zgłębiłam ten temat dwa dni wcześniej, gdy przypominałam sobie o tym, obejrzawszy film z Keanu Reevesem.

Uczucie bycia – wreszcie – lepszą niż inni jest tak odurzające, że z żalem myślę o wszystkich okazjach, które przegapiłam. Byłam już gotowa powtórzyć to doświadczenie!

Jakbym nie była wystarczająco odurzona sukcesem, po wielu smutkach i upokorzeniach los zachował mnie przy życiu, bym mogła asystować przy klęsce gwiazdy instytutu, istoty stworzonej w równych częściach z silikonu i mięśni: Ambry Negri Della Valle. Jej egzamin wypadł tak słabo, że przez chwilę myślałam, że to ja znalazłam się w ukrytej kamerze.

Brzydko jest czerpać radość z małych upadków tych, którzy uważają się za lepszych od nas, ale jak można pozbawiać się wszelkich przyjemności? Wystarczą już dieta i wymuszone oszczędzanie.

Rzadko zdarza mi się wierzyć we własne możliwości, ale skoro ona poddała się walkowerem, miejsce należy do mnie.

Szukam już na Expedii lotów do Paryża, kiedy dzwonek telefonu oznajmia nam, że decyzja została podjęta.

Wchodzę do pokoju Najwyższego pełna entuzjazmu, ponieważ zaraz usłyszę: „Tak, magister Allevi zdobyła to miejsce, mówiąc szczerze, zdeklasowała was wszystkich”, i nie wierzę własnym uszom, kiedy głęboki głos Najwyższego ogłasza, że do Paryża pojedzie Ambra.

Ona przyjmuje tę wiadomość jak coś oczywistego i nieuniknionego.

– Dziękuję, profesorze – miauczy, mrugając do kolegów, którym moja wymarzona wersja wydarzeń pewnie nawet nie przyszła do głowy.

– Ale tak naprawdę więcej od pani oczekujemy, pani Ambro – zauważyła Wally w porywie szczerości.

Lisa Nardelli, moja koleżanka z roku, z którą dzielę pokój, w którym zresztą pracuje też Ambra, spogląda na mnie z rezygnacją.

– Wiemy, że potrafi pani zdawać egzaminy dużo lepiej niż dzisiaj – ciągnie Wally – ale jesteśmy też pewni, że będzie pani potrafiła doskonale wykorzystać szansę, którą pani dajemy.

Zrozpaczona, wracam do mojego pokoju, czując coraz silniejszy smrodek upokorzenia, jakbym wdepnęła w psią kupę. Wytrzymuję mniej więcej godzinę, po której stawiam się znów w pokoju Najwyższego gotowa żądać wyjaśnień.

Malcomess senior jest bowiem człowiekiem tajemniczym, ale też uczciwym i żaden brzydki numer nie jest w jego stylu.

Przygląda mi się swoimi szarymi oczami, które rzadko pozwalają innym wejrzeć w jego wewnętrzny świat.

– Ma pani jakieś pytanie co do wyniku egzaminu, pani magister? – zwraca się do

mnie swoim głosem z angielskim akcentem, silniejszym niż ten Arthura.

– Dlaczego pan nie wybrał mnie? – pytam bez ogródek.

Kiedyś nie zrobiłabym niczego podobnego. Zawsze traktowałam swoją rolę w instytucie z pewną niedbałością, póki nie zrozumiałam, że znalazłam się na skraju przepaści.

Ale dziś jestem rozczarowana! Widziałam już siebie z Arthurem na Saint Germain des Prés, objedzoną makaronikami, ubraną na różowo jak w reklamie Miss Dior Cherie, a do tego niemuszącą martwić się tym, co zostało w domu.

– Jestem tyranem oświeconym, przyjmuję wyzwanie – odpowiada Najwyższy. – Dokonałiśmy oceny perspektywicznej. Znam panią, pani magister. Czy naprawdę pcha panią naprzód zainteresowanie medycyną sądową, czy może wyczuła pani szansę na wakacje w Paryżu? I czy naprawdę mogę liczyć na to, że będzie pani właściwie reprezentować instytut, czy też może byłaby pani gotowa urywać się z wykładów, żeby tylko spędzić popołudnie w towarzystwie mojego syna? Takie właśnie pytania zadałem sobie, zanim wybrałem magister Negri Della Valle.

W zderzeniu z tak niepohamowaną szczerością należy się zdobyć na uczciwą odpowiedź:

– Przyznaję, że zbieg okoliczności był dla mnie dodatkową motywacją... ale to i tak niesprawiedliwe. Gdyby nie wiedział pan o relacji między mną a Arthurem i oceniał nas wyłącznie na podstawie dzisiejszego egzaminu, czy także wybrałby pan Ambre, a nie mnie?

– Odpowiedź jest prosta: bez czynnika dodatkowego, w osobie mojego syna, nigdy nie zdałaby pani egzaminu na tak wysokim poziomie. Oczywiście nie ze względu na brak zdolności, tylko motywacji. No już, pani magister. Niech się pani nie smuci. Jest wiele tanich biletów, a ja z przyjemnością dam pani kilka dni urlopu.

Który przyjmę z przyjemnością! Będę przecież musiała się otrząsnąć po tym rozczarowaniu. Okropnie jest czuć przez chwilę smak zwycięstwa, a potem odkryć, że jednak nic się nie zmienia, że wciąż jestem taką samą, niezbyt obiecującą studentką medycyny sądowej, na którą nikt nie postawiłby ani centa.

Kiedy wróciłam do pokoju, widok Ambry przygotowującej się do podróży – do mojej podróży! – nie poprawił mi humoru.

– Claudio? Wpadniesz do agencji, żeby odebrać voucher do hotelu? Jakaś beznadzieja, nie są mi w stanie wysłać go mejlem. Chyba utknęli w średniowieczu. Nie, sama nie dam rady, nie mam czasu! – słyszę, jak zwraca się do swojego oficjalnego narzeczonego. Claudio Conforti jest młodym badaczem z naszego instytutu, równie pięknym, co perfidnym.

Mamy z Claudiem wspólną przeszłość, utkaną z tej nostalgii, którą czuje się tylko wtedy, kiedy tak naprawdę do niczego nie doszło. Z alchemii o ogromnym potencjale, ale bez najmniejszego oparcia w rzeczywistości.

– Nie interesuje mnie, że musisz jechać do prokuratury. Pojedziesz tam później – ciągnie władczo Ambra. Kiedyś Claudio nie był człowiekiem-podnóżkiem, w jakiego stopniowo go zmieniła. – Uważnie mnie wysłuchaj, doktorze Conforti. Nic mnie nie obchodzi, że naraziłeś się w sprawie Valenti. Jeśli masz problemy z pewnością siebie, postaraj się je rozwiązać, nie mieszając mnie do tego i...

Nie słyszę końca rozmowy, bo Ambra oddała się, by wyklinać go na osobności. Wchodzi chwilę później w nastroju nieprzysiadalnym.

Jakieś pół godziny później Claudio wchodzi do naszego pokoju. Ona rozpoznaje jego krok, ale nie podnosi wzroku.

On nie wita się z nikim, z nikim nie rozmawia. W absolutnej ciszy kładzie na biurku Ambry dokumenty, o które go poprosiła, i oddała się ze złością. Coś wpada Ambrze do głowy, więc wstaje ze swojego niebieskiego fotelika i pędzi za nim, wołając:

– Claudio, natychmiast wracaj!

On idzie dalej, niewzruszony, a jedynym, co słyszę z oddali, jest: „Mam serdecznie...”, a potem niewyraźne mamrotanie, słów jednak można się bez trudu domyślić.

Po powrocie Ambra jest nieco czerwona na twarzy, ale nie purpurowa.

– Na co się gagicie? – ze złością pyta mnie i Larę.

Nasze odpowiedzi rozplývają się w pustce, kiedy myślę sobie, że zawsze znajdzie się ktoś skazany na życie gorsze od mojego.

* * *

O dziewiątej jem kolację z Cordelią w niedawno otwartym lokalu niedaleko Piazza Navona.

Cordelia Malcomess, siostra Arthura, jest aktorką, której kariera i życie prywatne są bardzo nieuporządkowane. Od około trzech miesięcy utrzymuje, że znalazła bratnią duszę: szczęśliwcem jest Lars Mikkelsen, norweski menadżer, który ma trzydzieści dziewięć lat, ale wygląda na więcej. Wciąż o nim mówi i potrafi umieścić go w dowolnej konwersacji, chociaż zazwyczaj pretekst jest wielce wątpliwy.

Tego wieczora Cordelia ubrana jest w krótką, pomarańczową tunikę z jedwabnego szantungu i wygląda, jakby właśnie wyłoniła się z kolonialnego Bangkoku.

– Jakieś ploteczki? – pyta, kładąc torbę na krześle i biorąc do ręki menu. – Grillowany łosoś z sosem tatarskim. musi być pyszny. Chociaż powinnam uważać, przytyłam trzy deko. Ale polecił mi go Lars, który był tutaj w zeszłym tygodniu.

Ja w międzyczasie zastanawiam się... i rzeczywiście, jedna plotka przychodzi mi do głowy.

– Wiesz, że Riccardo się zaręczył? – zdradzam.

Zaskoczona Cordelia odkłada menu. Jakim prawem ten biedny

Riccardo, dawny przyjaciel Arthura, śmiał znaleźć sobie fajną dziewczynę i przestać się za nią uganiać?

– Riccardo Gherardi?

– Tak, właśnie on.

– Absurd – szczebiocze.

– Dlaczego? Co w tym dziwnego?

– Jak mężczyźni mogą być tak niekonsekwentni? Wcześniej zapewniał, że za mną szaleje. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie żałosne sceny urządzał, kiedy wróciliśmy z Chartumu. A teraz już jest gotowy, żeby mnie kimś zastąpić. Nie sądzisz, że to niegodne?

– Chodzi raczej o zwykły instynkt przetrwania. Ciebie Riccardo nigdy nie interesował. Cieszę się, że znalazł dziewczynę, która do niego pasuje.

Cordelia wpatruje się w paznokcie pomalowane na paskudny błotnisty kolor, który jej zdaniem jest niezwykle modny, *sold out*¹ w całych Stanach Zjednoczonych.

– A kim jest ta paskuda?

– Modelka. Chyba ma na imię Emma.

– Emma... już wiem, kto to! – woła wściekła. – Ty ją znasz? – pyta ze zmartwieniem wymalowanym na twarzy o spiczastej bródce.

– Poznałam ją w zeszłym miesiącu, kiedy Arthur był w Rzymie. Wydała mi się naprawdę urocza.

– Alice, by użyć twojej terminologii rzeźnika trupów, być może to grzywka wykuła ci rogówkę. Jak możesz twierdzić, że jest urocza?

Powstrzymuję chichot, gdyż doskonale wiem, że ona nie jest w nastroju do żartów. Wręcz przeciwnie: jest okropnie poważna, a problem polega na tym, że przez to jeszcze bardziej chce mi się śmiać.

– Może masz rację, jest nudna – zgadzam się w obawie, że zaraz zwróci łososia, którego dopiero co skosztowała.

– A co słyszać u mojego brata?

– Wszystko w porządku. Jutro wyjeżdża do Mjanmy.

Cordelia wytrzymuje cios. Nikt nie lubi wychodzić na głupka.

Nie może się zdecydować, czy pogodzić się ze swoją ignorancją, czy się nią nie przejmować. Koniec końców pewnie uznała, że ten wieczór dostarczył jej wystarczająco dużo powodów do refleksji, a więc także do zastanowienia się nad sobą, która to czynność ją zabija. Wgryza się więc w łososia i zadaje mi pytanie, którego ja sama nie zadałam Arthurowi, wołałam znaleźć w wyszukiwarce Google.

– A gdzie to jest?

* * *

Aż do zeszłego tygodnia też nie miałam pojęcia, że jest to nowa nazwa Burmy, a informacje o tym kraju wyciągam od Arthura jeszcze tego samego wieczora przed pójściem spać.

– To nie jest wymagająca praca. Wynik wyborów jest dość oczywisty, ponieważ

opozycja została rozwiązana już jakiś czas temu. Łatwe zwycięstwo. Straszne barbarzyństwo.

– Czy Burma jest ładna?

– Ładna, ale na rozdrożu.

– Bardzo bym chciała się z tobą zobaczyć. Minął już ponad miesiąc.

– Tak – odpowiada niezobowiązująco. – *Honey*, przykro mi, ale naprawdę muszę lecieć.

– Musisz zrobić wywiad z Aung San Suu Kyi?

– Posłuchajcie tylko tej mojej głupiutkiej owieczki! Nauczyłaś się, co?

Chciałabym mieć wystarczająco dużo czasu, by słuchać jego opowieści o dalekich krajach, o których nie mam pojęcia. To sposób na to, by wejść do jego świata, a jednocześnie moje okno na świat. Czasu jednak nigdy nie wystarcza, gdy dzielą nas setki kilometrów, a jedynym, czego nie brakuje, jest tęsknota.

Odłożywszy słuchawkę, rozpoczynam mój rutynowy wieczór, który ma dwa warianty, zależnie od obecności lub nieobecności mojej współlokatorki Yukino. W pierwszym wypadku, to ona zajmuje się kolacją i programem po kolacji, na który zazwyczaj składa się prywatny seans anime. W drugim – samotność jest moją towarzyszką, co nie jest wcale takie nieprzyjemne. O jedenastej idę do łóżka z dobrą książką.

Kiedy jakieś zdarzenie wpływa na codzienność destabilizująco, istnieje tylko jeden sposób na przywrócenie właściwego porządku rzeczy: stworzenie nowych przyzwyczajień. To właśnie zaczęłam robić, gdy zdałam sobie sprawę, że będę musiała się zgodzić na historię stworzoną z długich rozmów telefonicznych. Albo ewentualnie z rozmów video na Skypie. Kiedy Arthur wyjeżdża, po szybkim pożegnaniu wyglądającym tak, jakbyśmy mieli zobaczyć się następnego dnia, czuję, że coś we mnie pęka, że muszę zaczynać od początku. A jednak już następnego dnia mam wrażenie, że wyjechał dawno temu, że zawsze było tak samo, że zawsze tkwiłam w tej otchłani złożonej z niezliczonych odcieni szarości.

To okropne uczucie.

*Szaleństwo, panie, okrąża
świat niczym słońce, i nie ma
miejsca, w którym by nie
świeciło.*

William Szekspir

Ubezwłasnowolnienie?

Powtarzam słowo wypowiedziane przez doktora Anceschiego, jednego z moich przełożonych.

W ostatnich czasach dobry doktor, duży i gruby niczym Notorious B.I.G.², stracił kilka kilogramów, więc da się nawet dostrzec jego oczy, kiedy się śmieje.

– To historia w sam raz dla ciebie. Chyba nie zajmowałaś się czymś podobnym? – Nie, i rzeczywiście powinnam była wcześniej zapytać, na czym dokładnie polega to zadanie. – Chodzi o wspólną pracę – ciągnie. – Towarzyszył mi będzie psychiatra. Doktor Laurenti przyjdzie później i opowie o tym przypadku. Zawołam cię, żebyś was przedstawić.

Kiedy zostaję sama w pokoju, który zazwyczaj dzielę z Ambrą i Larą, zaglądam do rozdziału o ubezwłasnowolnieniu.

O ubezwłasnowolnieniu możemy mówić, kiedy osoba pełnoletnia znajduje się w stanie permanentnej niezdolności do jasnego myślenia, a więc jest niezdolna do dbania o własne interesy.

– Alice – gdy wypowiada moje imię, przybiera protekcyjny ton, na granicy pogardy. – Co robisz?

– Uczę się.

Claudio podchodzi do biurka i zerka na strony wciąż otwartej książki.

– Cieszę się, zwłaszcza że rzadko ci się to zdarza. Szczerze mówiąc, nigdy nie zrozumiałem, jak zdołałaś skończyć studia. Wybrałaś jednak zły moment. Zapomniałaś o dzisiejszej sekcji? Wiedz, że w przypływie dobroci postanowiłem powierzyć ci przeprowadzenie jej w całości.

Nie unosząc nawet wzroku, czytam dalej.

– Ambry nie ma? – pytam, ponieważ zazwyczaj to ona gra rolę primadonny, a on udaje, że jest sprawiedliwym doktorem, kiedy odpowiada, że wszystkim daje równe szanse nauki.

Idziemy korytarzami instytutu i docieramy do kostnicy, do której on wkracza

triumfalnie, podziwiany przez doktorantki, nie lubiany przez doktorantów, a w każdym razie darzony tylko dwoma rodzajami uczuć: podziwem i głęboką zazdrością.

Dzisiaj wydaje się jeszcze bardziej zachwycony sobą niż zazwyczaj, choć granica przesady jest ledwie dostrzegalna. Widzę stópkę Ambry w butach zakupionych w ekskluzywnym, mediolańskim butik, w metroseksualnym sweterku z cienkiego kaszmiru i w dzinsach, które doskonale podkreślają jej pośladki. Podaje mi niebieski fartuch, maseczkę, skalpel i uśmiechając się w coraz bardziej złośliwy sposób, ogłasza:

– Dzisiaj autopsję poprowadzi Alice. Gotowa?

Cóż, nie mam wyboru.

Wszyscy na mnie patrzą. Ajednak daję sobie radę. To zwłoki mężczyzny, który umarł przez powieszenie. Claudio uważa samobójstwa za najłatwiejsze przypadki i stąd wynika jego hojność. Wyciągam mózgowie, nie pozwoliwszy, by wypadło mi z rąk; przecinam aortę we właściwym miejscu; nerki znajduję bez problemu. Wszystko idzie doskonale. Nawet Claudio jest zadowolony i z pewnością przekonany, że mój sukces jest zasługą właśnie jego – wybitnego dydaktyka.

W ułamku sekundy jego zadowolenie przeradza się we wściekłość.

Kropla krwi z moich dłoni spada na jego buty, a jemu wymyka się przekleństwo nie do powtórzenia.

– Chciałbym wiedzieć, jak ty to robisz, że jesteś tak niezdarna, Allevi! Jak?

– Powinieneś być włożyć ochraniacze – przypominam, nie odrywając wzroku od pustej już klatki piersiowej trupa. On, zaskoczony, mamrocze coś w stylu „nikt mnie już nie szanuje” i chwyta marynarkę.

– Wychodzisz?

– I tak już prawie skończyłaś. To przez ciebie muszę iść wyczyścić sobie buty. Kończ szybko i wracaj do instytutu. Najlepiej pełzając. I uważaj, żeby nie narobić więcej kłopotów.

To tylko wydaje się łatwe. Koledzy wpatrują się we mnie, a ja bez Claudia czuję się zagubiona. To, co mogłabym zrobić w dwadzieścia minut, kończę w godzinę, ale przynajmniej z powodzeniem.

Po powrocie do instytutu widzę Anceschiego, czekającego, by przedstawić mi kolegę o znajomej twarzy.

– Magister Allevi, przedstawiam pani Niccolò Laurentiego. Wraz z nami zajmie się pani przypadkiem ubezwłasnowolnienia, o którym wspominałem.

Pamiętam go: kiedy ja byłam na pierwszym roku studiów, on był na szóstym. Jego ciemne włosy układają się w niezwykle afro; jest wysoki i niezgrabny, jego niebieskie oczy dowodzą, że gdyby się postarał, mógłby się wydać interesujący, ale w tym momencie jest zbyt znudzony, by wykrzesać z siebie cokolwiek poza zniecierpliwieniem.

– Bardzo mi miło – mamrocze, niespodziewanie głębokim głosem. Podaje mi dłoń o palcach nieproporcjonalnej długości, niczym postaci z filmu Tima Burtona.

Anceschi zostawia nas samych. Zapraszam Niccolò na kawę, żeby się lepiej poznać: w końcu mamy razem pracować. Zgadza się, ale nie wydaje się zachwycony.

W barze obok instytutu on pije gorzką kawę, ja – cappuccino. Nie jest szczególnie towarzyski.

– Skontaktowałem się z córką Konrada Azaisa, z którą mieszka, i ustaliłem termin. Poprosiła oficjalnie, by wizyta odbyła się w jej domu – wyjaśnia rzeczowo.

– W takim razie musimy tam pojechać.

– Zacząłem czytać jego książki. Muszę przyznać, że nigdy mnie nie pociągały, ale... są ciekawe. Wręcz olśniewające.

Tracę wątek. Obawiam się, że moje wargi są ubrudzone mleczną pianą, kiedy mówię:

– Wybacz, zgubiłam się.

Niccolò zdaje się zaskoczony moim wyznaniem. Odstawia filiżankę na bar, wyciera bawełnianą serwetką całkiem czyste usta, wydaje z siebie lekkie kasznięcie, które sygnalizuje zakłopotanie, i patrzy na mnie z politowaniem.

– Nie znasz Konrada Azaisa?

– A powinnam? – pytam, zirytowana jego przemądrzałością.

Marszczy czoło, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jednocześnie – a jestem pewna, że robi to, żeby zyskać na czasie – płaci rachunek.

– To bardzo ważny pisarz – mówi wreszcie beznamiętnym tonem. Szkoda na niego tak pięknego głosu.

– We Włoszech?

– Na świecie – poprawia mnie, wyciągając z pomarańczowej torby starą, nieco zniszczoną książkę, z okładką nadgryzioną zębem czasu. – Tę właśnie skończyłem. Nie jest najlepsza, ale da ci pewną wiedzę. – Podaje mi książkę swoimi długimi palcami o idealnie owalnych paznokciach. – Zadzwoń, kiedy dostanę jakieś wiadomości od córki.

– OK – odpowiadam bezmyślnie, zajęta oglądaniem książki.

Czytam incipit.

Z początku wydawało mi się, że to tragedia. Później zrozumiałem, że było to wyzwolenie.

Na czwartej stronie okładki widnieją lakoniczne informacje o Konradzie Azaisie. Myślę sobie, że Google rozjaśni sprawę, podczas gdy coraz bardziej zniecierpliwiony Niccolò oznajmia, że jest już naprawdę bardzo późno i że musi już iść.

A zatem, jeśli zechcesz dać mi swój numer. – kończy, podnosząc swoją komórkę i powstrzymując irytację.

Oczywiście, przepraszam – odpowiadam, szybko zamykając książkę i myśląc

sobie, że nadchodzą bardzo ciężkie czasy.

Kilka dni później, uzbrojona w zeszyt, kilka dodatkowych informacji o życiu i twórczości Konrada Azaisa, w cierpliwość, która ma pomóc mi znieść Niccolò i podniecenie przed spotkaniem z żywą legendą, jadę do Tarquinii, gdzie mieszka Azais.

Anceschi uprzedził, że spóźni się piętnaście minut, co, w języku anceschiańskim oznacza przynajmniej pół godziny. To dlatego polecił, żebyśmy ruszali sami.

Niccolò umówił się ze mną przed swoim domem, rdzawym budynkiem w dzielnicy Monti Tiburtini. Stamtąd wjedziemy na autostradę jego nowiutkim, warczącym punto, barwy metalicznego błękitu, i skierujemy się ku Tarquinii, gdzie Azais mieszka ze swoją jedyną córką, szwagrem, wnuczką i gospodynią słowiańskiego pochodzenia.

– Pogłębiłaś swoją wiedzę o Azaisie? – pyta Niccolò znad kierownicy.

Oczywiście. Książka jest ciężka jak mało która. Szczerze mówiąc, nie zrozumiałam dokładnie treści. Na szczęście istnieje Wikipedia, z której dowiedziałam się, co następuje:

Konrad Andràs Azais (Debreczyn, 12 marca 1928) jest węgierskim pisarzem i poetą. Swoją sławę zawdzięcza przede wszystkim „Chciwości Deszideriusa Horvatha”, swojej pierwszej, kontrowersyjnej powieści, opublikowanej na Węgrzech w 1950 roku.

Życie

Azais urodził się w Debreczynie jako drugi z pięciu synów Csàka, urzędnika państwowego o pochodzeniu mieszczańskim i Izabelli Beàty Bonolis ze starego, litewskiego rodu. Spędził dzieciństwo w Debreczynie, który opuścił w 1940 roku, kiedy jego rodzina przeprowadziła się do Paryża. Podejrzewany o działalność w opozycji, Csàk Azais zwrócił się o pomoc do kuzyna Farkasa Kiràly, który wyemigrował do Francji dwadzieścia lat wcześniej. W Paryżu Csàk Azais włączył się do ruchu oporu zwalczającego nazizm, zaangażował starszych synów i wprowadził ich w środowisko, które odcisnęło ślad na całej twórczości literackiej Azaisa.

W wieku lat dwudziestu Konrad przeprowadził się do V dzielnicy i zamieszkał z Olivierem Volange'em, autorem „Opowiadań o złamanej samotności”. W 1947 roku, po śmierci siostry Heni (Henrietty), Konrad Azais opublikował na własny koszt dedykowany jej tomik wierszy, który przeszedł niezauważony i na wiele lat krytycy o nim zapomnieli. Dzisiaj odkryto go na nowo. W 1950 roku Azais zajął stanowisko asystenta na wydziale języka i literatury węgierskiej na uniwersytecie w Paryżu. Z tego samego okresu pochodzi książka „Chciwość Deszideriusa Horvatha”, przyjęta entuzjastycznie przez paryskie środowisko literackie, która szybko stała się ogromnym, międzynarodowym sukcesem. W 1951 roku postanowił opuścić Paryż i przeprowadził się do Mediolanu, gdzie spędził dwadzieścia lat.

W 1955 roku opublikował „Udrękę”, przyjętą z chłodem przez krytykę i z wściekłością przez publiczność, która nie rozpoznała w niej ukochanego, obdarzonego łaską pióra autora „Chciwości Deszideriusa Horvatha”. W 1959 roku opublikował w języku włoskim książkę „Nigdy więcej po wczoraj”, która została zmiażdżona przez krytykę. W 1961 roku ożenił się z młodszą o 10 lat Maią Maniscalchi, z którą doczekał się czwórki dzieci: Leone (1964), Enrico (1966), Oscara (1970) i Seliny

(1973).

Po publikacji „Nigdy więcej po wczoraj” nastąpiła długa cisza w jego twórczości, prawdopodobnie wynikająca z niepowodzenia ostatnich książek. W 1971 roku przeprowadził się do Udine, gdzie uczył na uniwersytecie języka i literatury węgierskiej. W tym samym roku własnym sumptem wydał „Długie oczekiwanie”, które okazało się niespodziewanym sukcesem wydawniczym. Azais wrócił do pracy i opublikował w ciągu następnych dwóch lat „Trylogię Margd”, która w 1974 roku została zekranizowana. W wywiadzie Azais zdradził, że zadedykował postać Margd swojej dawnej, nastoletniej miłości, która bywa przez niektórych identyfikowana z tancerką Catherine Rouvroy. Chociaż „Chciwość Deszideriusa Horvatha” uznano jednomyślnie za szczytowe osiągnięcie jego twórczości, to „Trylogia Margd” jest najbardziej znana. W 1974 roku opublikował tomik wierszy dedykowanych nowo narodzonej córce Selinie. W 1977 roku Maia Maniscalchi umarła na raka płuc. W tym samym roku Azais opuścił Udine i przeprowadził się do Rzymu, gdzie poznał Luisę Valli, która została jego towarzyszką do 1985 roku. W 1979 roku opublikował autobiograficzną powieść „Ja, Konrad”, a w 1982 – „Gry Margó”, w której to książce pojawiły się niektóre postaci znane z trylogii. Powieść została ciepło przyjęta. W 1986 roku ukazała się „Niemoralność”, kompilacja powieści i eseju, przez samego Azaisa uznana za jego „najmniej udane dzieło”.

Bibliografia:

Heni, 1947

Chciwość Deszideriusa Horvatha, 1950

Udręka, 1955

Nigdy więcej po wczoraj, 1959

Długie oczekiwanie, 1971

Margd, 1972

Niepokój Margd, 1972

Znów Margó, 1973

Dla ciebie, Selino, 1974

Ja, Konrad, 1979

Gry Margó, 1982

Niemoralność, 1986

Ciekawostki

W 1978 roku został prezesem honorowym włoskiego stowarzyszenia enigmistyki klasycznej. W tworzeniu i rozwiązywaniu rebusów do dzisiaj uznawany jest za jednego z najzdolniejszych ludzi na świecie.

– I co, podoba ci się *Niemoralność*? – pyta Niccolò.

– Nieszczęśliwie – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Na twarz Niccolò rozkwita uśmiech, który oznacza dokładnie: „To oczywiste, spodziewałem się tego”.

– To doskonała metafora instrumentalizacji seksu w relacjach między kobietami a mężczyznami – postanawia mnie oświecić.

– Tyle zrozumiałam, ale nie zachwyciła mnie ani forma, ani zawartość. Myślę, że szybko ci ją zwrócę. Raczej nie dam rady jej dokończyć.

– Jak wolisz.

Zapada ponura cisza. Najwyraźniej Niccolò uważa, że nie dorastam mu do pięt pod względem intelektualnym, i dlatego milczy.

– Ładnie tutaj – zauważam, gdy zbliżamy się do celu. Żłociste pola zbóż zdają wpływać do Morza Tyrreńskiego.

– Owszem – przytakuje. – Poza tym są tutaj etruskie groby nie do przegapienia. W każdym razie jeśli to kogoś interesuje – dodaje, *in cauda venenum* ³. Zerka na swoją

nawigację. – Dobrze. Już prawie jesteśmy – wyjaśnia.

– Zjemy coś wcześniej? – proponuję, ponieważ burczy mi w brzuchu.

– Wolałbym się nie spóźnić. Mogę ci zaoferować krakersy.

Dojeżdżamy do małej, przynajmniej dwustuletniej willi, z granitowych, złożonych kamieni, z nieco wyższą, przylegającą do budynku wieżyczką. Dwa otyłe koty wyglądają przez kratę w bramie, pachnie wilgotnymi, zgniłymi po jesiennych deszczach liśćmi.

– Zadzwoń domofonem – ogłasza Niccolò całkiem niepotrzebnie, bo jest to jedyna rzecz, którą można w tym momencie zrobić.

Nikt nie odpowiada, ale brama się otwiera; wchodzimy do zaniedbanego ogrodu. Winorośl pnie się w sposób niekontrolowany, nikt nie sprząta rozmiękłych już liści, miski kotów pokryte są zeschniętymi resztkami jedzenia. A jednak ten niszczący ogród ma swoistą magię. Przez uchylone okno dobiega pełen pasji i tylko odrobinę nieprecyzyjny głos wiolonczeli. Z ogrodu przechodzi się na patio, wyłożone żółtymi i niebieskimi kafelkami, a z drewnianych drzwi wychodzi kobieta, z której emanuje niezwykle piękno, bardzo podobne do piękna tego domu. Jest miękka w ruchach, ale nie prowokacyjna ani niezadarna, a jej falujące włosy w odcieniu ciemnoblonde zebrane są w kucyk. Jej oczy są zielone, ale zgaszone, pozbawione blasku, a uśmiech przyjemny, choć zmęczony. Ma na sobie gołębioszary kardigan, fiołkową koszulkę i beżowe spodnie. Wyraz jej twarzy zdradza inteligencję, ale też zagubienie, a głos, którym nas wita, zdaje się należeć do dziewczyny młodszej o przynajmniej dziesięć lat.

– Nazywam się Selina Azais – mówi, podchodząc do nas i podaje nam dłoń bez pierścionków i lakieru na paznokciach, posmarowaną za to dużą ilością glicerynowego kremu.

Dźwięk wiolonczeli gwałtownie się urywa, chociaż vibracje strun wciąż rozbrzmiewają cicho, niczym odległe echo. Selina zaprasza nas do wnętrza, wypełnionego intensywnym zapachem wiejskiego domu. Urządzone jest w stylu country, ale z klasą. Wazony pełne świeżych kwiatów zdobią wszystkie kąty, a ciasto – a właściwie połowa, która została – stoi na dekorowanej czerwonymi kwiatkami paterze, ustawionej na białym stole pośrodku salonu. Wszędzie, nawet na drewnianej podłodze, wznoszą się sterty książek, a wielki regał przy ścianie wygląda, jakby miał się zawalić. Zasłony w biało-czerwonej kratce przepuszczają światło słońca, które wyszło po nocnej ulewie i sprawia, że pokój zdaje się zawieszony w czasie.

– Wstawiłam wodę. Macie ochotę na herbatę i kawałek ciasta? Upiekła je moja córka Clara.

– Z przyjemnością! – odpowiadam bez wahania. Selina z wdziękiem kiwa głową i woła głośno jakąś Terzię.

Na wezwanie pani domu w drzwiach pojawia się brzydka jak noc kobieta z kwaśną miną, mamrocząca pod nosem coś w niezrozumiałym języku. Selina odpowiada, a mnie

wydaje się logiczne, że rozmawiają po węgiersku.

– Usiądźcie. On jest na górze, prawie nie wychodzi ze swojego pokoju. Dzisiaj nie zrobi wyjątku. Pomyślcie, że jest bardzo obcesowy i w rzeczywistości... taki właśnie jest. Należy zachowywać się wobec niego bardzo uprzejmie. Przypomina rozkapryszone dziecko.

Niccolò rozpoczyna wykład z psychiatrii, który nie wydaje się interesować Seliny, a ja wciąż obserwuję pokój. Wiolonczela, która jeszcze przed chwilą używana była z ogromnym uczuciem, pulpit, na którym leżą nuty *Suity na wiolonczelę nr 1* Bacha, wiszące na ścianach obrazki z kwiatami, trzy kociaki śpiące przy wygasłym, pełnym popiołu kominku i stojąca obok nich miska z mlekiem. Terézia niesie do kuchni porcelanowe talerzyki, na których kładzie uważnie po kawałku czekoladowego tortu. Z wyszczerbionego dzbanka, z tego samego kompletu co talerzyki, wlewa wrzątek, po czym podaje mi pudełko pełne herbat o różnych smakach, abym wybrała sobie ulubioną.

Cóż za uroczy dom.

Mogłabym tu mieszkać.

*Czy poznałeś kiedyś kogoś
szczęśliwego? I jednocześnie
wciąż zdrowego na umyśle...*

Terezio, spytaj Clare, czy chce herbaty.

– Nie! – odpowiada niezbyt grzecznie głos, który najwyraźniej należy do Clary.

– Usłyszała? – komentuje matka z zawstydzonym uśmiechem. Mam nadzieję, że Niccolò nie wygłosi teraz kazania o problemach dorastania.

– Tort jest znakomity – mamrocze Selina kocim głosem, ze swoją jedwabną elegancją i romantyczną aurą jak z filmów Jane Campion.

– Pani Azais, ten dom jest doprawdy uroczy. – Nie mogę się powstrzymać przed tym komentarzem.

Selina uśmiecha się szeroko.

– Doprowadzenie go do porządku zajęło mi wiele lat. Teraz jednak ja też jestem z niego bardzo zadowolona – rozpromienia się.

Niccolò wydaje się coraz bardziej zirytowany moją obecnością. Dość opryskliwie odmówił tortu i nieustannie spogląda na zegarek. Jest naprawdę antypatyczny. Wyjaśniamy Selinie, że nie możemy rozpocząć bez doktora Anceschiego, co nie robi na niej wrażenia.

– Mamo, dziadek znowu się ubrudził. – Komunikat zostaje wypowiedziany tonem pełnym złośliwości przez nastolatkę o bardzo długich włosach, oczach pomalowanych czarnym ołówkiem, niebieskich paznokciach, lewej dłoni ubrudzonej atramentem, jak to u nas mańkutów, w kaloszach na nogach i różowej sukience, przykrytej szarym szalem. Długi kolczyk zwisa z jednego tylko ucha.

– Terézio, bądź tak miła i pójdz na górę. Claro, skarbie, jesteś pewna, że nie masz na nic ochoty? Tort jest naprawdę pyszny, gratulacje.

Clara kiwa głową, speszona, i chwyta kawałek palcami.

– Przedstawiam wam moją córkę, Clare Norbedo.

Nie poświęcając nam zbyt wiele uwagi, Clara wita się gestem dłoni, rzuca „dzień dobry”, które brzmi bardzo sucho. Nie jestem pewna, czy jest nieśmiała, czy źle wychowana.

– Przyjechali sprawdzić, czy dziadek zwariował? – pyta matkę. W kącikach ust ma okruszki tortu.

– Mniej więcej – odpowiada pewnie Selina.

Clara wzdycha ciężko.

– Dziadek nie jest wariatem. Wcale a wcale. Jest geniuszem. I jest całkiem przytomny. Powinniście o tym wiedzieć.

– Skarbie, wiem, że bardzo kochasz dziadka, ale lekarze wiedzą, co robić i nie potrzebują twoich rad.

Clara wpatruje się w matkę ze zdziwieniem, a może nawet rozczarowaniem.

– A ty bierzesz udział w tej farsie – mówi ze złością i smutkiem, po czym wychodzi z pokoju. Selina biegnie za nią. A jako że Terézia jest na górze, najprawdopodobniej zajęta zmienianiem pieluchy Konradowi Azaisowi, ja i Niccolò zostajemy sami, patrząc sobie w oczy niczym dwójka kretynów.

– Alice, przejdźmy do rzeczy. Chcę zacząć, kiedy tylko Selina Azais wróci.

– Wiesz, czym ona się zajmuje? Kim jest jej mąż?

Niccolò patrzy na mnie zdumiony, zastanawiając się, czy robię go w konia.

– Nie mam zielonego pojęcia! – odpowiada, niemal urażony niestosownością mojego pytania.

Selina Azais wraca sama. Nie wygląda na wzburzoną, ale chyba nic nie jest w stanie nią wstrząsnąć, i zwraca się do nas ze słodkim uśmiechem.

– Doktorze Laurenti, niczego pan nie tknął!

– Proszę się mną nie przejmować – mówi Niccolò, na jej uśmiech odpowiadając dziwnym grymasem, bo na nic lepszego raczej go nie stać.

Dźwięk dzwonka anonsuje Anceschiego, który ma swoje wielkie wejście i, ku wściekłości Niccolò, wszystko przedłuża, przyjąwszy kawałek tortu od Seliny. Przecież nie mógł odmówić hiperkalorycznej przekąski w późny poranek. Jego tyłek zajmuje pół kanapy. Mam wrażenie, że przyszedł tutaj wyłącznie na ciasto i całe dochodzenie niewiele go obchodzi.

– Zaczynamy, pani Azais? – pyta Niccolò, marszcząc czoło.

Zastanawiam się, dlaczego tak mu się spieszy.

– Och, tak. Oczywiście – odpowiada Selina, chyba nieco zaskoczona.

– Dobrze, pani Azais, proszę mi opowiedzieć o stanie zdrowia ojca. Wszystko, co pani wie, od jego młodości aż do dziś. – Anceschi słucha, pozwalając mu zadawać pytania. Terézia proponuje mu kawę z lodami, a on nie każe się dwa razy prosić.

Selina zamyśla się na chwilę.

– Cóż, nie mam wiele do powiedzenia. Mój ojciec zawsze czuł się dobrze. Jako nastolatek dostał cios nożem, wiedzieliście? Poszło chyba o kobietę. Dla nas, dzieciaków, ta historia stała się czymś w rodzaju legendy. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, był operowany na wrzody. Wiele razy wypadał mu dysk, dlatego nie chodzi. Nie trzyma moczu. Ma drobne problemy z krążeniem. To wszystko.

– Dlaczego więc wystąpiono o ubezwłasnowolnienie?

Na policzki Seliny wypływają purpurowe plamy.

– Ja się z tym nie zgadzam. Inicjatywa należała do moich braci.

Niccolò stara się wszystko zrozumieć jak najlepiej. Ja słucham z uwagą.

– W jakim sensie pani się nie zgadza?

– Otóż nie sądzę, aby mój ojciec był niezdolny do decydowania o sobie. Ma paskudny charakter, ale miał taki zawsze. Ma fioła na punkcie enigmistyki i uprzykrzał nam życie tymi swoimi gierkami, ale to też robił od zawsze. Nie jest wariatem.

– To jeszcze sprawdzimy – odpowiada Niccolò ze złośliwością, która wydaje mi się niepotrzebna.

Selina jest zirytowana jego komentarzem. Patrzy, jak wyciąga z pomarańczowej torby teczkę z testami oceny poznawczej, gotowy przedstawić je Konradowi Azaisowi, a potem wstaje. Ja i Niccolò wchodzimy za nią na pierwsze piętro po drewnianych, pomalowanych na biało schodach. Dysząc ciężko, dołącza do nas też Anceschi. Na ścianie wiszą czarno-białe portrety kobiety o delikatnych rysach twarzy, w której domyślam się żony Azaisa. Zauważam podobieństwo do Seliny i Clary.

Pokój Konrada Azaisa jest najgłębiej ukryty w całym domu. Selina prowadzi nas do drzwi, po czym naciska na klamkę.

Drzwi się nie otwierają.

Łagodne rysy Seliny tężeją.

– Claro! – woła głośno.

Dziewczyna wygląda ze swojego pokoju.

– Co tam?

Selina mrozi córkę spojrzeniem.

– To twoja sprawka? Oddaj klucz.

Clara wzrusza ramionami. Jej twarz przybiera różowy odcień, a mnie wydaje się wyjątkowo nieroztropna.

– Nie mam żadnego klucza – odpowiada, podchodząc bliżej. Pochyliła się, by spojrzeć na dziurkę od klucza. – Spójrz, zamknął się od środka. Sam. Rozumiesz teraz, że nie jest wariatem? Wszystko zrozumiał.

– Albo może ty mu powiedziałaś – zauważa Selina, nie całkiem niezadowolona.

– Mylisz się. Nigdy bym tego nie zrobiła. – Ja jestem pewna, że było dokładnie odwrotnie.

Niccolò traci cierpliwość.

– A zatem, pani Azais? Co teraz?

– Mam zadzwonić po strażaków, żeby otworzyli drzwi? – pyta Selina z sarkazmem.

Clara wybucha śmiechem, a Anceschi puszcza do niej oko, żeby pokazać, że jest po jej stronie.

– A gdyby po prostu poprosiła go pani, żeby otworzył? Skoro, jak twierdzicie, nie jest wariatem, dlaczego miałby nas nie wpuścić? – Ton Niccolò jest irytujący i gdybym była Seliną Azais, wygoniłabym go z domu kopniakiem w tyłek.

– *Apa? Apa? Nyilem az ajtó.*

– Mogłaby pani mówić po włosku? – Niccolò pozwala sobie na coraz więcej, a ja z trudem powstrzymuję się, żeby go nie walnąć.

Selina z godnością wypełnia polecenie:

– Tato... otwórz drzwi.

– Ani mi się śni – odpowiada Azais po włosku, chrapliwym i pełnym determinacji głosem.

– Dlaczego? Nigdy nie zamykasz się na klucz. Terézia musi cię przebrać. No już, otwieraj!

– Już mnie przebrała, krowa jedna!

– Gdyby Terézia cię usłyszała, byłoby jej bardzo przykro, że tak ją nazywasz.

– Ta krowa i tak nie rozumie włoskiego. Tylko węgierski. To prawda, prosiłem cię o węgierską pokojówkę. Ale ładną.

– Tato, dlaczego się zamknąłeś?

– Nie chcę, żeby nachodzili mnie ci *hülyék*.

– Czy zostałem przypadkiem obrażony po węgiersku? – pyta z wyższością Niccolò.

– Ależ nie! – woła Selina.

– Nazwał was idiotami – wyjaśnia Clara, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i uśmiechem, który wyraża pełną zgodę z opinią dziadka.

– Pani Azais. – Niccolò wypowiada te słowa pełnym emfazy tonem, cedząc sylaby.

– Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie spotkamy się z pani ojcem.

Jego impertynencja sprawia, że nie mogę dłużej siedzieć cicho. Także dlatego, że wyraża wyłącznie swoją, a nie moją, opinię. Ja chętnie bym tu wróciła. Szukam wzroku Anceschiego, który wypowiada swoje zdanie:

– Zobaczmy, Niccolò. Nie uważam, by właściwym było wymuszanie wizyty, skoro nie jest możliwa. Sądzę, że należy się wykazać większą cierpliwością.

– Pani Azais – wtrącam. – Zdajemy sobie sprawę ze wszystkich trudności. Wrócimy, kiedy pani ojciec będzie w nieco lepszym humorze.

– Pogódźcie się z tym. Żadnych wizyt. Nie potrzebuję ich.

– Panie Azais, rozumie pan, dlaczego chcemy pana odwiedzić? – pytam przez drzwi.

Ton jego odpowiedzi jest ostry:

– Oczywiście. Jestem stary, ale nie obłąkany, wbrew temu, co myślicie.

– Właśnie dlatego powinien pan wyrazić zgodę na naszą wizytę, aby móc to udowodnić – wyjaśnia mu Anceschi, a ja podejrzewam, że Niccolò czuje swoją podległość, ponieważ milczy.

– Nie dzisiaj.

– Panie Azais, niechże pan będzie rozsądny – nalegam. Zbyt słabo.

– Wróćcie w przyszłym tygodniu. Dzisiaj boli mnie głowa.

– Panie Azais, niech pan nie kaprysi – wtrąca się Niccolò, odzyskując głos.

– To wy lepiej nie kapryście – mamrocze z drugiej strony drzwi Konrad Azais. –
Wiecie, z kim macie do czynienia?

– Owszem, panie Azais. Napisał pan kilka wybitnych powieści, ale to nie uchroni pana od naszej wizyty. Dzisiaj – nalega Niccolò, szurając nogami po parkiecie.

– Idźcie stąd. I zadzwońcie, zanim wrócicie. Jeśli znajdę czas, przyjmę was.

– Tato, to tak nie działa. Lekarze nie muszą prosić cię o pozwolenie.

– A to dlaczego? – zauważa Clara, swoją drogą całkiem słusznie. Machinalnie zaplata warkocz z długich włosów.

– Wypełniają obowiązki wyznaczone przez sędziego – wyjaśnia ostrożnie Selina.

– Co kogo obchodzi sędzia. Najważniejszy jest szacunek. Jeśli dzisiaj dziadek nie ma ochoty na spotkanie, nie rozumiem, dlaczego miałyby być do niego zmuszany.

– Rzeczywiście, tak mówi konstytucja – potwierdzam kiwnięciem głowy. Mój głos brzmi uroczyście. – Dlatego też wrócimy, kiedy pan Azais będzie gotowy.

– W porządku, panie Azais? Może w przyszły poniedziałek? – proponuje Anceschi.

Niccolò patrzy na nas z wściekłością, Selina i Clara z podziwem.

Azais milczy przez chwilę.

– Przyszły poniedziałek mi pasuje – odpowiada wreszcie.

– Nie zmieni pan zdania, prawda, panie Azais? – pytam niepewnie.

– Powiedziałem, że się zgadzam – ucina.

Pod drzwiami Selina Azais żegna się ze mną serdecznie, a Anceschiemu wręcza hojną porcję tortu, owiniętą w serwetkę z białej bawełny.

– Dziękuję za zrozumienie – mówi z uśmiechem.

Żegna się chłodniej z Niccolò, a oczy Clary śmieją się, kiedy robi balona z różowej gumy.

* * *

– Yuki, nie możemy go zatrzymać.

Yukino, moja słodka, japońska współlokatorka, która nie nauczyła się jeszcze włoskiego tak dobrze, jakby chciała, patrzy na mnie błagalnie.

– Proszuję cię!

Zerkam na łaciatego, zaniedbanego szczeniaka, którego trzyma w ramionach z matczyną czułością. Nie sposób mu się oprzeć.

Kiedy wróciłam od Azaisów, mocno skołowana (dwie godziny w samochodzie z Niccolò każdego przyprawiliby o ciężki ból głowy), czekała mnie urocza niespodzianka. Yukino zrobiła już zapasy puszek dla psów, ciasteczek dla psów, skórzanych kości dla psów i czerwonych pelerynek dla psów.

– I co ja zrobię z tymi wszystkimi rzeczami? – nalega.

– Mogłaś mnie spytać, zanim wpadłaś w szal zakupów.

– Ale ja dzwoniłam cię!

– Nie mogłam odebrać.

Yuki przyjmuje strategię, która daje najlepsze rezultaty: zaczyna błagać i przypomina o zbliżającej się nieuchronnie chwili, kiedy będzie musiała wrócić do Japonii.

– Właśnie dlatego, że wracasz do Japonii, nie możemy go zatrzymać. Nie dam sobie z nim sama rady.

– Zabiorę go ze sobą do Kioto. Mam drugiego psa tam. Musisz być cierpliwa tylko kilka miesięcy. Dla mnie ważne.

Nigdy nie potrafiłam niczego jej odmówić. Wieczornych imprez z przygotowanym przez nią paskudnym, japońskim jedzeniem, maratonów anime, spontanicznej wycieczki do Florencji, prywatnych lekcji włoskiego... a teraz jeszcze psa.

– Wymyśliłam już imię – dodaje, jakby wyciągała asa z rękawa.

– Doprawdy? – pytam, udając brak zainteresowania. Jestem ciekawa, a ten szczeniak jest faktycznie niesamowicie uroczy, ma takie szczere spojrzenie!

– Ichi, na cześć *Parfait Tic*⁴. Ale może wolałabyś Daiya?

– Ty wybierz, w końcu pies jest twój... Chociaż chyba bardziej podoba mi się imię Hachiko...

Yukino gwałtownie kręci głową.

– Nie dam mu takiego banalnego imienia. Wybieraj: Ichi czy Daiya?

– Niech będzie Ichi. Ale teraz daj mi go na rękę.

I love Paris in the Fall

Suche liście, zaśnieżone gałęzie, które splatają się na gołę-bioszarym niebie. Jedyna w swoim rodzaju atmosfera Saint Germain. Małe placyki, gdzie wydaje się, że zewnętrzny świat nie istnieje. Eleganckie piękno. Najbrudniejsze metro, jakim kiedykolwiek jechałam. Ale też czekolada w kawiarni w Luwrze. Stopy zlodowaciałe podczas spaceru przez Pola Elizejskie. Guerlain, do którego weszłam, żeby się ogrzać i który oszołomił mnie zapachami i luksusem. Fascynacja obrazami Ingresa. Naleśnik z nutellą w wybranym przez niego, najmniej higienicznym stoisku, bo on uważa, że odrobina brudu poprawia smak niczym sekretna przyprawa. Wyśmiewanie się z portrecistów na Montmartrze, choć w rzeczywistości jeden z nich całkiem dobrze uchwycił blask jego oczu. Moja ignorancją w obliczu wielu dzieł w Centre Pompidou, które on koniecznie chce nazywać sztuką. Gonitwy po Île Saint Louis, jakbyśmy byli dzieciakami. Maślane rogaliki, przyjemność jedzenia ich w łóżku. Kolacja z serami, które pachną jak skarpetki, a potem śmiech, że te najbardziej śmierdzące były jednocześnie najsmaczniejsze. Krótkie noce. Brak dyscypliny. Gładzenie jego włosów przed zaśnięciem. Piosenki Edith Piaf i Vanessy Paradis. Przechadzanie się między stoiskami obok Notre Dame i wybieranie rycin, którymi można ozdobić gołe ściany jego pokoju na rue d'Alesia, zdumienie, że nie podobają mu się damy w dziewiętnastowiecznych sukniach, które mnie wydają się urocze. Popołudnie w Shakespeare & Co., podczas którego powstrzymałam go z trudem przed zakupem każdej książki, która wydawała mu się chociaż trochę interesująca. Migające światła wieży Eiffla, które przegapiłam, bo tych kilka minut spędziłam w sklepiku, kupując magnesy dla przyjaciół i rodziny, a było zbyt ciemno, by czekać, aż pojawią się znowu pół godziny później. Karuzele, które wyglądają jak zabawki, a jednak wożą dzieci, a czasami, z watą cukrową w dłoni, także mnie. Wyznanie, że w tym mieście czuje się swobodnie, czego nigdy nie zaznał w Rzymie. To wszystko i znacznie więcej w Paryżu z Arthurem, w lodowate, listopadowe dni.

Wyjechałam z Rzymu szybko, jakbym uciekała. Boss powiedział przecież zresztą, że chętnie da mi kilka dni urlopu. Wrócę w niedzielę, by nie przegapić poniedziałkowej, drugiej sesji „dochodzenia w sprawie osoby Konrada Azaisa” w towarzystwie mojego ulubionego Niccolò.

Trzy dni wykradzione odległości, tak jakby nasza historia nie traciła sensu z każdym mijającym dniem. Ale kiedy go widzę, wszelka wątpliwość zostaje pokonana przez ciepło, przez naszą czułość, a wyszarpane minuty telefonicznych rozmów co

wieczór, mejle, tęsknota, wszystkie najbardziej demoralizujące uczucia są możliwe do zniesienia w obliczu tej sekundy, kiedy, w anonimowej hali wielkiego lotniska, opieram zmęczoną głowę na jego ramieniu.

Chciwość Deszideriusa Horvatha

Wróciłam z Paryża w żalonym nastroju, który towarzyszy mi po każdym powrocie, i zobaczyłam Ichiego skulonego na moim łóżku.

– Tak, bardzo mu się podoba – wyjaśnia zupełnie swobodnie Yukino, jakby było to całkiem naturalne.

– Yuki, psy nie powinny spać w łóżku. To niehigieniczne, paskudne przyzwyczajenie.

– Och, nie rozumiem, dlaczego – odpowiada poważnie, po czym zwraca się do Ichiego po japońsku i prowadzi go do swojego pokoju.

Zwierzątko przygląda się jej z zachwytem swoimi wielkimi, miodowymi oczkami, które zdają się mówić: „Ubóstwiam cię, Yukino”. Jest ucieleśnieniem wdzięczności. Wchodzę za nią do jej pokoju, który wygląda jak salon Hello Kitty. Na jej biurku leży tomik poezji Montalego i luźne kartki pełne jej niezbyt poprawnych gramatycznie notatek po włosku. Kiedy ona bawi się z Ichim, zerkam i dostrzegam nazwisko Azaisa.

– Yuki, znasz jakieś książki Konrada Azaisa?

Unosi wzrok, nie przestając gładzić pieska po brzuchu.

– Oczywiście! *Chciwość Deszideriusa Horvatha* to jedna z najpiękniejszych książek, jakie kiedykolwiek czytałam!

– O czym opowiada? – pytam zaciekawiona, siadając na łóżku obok niej. Mimowolnie także zaczynam gładzić brzuszek Ichiego, który ułożył się na plecach, niczym sułtan w haremie.

– Mówi o niezadowoleniu z tego, co się ma. O tym, że robi się złe rzeczy, żeby otrzymać to, czego się chce i... Jak się mówi, kiedy powinno się powiedzieć: „Dziękuję”?

– Chodzi ci o wdzięczność?

– A przeciwieństwo?

– Niewdzięczność.

– Tak. Właśnie. Ta powieść mówi o niewdzięczności.

– Nie wydaje mi się to szczególnie oryginalne.

Yuki kiwa głową. Kiedy mowa o literaturze, która jest jej wielką pasją, staje się strasznie poważna, co czyni ją jeszcze zabawniejszą.

– To prawda, ale on pisze na swój własny, wyjątkowy sposób. Potem nie napisał

już nic tak pięknego.

– Wiesz, Yu, jutro odwiedzę Konrada Azaisa.

– Umarł? – pyta przestraszona.

– Nie, Yuki. Ale sama nie wiem, co gorsze. Chcą go ubezwłasnowolnić.

– Co to znaczy? – dopytuje, pochylając głowę w bok.

– To znaczy, że chcą udowodnić, że jest chory na głowę – upraszczam na jej potrzeby.

– Czyli że jest wariatem? – upewnia się jeszcze. Ichi ociera pyszczek o jej szczupłe udo.

– Tak.

– Ja myślę, że on jest wariatem. Tylko wariat pisze takie książki. Ale jest wariatem w niezwykły, genialny sposób. A nie tak naprawdę.

– Być może. Jutro się przekonamy. – Przypominam sobie, że muszę zadzwonić do Niccolò, by umówić się na wspólną podróż, ponieważ Anceschi ogłosił, że przyjedzie na motocyklu, a ja zdecydowanie wolę wygodę samochodu, niż kulenie się na skrawku siedziska, zajętego niemal w całości przez ogromnego doktora.

– Jakies opowieści z Paryża? – pyta po chwili Yuki. – Jak się czuje Arthur *kun*?

– Dobrze. Paryż to dla niego idealne miejsce. On pozostaje egoistą, choć zauważam drobną poprawę, ale jest zbyt wyjątkowy, bym mogła mu się oprzeć.

– Bardzo przypomina wokalistę Led Zeppelin z młodości. Arthur *kun* jest bardzo przystojny.

– On niestety o tym wie.

– Widzę, że ty nie jesteś całkiem przekonana. Kiedyś nie mówiłaś złego słowa o Arthurze *kun*.

– Nie wiem, może dorastam. Albo po prostu mierzę się z rzeczywistością. Idę pod prysznic, Yuki. Dobranoc wam obojgu – mówię, raz jeszcze gładząc Ichiego, który odpowiada wysunięciem czubeczka swojego szorstkiego języczka.

* * *

– Poprzednim razem wszystko poszło doskonale. Konsultant ze strony Azaisów się nie stawiał, dzień był piękny, a ja nie byłem po nocnym dyżurze.

Jaki on jest zadowolony z siebie. Siedzę w punto Niccolò, znajdujemy się pośrodku etruskiej wsi, otoczeni mgłą, ja ze straszną kolką – chyba zaszkodziło mi coś, co zjadłam w Paryżu – a on kompletnie obojętny.

– Masz problem z konsultantem Azaisów?

– Nawet ci nie odpowiem – rzuca z typową dla siebie arogancją.

– Jak sobie chcesz, Niccolò.

– Nie chodzi o problemy. To tylko jedna bzdura z głowy – wyjaśnia zniecierpliwiony.

Z godnym podziwu zmysłem orientacji jedzie do domu Seliny Azais bez użycia

nawigacji. Jesienna pogoda sprawia, że dom w Viterbo przypomina angielską chatkę z powieści Katie Fforde. Dzwonimy do drzwi i otwiera nam Clara. Jej długie włosy zebrane są w dwa romantyczne warkoczki, oczy pomalowane jeszcze ciemniej niż poprzednim razem, a na nogach ma fioletowe balerinki.

– Cześć – mówi wyłącznie do mnie, ignorując Niccolò. – Gdzie jest drugi doktor?

– Zaraz przyjedzie – wyjaśniam.

Po chwili pojawia się mały kotek, a za nim Selina, która wydaje się dziś jeszcze bardziej rozkojarzona.

– Dzisiaj mój ojciec ma lepszy humor – zapewnia i prowadzi nas do salonu. Na kanapie siedzą trzech mężczyźni pogrążeni w rozmowie.

Na nasz widok wstają, żeby się przedstawić.

Jeden, wysoki, chudy, łysiejący na skroniach i bezbarwny, to Enrico Azais.

Drugi, potężniejszy, ale przystojny, o ładnej twarzy i pozbawionym skrupułów spojrzeniu, to pierworodny syn, Leone Azais. Brakuje Oscara, najmłodszego z braci.

Trzeci mężczyzna, doktor Paladino, jest konsultantem Azaisów. To nasz kolega po fachu, koło sześćdziesiątki, elegancki i kapryśny, co rzuca się w oczy od razu, kiedy oznajmia:

– Dobrze się składa, że poprzednim razem pan Konrad Azais odmówił rozmowy. Nie otrzymaliśmy informacji z winy sekretarki pana Azais.

– Już ją zwolniłem – rzuca z dumą Leone Azais.

– Za taką drobnostkę? – pytam z nieco nerwowym uśmiechem.

– Nie, po prostu czekałem na pretekst – odpowiada. – W każdym razie moja siostra usilnie starała się mnie nie zawiadomić – mówi z nutą złośliwości w głosie.

Niccolò w międzyczasie wpada w stan psychologicznego poddaństwa wobec doktora Paladino, który według mnie wygląda jak serdelek z dyplomem. Patrzy na niego, jakby był świętą krową. Tym razem mimo kiepskiej pogody Anceschi nie każe na siebie zbyt długo czekać. Widzę, jak podjeżdża na swoim motorze; wygląda jak Poncherello z serialu *ChiPs*.

Gdy do nas dołącza, staje się niewidzialną studentką specjalizacji, czyli jak zwykle, oczywiście, dopóki nie narobię kłopotów. Zostaję wykluczona z towarzystwa i nie pozostaje mi nic innego, jak robić notatki z dochodzenia. Clara podchodzi do biurka i czyta z zainteresowaniem. To spotkanie przypomina mnóstwo rzeczy, ale na pewno nie techniczną, urzędową konsultację.

– Z tobą mogę porozmawiać – mówi szeptem. – Nie pozwól, by moi wujkowie wygrali. Są chciwi. Robią to wszystko tylko dlatego, że chcą podważyć testament dziadka.

– Jaki testament?

– Dziadek własnoręcznie napisał list, adresowany do mojej matki i moich wujków. Nie dał im go jeszcze, ale wujek Leone znalazł go i odkrył, że mój dziadek chce

pozostawić cały swój majątek nieznanym. Nikt nie przeczytał testamentu, ale moi wujowie obawiają się najgorszego i dlatego postanowili go ubezwłasnowolnić. Nie daj Boże, by po śmierci dziadka jego wola została wypełniona – kończy z sarkazmem.

– Claro, idź do swojego pokoju. To nie jest miejsce dla dziecka – wtrąca się Leone Azais, gromiąc dziewczynkę wzrokiem. Clara, która absolutnie nie jest już dzieckiem, odpowiada mu chmurnym spojrzeniem i wychodzi z salonu nieco nerwowym krokiem.

Jestem zaskoczona. Nie wiem, czy jej wierzyć. Skoro Azais sporządził testament, a oni chcą go podważyć, muszą udowodnić brak poczytalności w momencie spisania. Ubezwłasnowolnienie go później nie ma sensu: liczy się od wyroku sędziego i nie działa wstecz.

– Wejdziemy na górę? – pyta Selina Azais nieco zniecierpliwiona, być może chcąc jak najszybciej załatwić sprawę. Jej bracia natychmiast podrywają się na równe nogi, także doktor Paladino wstaje – nieskazitelny i doskonały. Wchodzimy po schodach do pokoju pisarza. Selina puka i chwytą za kłamkę, która tym razem nie stawia oporu. Drzwi się otwierają.

Konrad Azais siedzi nieruchomo na wózku, naprzeciw okna.

– Tato – nieśmiało wita go córka.

Nie porusza nawet palcem. Cisza jest przeszywająca.

– Tato, goście przyszli.

– Pozwolę się zbadać, ale twoi bracia muszą pozostać na zewnątrz.

Zauważam, że oblicza Leone i Enrica odbijają się w szybie okna przed jego oczami.

Bracia Azais nie tracą rezonu.

– Dobrze. Uprzejmy jak zawsze, tato – odpowiada Enrico... wracając do drzwi.

– Selino, czy jest też Oscar? – pyta Konrad córkę.

– Nie, tato.

– Ach, ależ oczywiście! Oscarowi wszystko wolno! – burczy Enrico Azais. Leone dotyka ramienia brata, jakby chciał go wyprowadzić. – Wiedz, tato, że Oscara żadne z nas nie obchodzi! A już najmniej ty. Wiesz, dlaczego cię odwiedza? Żeby wybulić od ciebie kasę. A ty zgadzasz się na ten przywilej, byle on też podpisał dokumenty, w których się nas wypierasz!

– Enrico, daj spokój – mamrocze ponuro Leone.

– Selino, każ swoim braciom wyjść z mojego pokoju.

– Nie musisz o to prosić. Już sobie idziemy – dodaje spokojnie Leone.

Dopiero kiedy słyszy, że drzwi się zamykają, Konrad obraca swój fotel i pokazuje się nam.

Jego rysy są ostre, kiedyś musiał być atrakcyjny, ale teraz jego twarz wykrzywia grymas zmartwienia i złości. Włosy ma długie jak na swój wiek, jasne i gładkie. Ma na sobie szlafrok w szkocką kratę, a w dłoni trzyma fajkę, która pachnie lukrecją. Jest

bardzo pomarszczony, jego oczy mają jasnoszary kolor, barwę oczu wilka. Być może to właśnie sprawia, że jest nieco niepokojący.

Doktor Paladino patrzy na niego ze współczuciem i przedstawia się, po czym zaczyna pochlebną przemowę, jakoby znał i podziwiał jego dzieła. W międzyczasie Niccolò wyciąga z torby białe kartki i zaczyna robić notatki. Oparł się o biurko, z trudem zrobiwszy sobie miejsce między tomami wierszy Vitezslava Nezvala. Grzmot pioruna poprzedza blackout, który niespodziewanie wywołuje lekceważący, fałszywy wybuch śmiechu Azaisa.

– Tato... – mamrocze zmęczonym głosem Selina, odsłaniając okno, by wpuścić jak najwięcej światła. Udaje jej się uzyskać tylko melancholijny półmrok.

Nagle dzwoni telefon Anceschi, który przeprosza nas i odbiera. W międzyczasie Niccolò podaje Paladino dokument do podpisania i wizyta rozpoczyna się od anamnezy, której Azais poddaje się z niespodziewaną precyzją. Cień smutku pojawia się na jego twarzy, kiedy wspomina śmierć swojej siostry Heni. Selina ani razu nie musi go poprawiać czy przypomnieć mu jakąś informację, a ja zaczynam się zastanawiać, co my w ogóle tutaj robimy.

Azais jest przytomny, z pewnością bardziej niż ja.

Anceschi wraca do pokoju i prosi mnie na bok. Cichym głosem, jak gdyby nigdy nic, informuje, że zostawi mnie samą, z pełnią uprawnień.

– Muszę natychmiast jechać, Allevi. Moja teściowa umiera. Notuj wszystko dokładnie. Zwracaj uwagę na każdy szczegół.

Przeprosza Laurentiego i Paladino, podpisuje formularz, żegna się z Seliną Azais, jakby żałując, że nie weźmie udziału w porannym poczęstunku, po czym ucieka na swoim suzuki, w deszczu, który – na jego szczęście – nieco zelżał.

Ogólne badanie Konrada wykazuje hipotrofię kończyn dolnych, wywołaną pozostawieniem na wózku. Co do reszty jego stan zdrowia jest bombowy. Azais chętnie poddaje się badaniu, współpracując niemal wesoło, póki nie rozpoczynają się testy poznawcze. Kiedy każe mu się powiedzieć po kolei słowa kot, kwiat, płot albo rysować proste figury geometryczne jak kwadraty i koła, wydaje się zniecierpliwiony i urażony.

– Za kogo wy mnie macie – mamrocze ze złością, kiedy lewą dłonią oddaje Niccolò długopis. Paladino, co zrozumiałe, wydaje się rozczarowany wynikiem badania.

Później, gdy zostajemy sami w salonie Seliny, Paladino utrzymuje, że to „klasyczny” przypadek i mamy do czynienia z fazą demencji, w której zdolność wykonywania prostych poleceń jest jeszcze utrzymana, podczas gdy utracona zostaje umiejętność podejmowania autonomicznych decyzji.

– Zupełnie się z tym nie zgadzam – protestuję, zdziwiona niezdecydowaniem Niccolò. Jak można wysunąć tak absurdalną tezę? Oczywiście w medycynie wszystko

jest możliwe, ale to jeszcze nie powód, żeby mówić, co tylko ślina na język przyniesie! Azais orientuje się w czasie i przestrzeni. Jest gburowaty, ale zdolny do głębokiej autoanalizy, a także do pewnej ironii. Był nawet uprzejmy, kiedy zwrócił się do zebranych z pytaniem, czy znają *Chciwość*.

Niccolò, który zawsze musi zachowywać się jak prymus, zakrzyknął: „Naturalnie!”, podczas gdy ja musiałam się zebrać na odwagę i przyznać, że nie, jeszcze nie czytałam. „Selino! Przynies kopię dla tej ładnej lekarki. Inaczej będzie miała lukę w wykształceniu”, powiedział wtedy z uśmiechem Azais, po czym wziął z biurka długopis i napisał krótką dedykację.

Kiedy przypominam ten epizod, Paladino patrzy na mnie z wyższością.

– Oczywiście, koleżanko, był to dowód na zaawansowaną cyklotymię: nie zauważyła pani zmian nastroju w czasie wizyty? Agresywnego zachowania wobec synów?

– Cóż, proszę mi pokazać kogoś, kto dobrze traktuje syna, który próbuje go uznać za niepoczytalnego – komentuję instynktownie.

– Nie zauważyła pani, że jego niechęć wymierzona była tylko w dwóch synów, chociaż zainteresowanych jest trzech?

– To chyba jego sprawa! – zauważam.

Niccolò marszczy brwi, przeglądając z zaciekawieniem *DSM-IV*, biblię światowej psychiatrii. Najwyraźniej nie ma nic ciekawego do powiedzenia, bo nie odrywa wzroku od książki i notatek, wyłączwszy się z coraz bardziej gorącej dyskusji.

– Nie wydaje się pani, że jest to zbyt emocjonalna, a za mało naukowa ocena sytuacji? – pyta mnie Paladino. – Proszę spojrzeć na list, który Azais napisał do synów. Z tego powodu zostałem poproszony o pomoc – ciągnie, podając mi ksero. – Testament, do którego się odnosi, został złożony u notariusza.

– Jak dowiedzieli się o nim synowie Azaisa? – pytam zaciekawiona.

– Leone Azais znalazł go w szufladzie biurka ojca, kiedy Konrad mieszkał w Rzymie z nim i jego rodziną. Azais zamierzał sporządzić kopie dla każdego z braci i w ten sposób przygotować ich na rozczarowanie testamentem niekorzystnym dla nich wszystkich. W efekcie wybuchł konflikt i dlatego przeprowadził się tutaj, do córki.

Zaczynam czytać.

Do Leone, Enrica, Oscara i Seliny

Rzym, 6 maja 2009

A wy, dzieci moje, nie odziedziczycie żadnego spadku.

Możliwe, że niedługo odejdę, ale wpiery muszę uporządkować swoje sprawy.

Egzekwuję to, co nakazuje mi sumienie.

List ten zawiera moją jedyną wolę i, uwierzcie, pozbawienie was spadku jest jedyną możliwą drogą.

Enigmatycznym może wydawać się wam brak należnych wyjaśnień:

vice versa, tym razem, wyjaśnienia należą się tylko JEJ. Tak sobie obiecałem. W testamencie jest wszystko napisane, list niech pozostawi tajemnicę.

A więc na razie nie powinniście znać jej imienia, jeszcze nie teraz.

*Nauczcie się sztuki cierpliwości.
Głosu mojego musicie wysłuchać, inaczej nie dam wam spokoju.
Epilogiem niech będzie moja nieskończona wdzięczność, dzieci moje*

Konrad Andràs Azais

– To nader zagadkowy list... – przyznaję.

– Widzi pani, koleżanko? Ten list jest wart więcej niż jakiegokolwiek obiektywne, kliniczne badanie, ale niestety nie został dołączony do akt. Dowodzi demencji Azaisa i jego narcystycznej osobowości. Tylko osoba zaburzona mogłaby w ten sposób zarządzać swoją własnością, jednocześnie nie udzielając żadnych wyjaśnień. Synom nie może wystarczyć ta zagadka.

– Cóż, Azais jest twórczy. I uwielbia grę słów. List jest dziwny, owszem, ale ma sens. Fundamentalna kwestia została przedstawiona jasno. Przekazuje swój majątek pewnej kobiecie, nie chce zdradzić jej imienia i nie chce zdradzić przyczyny takiej decyzji nikomu poza nią. Poza wszystkim, to dopuszczalne, pieniądze należą do niego, a nie do jego synów. Nie jest im winien żadnego wyjaśnienia. Nikt nie może go do niczego zmusić.

Paladino obserwuje mnie z wyższością i niechęcią, jakbym była natrętną muchą.

– Diagnoza psychiatryczna należy do doktora Laurentiego, a pani, jeśli dobrze zrozumiałem, jedynie towarzyszy doktorowi Anceschiemu, prawda? Jest pani studentką specjalizacji, tak? – przypomina, chcąc chyba podkreślić, że moje zdanie jest nieistotne dla sprawy.

– A testament?

– Leży u notariusza. Nikt go jeszcze nie przeczytał.

– Czy mogłabym skopiować list, skoro nie jest dołączony do akt? Chciałabym pokazać go doktorowi Anceschiemu.

Ze szklistym spojrzeniem żującej krowy Paladino wyraża zgodę. Przepisuję słowa Konrada linijka po linijce, a kiedy kończę, żegnamy się oficjalnie i opuszczamy dom, w którym zaczyna rozprzestrzeniać się zapach kawy.

W drodze do Rzymu Niccolò wydaje się zakłopotany. Nie jestem w stanie odgadnąć jego opinii w sprawie; kiedy mówię, że moim zdaniem nie da się ubezwłasnowolnić Azaisa, mam wrażenie, że podziela moje zdanie, ale nie jestem tego pewna, bo wypowiada się wymijająco i mętnie.

Po powrocie do domu, siedząc wygodnie na kanapie i ogrzewana przez Ichiego – który okazuje się doskonałym termoforem – zaczynam czytać książkę, którą podarował mi Konrad Azais.

Rozwija się powoli, ale jest niezwykła, użycie języka wydaje się ekstremalne, szalone, nie daje wytchnienia, a ja przyklejam się do jej stronic, nie mogę się oderwać, co nie zdarzyło mi się już od dawna.

*I chociaż na początku nie
zdawałem sobie z tego sprawy,
powoli, powoli zostałem
otoczony gorzką pianą
melancholii.*

Konrad Azais, „Chciwość Deszideriusa
Horvatha”

Książka Konrada Azaisa, którą skończyłam następnego popołudnia, wyjaśnia, dlaczego stał się taki sławny. Jej narracja przenosi mnie w świat zamieszkały przez postaci niezwykle, ale ludzkie, pełna jest wyrazistych znaczeń i mam wrażenie, jakby napisana była specjalnie dla mnie. Czy naprawdę można być szczęśliwym, nie czując na plecach oddechu żalu? Nie zastanawiając się, czy droga obrona w pewnym momencie życia była właściwa? Azais opisuje ten lęk z niezwykle psychologiczną wnikliwością, rozumiem więc już entuzjazm Yukino i pochwały Niccolò, które jednak wydawały mi się sztuczne.

Patrzę na kartki mojego podpisanego egzemplarza, jakby były drogimi klejnotami, częścią bezcennego skarbu. Kiedy pokazuję książkę Yukino, wpatruje się w nią oczami pełnymi tej samej zazdrości, jaką dostrzegałam w nich, kiedy w Porta Portese udało mi się znaleźć torbę Vuitton Neverfall PM za czterdzieści euro.

– Mówiłam ci, że to bardzo piękna powieść – mówi, sobie przypisując zasługę za to odkrycie. Siedzimy w kuchni naszego zwariowanego mieszkanka, przez okno da się słyszeć spadające krople deszczu, podczas gdy para mieszkająca piętro wyżej rzuca w siebie talerzami, mniej więcej tak samo jak zazwyczaj. Kiedy Ichi odpoczywa na kanapie, z otwartego laptopa Yuki dobiega muzyka Olivii Lufkin, jej ulubionej, japońskiej piosenkarki, a ona przygotowuje niezbyt sezonowy smoothie.

– Yuki, myślisz, że żal potrafi zniszczyć szczęście?

– Tak jak w książce? – pyta. Wzdycha, wlewając napój do mojego zielonego kubka w kropki. – Tak myślę. Pamiętam ten fragment o dokonywaniu wyborów. Jest niezwykle prawdziwy. Powinnam przeczytać go teraz jeszcze raz, może by mi pomógł.

Patrzę na nią z uwagą. Jestem przyzwyczajona do jej wesołości i czasem mam wrażenie, jakby jej dusza nie mogła zostać dotknięta ludzkim smutkiem. Ale nie jest postacią z mangi, istnieje naprawdę i miewa swoje problemy. Muszę o tym pamiętać.

Dzisiaj wydaje się matowa, nie tak radosna jak zazwyczaj.

– Dlaczego, Yuki? Coś nie tak?

Siada naprzeciwko mnie, nie odrywając wzroku od swojej szklanki dekorowanej dużymi, różowymi truskawkami. W swoim czerwonym swetrze z lekkiej wełny i perełkach, które latem, podczas swojej wizyty, podarowała jej mama, wygląda naprawdę uroczo.

– Zastanawiam się, czy nie wrócić do domu – mówi tak cicho, że nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam.

– Masz dość? – pytam, nieszczerze przejęta, jako że podejrzewam ją o chwilę słabości, wywołaną jakimś nieprzyjemnym zdarzeniem. Do jej powrotu do Kioto zostało jeszcze osiem miesięcy.

– Tak – odpowiada, ściskając szklankę w dłoniach niczym szczeniaka.

– Coś się stało? – Teraz jestem zaniepokojona. Myśl o pustym domu jest nie do zniesienia.

– Myślę, że odległość ma zły wpływ na mój związek z Sosuke. Pokłóciliśmy się wczoraj bardzo brzydko i nie pogodziliśmy się do tej pory.

– To normalne, że się pokłóciliście. Wszystkim normalnym parom się to zdarza. Wystarczy, żebyście nie zaczęli zachowywać się jak ci z góry – zauważam spokojnie. Nie tknęłam napoju z mojego zielonego kubka, nie mam już na nic ochoty.

Yuki uśmiecha się, ale po chwili znowu poważnieje.

– Nie można spędzić tyle czasu osobno, nie ponosząc konsekwencji. – Jej słowa tak mocno przenikają przeze mnie, że wstrząsa mną dreszcz. Obraz Arthura na krótką chwilę pojawia mi się przed oczami. – Poza tym wypełniłam swoje zadanie tutaj. Mój włoski jest znacznie lepszy. Nie myślą mi się już tryby warunkowe!

– Ale nadal mówisz: „Prosiuję cię...”.

– Mówię tak, bo wiem, że to lubisz – odpowiada, odkładając na talerzyk ciastko, które zamierzała zjeść. Może minął jej apetyt. Szczerze mówiąc, mnie też.

* * *

Marco i Alessandra czekają na mnie w jej czarnym twingo i kiedy tylko do niego wsiadam, wyczuwam ich zaraźliwą euforię.

Mój brat Marco, po wielu latach emocjonalnej stagnacji, kiedy czułam w kościach, że jest gejem – nie, żeby było w tym coś złego – związał się z moją koleżanką ze studiów, Alessandrą, słodką i miłą dziewczyną, która wydaje się postacią z filmu pełnego pięknych uczuć. Razem są tak słodcy, że wydają się sztuczni, w rzeczywistości robi mi się trochę niedobrze, ale oni na szczęście są nieprzemakalni.

– Pizza? – proponuje Marco, który ma nowe, stateczne uczesanie, które zupełnie nie przypomina dawnej, alternatywnej fryzury. Przy nim Alessandra wydaje się występującą z brzegów rzeką, największą gadułą na świecie. Lubię z nimi wychodzić, chociaż zdarza mi się czuć pewną obcość, jakby oni byli kompletni, a ja nie.

W obliczu zróżnicowanego menu, które karmi moje niezdecydowanie, Marco i Alessandra starają się hamować niecierpliwość.

– A więc? Co zamawiacie? – Spoglądam na trzymające się za ręce gołąbeczki.

– Zastanawiamy się, jak ci to powiedzieć – odpowiada Alessandra, z oczami w kształcie serduszek.

– Co? – pytam, ale bez zbytnej ciekawości. Jestem zbyt przejęta wielkim dylematem: pizza *Zimowy dreszcz* czy konwencjonalna *margherita*?

– Ja i Marco bierzemy ślub – ogłasza Alessandra, rozpromieniona, jak można się spodziewać.

Patrzę na nią zaskoczona. W pewien sposób szczęśliwa. I nieco zazdrosna.

– A to jeszcze nie wszystko. Zostaniesz ciocią. Za siedem miesięcy, jeśli wszystko pójdzie dobrze – dodaje Marco, gładząc przyszlą żonę po policzku.

To oznacza konstruowanie, planowanie, projektowanie, a ja podziwiam ich z całego serca. Myśl, że razem stworzą nowe życie, które być może będzie miało jego oczy i jej czar; talent i zdolności Marco i pełną ufności dobroć Alessandry, jego dłonie i jej gęste, błyszczące włosy, robi naprawdę ogromne wrażenie. A przynajmniej tego życzę mojemu siostrzeńcowi. Ale mam nadzieję, że będzie siostrzenicą.

– I bardzo bym się cieszyła, gdybyś została moją druhną – prosi Alessandra, która zarażona moim wzruszeniem sama zaczyna płakać i dodaje łamiącym się głosem: – Nie przejmuj się. To wszystko przez hormony.

Nie, nie teraz, nie tutaj, w tym wielkim, tłustym osuwisku.

Przejdźmy do rzeczy, Alice: jaką sobie wyrobiłaś opinię? – pyta mnie Anceschi, skulony na swoim foteliku, a jego spokojny wyraz twarzy jest nieco wykrzywiony irytacją, spowodowaną długą listą zarzutów wobec Niccolò Laurentiego.

– Moim zdaniem Konrad Azais jest w pełni świadomy swoich czynów i decyzji.

– Przeszedł test Laurentiego? – dopytuje, zastanawiając się, czy zjeść ryżowego krakersa, na którego patrzy z pożądaniem.

– Moim zdaniem tak.

– To nie wystarczy. Trzeba przeczytać jego relację. W każdym wypadku ostatnie zdanie należy do nas. Nie bardzo rozumiem, czemu sędzia wydał wspólne upoważnienie. Mogliśmy zająć się tym sami i w najgorszym razie poprosić o opinię psychiatrę. Opinie Laurentiego wprowadzają tylko niepotrzebne zamieszanie.

– Zgadzam się w pełni – mówię.

– Ten list jednak... – mamrocze, trzymając w pulchnych dłoniach skopiowany przeze mnie list. – Cóż, jest nieco zaskakujący.

– Trzeba poznać jego autora. Azais jest przedziwnym artystą i wielbicielem enigmistyki. List pasuje do jego osobowości.

– Być może. Niech się pani zastanowi, a ja przestudiuję dokumentację medyczną i spotkam się z Laurentim, by wyciągnąć wnioski.

Kiwam głową i zgarniam materiały, które zabieram ze sobą do pokoju.

Lara siedzi przy biurku, a Ambra od paru dni jest chyba na wagarach.

– Gdzie się podziewa księżniczka? – rzucam kwaśnym tonem. Lara, która podkreśla fioletowym markerem jakieś zdania w książce o kryminologii, odpowiada, nie unosząc wzroku.

– Pewnie płacze gdzieś w kącie.

– Dlaczego?

– Nie słyszałaś? – dziwi się ze zmartwionym spojrzeniem.

– Co mianowicie?

– Krążą plotki o burzliwym rozstaniu z Claudiem.

– Z jakiej przyczyny? – pytam, starając się ukryć niezdrową ciekawość.

– Nie wiem na pewno. To chyba jego sprawka. Niewykluczone, że ma inną.

– Laro, na twojej marynarce... nie oderwałaś metki.

Instynktownie maca się po ramionach i znajduje karteczkę z ceną.

– Niemożliwe! Mam tę marynarkę od zawsze. Prałam ją wiele razy. Zauważyłabym! Ale... o cholera!

– Co?

– Pomyliłam swoją marynarkę z marynarką trupa przygotowanego do pogrzebu! Właśnie mi się wydawało, że jest na mnie za duża i dziwnie pachnie!

– Jak mogłaś się nie zorientować? – Jestem naprawdę zaskoczona.

– Chyba są podobne... Idę do kostnicy. Mam nadzieję, że moja marynarka nie została jeszcze pochowana.

Otwiera drzwi i wpada na Claudia.

– Dokąd idziesz? – pyta on.

– To długa historia – odpowiada pospiesznie Lara, zostawiając nas samych.

– Nawet nie wiesz, co narobiła! Pomyliła swoją marynarkę z ubraniem jakiejś biedaczki, która ma zostać pochowana – wyjaśniam szybko.

– Tak, tak – mówi bez cienia zainteresowania. – Jesteś mi coś winna? – pyta sucho.

– W jakim sensie? – wyrażam zdziwienie, jękając się lekko.

Claudio przewraca oczami.

– A jak myślisz, Allevi? – rzuca z sarkazmem, wyraźnie rozbawiony swoimi dwuznacznymi słowami. – Czy wiesz mi jakąś robotę?

– Tak. Przypadek V – mówię, odzyskując nad sobą kontrolę. Zaczynam przeglądać kartki leżące na biurku. Z bałaganu wyciągam fioletową kartkę z notatkami Claudia, zapisanymi wyraźnym, niemal teutonicznym charakterem pisma.

– Kiedy mija termin? – pyta ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Sprawdzam i konstatuje, że termin minął już jakiś czas temu.

Spoglądam na niego błagalnie.

– Naprawdę skończyłam pracę na dziś.

– Twoja skończona praca oznacza, że ja muszę wykonać ją za ciebie od nowa. Zaraz ci to zademonstruję. Zbierz potrzebne rzeczy i chodź do mojego pokoju.

A tam, w świetle, które pada na jego napomadowane włosy, sprawia wrażenie, jakby wrócił do dawnych czasów, kiedy poprawiał moje błędy, komentując je w sposób fantazyjny i upokarzający.

– Przyznaję, że to był trudny przypadek. Powinniśmy zebrać się w małej grupie i skonsultować się z twoimi kolegami – dodaje, zachwycony swoim własnym pomysłem. Claudio traktuje pracę uniwersytecką bardzo serio i wykorzystuje każdą okazję, by zademonstrować swoje dydaktyczne ambicje. – Zorganizuj wszystko.

– Nie jesteśmy dzisiaj w komplecie. Nie ma Ambry, jak z pewnością wiesz.

Udaje, że nie wyczuł aluzji.

– Nieważne – mówi sucho.

– Dlaczego wasz związek się skończył? – pytam pod wpływem niekontrolowanego

impulsu.

Claudio odpowiada zirytowanym spojrzeniem. Niemal blednie.

– Niezgodność charakterów.

– To brzmi jak powód rozwodu.

– Nie mogliśmy się porozumieć w pewnej bardzo ważnej kwestii. Niczego więcej się nie dowiesz, wścibska babo, więc daruj sobie nalegania. Za pół godziny widzimy się w auli. – Mówi obiecującym wiele tonem, a ja wciąż umieram z ciekawości.

* * *

Zbieramy się w auli, jedni bardziej, drudzy nieco mniej leniwie. Claudio zajął już miejsce i z pogardą spogląda na zegarek.

– Kto wyjaśni wasze spóźnienie? Byliście zbyt zajęci grą w Ryzyko? Allevi, ty jesteś odpowiedzialna za organizację tego spotkania. – Nawet mu nie odpowiadam. W drodze do sukcesu przejął od Wally całkowity brak wyrozumiałości. – Tak czy inaczej – ciągnie po chwili – przedstaw nam sprawę.

Nie jest to łatwe, ponieważ on wtrąca się co chwila, upokarzając zgłaszających się kolegów. Potwierdza się stara prawda, że kiedy studenci specjalizacji są pasywni, oznacza to, że są leniwym bydłem, a kiedy próbują być aktywni, dają szefom możliwość, by się na nich wyżywać.

– Conforti. Naprawdę łsnisz niczym gwiazda wśród studentów. Nigdy się nie zmienisz: żałosny jak zawsze.

Słowa te wypowiada nieznany, piskliwy kobiecy głos o lekkim południowym akcencie. Wszyscy odwracamy wzrok do drzwi auli: stoi w nich nieruchomo wysoka, zjawiskowa dziewczyna, która z rozbawieniem przygląda się scenie. Przenoszę spojrzenie z niej na Claudia i zauważam w jego oczach absolutną konsternację.

Dziewczyna ma delikatne, długie włosy o jasnokasztanowej barwie. Jej twarz jest nieco koścista. Przydałoby jej się pewnie kilka dodatkowych kilogramów, ale ma zgrabne ciało. Mocno pomalowane cieniem i tuszem oczy są szare, a może niebieskie lub zielone, i bardzo bystre. Oparta o framugę drzwi ze skrzyżowanymi na piersi ramionami wygląda jak ktoś, kto czerpie przyjemność z przyglądania się scenie, której się spodziewał. Na palcach ma mnóstwo pierścionków, na nadgarstkach – liczne bransoletki. Ubrana w szarą sukienkę w kwiaty, której nie włożyłabym na siebie nawet pod groźbą pobicia, wygląda odrobinę wyzywająco, ale ładnie.

Nieco zapadłe policzki Claudia pokrywają się lekkim rumieńcem. Cisza trwa jednak tylko chwilę. Potem znów staje się cyniczny i pogardliwy, jak zwykle.

– Kogóż ja widzę – komentuje ostro. – Co tutaj robisz, Beakrocze?

Dziewczyna wybucha zaraźliwym śmiechem, tak głośnym, że ja też się uśmiecham.

– Wciąż mnie tak niegodnie przezywasz? – Wchodzi do auli, ignorując nas wszystkich. Wielka primadonna. – Poprawiłeś się – mówi, kiedy on wstaje i wita ją całusem w policzek.

Ale gdyby wzrok mógł zabijać, leżałaby martwa u jego stóp – tak właśnie na nią patrzy.

– Poczekaście na mnie – rozkazuje, po czym oddala się z nowo przybyłą.

– Kto to? – pyta Lara, najwyraźniej przekonana, że wiem coś więcej.

– Nie mam pojęcia.

– Moim zdaniem to jakaś jego była flama – komentuje, obgryzając małymi ząbkami skórę przy paznokciu.

– Możliwe. Claudio przespał się z całym światem. Poza mną i tobą – dodaje szeptem, zirytowana niespodziewaną przerwą.

Lara wzdycha.

– A szkoda – podsumowuje.

* * *

Pora wyjść. Chcąc zamknąć kilka niedokończonych projektów, zostałam w instytucie przez całe popołudnie, a teraz jest już prawie pora kolacji. Zamykam drzwi pokoju, nie mogąc doczekać się powrotu do domu, w którym czekają na mnie Yukino, kawałek wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym i telewizyjny maraton. Niedaleko wyjścia dołącza do mnie Claudio. Nie wiedziałam, że on jeszcze tu jest.

– Conforti, jesteś żaloszny jak zawsze – mówię, powtarzając słowa Beakrocze.

Wydaje się urażony. Potem na jego przystojnej twarzy pojawia się uśmiech.

– Aaach.

– Kto to był? – pytam po prostu.

– Duch – odpowiada, otwierając drzwi i puszczając mnie przodem w niecodziennym geście galanterii.

– Mówię serio.

– Podwieźć cię do domu? – proponuje w odpowiedzi.

– Tak, pod warunkiem, że zdradzisz mi jakieś szczegóły.

Claudio kręci głową, jego mina wyraża pogodzenie się z moim absolutnym brakiem logiki.

– Zauważ, że to ty masz interes w podwózce, a nie ja.

W zasadzie słuszna uwaga, zgadzam się więc, nim zdąży zmienić zdanie.

*Enigma to coś, co trudno
zrozumieć, tajemnica.*

Wikipedia

Uważnie czytam list Konrada Azaisa do dzieci. Analiza przynosi przedziwny efekt, ponieważ przy każdej kolejnej lekturze wydaje mi się coraz bardziej sensowny. Zastanawiam się, czy nie umieścił specjalnie między wierszami jakiejś sztuczki; jest typem człowieka, który mógłby zrobić coś podobnego.

Yukino puka do drzwi mojego pokoju i przerywa mi czynność, która stała się już dosyć bezsensowna. Ma na sobie czerwony beret z białymi pomponami, a na smyczy trzyma Ichiego. Psiak ma radość wypisaną na pysku i ze zniecierpliwieniem obserwuje naszą rozmowę.

– Wychodzę na kolację z koleżankami ze studiów. Wrócę późno, ale przygotowałam dla ciebie yakisobę⁵.

Pośród wszystkich jej eksperymentów kulinarnych, yakisoba jest najbardziej przerażająca.

Kiwam głową bez szczególnego zainteresowania, po czym znów opuszczam wzrok na list.

Nagle, niczym w filmie o Johnie Nashu *Piękny umysł*, niektóre litery przybierają fosforyzujące barwy i układają się w mojej głowie w najprawdziwszy kod.

– Cholera jasna, Yuki!

– Co jest? – pyta zaniepokojona.

– To jest akrostych!

Moja biedna współlokatorka wydaje się przerażona nowym słowem.

– Nie wiem, co to!

– Akrostych... – zdaję sobie sprawę, jak trudno to wytłumaczyć – ...to zdanie, słowo albo imię, złożone z pierwszych liter każdego wersu.

Yuki marszczy nosek.

– Ale to coś poważnego? Jakaś choroba?

Nic nie rozumiała.

– Nie martw się, Yu. Idź spokojnie. U mnie wszystko gra, wiesz przecież, że czasem ekscytuję się głupotami!

– Tak, to prawda. W takim razie... ja idę. Pójdę na siusiu z Ichim, a potem przeprowadzę go z powrotem. Zostaniesz z nim? Czy wychodzisz?

– Ależ nie, zostaję w domu! – wołam, wciąż podniecona przełomowym odkryciem. Niemal nie mogę się doczekać, aż wyjdzie, żeby zabrać się do dzieła. Trudno mi uwierzyć, bym tylko ja zauważyła tę sztuczkę.

A wy, dzieci moje, nie odziedziczcie żadnego spadku.

Możliwe, że niedługo odejdę, ale wpierrw muszę uporządkować swoje sprawy.

Egzekwuję to, co nakazuje mi sumienie.

List ten zawiera moją jedyną wolę

i, uwierzcie, pozbawienie was spadku jest jedyną możliwą drogą.

Enigmatycznym może wydawać się wam brak należnych wyjaśnień:

vice versa, tym razem, wyjaśnienia należą się tylko JEJ. Tak sobie

obiecałem. W testamencie jest wszystko napisane,

list niech pozostawi tajemnicę.

A więc na razie nie powinniście znać jej imienia, jeszcze nie teraz.

Nauczcie się sztuki cierpliwości.

Głosu mojego musicie wysłuchać, inaczej nie dam wam spokoju.

Epilogiem niech będzie moja nieskończona wdzięczność, dzieci moje.

Nazwisko kobiety. Amélie Volange.

Volange... Z początku nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je słyszałam, ale lyk coli zero przywraca mi pamięć.

Tak nazywał się współlokator Azaisa w Paryżu.

Wpisuję w Google hasło „Amélie Volange”, w cudzysłowie, jak nauczyła mnie kiedyś moja przyjaciółka Silvia. Wyniki wyszukiwania odsyłają do łańcuszka stron internetowych. Ze wszystkich najbardziej interesująca wydaje mi się strona w Wikipedii o Catherine Rouvroy, matce Amélie Volange, a przede wszystkim, co pamiętam dokładnie, młodzieńczej miłości Konrada Azaisa.

Catherine Marie-Geneviève Rouvroy (Paryż, 17 października 1930) – słynna francuska tancerka.

Urodziła się w Paryżu w rodzinie mieszczańskiej. Jej ojciec był funkcjonariuszem rządowym, a matka, Yvonne Saint-Marie, baletnicą, która musiała zrezygnować z kariery po wypadku, w którym złamała kość udową. Była pierwszą nauczycielką córki, którą trenowała bardzo intensywnie. W jednym z wywiadów Rouvroy opowiedziała, że matka kłuła ją szpilkami przy każdym błędzie. W 1946 roku przyjęto ją do szkoły tańca przy Operze Paryskiej, a w 1949 roku, w wieku dziewiętnastu lat, dołączyła do zespołu baletowego opery jako stażystka, potem solistka, wreszcie, w 1955, jako primabalerina.

Uznawana jest za jedną z największych tancerek swoich czasów, słynną ze względu na zdolność połączenia precyzyjnej techniki z wyrafinowaną delikatnością i umiejętnością wyrażania emocji gamą eleganckich ruchów.

Życie prywatne

Po długim związku z pisarzem Konradem Azaisem, Rouvroy w 1960 roku wzięła ślub z Olivierem Volange'em, z którym miała dwoje dzieci: Sebastiana (1967), który w 1982 zginął w wypadku samochodowym i Amélie (1971), która poświęciła się karierze dyplomatycznej i pracuje w ambasadzie Hiszpanii w Paryżu. W 1978 roku Rouvroy rozwiodła się z Volange'em.

Wpisuję nazwisko Oliviera Volange i sprawa staje się jeszcze bardziej intrygująca:

zmarł samobójczą śmiercią w 1980 roku, był przeciętnym, paryskim pisarzem, autorem kilku opowiadań i powieści zignorowanych przez publiczność i niedostępnych we Włoszech od przynajmniej trzydziestu lat. Po niepowodzeniach pisarskich poświęcił się pracy nauczyciela.

O, cholera, co za odkrycie!

Niech śmierć zastanie mnie żywym.

Jest niedziela, a na ten weekend nie wyjechałam do rodziców do Sacrofano, bo Claudio ma dyżur w prokuraturze okręgowej, a ja muszę być dyspozycyjna na wypadek inspekcji. Ja i Yukino zjadłyśmy mrożoną lasagnę z supermarketu, a teraz przysypiam na łóżku owinięta różowym kocem, kiedy nagle dzwoni telefon. Macam przedmioty na szafce i chwytam telefon, nie otwierając oczu.

– Arthur – mamroczę, przekonana, że to właśnie on.

– Znacznie lepiej – odpowiada zniecierpliwiony Claudio.

– Możesz być gotowa za dwadzieścia minut?

– Inspekcja?

– Uprzedzałem cię, zatem nie szukaj wymówek. Mamy przed sobą długą drogę, więc się nie spóźnij. Przyjadę po ciebie. Pospiesz się – mówi.

W rekordowym czasie osiemnastu minut udaje mi się: przebrać z domowej bluzy w bardziej elegancki niebieski golf, przenieść zaspanego Ichiego z mojego łóżka na posłanie Yukino – wciąż nie rozumiem, czemu ten pies, który niby należy do niej, w rzeczywistości mieszka w moim pokoju – włożyć rajstopy i kozaki, wypić szklanek wody, zjeść czekoladkę, umyć zęby, pomalować usta blyszczykiem, wysłać mejla do Arthura i stanąć na chodniku, nim Claudio przyjechał i zdążył się wściec. Wciąż jest zniecierpliwiony, nawet kiedy nie ma powodu, a nawet pięć sekund oczekiwania doprowadza go do furii.

Ogłasza swoje przybycie piskliwym dźwiękiem klaksonu. Zabiera mnie z chodnika, gdzie na próżno starałam się rozłożyć zepsuty parasol.

Niebo jest ponure, ulice opustoszałe, wilgoć sprawia, że dłonie się kleją, smutek peryferii staje się coraz bardziej dojmujący, cisza nie uspokaja, ale unieruchamia, a ja myślę sobie, że to paskudny dzień na śmierć. Nie pytając o pozwolenie, włączam radio: właśnie puszczają *China Girl* Davida Bowiego.

– Wprowadzisz mnie w sprawę? – proszę, kiedy kończy się piosenka, pozostawiająca po sobie atmosferę na poły orientalną, na poły z lat osiemdziesiątych.

– Nagła śmierć. Stary pisarz.

Sztywnieję. Niemożliwe. Nie uwierzyłabym w taki zbieg okoliczności. Nie po raz kolejny, nie po Giulii Valenti.

– Tutaj, w Rzymie? – pytam szybko.

– Nie, w Tarquinii.

– Konrad Azais?

– Właśnie on – odpowiada, po czym podkręca głośniej radio, co najwyraźniej oznacza, że nie ma ochoty rozmawiać.

To on. Nie ma żadnych wątpliwości.

Przynoszę pecha. Jestem jak zły omen. Ludzie, których poznaję przypadkiem, na chwilę i którzy wydają mi się interesujący, kończą jako trupy.

Ściszam radio.

– Co jeszcze wiesz?

– Niewiele. Został znaleziony martwy, bez widocznych ran.

– Poznałam go – czuję, że muszę mu powiedzieć.

Claudio unosi ciemną brew.

– Niezwykłe – prychna z nutą sarkazmu. – Znowu – dodaje, robiąc aluzję do sprawy Giulii Valenti. – Może przynosisz pecha, Allevi?

– Zaczyna mnie to martwić – przyznaję z gorącością.

– Przecież żartowałem. Skąd go znasz?

– Chodziło o przypadek ubezwłasnowolnienia, nad którym pracowałam z Anceschim.

– Rzeczywiście, spośród tych niewielu szczegółów, które znam, jest także ten. I to właśnie ze względu na niedawną sprawę o ubezwłasnowolnienie oskarżyciel chce się temu przyjrzeć. Mam wykluczyć ewentualność zabójstwa.

Myszę o Selinie i Clarze. Myszę o szczerym uczuciu, które wiązało Clarę z dziadkiem.

– Był wielkim pisarzem.

– Ach, tak? – pyta bez szczególnego zainteresowania, nie odrywając wzroku od drogi.

– Ostatnim razem, kiedy u niego byłam, podarował mi swoją najpiękniejszą powieść z autografem. Mogę ci pożyczyć – proponuję w przypływie dobroci. Nienawidzę pożyczać, a już zwłaszcza książek.

– I tak bym jej nie przeczytał, więc możesz sobie darować tę uprzejmość. Znasz już dom? – pyta z nutą zarożumiałości w głosie.

– To jest dom jego córki, Seliny Azais. Konrad mieszkał z nią i jej rodziną.

– Naprawdę był niezdolny do decydowania o sobie? – pyta znowu, znacznie przekraczając dopuszczalny limit prędkości. Droga, która w towarzystwie Niccolò dłużyła mi się niemiłosiernie, teraz mija w okamgnieniu.

– Absolutnie nie. – Teraz, kiedy Konrad Azais nie żyje, opinia Anceschiego wydaje mi się absolutnie konieczna.

– To dobrze, że znasz już dom: dam ci aparat fotograficzny na czas inspekcji. Wyłącz telefon. I na miłość boską, Alice: nie spoufalaj się z rodziną, nie angażuj się

w sprawę osobiście. Nie powtarzajmy sprawy Valenti – mówi chłodno.

– Przysięgam sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię – wyjaśniam ze szczerym przekonaniem.

– Ulżyło mi, Allevi – odpowiada swoim zarozumiałym tonem, którym chce chyba naśladować Najwyższego, nie posiadając niestety, przykro mi to przyznać, ani jego pewności siebie, ani szlachetności.

* * *

Claudio parkuje przed dobrze już znaną mi bramą. Tym razem w ogrodzie nie ma tłustych kotów, które uciekły, być może przed kręcącymi się tam obcymi. Lampy są zgaszone, jedyne światło, blade i ponure, dobiega zza okien, oblekając twarze obecnych szarą poświatą.

Rodzina Konrada Azaisa zebrała się w komplecie: prócz dwóch braci, których poznałam już wcześniej, jest tam nieznana mi kobieta, w towarzystwie dwóch bardzo podobnych do niej chłopców: domyślałam się, że jest to żona Leone Azaisa. Chodzi w kółko po salonie, nie rozmawiając z nikim. Enrico Azais dyskutuje z przystojnym czterdziestolatkiem, którego wcześniej nie widziałam. Ma on długie włosy, nieco niechlujny urok, podłużne oczy i świetlisty uśmiech.

Oczy Seliny są spuchnięte od płaczu i wita nas z bawełnianą chusteczką w dłoniach.

– Och, pani doktor – mamrocze po tym, jak uprzejmie ścisnęła mi dłoń. Pachnie wanilią i rumiankiem.

Leone wydaje się zdziwiony moją obecnością. Założę się, że zastanawia się, czy ma ona związek z moją rolą w sprawie o ubezwłasnowolnienie.

Ze względu na pewne podobieństwo do najstarszego z braci, rozpoznaję Oscara Azaisa w eleganckim mężczyźnie, który wygląda, jakby wehikuł czasu przeniósł go tutaj prosto z Lazurowego Wybrzeża lat sześćdziesiątych. Z obitego brązowym płótnem fotela przygląda się światu z dystansem i straszliwie znudzony słucha piskliwego głosiku kobiety przypominającej pełniejszą wersję pani Minu z kreskówki, która okazuje się ciocią Elisabetą, siostrą żony Konrada Azaisa.

A potem przychodzi on.

On, lis włoskiej policji.

Mężczyzna, który zbudował całą swoją karierę na umiejętności obserwacji: inspektor Roberto Calligaris, który przez ostatnich kilka miesięcy przytył parę kilo i wydaje się mniej zmizerowany, ale mimo wszystko z wyglądu pozostaje najbardziej anonimowym facetem, jakiego można sobie wyobrazić.

– Alice! – woła swoim nieco gardłowym głosem. – Ty i Conforti, jak zawsze razem – zauważa, witając Claudia skinieniem głowy.

Przez nigdy niewyjaśnioną pomyłkę Calligaris sądzi, że jesteśmy parą.

– To tylko zbieg okoliczności, inspektorze.

Ignoruje to doprecyzowanie, zapisując w swoim notesie Moleskine coś, co bardzo chciałabym przeczytać.

– Znów pracujemy razem. Nawet nie wiesz, jaka to przyjemność – dodaje, wyjmując paczkę brooklynów z kieszeni wypłowiących spodni. – Poza tym najwyższy czas, byśmy wprowadzili w życie propozycję współpracy, którą złożyłem ci latem – dodaje szeptem, by Claudio go nie usłyszał. Pełne słodczy zachowanie Calligarisa łączy się ze spartańskim sposobem bycia w sposób niezwykle i całkiem przyjemny. Claudio podaje mi aparat fotograficzny, który ma obiektyw wielkości armaty.

– Alice, już go wyregulowałem. Pod żadnym pozorem nie wolno ci dotknąć tej osłony – tłumaczy mi, jakby zwracał się do dziecka. A to tylko dlatego, że zламаłam kiedyś malutką dźwignię w jego cennym nikonie i musiałam wysłać go do centrum napraw, z którego już nigdy nie powrócił. Poza tym już czegoś takiego używałam. Arthur ma podobny sprzęt i trochę mnie nauczył. – Zaczynaj od drzwi wejściowych.

Świeżo nabyta autonomia wydaje mi się epokową zdobyczą.

I tak zaczynam fotografować pokoje, jak umiem najlepiej, niczego nie pomijając, chociaż nic nie wydaje mi się podejrzanego.

Do apelu nie stawiała się tylko Clara.

– Pani Azais? – zwracam się do skulonej w smutku Seliny.

– Słucham, moja droga? – odpowiada, pociągając nosem.

– Gdzie jest pani córka?

Twarz Seliny wykrzywia się w kolejnym grymasie smutku.

– To Clara znalazła dziadka. Dzisiaj są jej urodziny, zaczęliśmy świętować. Mój ojciec nie chciał do nas dołączyć, ale nie widzieliśmy w tym nic dziwnego. Stawał się coraz większym samotnikiem... Jak pani mogła zobaczyć, nie chciał wpuścić moich braci. Clara poszła do jego pokoju zanieść mu kawałek tortu i... Biedna, mała Clara. Właśnie ona, która była tak mocno związana z dziadkiem... Teraz jest w jego pokoju razem z inspektorem.

– Selino, jeśli umarł śmiercią naturalną, skąd obecność władz sądowych? – dziwię się, zdając sobie sprawę, że pytanie to powinnam raczej zadać Calligarisowi.

– Naturalna śmierć? – pyta zdenerwowana Selina. – Mój ojciec... zostawił list. Leży na biurku. Zobacz go pani. Zapowiadał samobójstwo. A poza tym, z powodu ubezwłasnowolnienia... – Nie kończy zdania, przekonana, że wszystko zrozumiałam.

Konrad Azais popełnił samobójstwo?

Wiadomość ta wydaje mi się fałszywa, kiedy pomyślę o człowieku, który z taką gwałtownością bronił w swoich książkach prawa do życia. Być może swoje uznawał za zakończone. Może miał dosyć siedzenia na wózku i czekania, aż Terézia zmieni mu pieluchę; może był w depresji, bo nie potrafił już napisać nic, co by go satysfakcjonowało; może czuł się tak samotny, że nie potrafił już znieść cudzego towarzystwa. Samotność jest przecież stanem ducha i nie zależy od obecności innych

ludzi.

– Inspektor próbuje ją przesłuchać – mówi Selina. – Problem polega na tym, że od kiedy znalazła dziadka... nie jest w stanie mówić. – Trzyma w dłoniach szklany, dokładnie wypolerowany kubek.

– Ach, Edo. Wiesz coś o małej? Czy inspektor już skończył? Pani doktor, przedstawiam pani mojego męża, Edoarda Norbedo. – Widzę przed sobą sympatycznego mężczyznę, którego zauważyłam w salonie.

On uśmiecha się uprzejmie i ściska obojętnie mają dłoń.

– Selino, skarbie, Clara jest wstrząśnięta. Może powinniśmy zabrać ją do lekarza...

– Cóż... sama nie wiem. To raczej normalne, że jest poruszona. Jest w szoku, rozumiem. Nie sądzę, by wizyta u lekarza mogła coś zmienić. Trzeba dać jej czas na oswojenie z sytuacją – mówi Selina. Mąż kiwa głową, choć nie wydaje się przekonany. Oboje pograżają się w smutku, a mnie nie zostaje nic innego, jak wrócić do Claudia.

– Skończyłaś wreszcie?

Kiwam głową i zastanawiam się chwilę nad faktem, że właśnie zlekceważyłam jego rozkazy, nie wspominając już o tym, że złamałam złożoną samej sobie obietnicę. Miałam nie spoufalać się z krewnymi.

Razem wchodzimy do pokoju Konrada. Towarzyszy nam Calligaris ze swoim nieodłącznym notesem. Robię zdjęcie otwartych drzwi i chwytam w obiektywie płamę z tortu upuszczonego na podłogę w przedpokoju razem z talerzykiem, rozsmarowane na drewnie krem i konfitura przypominają wymiociny.

Konrad znajduje się w tej samej pozycji, w której widziałam go po raz pierwszy: siedzi plecami do drzwi, przed oknem. Dzisiaj jednak jego szyja jest wygięta na bok, głowa opada na ramię, a ręce wiszą bezwładnie. Koc w szkocką kratę, który przykrywał nogi, jest w nieładzie. Spod niego wystają stopy w kapciach z czarnej skóry. Nawet po śmierci przypomina wielkiego, złego wilka.

Robię mu zdjęcia z każdej strony, obejmując okno, łóżko zasłane niczym w pokoju hotelowym, pełny książek regał, identyczny jak poprzednim razem. Pośród innych książek leży otwarta na „Raju” *Boska komedia* Dantego, a obok widzę poślizgniętą kartkę. To list napisany wyblakłym atramentem albo może po prostu wypisującym się stopniowo długopisem.

Zastanawiam się, czym w istocie jest talent. Co odróżnia dzieło przeciętne od udanego, jeśli nie jest to po prostu prywatny gust? A o żadnym z moich dzieł nie można powiedzieć, aby było udane. Wszystko to mnie przybija – kiedy byłem młody, pragnąłem tylko publikować – a jednocześnie nic nie czyniło mnie tak nieszczęśliwym, jak świadomość, że moje książki trafiły do czytelników. Jestem szaleńcem, starym szaleńcem, niewdzięcznikiem, który dzisiaj, świadomie decyduje się opuścić ten świat. Nie sądzę, by czekał na mnie inny. Nie wierzę w nic, prócz jakiejś formy wyższej sprawiedliwości, wobec której zapłacę karę za dawną zbrodnię. Płaciłem ją przez całe życie, bo moje książki tak naprawdę nie podobały się nikomu. Nawet mnie.

Skremujcie mnie. Rozrzucie moje prochy.

– Alice, sfotografuj plamy pośmiertne.

– Jest za ciemno.

Rzeczywiście, zapada zmierzch. Calligaris zapala światło.

– Gotowe – komentuje. Robi kolejne notatki, a następnie kopiuje treść pożegnalnego listu Azaisa.

Claudio kontynuuje zewnętrzne badanie ciała. Zapisuje najważniejsze elementy, które pozwolą wyznaczyć godzinę śmierci, i szuka znaków sygnalizujących wpływ czynników zewnętrznych. Robi kolejne zdjęcia aparatem, który mu oddałam, a na jego twarzy maluje się lekki niepokój.

Po pół godziny kończy inspekcję i mętnie odpowiada wszystkim, którzy domagają się precyzyjnych informacji, łącznie z Calligarisem.

* * *

W samochodzie wyłącza radio, jak zawsze, kiedy jest zdenerwowany.

– Nie ma zupełnie nic. Żadnych poszlak, śladów pośrednich... Żadnej krwi. Żadnej lezji. Nic podejrzanego, ani leków, ani trucizny. Jak on się zabił? – zastanawia się, wjeżdżając na autostradę.

– Ja też nie potrafię tego wyjaśnić.

– List wszystko gmatwa. Inaczej wyglądałoby to na śmierć z przyczyn naturalnych. A tak musimy zacząć szukać czegoś, co udowodniłoby samobójstwo.

– Kiedy robimy sekcję?

Claudio mocno trzyma kierownicę. Na jego twarzy wciąż maluje się niepokój.

– Jak najszybciej. Ta sprawa zapowiada kłopoty.

Pięknie jest zagubić się w tym zakłęciu.

Kiedy wracam z Tarquinii, winda jest popsuta, więc muszę wspiąć się na trzecie piętro po schodach. Wkładam klucz do zamka i widzę Yukino siedzącą sztywno na dywanie, inaczej niż zazwyczaj. Zazwyczaj zajmuję hamak albo leżankę i ogląda Real Time, podczas gdy teraz czyta *Deux* Irène Némirovsky.

– Zrobiłaś coś do jedzenia? – pytam, kładąc torbę obok niepoprawnego Ichiego, który ułożył się tuż przy małym tyłeczku mojej przyjaciółki. – Jestem strasznie głodna.

Yuki rumieni się.

– Ja już jadłam.

– Yuki! – wołam rozczarowana. – Nie poczekałaś na mnie!

Nie kryję zdumienia, bo zazwyczaj przestrzega dobrych manier.

– Myślałam, że nie wrócisz na kolację – odpowiada, rozkładając ręce z miną niewiniątka.

– To znaczy, że muszę zamówić pizzę – mówię, biorąc do ręki komórkę.

– Nie, najpierw odpocznij, idź do pokoju. Ja zadzwonię do pizzerii i zamówię twoją ulubioną pizzę, na przeprosiny – proponuje pospiesznie i wstaje. Uśmiecha się szeroko, co sprawia, że jej oczy zmieniają się w dwie małe szparki. Zachowuje się strasznie dziwnie, ale jestem zbyt zmęczona, żeby ją wypytywać, więc w odpowiedzi głaszczę ją po drobnym ramieniu i w towarzystwie rozradowanego Ichiego udaję się do mojej sypialni.

I wtedy go widzę.

Siedzi przede mną, nieoczekiwany niczym przeceny u Prady.

Siedzi swobodnie na moim łóżku, oparty plecami o ścianę. Jedną dłonią kartkuje powieść Konrada Azaisa, w drugiej trzyma niemal już skończonego, skręconego samodzielnie papierosa.

Arthur.

Mój pokój pachnie mieszaniną zmiękczającego płynu do tkanin, szamponu, świeżego tytoniu i odrobiną jego własnego zapachu, jego skóry, która nie jest już tak opalona jak kiedyś, kiedy jeździł po świecie i pisał o wakacjach, raz o takich miejscach jak Ipanema, a innym razem Cyklady. Unosi głowę znad książki i, w chwili, gdy nasze spojrzenia się spotykają, uśmiecha się figlarnie.

– Rób drugiemu, co tobie miłe – mówi, odnosząc się do wyjątkowej niespodzianki, jaką zrobiłam mu niedawno.

Przytulamy się tak mocno, jak umiemy, a ja myślę sobie, że tylko kretynka mogłaby mieć wątpliwości. Niespodziewana wizyta Arthura jest niczym sen. Tak bardzo się cieszę, że chce mi się płakać i zapominam o moim wypełnionym śmiercią dniu.

* * *

– Wybrzeże Kości Słoniowej? – powtarzam, ubrana w moją seksowną, białą koszulkę nocną w biedronki, przytulona do ramienia Arthura, który stara się spokojnie wytłumaczyć mi powód swojej niespodziewanej wizyty. Kładzie zaspany głowę na mojej szyi. Miękkość jego włosów jest godna pozazdroszczenia, mnie nie udaje się uzyskać podobnego rezultatu nawet po użyciu litra balsamu Kerastase.

– Porozmawiamy o tym jutro... – mamrocze, z nieco silniejszym angielskim akcentem niż zazwyczaj. – *Let's sleep.*

– Mamy tak mało czasu, a ty chcesz spać? – pytam rozczarowana.

Kiwa głową z rozbijającą szczerością.

* * *

Następnego dnia, dzięki urlopowi zorganizowanemu na ostatnią chwilę, nie muszę iść do instytutu i przy filiżance ciepłego cappuccino staram się wyciągnąć od Arthura wyjaśnienia dotyczące jego najbliższych planów.

– Pojutrze wylatuję do Jamusukro.

– Co to za miasto?

– Przypomina małe piekło.

– Jak możesz być taki spokojny? Dlaczego nie odmówiłeś?

Arthur zmęczonym gestem zanurza swoją brioszkę w czekoladowym mleku i kręci lekko głową, zerkając na mnie z cierpliwą wyrozumiałością.

– Wrócę wcześniej, niż myślisz. Ach, zapomniałbym... mój ojciec i Ludovica zaprosili nas dzisiaj na kolację, razem z Cordelią. Oczywiście jeśli masz ochotę – ciągnie, zmieniając temat. Unosi prawą brew, patrząc na mnie z mieszaniną przebiegłości i rozbawienia.

Ja? Mam iść na kolację do domu Najwyższego?

– Nie sądziłam, że jesteś taki konwencjonalny. Kolacyjka u tatusia? To nie w twoim stylu – odpowiadam prowokacyjnie.

– Tak się składa, że wbrew pozorom ja również posiadam ojca. A także matkę, skoro już przy tym jesteśmy.

– To prawda. Myślisz, że kiedyś mnie jej przedstawiś? – Arthur pochmurnieje. Jego neurony łączą mnie i Kate, o której Cornelia opowiedziała mi fascynujące rzeczy. Obawiam się, że to połączenie go stresuje.

– W dniu ślubu. Nie wcześniej.

– Ślubu?

– A czemu nie? Pewnego dnia. Być może. Kiedy zdefiniujemy naszą rolę na tym świecie – odpowiada niejasno.

– A czemu nie wcześniej? – pytam z ciekawością, próbując ominąć temat ślubu.

– Bo moja matka zawsze ma coś do powiedzenia o moich dziewczynach. Nie to, żeby poznała ich wiele... teraz jak o tym myślę, wydaje mi się, że tylko dwie. Ale, jak to się mówi, do trzech razy sztuka.

– Miała coś ciekawego do powiedzenia o Martine? – Jeśli ją skrytykowała, Kate wyda mi się niezwykle sympatyczna.

– Tak. Uważała, że jest nachalna. A jeśli chodzi o Nokwazi...

– Nokwazi?

– Moja pierwsza dziewczyna. Urocza. Wciąż mi się czasem śni. Biedna słodka Nokwazi. Ale uważała ją za wulgarną.

– A była taka?

– Nie, padła ofiarą fiksacji mojej matki. A nawet gdyby była wulgarna, jakie to miało znaczenie? Miałem wtedy siedemnaście lat. Pamiętam jej bardzo długie włosy związane w warkoczyki i najciemniejszą skórę, jaką kiedykolwiek widziałem. Ciekawe, co się z nią dzieje...

– Arthur, wystarczy.

– Nie bądź banalna, *Elis*. Zazdrość retrospektywna nie jest w twoim stylu – kończy, uśmiechając się swoim niezwykłym, pięknym uśmiechem. Włączył płytę Led Zeppelin, a dźwięki *The Rain Song* wypełniły moją małą kuchnię rozczarowaniem. – To co, idziemy do tatusia? – pyta, przeciągając się i powstrzymując ziewnięcie.

Kolacja cudów.

Jest dziewiętnasta, a my nie otrzymaliśmy jeszcze potwierdzenia zaproszenia.

– Spróbuj do niego zadzwonić – zachęcam Arthura, kiedy siedzimy na kanapie i oglądamy film.

– Skoro nie oddzwonił, to znaczy, że zaproszenie jest odwołane.

– A jeśli zadzwoni w ostatniej chwili? Nie chcę iść tam z pustymi rękami. Moglibyśmy kupić... sama nie wiem... na przykład wino. Jeśli nie pójdziemy, możemy wypić je sami.

– Nie chce mi się wychodzić. Ciągłe się włóczę po nieznanym miejscach. Być z tobą, tutaj, w twoim domu, robić tak banalne rzeczy jak oglądanie telewizji... to wydaje mi się nierealne. Gdyby jakimś cudem jednak nas zaprosili, jutro wyślemy Ludovice kwiaty. Ale zobaczysz, nie zadzwonią.

Mówiąc całkiem szczerze, taką mam właśnie nadzieję. Nie mam najmniejszej ochoty na tę rodzinną kolację. Poza tym dzisiaj wieczorem Yukino wyszła i mam się zająć Ichim, bo biedaczek nie lubi zostawać sam i robi straszny bałagan w domu, jeśli nas nie ma.

Jest dwudziesta pięćdziesiąt. Ja i Arthur siedzimy przy stole i wyjadamy ostatnie okruszki omletu, który przygotował, kiedy dzwoni telefon.

Oboje spoglądamy na wyświetlacz.

Napis, który się na nim pojawia, brzmi dramatycznie: Dad.

Pyta, gdzie my się podziewamy.

Arthurowi chce się śmiać, ale ja wpadam w panikę. Nie skończył jeszcze rozmowy, a ja umyłam już zęby, spryskałam grzywkę lakierem i założyłam Ichimu smycz. Gestem nakazuję Arthurowi, żeby się pospieszył.

Dzwonimy do drzwi Malcomessów z pustymi rękami, spóźnieni, najedzeni i z psem na smyczy.

Marzę, żeby ziemia rozstąpiła się i połknęła mnie w całości.

Przekraczam próg domu Malcomessów, jakbym była przedchrześcijańską poganką, która wchodzi do Partenonu. Boss ubrany jest nieformalnie, w szary, kaszmirowy kardigan oraz barchanowe spodnie i wydaje się młodszy o pół wieku niż w instytucie. Jego towarzyszka Ludovica, o kilka lat młodsza od Arthura, jest typową wygłodniałą trzciną, która wygląda, jakby nieustannie coś jej cuchnęło pod nosem. Snobką, której wydaje się, że przewyższa średnią. Z głośników w całym domu rozbrzmiewają *Tańce niemieckie* Schuberta, a widok z okna zapiera dech w piersiach. Mieszkanie znajduje

się naprzeciwko siedziby „Il Messaggero”, niedaleko dawnego domu Arthura, a światło neonu gazety odbija się w wielkich szybach w salonie, pośrodku którego, w roli głównej, stoi czarny, błyszczący fortepian. Na pulpicie znajduje się *Sonata Kreutzerowska* Beethovena – Ludovica jest pianistką i nie traci okazji, by to wszystkim zademonstrować.

– Czekamy na Cordelię – precyzuje Ludovica, nie bez westchnienia, sugerującego, że uważa małą Malcomess za wieczną popsujabawę.

– Dzisiaj przedstawi nam swojego chłopaka – wtrąca Najwyższy z ojcowską wrażliwością.

Siadam na kanapie z białej skóry, ściskając marynarkę, niezdolna wydusić z siebie choć słowo, podczas gdy Arthur dyskutuje z Najwyższym o włoskiej scenie politycznej, z zapalonym papierosem w dłoni, chociaż Ludovica zabrania w domu palenia. Jak się dowiedziałam, nawet sam Boss zmuszony jest do palenia swojego cygara na balkonie. W rzeczywistości nie powinien tego robić ze względu na ciśnienie, które szybuje mu aż do gwiazd. Ojciec i syn zdają się żyć z myślą, że na coś, koniec końców, trzeba umrzeć.

– Arthur, powinieneś przestać. Za dużo palisz – komentuje Ludovica, wchodząc do salonu z wazą w dłoniach.

Nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem, Arthur wciąga głęboko dym, po czym odpowiada:

– Może kiedyś.

Atmosfera jest lodowata, ale urozmaica ją Ichi, który najpierw wacha przekąski, a potem zaczyna molestować Brunchildę, kotkę Ludoviki rasy angora turecka.

– Bądź grzeczny, pieseczku – upomina go pani domu ze sztuczną słodyczą.

Głośny dzwonek do drzwi przerywa nieco dłużącą się konwersację.

– To na pewno Cordelia – oznajmia piskliwie Ludovica, po czym udaje się do drzwi, żeby jej otworzyć.

Mała Malcomess wchodzi sama, bez swojego wikinga. Jest zapuchnięta i nieumalowana. Nie wygląda najlepiej.

– Dobry wieczór wszystkim. Cześć, Arthurze – wita się z nami wszystkimi z daleka, jedynie brata zaszczyca buziakiem.

– A gdzie twój narzeczony? – niewinnym głosem dopytuje Ludovica.

– Nie mógł przyjść. – Ton Cordelii jest suchy i nie zachęca do dalszych pytań.

– Och, jaka szkoda! – woła Ludovica. Być może jest szczerą i naprawdę żałuje, że nie mogła zaspokoić swojej ciekawości.

– Poznamy się następnym razem – wtrąca Najwyższy, który z człowieka z granitu zmienia się w czułego tatę, jeśli chodzi o Cordelię.

– Mówiłam mu, że bardzo mi zależy – szepcze mi do ucha Cordelia. – Ale nie chciał mnie słuchać. Strasznie się zdenerwowałam.

Zgodnie z tradycją, to zdanie jest jedynie preludium do kolacji, podczas której bez

przerwy trajkocze o Larsie i o ich historii, wspomnieniach i perspektywach na przyszłość. Nikt – prócz mnie – nie komplementuje pysznego rostbefu.

– Och, nie zrobiłam go sama: nasza służąca jest świetną kucharką. Arthurze, nie jesz?

– Jestem wegetarianinem – odpowiada, wlewając sobie merlota do kryształowego kieliszka Baccarat.

Znów zapada cisza, którą przerywa Najwyższy, pytając Cordelię o jej zawodowe plany. A wtedy krępująca atmosfera wieczoru osiąga apogeum.

– A ta rola w *Domu lalki*? – pyta Ludovica, odnosząc się do nieudanego projektu sprzed kilku miesięcy. Jest tak zajęta próbą upokorzenia córki w oczach ojca, że nie zauważa Ichiego, który próbuje uprawiać seks z Brunchildą, podniecony, że wreszcie może dać czadu z żyjącą istotą, a nie z nogą stołu.

– Nie udało się, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – Cordelia nakłada na widelec kilka marynowanych cebulek. – Postanowiłam pójść inną drogą. Znalazłam pracę, która bardzo mi się podoba.

Arthur unosi wzrok znad talerza, wreszcie czymś żywo zainteresowany.

– Nową pracę? – powtarza zdziwiony.

Boss również wydaje się zaskoczony.

– Tak. Mam ją od tygodnia – ciągnie Cordelia. – Trwa okres próbny, ale mam nadzieję, że zostanę. Pracuję w Vuittonie przy via Condotti jako asystentka do spraw sprzedaży.

– Czyli sprzedawczyni – komentuje Najwyższy, kręcąc głową.

– Cóż, praca u Vuittona to nie to samo co zwykła robota sprzedawczyni – broni się Cordelia, której długie, jasne włosy opadają na pełny talerz. – Trzeba spełniać określone wymagania.

– Jakie na przykład? – pyta Ludovica, a ja nie wiem, czy powodowana ciekawością, czy złośliwością.

– Trzeba znać języki. Mieć styl i nienaganną prezencję – odpowiada Cordelia. – Nie było łatwo zdobyć tę pracę. Zarekomendowała mnie zresztą koleżanka mamy, ale widzę, że jest w sam raz dla mnie. Nic mi nie wychodziło jako aktorce. Mam dwadzieścia sześć lat i nie mogę pozwolić, byś ciągle mnie utrzymywał, tato.

– Cóż, skoro jesteś zadowolona... – wzdycha ojciec z zachęcającą otwartością.

– Tak, jestem. I to bardzo – precyzuje Cordelia, wycierając wąskie usta białą, lnianą serwetką po upiciu łyka wina. Należy do osób wiecznie niezdecydowanych, których przyszłości nie da się odgadnąć. Trudno mi sobie wyobrazić ją w pracy, jako żonę, a tym bardziej matkę. Wydaje mi się ucieleśnieniem niezmiennego stereotypu. Zauważam niepokój w oczach Arthura. Nie odrywa wzroku od siostry, a w jego głowie wydaje się kłębić milion myśli.

– To nie porażka, ale świadomy wybór – dodaje ona, a jej głos o idealnej dykcji

lekką drżę.

– Nikt nie podaje tego w wątpliwóść – precyzuje Najwyższy zmęczonym tonem.

– Ależ tak. Wszyscy we mnie wątpicie. Ty też, Ludovico, z tą twoją miną, która zapowiada mdłości.

Na twarzy Ludoviki maluje się autentyczne przerażenie.

– Alice! Zróó coś, twój pies robi siusiu na mój dywan! – woła, wstając i podbiega do Ichiego, a potem daje mu klapsa w pupę. Dołączam do niej zażenowana. Przynajmniej jednak jej przerażenie nie było wymierzone w Cordelię, która rozmawia teraz cicho z Arthurem, z tą ich zażyłością, która wyklucza całą resztę świata.

Dwie godziny później czuję ogromną ulgę, kiedy Arthur owija się szalem i znaczącym spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że zbliża się koniec tortur

– Było nam bardzo miło, droga Alice – mówi Ludovica... odprowadzając nas do drzwi. Czule gładzi też Ichiego, udając, że nie gniewa się za małe kłopoty, które spowodował. Najwyższy z uśmiechem podaje mi rękę.

– Do jutra, Allevi – mówi tylko, co jasno dowodzi, że nie dostrzega we mnie nikogo innego jak tylko niezdarną i kłopotliwą studentkę drugiego roku specjalizacji, która wiele razy sprawiła, że żałował wystawienia dobrej oceny podczas egzaminów wstępnych.

*Poznałem nieutulony smutek
kredki ułożonych w swoich
pudełkach.*

Theodore Roethke

Dzisiaj chętnie zostałabym w domu, pod kołdrą, ciesząc się Arthurem i deszczem, ale siedzę w kuchni i jem śniadanie. Arthur wciąż śpi, Yuki już wyszła, a Ichi jest ze mną, chętny na rozmowę albo może raczej na ciastko Pan di Stelle⁶. Jego oczy są wilgotne, pełne ufności i oczekiwania. On też wygląda, jakby chciał zasugerować mi pozostanie w domu, ale muszę jechać.

Na dziś zaplanowano autopsję Konrada Azaisa.

Zostawiam na szafce wiadomość dla Arthura i pędzę do metra. Do instytutu docieram straszliwie spóźniona, bo dzisiaj naprawdę nie byłam w stanie opuścić ciepłego łóżka.

Claudio wygląda, jakby miał za sobą nieprzespaną noc i rozmawia z Anceschim o inspekcji w domu Azaisów.

– Ja też wezmę udział – mówi, pełen dobrej woli, ze zmierzwioną brodą i etnicznym wisiorkiem na szyi.

– Kiedy zaczynamy?

Claudio odpowiada, ukrywając zmieszanie:

– Czekam na anatomopatolożkę, którą poprosiłem o współpracę. Z tego, co zauważyłem, ten przypadek wymaga obecności patologa, a nie toksykologa. Niewykluczone, że Azais – świadomie lub nie – coś połknął.

Nie przestając omawiać sprawy z Anceschim, Claudio uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Jest to rzadki widok, zwłaszcza dzisiaj, kiedy jego twarz wyraża głównie zagubienie. Ledwie skończył popijać swoją gorzką kawę, kiedy napotyka wzrok swojej dawnej koleżanki.

– *Bonjour!* – woła wesoło piskliwy, kobiecy głos, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Dlaczego ciągle jest wesolotka jak skowronek, tego jeszcze nie rozumiem. To Beatrice. Albo, jak nazywa ją Claudio, Beakrocze.

– Ach, jesteś – mówi on, wrzucając plastikowy kubek do kosza na śmieci. – Czekaliśmy na ciebie. Giorgio, przedstawiam ci Beatrice Alimondi, która niedawno wygrała konkurs na asystentkę w dziedzinie anatomopatologii.

Anceschi serdecznie wyciąga swoją wielką łapę, a ja idąc za jego przykładem,

podaję moją.

– Beatrice, to Alice Allevi, nasza zdolna studentka specjalizacji.

Uuuu! I jeszcze: „zdolna”. Miejsce ma bezprecedensowy atak dobroci.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi ona, zdejmując futrzaną kurteczkę. – Mogę się tutaj przebrać?

– Oczywiście. Alice, odprowadź panią do mojego pokoju – nakazuje Claudio, podając mi klucze.

Beakrocze idzie ze mną do pokoju Claudia, w którym wyjmuję z torby wyprasowany kitel i wkłada go, nie dopinając na ładnym dekolcie. Niech diabli wezmą moją ciekawość! Umieram z ochoty poznania wszystkich szczegółów ich przeszłości. Jedno jest pewne: z tego, jak na siebie patrzą, z delikatnego napięcia, które paruje wprost z porów ich skóry, wyłania się historia, której niestety nie znam.

Jej komórka, zdychająca nokia, dzwoni bez przerwy, a Beatrice pogrąża się w najróżniejszych konwersacjach. Kiedy kończy, idzie przed siebie, nie zwracając na mnie uwagi i pozwala, bym zamknęła za nami drzwi pokoju Claudia. Jej długie włosy, rozpuszczone na białym kitlu, wyglądają, jakby chwilę temu umyła je najnowszym szamponem. Wkłada okulary w niebieskich oprawkach, które nie sprawiają, że jej twarz staje się ciężka, lecz czynią ją jeszcze bardziej sexy. W korytarzu uśmiecha się do mnie z roztargnieniem, a kiedy wpada na wychudzoną i dziwnie zgaszoną Ambrę, patrzy na nią z wyższością, która sprawia, że tamta staje się nagle malutka. Albo jedno, albo drugie: bądź Ambra straciła swój czar, bądź Beatrice dominuje nad nią jak samica alfa. Podobnie wygląda kwestia poddaństwa i panowania u psów: parę dni temu zabrałam naszego Ichiego na spacer, a ten, mimo swoich sporych rozmiarów, został uciszony przez samo spojrzenie malutkiego pekińczyka.

Z pewnością jedna wie o drugiej. Oczy Ambry stają się szkliste i przysięgam, że to niesamowicie smutna scena. Widok jej załamania – tej, która wydawała mi się zawsze odporna na wszelkie obelgi i silna wewnętrzną pewnością siebie – ma efekt wprost apokaliptyczny.

– Ambra. – Biedaczka zwraca się do Claudia, który właśnie ją zawołał, z wzrokiem pełnym tęsknoty. – Przyniosłaś mój dyktafon? – pyta obojętnym tonem.

Kiwa głową. Wkłada dwueuroową monetę do maszyny i wyjmuję cappuccino.

– Mogę coś pani zaoferować? – wraca się do Beatrice z chłodną uprzejmością.

– Tak, poproszę kawę – odpowiada kobieta, nawet na nią nie patrząc i traktując ją tak, jakby była jej służącą.

– Ile cukru?

– Gorzką jak życie! – odpowiada Beakrocze, po czym rozpoczyna monolog, w którym, z godną pozazdroszczenia nonszalancją, łączy rozważania techniczne z osobistymi, zamieniając bibliotekę w swoją prywatną scenę. Claudio przygląda się jej, niezdecydowany. W jego oczach czytam pytanie: Intryguje mnie czy nie mogę jej

znieść?

Po zakończeniu jej przemowy, do której nikt się nie wtrącał w obawie, że wywoła następną o podobnej długości, Claudio porzuciwszy wątpliwości, zerka pospiesznie na iPhone'a i pociera dłonie, po czym zbiera towarzystwo i rusza do kostnicy.

* * *

Ciało Konrada Azaisa, leżące na stole w sali sekcji, wciąż ubrane jest w szlafrok, piżamę i pantofle. Jego palce są ubrudzone atramentem, jak u jego wnuczki Clary. Zastanawiam się, czy to ten sam atrament, którym napisał swój pożegnalny list.

– Alice, no już, przygotuj się. – Claudio, coraz bardziej przejęty swoją rolą doktora, który musi uratować mnie od ignorancji, przekazuje mi berło.

Nasze berło jest błyszczące i ostre. To skalpel.

Chwytam go lewą dłonią, pochylona nad ciałem Azaisa. Mimo żalu, który czuję, nacinając skórę człowieka, którego widziałam niedawno żywego i uprzejmego, targanego milionem niepokojów i emanującego inteligencją, żaden błąd nie zakłóca mojej pracy.

Nawet Claudio wydaje się zadowolony, chociaż dzisiaj jest dziwnie zagubiony, on, który pozuje na mistrza kostnicy. Mam wrażenie, że z trudem odpowiada na pytania, co zrobić z sercem, czy przeprowadzić sekcję, czy nie.

Beatrice włącza się, wypowiadając się spod maseczki. My nie wkładamy masek. Nauczył nas tego Najwyższy: maska tłumi zmysł węchu, a zapach może się okazać bardzo przydatny w diagnostyce autopsyjnej.

– Claudio, jeśli się zgodzisz, pobrałbym serce i mózg w całości – mówi Beatrice.

Kiwa głową, co jest dziwne, bo Claudio nigdy nie zgadza się z nikim prócz samego siebie. Ja bym się nie zgodziła: wolałabym zbadać ciało od razu. Z wahaniem podaję jej serce Konrada, a ona bierze je z moich rąk niczym jakiś nieistotny przedmiot, po czym wkłada do śmierdzącej miski z formaliną.

Nic nie wskazuje na konkretną przyczynę śmierci. Żadne, nawet minimalnie patologiczne odkrycie nie wskazuje jasno na chorobę ani wypadek: przekrwienie narządów, z mojego doświadczenia, zachodzi u osiemdziesięciu procent zmarłych. Śledziona jest pomarszczona i niedokrwiona, co wskazuje na normalny dla samobójcy – z fizjopatologicznego punktu widzenia – zastrzyk adrenaliny. Występuje obrzęk płuc, ale ten objaw sam w sobie też mówi nam niewiele: tylko tyle, że doszło do niewydolności serca. Powodu nie jesteśmy w stanie określić, nie dysponując toksykologicznymi i histopatologicznymi danymi.

W międzyczasie Claudio wypisuje dokument zlecający wykonanie badań toksykologicznych i siada przy biurku, by wypełnić formularz dotyczący przyczyny śmierci. Pokonany, wpisuje wreszcie swoim wyraźnym charakterem pisma: „Do ustalenia”.

– W tej historii prawdę macie w rękach ty i toksykolog – zwraca się do Beatrice,

wręczając jej karteczkę z dokumentacją medyczną dotyczącą stanu zdrowia Konrada Azaisa.

Beatrice chwytą ją w swoje delikatne palce z idealnym manikiurem.

– Wiesz, że bardzo szybko wykonuję swoją pracę – odpowiada, jakby była zmęczoną aktorką, której kwestie pochodzą ze scenariusza sitcomu.

– Oby toksykolog też okazał się szybki. Chciałbym jak najszybciej mieć tę historię za sobą – podsumowuje Claudio.

Beatrice podchodzi i szepcze mu coś do ucha, a on uśmiecha się lekko. To już za dużo dla Ambry, która wybiega z kostnicy bez pożegnania.

A jej ucieczki nie zauważa nikt prócz mnie.

*Mniejszym złem jest niepokoić
się pośród wątpliwości, niż
odpoczywać w błędzie.*

Alessandro Manzoni

Kiedy wracam do domu, Arthur pracuje na swoim laptopie. Białe światło ekranu pada na jego twarz, oczy wydają się większe i bardziej niebieskie, cienie pod nimi głębsze; w ustach trzyma papierosa, a grzywkę spiął różową wsuwką Yukino. Ichi drzemie u jego stóp i wita mnie ziewnięciem.

– Honey, jestem głodny – mówi nieco niewyraźnie przez trzymanego w ustach papierosa.

– Przygotować coś? – proponuję w nadziei, że ma lepszy pomysł.

– Nie, lepiej nie – odpowiada ostrożnie i wyłącza swojego maca. Przyznaję, gotowanie nie jest moją mocną stroną, a on wie o tym doskonale. To dlatego Alessandra, doskonała kucharka, obiecała mi od przyszłego tygodnia intensywny kurs, a ja nie mogę się już doczekać. Nauczę się przygotowywać bourguignon jak w *Julie & Julia*, a wszyscy będą mnie komplementować: „Alice, nie spodziewaliśmy się tego po tobie!”

– Wróćmy do źródeł – ciągnie, wstając ostrożnie, by nie przestraszyć Ichiego. – Idziemy na twoje ulubione hinduskie?

I oto siedzimy w jednym z miejsc, gdzie wszystko się zaczęło, w mojej ulubionej hinduskiej restauracji na piazza Trilussa.

– Naprawdę musisz lecieć na Wybrzeże Kości Słoniowej? Nie mógłbyś wybrać jakiegoś spokojniejszego miejsca?

– Nie – odpowiada sucho. Jego policzki są zaczerwienione od ciepła sali, w której intensywne zapachy przypraw mieszają się w jedną woń, w której żaden nie dominuje nad innymi i która tak bardzo mi się podoba.

– Nigdy się nie boisz? – pytam, spodziewając się oczywistej odpowiedzi: „nie”. Boję się tylko ja, a różnice między nami stają się coraz bardziej wyraźne.

– Byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że nic nie czuję. Są takie chwile, kiedy czuję absolutne przerażenie. Momenty... – przerywa, jakby chciał najtrudniejsze myśli zachować dla siebie. – Mój problem – zaczynam zdawać sobie sprawę, że to faktycznie problem – polega na tym, że bez tego lęku czuję, jakbym nie żył. A poza tym strach nie wystarczy, by trzymać mnie z daleka od jakiegoś miejsca, niezależnie od tego, jak

bardzo jest silny ani jakie towarzyszy mi ryzyko. Lubię ryzyko. Przynajmniej na razie. Nie wiem, może jutro mi przejdzie. Ale nie sędzę.

Jego słowa brzmią tak ostro tutaj, wśród bollywoodzkich rytmów.

Kiedy zastanawiam się nad tym, kim jest Arthur, nad jego celami i sposobem bycia, czuję, że zalewają mnie fale niepewności, każda okrutniejsza od poprzedniej. Od najbardziej banalnego pytania: *Jaka jest nasza przyszłość i w jakim horyzoncie czasowym się mieści?* – przez najbardziej aroganckie: *Czy naprawdę jest dla mnie właściwą osobą?* – aż po najbardziej przejmujące – *Czy ja jestem właściwą osobą dla niego?*

Dzień po wyjeździe Arthura na Wybrzeże Kości Słoniowej moje życie wraca do swojego stałego rytmu. Kostnica, instytut, oczekiwanie na informacje o wynikach autopsji Konrada Azaisa i dobrze znana powolność toksykologa, którego Claudio wspiera od początku kariery. W międzyczasie doktora Anceschiego odwiedza nieskończenie upierdliwy Niccolò ze swoimi papierami, testami i głębokim przekonaniem, że jest wybitnym znawcą ludzkiej duszy.

Wezwanie przychodzi, kiedy tracę czas, przeglądając horoskop w Internecie. Sprawdziwszy, że rzeczywiście nie jest to najlepszy okres dla Koziorożca, wchodzę do pokoju Anceschiego. Pukam z lekkim wahaniem, a Budda instytutu ruchem głowy zaprasza mnie do środka, po czym zwraca wzrok ku Niccolò, który siedzi z boku, pokazując mu raport.

– Och, dzień dobry, Alice – przerywa samozwańczy mistrz psychiatrii, nie wstając ani nie czekając na moją odpowiedź. Zamiast tego czyta dalej, swoim pięknym głosem lektora, który tak się marnuje, pompatyczny tekst pełen figur retorycznych, które mogłyby znaleźć się w Katylinarkach. Z mglistego paragrafu skonstruowanego z niezliczonych negacji, które kończą się afirmacją, rozumiem, że doktor Niccolò Laurenti, chirurg, specjalizujący się w psychiatrii, zakończył badanie przypadku Azaisa, uznał go za niezdolnego do rozumienia i świadomego działania, a przez to otworzył drzwi do ubezwłasnowolnienia. I nie tylko: zakładał również, że niezdolność pisarza do samodecydowania sięga przynajmniej dwóch lat wstecz.

Jestem strasznie wściekła.

Przerywam histrioniczną interpretację jego relacji, czym wywołuję jego niezadowolenie:

– Wybacz, Niccolò. Chyba źle zrozumiałam. Jak możesz uznawać Azaisa za niezdolnego do decydowania o sobie?

Rozkapryszony Niccolò patrzy na mnie z urazą:

– Dokumentacja przedstawiona przez profesora Paladino, a także wyniki przeprowadzonych przeze mnie testów prowadzą do tej właśnie konkluzji. – Ach, już rozumiem! Boi się tego węża, Paladino, opłaconego przez Azaisów, by podważyć testament, który w rzeczywistości dowodzi pełnej świadomości Konrada. – Poza tym,

jego samobójstwo...

– Czy to było samobójstwo, trzeba jeszcze dowieść – przerywam.

– Zostawił list, wyjaśniający jego gest, czyż nie? – podkreśla z pedanterią. – Koncepcja samobójstwa jest patologiczna par excellence. Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, jego samobójcza śmierć całkowicie je rozwiała.

– Ale nieostrożnie byłoby wykorzystywać w tej fazie samobójstwo Azaisa – wtrąca się Anceschi, wyciągając z szuflady cukierek Mou. – Nie zostało jeszcze potwierdzone jako przyczyna śmierci, a ja nie zamierzam uznawać za pewne czegoś, co pewne nie jest – kończy, z ustami klejącymi się od cukierka.

– Ja jednak oparłem swoje wnioski na danych naukowych, które uznaję za niepodważalne – odpowiada dotknięty do żywego Niccolò.

– Alice? Jaka jest twoja opinia na ten temat? – pyta Anceschi z ufnym spojrzeniem, od którego robi mi się ciepło na sercu.

Wzdycham głęboko, zbieram się na odwagę i skaczę na głęboką wodę:

– Zupełnie się z tym nie zgadzam. Moim zdaniem Azaisa nie sposób ubezwłasnowolnić, był świadomy i zdolny do wyrażania swojej woli.

– Koleżanko, podajesz w wątpliwość dane, które zebrałem? Na jakiej podstawie? – pyta Niccolò bardziej przestraszony niż rozeźlony.

– Tak, podaję w wątpliwość twoją interpretację.

Cisza, która teraz zapada, jest lodowata. Anceschi pokasłuje, Niccolò nerwowo zbiera materiały i przechodzi do ataku.

– Doktorze Anceschi, wydawało mi się, że rola magister Allevi sprowadza się do asystowania. Uważam, że powinienem konfrontować się tylko z panem, nie z pana uczennicą.

– Skoro tak pan sądzi, Laurenti, proszę zostawić mi kopie całej dokumentacji. Przeczytam na spokojnie w najbliższych dniach, nie sądzę jednak, by moja opinia różniła się od opinii mojej współpracowniczkii.

Cóż za cudowny człowiek. Jestem przeszczęśliwa.

Wściekły Niccolò nie kończy lektury swojego dzieła. Żegna się gładkimi słowami, lecz agresywnym tonem, i prosi Anceschiego o ponowne spotkanie, by zakończyć konsultację.

Kiedy Niccolò jest już na zewnątrz, Anceschi spogląda na mnie nieco surowo.

– Alice... ja cię bronię, ale... czy wyobraźnia cię nie ponosi, jak podczas sprawy Valenti?

* * *

W domu odbieram telefon od Cordelii.

– Jesteś zajęta dziś wieczorem? – pyta głosem kogoś, kto próbuje powstrzymać łzy.

– Przyjdiesz do mnie? – proponuje, gdy mówię, że możemy zrobić cokolwiek, na co ma ochotę.

Kiedy do niej wchodzi, jest nieumalowana, owinięta fioletowym kimonem, ma lekko spuchnięte oczy, a do tego w całym domu rozrzucone są chusteczki, rośliny usychają, w lodówce hula wiatr: znajduję w niej tylko pudełko spleśniałego serka Philadelphia i uschniętą sałatę.

– Co się dzieje? – pytam.

Cordelia siada na kanapie w swojej małej kuchni i zaczyna łkać. Nie przejmuję się przesadnie, bo mała Malcomess często płacze.

– Jestem przegrana. Moje życie nie ma sensu – ogłasza z przejmującą desperacją. Siadam obok niej i ściskam jej drobną rączkę.

– Lars mnie zostawił. Zawsze jest tak samo, Alice. Zawsze. Ze mną musi być coś nie tak, mam już dosyć zrzucania winy na innych. Ma w Oslo żonę i bliźniaki. A przecież zaprosił mnie do swojego domu, kanalia. Okazało się, że to był dom jego przyjaciela. Robi mi się niedobrze. Poza tym nikt nie chce zatrudnić mnie jako aktorki, nawet gdybym pracowała za darmo. Robota u Vuittona to tylko szukanie czegoś w zamian, taka jest prawda. Nie mogłabym czuć się gorzej: żal mi samej siebie.

Zgłębiając temat, dowiaduję się, że informacje o zdrajcy pochodzą od koleżanki koleżanki, która poznała Larsa i Cordelię. W gęstym tłumie rzymskich singielek kierownik norweskiego stowarzyszenia był już dobrze znany ze swoich pozamałżeńskich relacji, zazwyczaj kończących się dość nieprzyjemnie. I jakby ta wiadomość nie wystarczała, by ją załamać, moja słodka szwagiereczka poszła na zdjęcia próbne do teledysku i została bezlitośnie odrzucona na rzecz dziewczyny, którą Cordelia uznała za skandaliczną; swoją drogą fakt, że bezpośrednią konkurentką była nowa dziewczyna Riccarda, okazał się ostatecznym ciosem.

– Cóż, nawet Angelinę Jolie odrzucili podczas castingu we Włoszech, a na jej miejsce przyjęli Alessię Merz – przypominam sobie plotkę, którą gdzieś kiedyś przeczytałam.

– Tak, ale przynajmniej zatrudnili ją potem do teledysku *Alta Marea Vendittiego*!

Nie da się pocieszyć. W eterycznej ramie z długich, jasnych włosów wróżki, Cordelia płacze, nie mogąc się opanować.

– Arthur wspomniał, że Yukino niedługo wraca do Japonii – mówi po chwili, nieco spokojniejsza dzięki zamówionej piadinie z karczochemi.

– Nawet mi nie przypominaj.

– Myślisz, że będziesz szukać nowej współlokatorki? – pyta, z bezzamelem w kącikach ust. Mam wrażenie, że głodowała przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Mieszkanie jest bardzo małe i w fatalnym stanie. Nie wiem, czy ktokolwiek zechce mieszkać w tej wilgoci, pleśni i hałasie dobiegającym z piętra wyżej. Mieszka tam para, która wydaje się pochodzić z amerykańskiego horroru. Wyjazd Yukino może być dobrą okazją, żeby się stąd

wyprowadzić.

W opuchniętych oczach Cordelii pojawia się błysk.

– Może zamieszkałabyś ze mną? Mam wolny pokój. A poza tym to mieszkanie mojej matki, nie musiałabyś płacić za wynajem. Podzieliłybyśmy się tylko rachunkami.

Coś powstrzymuje mnie przed natychmiastowym przyjęciem tej oferty. Dziękuję Cordelii i obiecuję, że przemyślę sprawę. Spędzam noc w królewskim łóżu w jej mieszkaniu.

– Jak się ułożymy? – pyta, podając mi różową koszulkę nocną. Wydaje się, że odzyskała nieco swojej werwy. – Potrzebuję czyjejs bliskości, żeby zasnąć, ale nie martw się, nie będę cię macać.

Niespodzianka w koszu na zakupy.

Jest rano, a ja budzę się z poczuciem zagubienia, które towarzyszy mi zawsze, kiedy niespodziewanie ląduję w obcym łóżku. Cordelia ma na oczach maseczkę i leży zwinięta pod kołdrą. Nie wygląda na osobę, która zamierzała wstać. Na śniadanie piję filiżankę nescafe, szybko biorę prysznic w letniej wodzie – zapomniała włączyć bojler – i zanurzam się w listopadowy chłód.

Poranek w instytucie jest nudny, pełen degradujących zadań, niemających nic wspólnego z pogłębianiem wiedzy. Yuki przed wyjściem z pracy dzwoni do mnie trzy razy, żeby przypomnieć o zakupach, jadę więc do supermarketu. Krążę pomiędzy alejkami z wózkiem z czerwonego plastiku i opieram się pokusie podążenia moją zwykłą trasą i kupienia gotowych sosów, bo pierwsza lekcja Alessandry dotyczyła właśnie ich przygotowywania ze składników dobrej jakości, a ja nie mogę poddać się lenistwu. Właśnie kiedy odstawiam na półkę jedną z kolorowych puszek, sugerującą, że trudno znaleźć coś bardziej chemicznego, zauważam znajomą twarz – kobieta lustruje opakowania z makaronem, wyraźnie niezdecydowana pomiędzy dwiema markami fusilli. Obok niej kręci się chłopiec z iPhone'em w dłoni.

Nie mam wątpliwości, że jest to żona Leone Azaisa, starszego syna Konrada. Widziałam ją w dniu inspekcji. Jej ciemne, kręcone włosy są rozpuszczone na ramionach, ma bardzo delikatny makijaż i wydaje mi się znacznie młodsza niż wtedy, kiedy widziałam ją po raz pierwszy.

Sytuacja jest zbyt interesująca, by przypisać ją zwykłemu przypadkowi i zmarnować. To z winy tej wewnętrznej siły, która od czasu do czasu nakazuje mi rzucić się w wir wydarzeń, notorycznie wpadam w kłopoty, ale oczywiście nie potrafię się powstrzymać i niby przypadkiem uderzam wózkami w ich wózek. Ona ledwie to zauważa i ignoruje moje przeprosiny. Wraca do makaronowej lustracji, a ja ruszam dalej, postanawiając nie kusić losu, kiedy słyszę jej głos.

– Przepraszam, my się znamy, prawda?

Kobieta – jeśli dobrze pamiętam, ma na imię Marcella – stoi przede mną z paczką spaghetti w dłoni i pytającym spojrzeniem.

Nie spodziewałam się, że zostanę rozpoznana.

– Pani jest tą lekarką, która była na wizytacji. Na pewno się nie mylę.

– Rzeczywiście, nie myli się pani – potwierdzam, a ona uśmiecha się, wyraźnie

dumna ze swojej doskonałej pamięci i bystrego wzroku.

– Bardzo miło mi zobaczyć panią w zupełnie innych okolicznościach. Wygląda pani jak dziewczynka! Jak może pani uprawiać taki straszny zawód z tą anielską buzią? – pyta, jakby musiała się powstrzymać, by nie pogłodzić mnie po policzku.

– Naprawdę do wszystkiego można przywyknąć. Jak się pani miewa? – pytam, nieco zaskoczona tak przyjaznym zachowaniem.

– Gianmarco, idź po sosy do sałatek – zwraca się do niewrażliwych uszu syna, który oddala się, prychnąwszy. Potem ciągnie. – U nas wszystko w porządku, dziękuję. Oczywiście, od śmierci teścia upłynęło niewiele czasu, ale był już bardzo stary i musimy zdawać sobie sprawę, choć to przykre, że wcześniej czy później będziemy musieli rozstać się z naszymi bliskimi. – Jej przemowa brzmi, jakby była przez nią przygotowana i powtarzana nie-wia-domo-który-raz.

– Cóż...

– Oczywiście tym, co najbardziej nami wstrząsnęło, był sposób, w jaki rozstał się z życiem. Straszliwy gest! Nie sądzi pani?

– Cóż, oczywiście...

– Popełnić samobójstwo w dniu urodzin Clary... I to on, który ciągle powtarzał, jak bardzo ją kocha! Wszyscy zresztą uważaliśmy, że ją faworyzuje, co było niesprawiedliwe wobec innych wnucząt.

– Rozumiem...

– Zabić się w niedzielę... Bo przecież tak właśnie się stało, prawda? Sprawdziliście to już?

Teraz rozumiem, dlaczego wysłała gdzieś syna i dlaczego tak bardzo się ucieszyła z naszego spotkania.

– Za wcześnie na ostateczną ocenę.

– Rozumiem, ale ten list... Nie pozostawia wątpliwości, nie sądzicie?

– Nie do mnie należy...

– Wszyscy się zastanawiamy jednak, jak to zrobił. Rozumiem, że nie znaleziono żadnych wyraźnych znaków.

– Rzeczywiście, mamy do czynienia z dość trudnym przypadkiem...

Cieszę się, że nie daje mi skończyć ani jednego zdania, bo przynajmniej oszczędza mi wstydu odpowiadania na jej pytania.

– Mój mąż, Leone, jest naprawdę poruszony. Nie potrafi zrozumieć, co się tak naprawdę stało, a wszystko, co wymyka się jego zrozumieniu, jest dla niego trudne. Ale nie ma się co oszukiwać, samobójstwo jest u nich rodzinne.

– To znaczy?

– Mówię o moim szwagrze, Enricu. Próbował przynajmniej kilka razy. W tej rodzinie jest tyle szaleństwa, że nikt się przed nim nie uratuje. Prócz mojego męża, który oczywiście się nie poddaje. Nawet starając się być świadomym, trudno

zrozumieć pobudki równie odmiennych ludzi.

– Co to znaczy, że pani mąż „się nie poddaje”? Podejrzewa, że to nie było samobójstwo?

Marcella otwiera szeroko oczy, zaskoczona.

– Och, nie! Co też pani przyszło do głowy! Nie sądzicie chyba, że mój teść został zamordowany...

Nic podobnego nie powiedziałam.

– Nie, absolutnie nie. Przytoczyłam opinię pani męża.

Fakt, że Marcella zwraca się do mnie w liczbie mnogiej, zastanawia mnie. Nie zwraca się do mnie, ale jakichś „was”. Tak jakbym znajdowała się po drugiej stronie barykady, oddzielającej Azaisów od... no właśnie – od kogo?

Marcella odpowiada z powagą i spokojem.

– Opinia mojego męża była do przewidzenia. Nie poddaje się śmierci, ale nie podaje faktów w wątpliwość. Kiedy mój teść mieszkał jeszcze z nami, mawiał, że kiedy będzie bardzo stary i chory, popełni samobójstwo, podobnie jak jego rodak Sandor Marai.

– Pani teść tak mówił?

– Owszem. Z tym że Marai się zastrzelił. A mój teść... któż to wie?!

– Zatem jego gest nie jest aż tak nieoczekiwany – komentuję dość ostro.

– Cóż... mój mąż tego szczegółu nie pamiętał. On spędza w domu mało czasu. Ale mimo ich konfliktów bardzo kochał ojca.

– Domyślam się więc, że bardzo cierpiał, kiedy ich relacje się psuły?

Marcella wykrzywia wargi w zamyśleniu.

– Był bardzo urażony, gdy mój teść postanowił przeprowadzić się do Seliny. I nieco zazdrosny. Rozumie pani, bał się, że niewystarczająco dobrze opiekował się ojcem.

– Pani teść nie chciał się z nim widzieć, prawda?

– Tak, zresztą ze mną też. Był naprawdę niewdzięczny. Traktowałam go jak ojca albo z większym jeszcze szacunkiem. Odrzuceni i wydziedziczeni. Niezły żart, co? Widzi pani, Leone jest bardzo dumny. Nie umiał pogodzić się z tym, że został odsunięty na boczny tor. Był ulubionym synem, jedynym, z którego mój teść mógł być zadowolony. To znaczy jedynym, który miał pracę i pozycję – dodaje z dumą. – Moi szwagrowie są bardzo inteligentni, ale mało konkretnie. A gdyby mój mąż nie administrował właściwie rodzinnym majątkiem, dopadłaby ich bieda!

– Możliwe, że pani teść był rozczarowany tym, że jego synowie wystąpili o ubezwłasnowolnienie – sugeruję.

– Ach, z pewnością. Moim teściem nie dało się rządzić. Ale w gruncie rzeczy, czego mógł od nas oczekiwać? Jego decyzja była niemożliwa do zaakceptowania. A przede wszystkim jego wybór był całkowicie niezrozumiały!

– Spodziewam się.

– Brawo, mój chłopaku – zwraca się do syna, który wraca z tyłoma sosami, ile tylko są w stanie udźwignąć jego nastoletnie ramiona. – Miło było znowu panią spotkać, pani doktor – kończy Marcella Azais, wyciągając do mnie rękę z sympatycznym uśmiechem kogoś, kto cieszy się, że może uciąć przedłużające się plotki.

Takie zbiegi okoliczności mają w sobie zawsze coś podejrzanego. Pcham wózek aż do kasy, płacę i jestem tak zamyślona, że nie zdaję sobie nawet sprawy, że kasjerka wydała mi za małą sumę.

*Kto nie widział Sycylii, ten nie
rozumie Włoch. Tu bowiem
jest klucz do wszystkiego.*

Johann Wolfgang von Goethe

Skulona na kanapie w małym salonie mojego mieszkania zatapiam się w drugim tomie *Trylogii Margo Azaisa*. Przerywam lekturę tylko po to, by od czasu do czasu schrupać Cipstera i nawet nie zdaję sobie sprawy, kiedy zapada noc.

Jest inna niż pozostałe książki Konrada. W pierwszym tomie Margo jest dwudziestoletnią węgierską dziewczyną, która marzy o karierze baletnicy. Jej utrata niewinności opisana jest bardzo subtelnie, a książka tak hipnotyzująca, że następnego dnia w instytucie nie mogę się doczekać, kiedy skończę pracę, wrócę do domu i do powieści.

W tym właśnie stanie ducha stawiam się przed Najwyższym, wezwana tam o 14:38, kiedy to powinnam przechodzić już przez bramki metra. Pukam do drzwi jego gabinetu, otulona w swoją szarą budrysówkę. Aż podskakuję, usłyszawszy huk, którego echo wypełnia główny korytarz instytutu. Najwyższy nie odpowiada, więc sama otwieram nieśmiało drzwi i pytam:

– Mogę?

Claudio siedzi z rękami w kieszeniach i znudzoną miną naprzeciwko biurka Bossa, który nie może powstrzymać kichania.

– Proszę usiąść – mówi między jednym a drugim atakiem, wyraźnie zdenerwowany przeziębieniem.

Spoglądam na Claudia ze zdziwieniem, a przede wszystkim z niepokojem, bo spokój nie jest właściwą reakcją, kiedy Najwyższy wzywa cię do swojego biura, tym bardziej o tej godzinie, ale on jest równie obojętny, co zwykle.

Najwyższy podaje mi broszurkę, jest to program kongresu, który ma odbyć się w weekend na Sycylii.

– Conforti, wyjaśnij jej... – przerywa i kicha głośno.

Claudio przenosi na mnie wzrok pełen barw i cieni gęstego lasu.

– Profesor Malcomess i ja mieliśmy wziąć udział w krajowym kongresie patologii sądowej, który odbędzie się w najbliższy weekend. Niestety stan zdrowia mu na to nie pozwala. Ja zastąpię go podczas prezentacji pracy, którą wykonaliśmy wspólnie, szkoda byłoby jednak zmarnować drugie miejsce, które profesor postanowił przekazać

jednemu ze studentów specjalizacji.

– Mnie? – pytam oszołomiona.

– Pani magister, zapewniam, że moja decyzja nie ma nic wspólnego z pani relacjami z Arthurem i Cordelią – oznajmia, trupio blady i z fioletowymi ustami.

– To ja cię wybrałem – precyzuje Claudio, wkładając ciemnoszarą marynarkę na swoją niebieską koszulę. – Wyjeżdżamy jutro o 8:55 – ciągnie. – Przyjadę po ciebie koło siódmej.

Wyjazd z dnia na dzień... Ja, która wpadam w panikę, kiedy muszę pojechać do Anagniny!

Na coś podobnego zdobyłam się tylko wtedy, kiedy poleciałam do Afryki po Arthura.

– W porządku – słyszę swój własny głos, symulując również entuzjazm i wdzięczność wobec nich obydwu. Najwyższy, w wyraźnie złym nastroju, odpowiada grymasem. Claudio odprowadza mnie do drzwi, pożegnawszy się z Bossem w sposób, który zdradza jego marzenie o zażyłości, o której może tylko pomarzyć.

– Dlaczego ciagniesz mnie za sobą, Claudio? Powinam się bać?

– Chodź – odpowiada, klepiąc mnie po plecach. Wpatruję się w niego oszołomiona.

– Do tego doszło?

– Jakby ci to przeszkadzało. Widzimy się jutro, Allevi. I nie pakuj do walizki całej szafy. Wracamy w niedzielę.

* * *

Niespodziewanie Sycylia wita nas słońcem. Burzę zostawiliśmy w Rzymie, a tutaj wpadamy w sam środek pięknej wiosny, więc w kurtce jest mi zdecydowanie za ciepło. Udając dżentelmena Claudio niesie moją torbę i wypożycza samochód, nie zgadzając się, bym do niego dopłaciła. W brązowym mercedesie klasy A, z głośną muzyką dobiegającą z radia Virgin w tle, pokonujemy drogę z Katanii do Taorminy w absolutnej ciszy.

– Mogę zapalić?

– Jasne, to nie mój samochód.

Zapalam merita i wpatruję się w morze. Widząc błysk światła na załamaniach fal, myślę sobie, że powinnam zorganizować miłe, nadmorskie wakacje z Arthurem. Byłoby wspaniale. Ja mogłabym włożyć bikini z Victoria Secret, które Silvia przywiozła mi z Miami, jedlibyśmy miecznika i cassatę, a potem poszlibyśmy do Teatro Antico oglądać greckie tragedie.

Droga do hotelu biegnie wzdłuż intensywnie niebieskiego wybrzeża Morza Jońskiego, a ja mam ogromną ochotę się do niego rzucić. Z turkusowego morza wyłania się Isola Bella, skalista wysepka, połączona z plażą przez muskany falami piaszczysty pas. Proszę Claudia, żeby zwolnił.

– W lecie musi tu być niesamowicie – komentuję, opuszczając szybę, by nacieszyć się pięknem kolorów. Eksplozją światła i niebieskości.

Claudio nie odpowiada i prowadzi w ślimaczym tempie, póki jadąca za nami micra nie mityguje go klaksonem. Docieramy do hotelu, który na pierwszy rzut oka jest wart swoich pięciu gwiazdek, a nawet więcej.

– Wow! Ty i Boss lubicie luksus!

Jest to dawny klasztor, który zachowuje surowość miejsca kultu, ale który właśnie dzięki tej prostocie emanuje prawdziwym luksusem, wyważonym i gustownym.

Z okien mojego pokoju widzę morze, które tak bardzo mnie zachwycało. Dostałam apartament deluxe: chwała Najwyższemu! Wysłałam do Arthura ironiczną wiadomość na temat gustu ojca i zatapiam się w materacu.

Najchętniej już bym nie wstawiała, ale mogę się cieszyć jego miękkością przez zaledwie dziesięć minut: Claudio puka do drzwi i – jakby to nie wystarczyło – dodaje:

– Allevi, idziemy!

Rzucam się do drzwi na bosaka i, kiedy on rozmawia przez telefon, wyciągam z torby buty na bardzo profesjonalnym obcasie, które wybrałam na tę okazję. Do siedziby kongresu idziemy na piechotę, a ja czuję się trochę jak jego *lacchè* czy ktoś w tym stylu. On traktuje symposium jak spotkanie ze starymi przyjaciółmi, ale ja, przyklejona do niego niczym muszla do skały, nie umiem zrobić nic więcej, jak tylko się uśmiechać i od czasu do czasu mamrotać: „Bardzo mi miło”.

– Allevi, musisz być bardziej pewna siebie. – Jego ciepły oddech, który pachnie miętą, gładzi moje ucho. Nie jestem pewna, czy to nieprzyjemne, czy wręcz przeciwnie. Podaje mi swoją torbę konferencyjną, w której znajdują się notatnik, kilka długopisów, broszura z abstraktami i jakieś gadżety.

– Trumna? – dziwię się, kładąc sobie na dłoni breloczek w charakterystycznym kształcie. Claudio marszczy brwi i pozwala sobie na uśmiech.

– To całkiem logiczne. Kongresy lekarskie są sponsorowane przez firmy farmaceutyczne. Kto miałby sponsorować kongres medycyny sądowej, jeśli nie firma produkująca nagrobki?

– Twoja trumna jest różowa, a moja zielona. Zamienimy się?

– Podaruję ci swoją – mówi, a jakby torba nie wystarczała, podaje mi także swoją marynarkę. – Zajmij miejsca. Najdalej w drugim rzędzie i na środku. Obok siebie, oczywiście – nakazuje – po czym rzuca się w pełne peanów powitanie z jakimś dziadkiem, który osiągnął wiek emerytalny ze trzysta lat temu. Chwiejąc się na swoich nieco zbyt cienkich obcasach znajduję dwa miejsca, które powinny mu odpowiadać i siadam na czerwonym krzeselku, ściskając w rękach wszystkie nasze rzeczy. Kiedy moderatorzy zbierają się przy stołach, Claudio dołącza do mnie ze słodkim uśmiechem na ogolonej twarzy. Ciemne, napomadowane loki nieco go postarzają. Podczas konferencji ja przysypiam z otwartymi oczami, a on słucha w skupieniu, robi notatki,

zgłasza uwagi. Na przerwie obiadowej wszyscy rzucają się na bufet, jakby od miesiąca nie mieli nic w ustach, a Claudio wraz ze mną zgłębia szczególnie interesujące wątki. Jak mam mu wytłumaczyć, że wolałabym spróbować mozzarelli z bawolego mleka?

Popołudnie spędzamy w ten sam sposób, wyłączając czas jego wystąpienia na temat przypadku zatrucia, który przydarzył mu się na początku jego kariery i który wykorzystuje do dzisiaj przy każdej możliwej okazji. Przemawia jednak z taką klasą i doświadczeniem nabytym przez lata, że nawet stara śpiewka okazuje się interesująca.

– Chcesz wrócić do hotelu? – pyta po sesji, kiedy idziemy główną aleją Taorminy z Palazzo dei Congressi w stronę hotelu. Powietrze jest rześkie i przyjemnie szczypie mnie w twarz.

– Wolałabym spacer i lody.

– Lody? Niedługo kolacja – protestuje.

– Wiem, ale mam ochotę.

Wchodzimy do lodziarni, w której wystawionych jest tyle smaków, że nie mogę się zdecydować, a on koniecznie chce postawić mi lody o smaku czekoladowym, których następnie tak bardzo ma ochotę skosztować, że wyjada mi połowę. Na ulicy tłum, aż trudno się przez niego przedrzeć. Niebo jest już prawie ciemne, ale rozjaśniane jeszcze szerokimi pasmami światła. Dwie biegnące dziewczynki wpadają na nas ze swoją nieskończoną, dziecięcą energią i dłońmi pełnymi kolorowych piłeczek, śmiejąc się dźwięcznie. To miejsce ma swoje własne zapachy i kolory, morza i cytrusów, nieba, skał i kwiatów.

– Nie sądziłam, że Taormina jest taka... piękna – stwierdzam, nie znalazłszy mniej banalnego przymiotnika i nieświadoma, że – z powodów trudnych na razie do wyobrażenia – nigdy go nie zapomnę.

*So if you're lonely, you know
I'm here waiting for you.*

Na kolację idziemy do hotelowej restauracji, urządzonej niczym salonik z wiktoriańskiego domu. Zamawiamy rybę i bardzo drogie wino, w atmosferze klasycznej jak aria Liszta grana na fortepianie, a ja czuję się niczym ładna filiżanka z węgierskiej porcelany, błyszcząca, lecz wyszczerbiona.

Po raz pierwszy jestem na kolacji z Claudiem. Teoretycznie nie ma w tym nic złego ani niewłaściwego, ale czuję się nie na miejscu. Myślę o Arthurze, o tym, że nie ucieszyłabym się, gdyby siedział teraz na kolacji z kobietą, którą kiedyś całował albo wobec której czuje coś dwuznacznego, co dla niego samego nie jest jasne. Arthur jest jednak w Jamusukro i domyślam się, że ostatnią rzeczą, o której mógłby pomyśleć, jest kolacja w restauracji z piękną kobietą. Arthur, w odróżnieniu ode mnie, jest człowiekiem poważnym.

– Twoje włosy bardzo urosły – zauważa Claudio, gładząc spojrzeniem moją ciemną czuprynę.

– Powinnaś je obciąć – odpowiadam, spoglądając na kosmyk i zauważając całe mnóstwo rozdwojonych końcówek.

– Nie, nie – protestuje, wypiwszy wino ze swojego wysokiego, okrągłego kieliszka. – Powinnaś jeszcze bardziej je zapuścić, zwłaszcza tę gęstą grzywkę, która zakrywa ci czoło. Widziałem je kiedyś, to piękne, duże czoło. Szkoda je zakrywać, sugeruje inteligencję.

Nie wiem, co odpowiedzieć, nie jestem przygotowana na komplement ze strony Claudia, pierwszy od czterech lat, kiedy to wypowiedział się wulgarnie, ale z pożądaniem, o moim siedzeniu. Zazwyczaj jest zbyt zajęty mówieniem, jak to nie nadają się na lekarza, a już zwłaszcza na lekarza sądowego. On jest w świetnym humorze, być może za sprawą wina, bo ja też czuję się lekka i wesoła. Fortepian nigdy nie brzmiał w moich uszach tak słodko, nigdy nie jadłam tak pysznej ryby, a Claudio nigdy wcześniej nie wydawał mi się tak atrakcyjny. I nigdy nie wypiliśmy aż tyle wina.

Wstaję chwiejnie z krzesła, a kelner obserwuje nas, parę rzymskich awanturników, z pogardą, trochę jak w tym filmie Verdone... Teraz jak się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nawet hotel był ten sam co w filmie. Claudio wydaje się bardzo rozbawiony tym, że kompletnie straciłam nad sobą kontrolę. Chwyta mnie w tali i śmiejemy się tak głośno, że jakaś para Anglików gromi nas wzrokiem. Pcha mnie

w stronę windy, ja kilka razy depczę mu po stopach, ale on nie narzeka.

– Dlaczego wypijaś tak dużo, skoro kiepsko tolerujesz alkohol? – pyta z oczami szklistymi od śmiechu, kiedy upadam na ziemię i drę sobie rajstopy. Próbuje mnie podnieść, ale ja zwijam się w kłębek, nie mogąc przestać rechotać, zredukowana do czysto zwierzęcych odruchów. Kiedy wreszcie wstaję, obejmuję go ramionami. Nie pamiętam, gdzie schowałam kartę otwierającą drzwi pokoju, ale jego to nie obchodzi. – Nieważne, chodź ze mną.

* * *

Z chwili, która przewróci moje życie do góry nogami, pamiętam niewiele i niezbyt wyraźnie.

Tuż przed otwarciem drzwi pokoju on pocałował mnie, a ja nie zaprotestowałam, bo czułam się tak, jakbym otrzymała prezent, równie niebezpieczny, co wspomniały. Czy taki prosty, czuły gest, może mieć podwójne znaczenie?

Zastanawiałam się przez chwilę, bo kiedy gładził moją twarz i patrzył mi w oczy, był równie podniecony, co pełen niepokoju.

– Alice... Gdybyś tylko mogła sobie wyobrazić...

Nie zwracałam uwagi na to, co chciał mi powiedzieć, bo nie byłam w stanie go o to spytać; wszystkim, czego pragnęłam, było odkrycie, co się stanie, kiedy przekroczymy naszą nieprzekraczalną granicę.

Ciało wie wszystko i często nami rządzi, czasem także rozumem i poczuciem winy.

Pomyślałam, że jest tak żarłoczny, że pożre moje usta.

Mam wrażenie, że w tym momencie Arthur wstąpił w moje myśli i jestem prawie pewna, że wypowiedziałam jego imię.

Arthur.

I że Claudio odpowiedział: *zostaw go.*

*Czuję się dobrze, czuję się źle,
nie wiem, co mam czuć i gdzie.*

Jestem w jego pokoju hotelowym, pod kołdrą. Światło z trudem przeciska się przez ciężkie zasłony w kolorze ochry. Spałam w szklach kontaktowych i pieką mnie teraz oczy; jest mi zimno w bose stopy. Rozpoznaję sylwetkę Claudia, który siedzi na fotelu obok łóżka, ubrany i uczesany, popijając kawę.

Ciężar tego, co zrobiłam tej nocy, spada na mnie i przez krótką chwilę wspomnienie jego dłoni na moim ciele wywołuje we mnie drzenie.

Claudio zbliża się i siada na krawędzi łóżka. Gładzi moje włosy, ale ja instynktownie odsuwam głowę. Jego męskie ego się buntuje: spogląda na mnie urażony.

– Co się stało?

– Głupio mi – odpowiadam niezdolna wyrazić się jaśniej.

Chciałabym wstać i opłukać twarz zimną wodą, ale on siedzi obok i nie wydaje się chętny, by przesunąć się choćby o centymetr. Wziął już prysznic, jest elegancki i doskonały jak zawsze, a ja wykonuję nadludzki wysiłek, by powstrzymać wspomnienia tej nocy, niczym oślepiające flesze.

– Byliśmy w euforii... i wypiliśmy trochę za dużo. – Zbiera się na odwagę, nim doda: – Ale jesteśmy całkiem pewni, że... – Przerzywa gwałtownie i odwraca głowę, by na mnie spojrzeć. Wzdycha lekko. – Jesteś pewna, że to wydarzyło się właśnie dlatego? Ja sądzę – to więcej niż podejrzenie, to coś bliżej pewności – że to wydarzyłoby się także bez udziału alkoholu. I myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać. Wcześniej czy później.

Patrzy na swojego longinesa i zdaje sobie sprawę, że ma inne priorytety.

– Raczej później niż wcześniej. Wziąłem dla ciebie brioszkę. Pospiesz się, czekam na ciebie na dole.

* * *

Nawet nie skończyłam brioszki, a żołądek mnie pali. Wzięłam coś na ból głowy, spróbowałam zakryć cienie pod oczami – bez skutku – a teraz biegnę ulicą Umberto II w Taorminie, w ciemnych okularach, w absolutnej ciszy. Claudio jest obok mnie, również niezdolny, by rozpocząć rozmowę. Dzień jest ciepły: w ten sobotni poranek słońce świeci mocno i zuchwale, a ja bardzo bym chciała, by dało mi jakąś jasność.

– Chcesz loda? – proponuje nieśmiało, kiedy mijamy bar, w którym byliśmy wczoraj.

– Nie – odpowiadam sucho.

On nic nie mówi. Kiedy docieramy do dużej sali konferencyjnej, oddycham z ulgą i mam wrażenie, że wreszcie nie jestem sama. Zaczynam wierzyć, że on żałuje tak samo, jak ja.

Ułga ta trwa do chwili, gdy znów wsiadamy do samochodu po zakończeniu konferencji i odebraniu bagaży z hotelu.

Radio gra bardzo głośno, nie pozwalając nam zatopić się w ciszy. Marzę o spokoju salonu naszego mieszkania i kanapy, na której usiądziemy razem z Yukino, zjemy na kolację dużą porcję makaronu i obejrzymy odcinek *Nany*.

– Alice, ta cisza jest nie do wytrzymania – Claudio wyłącza radio i odrywa mnie od moich myśli. – Skonfrontujemy się z problemem?

– Nie sądzę, aby dało się tego uniknąć – odpowiadam tonem, który wydaje mi się bezbarwny.

– Ty czego chcesz?

O Boże. Gdybym to ja wiedziała! Chciałabym wsiąść w wehikuł czasu i przenieść się w przeszłość poprzedzającą wczorajszy wieczór.

– Cokolwiek bym teraz powiedziała, nie byłoby to wiarygodne. A ty?

– Ja bym zrobił drugi raz to samo. Żeby sprawdzić, jak to jest na trzeźwo, czy ta historia powinna mieć ciąg dalszy.

– Jak możesz być tak cyniczny?

– Powinnaś się martwić, gdybym był słodki i godzien zaufania, bo wtedy nie byłbym szczery.

Mnie pomysł „zrobienia drugi raz tego samego” nie przyszedł nawet do głowy. Poza tym trudno mi sobie wyobrazić Claudia w wersji „słodki i godzien zaufania”.

W najlepszym wypadku można pomarzyć o tym, by był ludzki.

*Co myślę o sobie, czego chcę
od ciebie, czym jestem, jaka
jestem i dlaczego.*

Wczoraj, kiedy wróciłam do Rzymu, nawiązanie kontaktu z Arthurem okazało się trudne: rozmawialiśmy tylko kilka minut, a połączenie się przerywało. Mówienie o tym, co się wydarzyło, było nie do pomyślenia: nie są to rzeczy, które można powiedzieć przez telefon. Myślę, że powinnam jak najszybciej polecieć do Paryża i porozmawiać z nim w cztery oczy, ale nie wiem nawet, kiedy wróci z Wybrzeża Kości Słoniowej, więc żyję dalej.

I w tym stanie ducha idę do instytutu. Upuszczam torbę na biurko i topię troski w croissancie z nutellą. Kiedy oblizuję ubrudzone usta, słyszę dzwonek telefonu.

– Allevi? – To Claudio.

– Tak – odpowiadam z wahaniem.

– Jest u mnie doktor Alimondi. Przyniosła wyniki histologicznego badania Azaisa. Interesuje cię to?

Pospiesznie wkładam kitel i zamykam drzwi na klucz, z żalem spoglądając na niedojedzoną połówkę ciepłego croissanta, który owinęłam w papier. Docieram do pokoju Claudia i widzę siedzącą na fotelu płomienną anatomopatolożkę.

– Dzień dobry – witam się machinalnie.

Beakrocze odpowiada bez zainteresowania. W uszach ma nefrytowe kolczyki, pasujące do wisiorka, błyszczącego na białym kitlu.

– Chodź – dodaje, zdejmując torbę z krzesła. – Jak mówiłam już Claudiowi, jestem zdumiona.

Claudio wychyla się z krzesła, aby przyjrzeć się danym.

– Analiza gruczołów nadnerczowych Azaisa wykazała degranulację komórek chromafinowych, co wskazuje na intensywną stymulację ze strony katecholamin – wyjaśnia Beatrice. – Są to anatomopatologiczne objawy bardzo silnego stresu.

– Podobne objawy u samobójcy nie są rzadkie – wtrąca się Claudio. – Stres nigdy nie trwa krótko, lecz przez cały czas przygotowań.

– Claudio, daj mi skończyć – mówi ona z lekkim zniecierpliwieniem. – Przekrwienie wewnętrzne, wygląd śledziony i to odkrycie w nadnerczach upewniły mnie co do jednego: przed śmiercią Azais znajdował się w stanie potężnego stresu. Kora nadnercza nie jest jednak aktywowana, co ogranicza czas śmierci do dość

krótkiego okresu. Ty uważasz, że może chodzić o stres przed samobójstwem. Ale czy wiemy na pewno, w jaki sposób ten mężczyzna miałby się zabić? Ja znalazłam tylko obrzęk płuc. Ale przyczyny obrzęku płuc są niezliczone.

– I z tego wynika twój niepokój? – dziwi się Claudio.

– Tak, ponieważ nie mogę wykluczyć innej przyczyny śmierci. Pomijając fakt, że przy takim stresie nie da się wykluczyć zabójstwa – pamiętasz, Conforti, jak czytaliśmy ten artykuł o nadnerczach mafijnych bossów? To jednak wygląda na śmierć z przyczyn naturalnych. Na przykład spowodowana inhibicją. Albo emocjami.

Claudio marszczy czoło.

– To możliwe – komentuje.

Jestem bardzo zdziwiona. Przede wszystkim dlatego, że mówią o czymś, co zdecydowanie powinnam sobie powtórzyć.

– Allevi, jakie są mechanizmy śmierci wywołanej inhibicją? – pyta Claudio z truczną wylewającą się z każdej jego komórki. Beatrice karci go spojrzeniem.

– Daj spokój tej biednej dziewczynie! – mówi. – Sam nie znasz tych mechanizmów. Jesteście lekarzami sądowymi i nic nie rozumiecie z fizjopatologii. Skarbie – zwraca się do mnie – ja ci te mechanizmy wyjaśnię. – Obawiam się, że ta młoda badaczka ma drobne problemy z panowaniem nad sobą. Albo może jest Kalabryjką. – Śmierć w wyniku inhibicji następuje w wyniku nagłego i nieproporcjonalnego zahamowania układu przywspółczulnego. Serce zwalnia aż do zatrzymania. Może ona być wynikiem nawet niewielkich ran – zwykłych odleżyn – gdy dotyczy wrażliwych i pełnych receptorów części ciała: szyi, gałek ocznych, jąder. Ale nie tylko z ranami – unosi głos, by nie pozwolić Claudiovi wtrącić słowa w tym pojedynku tytanów. – Może być również wynikiem bodźców wewnętrznych: zatorowości płucnej, na przykład – choć wykluczam to w tym przypadku – utknięcia pokarmu w przełyku, napływu zimnej wody do przewodu słuchowego...

Jestem jeszcze bardziej zagubiona niż wcześniej.

– W tym momencie bardziej prawdopodobna wydaje mi się śmierć stresopochodna – stwierdza Claudio, przeglądając test z patologii, który właśnie zdjął z półki.

– Czasami te mechanizmy się łączą. Na przykład w trakcie kłótni – wyjaśnia anatomopatolożka.

– Beatrice, a jeśli chodzi po prostu o śmiertelną arytmie niewyjaśnionego pochodzenia?

– Z anatomopatologicznego jest to możliwe, ale... Claudio, a list?

– Niesamowity zbieg okoliczności – mamroczę.

– Beatrice spogląda na mnie z miną kogoś, kto słucha, ale jednocześnie ma już gotową odpowiedź.

– Beatrice, wiedz, że znajdujesz się w towarzystwie jedynej lekarki na świecie o paranormalnym wyobrażeniu na temat medycyny sądowej – wyjaśnia Claudio,

rozkładając ramiona. Beatrice tłumi śmiech, ale nie wydaje mi się, by się ze mnie nabijała. Przeciwnie, im dłużej ją obserwuję, tym większą czuję do niej sympatię.

– Mówię poważnie – dodaję. – Arytmia mogła dopaść Konrada Azaisa, kiedy planował samobójstwo.

Beatrice kiwa głową.

– Zgadza się z tobą – odpowiada nieco chrapliwym głosem, choć ma chyba ochotę powiedzieć coś odwrotnego. – Nie wydaje mi się jednak prawdopodobne, by jego śmierć spowodował stres związany z przygotowaniami do samobójstwa.

– W każdym razie, nim wyciągniemy jakieś pochopne wnioski, poczekajmy na wyniki badania toksykologicznego. Azais przyjmował leki psychotropowe, niewykluczone więc, że je przedawkował – zamyka sprawę Claudio.

– Jeśli chodzi o mnie, skończyłam pracę. Nie ma innych patologicznych zmian, które byłyby kompatybilne z nagłym zgonem. Nie był to ani zawał serca, ani udar. Przekazuję ci wodze, Conforti, chociaż wiem, że jeszcze do mnie zadzwonisz. To nie przypadek, z którym mógłbyś poradzić sobie sam! – kończy ironicznie Beatrice, a Claudio patrzy na nią, jakby zastanawiał się, jak ją najszybciej zamordować.

*All you ever wanted to be,
living in perfect symmetry.*

Dzisiaj ktoś powinien zablokować moją kartę kredytową, nim wyrządę o jedną szkodę za dużo i odbiorę kolejny telefon z mojego banku. Na zażartej aukcji na eBayu kupiłam za absurdalną kwotę bardzo rzadkie wydanie powieści Oliviera Volange'a, o wiele obiecującym tytule: *Opowieści o złamanej samotności*. Nie wiem, czego szukam w tej książce: czy chcę odpowiedzi, czy kieruje mną zwykła ciekawość. Możliwe, że po prostu staram się myśleć o czymś innym niż moje własne kłopoty.

Ukrywam przed Arthurem to, co wydarzyło się między mną a Claudiem, który z kolei ignoruje mnie tak, jakby ta noc w Taorminie tylko mi się przyśniła. Byłoby to znacznie lepsze rozwiązanie!

Poza tym ukrywam też przed Arthurem to, że im więcej o nas myślę, tym trudniej mi wyobrazić sobie naszą wspólną drogę i wspominam szaloną podróż do Chartumu, która zbliżyła nas w burzy zmysłów młodszej miłości.

Co więcej, przed samą sobą ukrywam, że czuję coś do Claudia, i to od bardzo dawna. Każdego dnia, odkąd go poznałam, aż do dzisiaj, Claudio odkrywał przede mną małą część siebie, niczym kroplę drążącą skałę, ukazując się powoli w całym swoim skomplikowaniu.

I bałam się czasem, że w tej mnogości, którą mi pokazał, jestem zakochana. Dawno temu, jeszcze przed Arthurem, myślałam, że to coś, co zamyka się w cudzysłowie mojego smętnego życia studentki, podziwiającej zdolnego, przystojnego i silnego chłopaka. Teraz, po wszystkim, co się stało, moje myśli wypełniają niepokój i strach.

Zanurzam się w lekturze ostatniego tomu *Trylogii Margo* w nadziei, że uda mi się przeczytać przynajmniej ze trzydzieści stron, bo inaczej nigdy tego nie skończę.

* * *

Następnego dnia nie mam najmniejszej ochoty wstać z łóżka i obawiam się, że bojler zepsuł się po raz kolejny, bo kaloryfery są lodowate. Ichi tak bardzo cieszy się na mój widok, że skacze na moją piżamę.

Oferta Cordelii wciąż jest aktualna, co powtórzyła mi wczorajszego wieczora, kiedy zadzwoniła z informacją, że od koleżanki dowiedziała się o kolejnym kryzysie między Larsem a jego żoną i że dlatego natychmiast umówiła się na depilację woskiem. Moje zagubienie uczuciowe nie pozwala mi jednak przyjąć jej propozycji bez wahania, a fakt, że Yukino nie wspomniała już o pomysśle wcześniejszego powrotu do Kioto,

dało mi nieco powietrza. Zanurzam ciastka w mleku i od czasu do czasu próbuję nauczyć najbardziej niegrzecznego pieska na świecie siedzieć w sposób, jaki podpatrzyłam w programie *Dog Whisperer*. Dźwięczące, telewizyjne dżingle przypominają mi, że za tydzień nadejdzie Boże Narodzenie i czekają mnie z tej okazji ferie w Sacrofano. Mam nadzieję, że chociaż jeden dzień uda mi się spędzić z Arthurem i będę mogła z nim porozmawiać, chociaż boję się tego śmiertelnie. Dla Arthura coś takiego jak Boże Narodzenie nie istnieje, a to czyni moje życie jeszcze bardziej skomplikowanym.

W metrze tłok jest jeszcze większy niż zazwyczaj, więc kiedy docieram do instytutu, czuję się jakbym trafiła do rajskiej oazy, co chyba wystarczy za cały komentarz. Jest prawie kompletnie pusto, nie rozpoznaję nikogo prócz sprzątaczek. Zagubiona w nicości popijam kawę. Po chwili z zamyślenia wrywa mnie stukot kroków Claudia, który przemierza świeżo wypastowaną podłogę razem z Beatrice. Rozmawiają przyjaźnie, a ona trzyma go pod ramię, wypełniając instytut swoim piskliwym głosem.

– *Bonjour!* – wita mnie, jak zwykle po francusku. Odkrycie, dlaczego tak robi, będzie wydarzeniem.

On jest skupiony na sobie, a ja zastanawiam się, kiedy zdecyduje się podjąć zawieszoną rozmowę. Obawiam się, że nie ma już na to najmniejszej ochoty. Widzę, jak idą do pokoju Claudia, ignorując mnie, co można było przewidzieć, więc z żalem kończę kawę i wrzucam do kosza brudny kubek.

* * *

Późnym porankiem na ekranie mojego telefonu pojawia się nieznany numer.

– Droga Alice – słyszę po drugiej stronie głos drogiego inspektora Calligarisa, swiergoczący niczym jeden z kanarków mojej mamy. – Co u ciebie słychać?

Wymieniamy szybkie uprzejmości, akurat w stylu słynnego inspektora policji, po czym dociera do sedna w sposób dość niejasny, co jest zresztą tym bardziej w jego stylu.

– Chodzi o sprawę Azaisa. Mogłabyś wpaść dzisiaj do mnie do biura? Najlepiej po przerwie obiadowej.

Nie każę się dwa razy prosić i nie mówiąc nic Claudiowi, który jako jedyny ma prawo wypowiadać swoją opinię na temat sprawy Azaisa, ale wcale na to nie zasługuje, po szybkim lunchu wsiadam do metra i kilka minut później wchodzę do siedziby Lisa.

– Siadaj. Przyznaj, nie mogłaś się doczekać, by przyjąć propozycję współpracy, którą złożyłem ci latem... – zaczyna, czekając na wybuch entuzjazmu z mojej strony.

– Cóż, tak... nie zaprzeczam – zgadzam się, patrząc na swoje dłonie i dopiero teraz dostrzegam, że lakier jest odrapany, przez co prezentują się mało elegancko. Za wyjście z domu w takim stanie moja droga przyjaciółka Silvia, która ma obsesję na

punkcie wyglądu, byłaby gotowa zabić mnie we śnie.

Calligaris sadowi się wygodnie w fotelu i układa dłonie na płaskim brzuchu. Jego twarz, której przydałaby się porządna maseczka pielęgnacyjna, rozciąga się w szerokim uśmiechu.

– No już, nie udawaj ostrożnej, dobrze wiemy, że taka nie jesteś – komentuje, chichocząc, po czym odbiera telefon i bez pardonowo zbywa rozmówcę.

Zapomniałam już o zawodowej próżności inspektora Calligarisa, który jest przekonany, że stanowi co najmniej wzór do naśladowania dla Interpolu.

– Słusznie, inspektorze. Dobrze pan wie, jak bardzo jestem zaszczycona możliwością współpracy z panem – odpowiadam, wkupując się znów w jego łaski.

Zadowolony Calligaris wkłada czarne okulary i wyciąga z szuflady jasnobrązową teczkę. Znajdują się w niej notatki zapisane bązgrołami niemożliwymi do odczytania i kopia listu, który zdradził mi tajemnicę. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym inspektorowi i wreszcie nadeszła właściwa chwila. Przed śmiercią Konrada powiadamanie o moim odkryciu byłoby tylko próżnym gestem, ale teraz może okazać się ważne.

– Czy testament został otwarty? – sprawdzam ostrożnie grunt. Jeśli mam rację, imię Amélie powinno być tam zapisane.

– Nie. Jeszcze nie.

– A pan... zbadał pan ten list? – pytam, wskazując na kopię.

– Czy badałem, cóż... – Calligaris zachowuje się trochę jak uczeń złapany na nieprzygotowaniu. Jeśli o mnie chodzi, brakuje niewiele, bym z dumy puszyła się jak paw.

– Inspektorze, ten list ukrywa akrostych – oświadczam uroczyście.

Calligaris marszczy czoło, a jego rozchylone wargi są gotowe, by wyrazić przynajmniej zdumienie.

Wyjaśniam mu moją teorię, podkreślam litery, które składają się na nazwisko Amélie Volange i dodaję, co odkryłam dzięki wyszukiwarce Google.

– To córka Oliviera Volange’a, francuskiego pisarza, który wiele lat temu popełnił samobójstwo.

Calligaris unosi wzrok znad kartki.

– Wiedziałem, że już zaczęłaś działać – komentuje uradowany. – Oczywiście, prędzej czy później sami byśmy do tego doszli, ale i tak gratuluję. Masz ochotę na coś z baru? – rzuca, niespodziewanie zmieniając temat.

– Poproszę espresso – odpowiadam spokojnie, by nie dać mu satysfakcji. Potem jednak ciekawość okazuje się silniejsza ode mnie. – Z jakiego powodu Azais mógł chcieć zostawić swoje dobra córce Volange’a?

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Przynajmniej na razie.

– Co zatem mogę dla pana zrobić?

– Poznałaś Clarę, wnuczkę Azaisa – mówi, podając mi zdjęcie dziewczynki, małego elfa o włosach do pasa i oczach wymalowanych zbyt grubą czarną kreską.

– Coś jej się stało? – pytam przestraszona.

– W pewnym sensie. Od dnia, w którym zmarł Azais, straciła pamięć. Nie oniemiała, ale nie sposób wyciągnąć z niej żadnej informacji o wydarzeniach tamtego dnia. Clara Norbedo znalazła martwego dziadka, ale szok nie usprawiedliwia podobnej reakcji. Podejrzewam, że musi chodzić o coś więcej. Co o tym sądzisz?

– Jako lekarz?

– Alice, mogę zdobyć całe mnóstwo nielekarskich opinii. To oczywiste, że pytam cię jako lekarza.

Mowa trawa. Ledwie pamiętam dziecięcą neuropsychiatrię, ale nie zamierzam zdradzić się z tym Calligarisowi.

– Relacja między Azaisem i wnuczką była bardzo czuła, a Clara wydała mi się introwertyczną, wrażliwą dziewczynką, silnie związaną z dziadkiem. Tak, myślę, że to możliwe, iż doznała psychicznej traumy – zauważam.

– Do takiego stopnia, że nie chce pamiętać, co się stało?

– Być może chce to wyprzeć.

– Tak nie brzmi Alice, którą znam – odpowiada z rozczarowaniem, przenosząc wzrok na dokumentację sprawy Azaisa i układając kartki.

Zawstydzona, myślę sobie, że Calligaris ma rację. Interesuje go moja galopująca fantazja. Nie żadna lekarska opinia. Chce, żebym podparła jego hipotezy technicznymi fundamentami.

– W porządku, inspektorze. Na pewno bardziej prawdopodobne jest to, że taka reakcja wynika z poważniejszej traumy. Ale nie znam jej przyczyny.

Calligaris zerka na mnie znad kartki, którą trzyma przy twarzy.

– Właśnie w tym momencie wkraczasz do gry. Chcę, żebyś porozmawiała z Clarą Norbedo i wyciągnęła z niej, ile zdołasz.

– Ja? – odpowiadam ze zdziwieniem. – Inspektorze, nie mam odpowiednich kompetencji.

– A kto je ma? – pada odpowiedź, której towarzyszy wzruszenie ramion. – Ty masz słoneczny, ekspansywny charakter. Wzbudzasz sympatię, jesteś więc dobrą rozmówczynią dla takiej osoby jak Clara Norbedo, która wygląda na trudną nastolatkę.

Jakby istniały „łatwe” nastolatki.

– Nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Uważa, że jestem lekarką, która starała się uznać jej dziadka za szaleńca. A szaleńcem to on nie był na pewno.

– Spróbować nie zaszkodzi. Rozmawiałem już o tym z Seliną Azais, zaprasza cię do domu. Ona też ma nadzieję, że tobie się uda to, co nie udało się ani mnie, ani moim ludziom.

– Ani matce? To bardzo trudne.

– Ale nie niemożliwe. W każdym razie nie mamy nic do stracenia.

Calligaris zapisuje numer telefonu na skrawku papieru, który wrywa ze starego notesu.

– To jest numer Seliny Azais. Zadzwoń do niej i pojedź tam.

*Nazwij je, jeśli chcesz,
uczuciami.*

W metrze, z numerem Seliny Azais w portfelu, próbuję przygotować mentalną listę rzeczy do zrobienia.

Porozmawiać z Claudiem o nowych ustaleniach. Sprawa należy do niego i – biorąc pod uwagę nasze relacje – myślę, że jestem mu to winna.

Poprosić Anceschiego o wyjaśnienia dotyczące naszego stanowiska w kwestii ubezwłasnowolnienia.

Zadzwonić do Seliny i umówić się na spotkanie.

Zastanowić się, jak dotrzeć do domu Norbedo, skoro nie mam samochodu. Zadanie na przyszły rok? Kupić samochód.

Złapać Arthura na Skypie i zapytać go o plany na Boże Narodzenie. Wiem, że poruszanie palących i trudnych tematów w święta nie jest najlepszym pomysłem, ale okłamywanie go sprawia, że gardzę sobą coraz bardziej.

Wysiadam na stacji Cavour i, po części instynktownie, po części niecierpliwie, a po części dlatego, że chcę go usłyszeć, dzwonię do Claudia.

– Allevi? – odpowiada ze szczerym zdumieniem.

– Czemu się dziwisz?

– Bo unikasz mnie jak zarazy.

– Ty mnie też.

– Unikanie się nawzajem wskazuje na konkretny wybór – odpowiada.

Dziwnie jest poruszać ten temat, kiedy przechodzę przez ulicę po drodze do domu, pośród wilgoci, od której boli mnie głowa.

– Nic więcej? – pytam w ataku nieracjonalności. Nie wiem nawet, jakiej odpowiedzi oczekuję.

Claudio milczy chwilę, po czym odpowiada:

– To, co mam ci do powiedzenia, raczej cię nie zainteresuje.

Czuję, że przeszywa mnie dreszcz, który jest jednocześnie radością i obawą.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Zadzwoiłaś, bo chcesz o tym porozmawiać?

– Zadzwoiłam, żeby porozmawiać o sprawie Azaisa, ale nie jestem pewna, czy to nie wymówka.

Ciężar własnych słów porywa mnie jak tsunami. Powinnam natychmiast odłożyć

słuchawkę i przestać małymi kroczkami osuwać się w przepaść. Chciałabym być spokojna i surowa. Chciałabym zacząć dziś być taka, jaką chciałabym być. A jednak nie odkładam słuchawki, a kiedy powiew wiatru utrudnia prowadzenie rozmowy, zaczynam przeklinać.

Ledwie wkładam klucz w zamek w bramie, podtrzymując telefon uchem, kiedy słyszę słaby głos.

– Claudio, chodź tutaj. Och! Rozmawiasz przez telefon? *Merde*.

Rozpoznaję ten głos.

Chociaż są zakłócenia na linii, chociaż jestem zdyszana, chociaż kręci mi się w głowie.

To głos Beatrice.

– Alice, ja... – Claudio wydaje się zakłopotany, a ja czuję się jak idiotka. Prawdopodobnie nią jestem.

– Nieważne, Claudio. Chciałam porozmawiać z tobą o Azaisie, ale... jutro ci wszystko wyjaśnię – mówię spokojnie i nie pozwalam, by mój głos mnie zdradził.

* * *

Następnego dnia, obudzona z najgorszego z koszmarów, czuję obecność Beatrice w instytucie. Rozmawia po francusku z naszym technikiem z sali sekcyjnej, znanym kretynem, który zachwycony zainteresowaniem młodej lekarki, odpowiada: „Ja! Ja!”, przekonany, że mówi „tak” po francusku. Równie zaskoczona jej widokiem okazuje się Ambra, wychudzona i wyraźnie niechętna wobec suczki, która odebrała jej kość.

– Możesz ją znieść? – pyta, licząc na empatię.

To pewnie trzeci raz w życiu, kiedy zwraca się do mnie z własnej woli, co tylko dowodzi jej desperacji.

– Nie – odpowiadam, zadowolona, że znalazłam kogoś, komu mogę odmówić.

– *Bonjour*, dziewczęta! – woła Beakrocze, cała w skowronkach, rozsiewając zapach tak silny, że zaczyna mnie boleć głowa. – Dlaczego jesteście takie smutne? – pyta, zaszczycając nas przez chwilę zainteresowaniem zza wielkich okularów divy. Kiedy znasz już Królową Pszczół, trudno jest przyznać, że istnieje ktoś jeszcze gorszy.

Ambra unosi brew i przez moment obawiam się, że rzuci się jej do gardła. Na twarzy ma wypisaną niemożność wyrażenia tego, co kłębi się w jej umyśle. Ja z kolei nie mogę powiedzieć, bym patrzyła na anatomopatolożkę z większą sympatią.

Beakrocze nawet nie czeka na naszą odpowiedź.

– Widziałyście gdzieś tego całego Confortiego?

– Nie... jeszcze nie przyszedł – odpowiadam zamiast oniemiałej i skonsternowanej Ambry.

– Mmm. Poczekam na niego w jego gabinecie. Giado, mogłabyś mi otworzyć?

Resztki godności Ambry – resztki tej niewielkiej ilości, jaką posiada – przypominają swoje imię.

- Och, wybacz mi! Ambra, Giada... oba imiona takie ładne, że się pomyliłam.
- Klucz może pani odebrać z sekretariatu – odpowiada nasza Królowa Pszczół, czym zdumiewa płomienną rywalkę.

Bo gdy wszystko jest stracone, pozostaje jeszcze honor.

* * *

Zamykam się w łazience, żeby zadzwonić do Seliny Azais, z dala od niedyskretnych uszu.

- Tak? – Po długiej chwili słyszę jej dziewczęcy głos.
- Pani Azais, mówi Alice Allevi. Pamięta mnie pani?
- Ależ oczywiście! Inspektor Calligaris wszystko mi powiedział.
- Chciałabym umówić się na rozmowę z Clarą.
- Rozmowę, cóż... Może pani spróbować – odpowiada sceptycznie, ale grzecznie.
- Proszę przyjść, kiedy pani wygodnie, byle nie rano, bo wtedy Clara jest w szkole. W środy i piątki wychodzi na lekcje muzyki, między piątą a siódmą.

– W takim razie jutro?

– Zapraszam. Będziemy czekać, pani doktor.

Teraz należałoby powiedzieć o wszystkim Claudiovi, gdyby tylko nie był uwięziony w szponach zjawiskowej anatomopatolożki. Kręcę się wokół jego gabinetu, ale Beakrocze nie odstępuje go na krok; nie da się uciec przed jej głosem. Dopiero około południa puszcza zdobycz i zostawia wolne pole, przemierzając korytarze swoim krokiem *première dame*. Pukam do drzwi z lekkim wahaniem, sercem bijącym jak u nastolatki i nerwami płonącymi z napięcia.

– Alice, wejdz – zaprasza mnie Claudio, opuszczając ekran swojego maca.

– Chciałam ci powiedzieć, że Calligaris poprosił, żebym porozmawiała z Clarą Norbedo – mówię na jednym oddechu, zdeterminowana, by nie spędzać w jego pokoju zbyt dużo czasu.

Claudio marszczy czoło.

– Wybacz, kim jest Clara Norbedo?

– Wnuczką Konrada Azaisa.

– Za jakie grzechy? – pyta, chowając twarz w dłoniach. – Znowu!

– Co: „znowu”?

– Powtarzamy przypadek Giulii Valenti.

– Tym razem jednak działam oficjalnie.

– Z tobą nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Coś jeszcze? – dodaje pożądliwie.

– Chciałbyś.

– Och, bez wątpienia.

– Claudio, wstydu nie masz. Przecież spotykasz się też z Beatrice.

– Też? Słowo „też” sugerowałoby, że istnieje ktoś inny, co niestety nie jest prawdą.

– Więc potwierdzasz?

– A czemu miałbym tego nie robić? Jestem wolny, póki nie dowiedziemy czegoś przeciwnego. A Beatrice, skoro chcesz wiedzieć, to moja była dziewczyna. Bardzo łatwo jest wpaść drugi raz do tej samej rzeki.

– Zrozumiałam.

Wstaje z obrotowego krzesła i podchodzi do mnie z pożądaniem w oczach.

– Ach, nie. Nie, nie, Claudio. Nie załatwisz mnie drugi raz.

Zamyka drzwi za moimi plecami, przekręca zamek i muska ustami skórę na mojej szyi.

Potem jednak nagle się odsuwa i zatrzymuje o kilka milimetrów ode mnie.

– Czy sprawiam wrażenie nekrofila?

– Nigdy cię o to nie podejrzewałam – odpowiadam zaskoczona.

– Cóż, kiedy tak sztywniejesz, wydaje mi się, że całuję trupa. Allevi, bądź taka jak na Sycylii. Mam nieliczne, ale bardzo piękne wspomnienia. Nie zepsuj ich – mówi, otwierając zamek, co podpowiada mi, że zostanę pożegnana ze względu na niewystarczająco satysfakcjonujące zachowanie. – Wróć, kiedy się obudzisz, nie wcześniej.

What the hell am I doing here?

Docieram do domu Norbedo po męczącej podróży metrem, pociągiem i autobusem. Dzień jest pogodny, a dom wygląda jak słodka, letnia oaza. Dzwonię do drzwi, a kiedy wchodzę do domu, witana przez uroczą jak zawsze Selinę, wyczuwam lekką gorycz. Może to tylko wyobraźnia, ale mam wrażenie, że brakiem Konrada można tu oddychać.

Cisza. Żadnego zapachu warzywnego bulionu dla kogoś starszego i chorego. Korpulentna Terézia nie kręci się już po domu. Nikt nie gra na wiolonczeli, a twarz Seliny jest pełna melancholii. Towarzyszy jej ciotka Elisabetta, niczym dama do towarzystwa z dziewiętnastego wieku.

– Proszę usiąść, pani doktor. Jeśli pani chce, mogę zawołać Clarę na dół i porozmawiacie w salonie.

Przed spotkaniem odkurzyłam swoje wspomnienia z neuropsychiatrii, które jednak sprawiają, że czuję się jeszcze bardziej zagubiona. Jedna szkoła uważa, że podobne spotkanie należałoby odbyć w miejscu neutralnym, a w takim wypadku salon byłby w porządku. Druga szkoła utrzymuje natomiast, że lepiej rozmawiać z pacjentem w środowisku, które zna najlepiej, a więc – w tym przypadku – w pokoiku Clary. Podążając za swoją intuicją, a przede wszystkim za moją niepoprawną ciekawością, wyjaśniam Selinie, że wolę porozmawiać z małą w jej pokoju.

– Och, dobrze. Ma pani ochotę na herbatę?

– Nie, dziękuję. Czy Clara wie o mojej wizycie?

– Tak. Nie mogłabym jej okłamywać. Nasza relacja oparta jest na zaufaniu.

– A czy wie, o co zamierzam ją spytać?

– Domyśla się.

– Clara nie powiedziała pani zupełnie nic?

Selina zaprzecza każdą częścią swojego ciała.

– Absolutnie nic. Mówi, że nie pamięta tamtego dnia.

– A pani wierzy córce? – pytam, obserwując jej nowo odnaleziony spokój, dłonie ułożone na kolanach ubranych w wyblakłe dzinsy.

– Nigdy nie wątpię w szczerłość Clary. Ale śmierć dziadka... załamała ją, boję się, że wpłynęła na nią bardzo silnie, a wciąż nie rozumiem jej reakcji.

– Jak dokładnie się zachowuje?

Selina wzdycha.

– Pozornie jest spokojna. Chodzi do szkoły, jej oceny na tym nie ucierpiały. Jak wspominałam, nie wychodzi, ale już wcześniej prowadziła bardzo spokojne życie. Clara jest nieśmiała, mnóstwo czasu spędzała z dziadkiem, który był jej najlepszym przyjacielem. Nigdy nie dawała mi powodów do niepokoju, więc nie uważałam za problem tego, że ma niewielu przyjaciół. Dalej ćwiczy grę na wiolonczeli, ale z mniejszą chęcią. Ma cienie pod oczami, boję się, że źle śpi. Czasami w nocy słyszę jej płacz, wchodzę więc do jej pokoju, a ona prosi, żebym spała z nią. A ja oczywiście się zgadzam.

– A pani jak się czuje, Selino?

– Cóż, jak mam się czuć... – odpowiada swoim cichym głosem, w ten swój roztargniony sposób. Także ciotka Elisabetta zdaje się spoglądać na mnie karcąco. – Bardzo brakuje mi taty. A fakt, że odszedł w taki tragiczny sposób... I to właśnie w dniu urodzin Clary! Chyba oszalał. Może jednak moi bracia mieli rację. Powinnam była posłuchać Leone.

Elisabetta kiwa głową ze zrozumieniem.

Zaciekawiona, unoszę głowę.

– Ma pani wątpliwości co do zdrowia psychicznego pani ojca?

Odzywa się Elisabetta. Jej ptasi głosik słyszę pierwszy raz.

– Selino... nie wiesz o tak wielu rzeczach. Masz... uproszczoną wizję swojego ojca, ale może lepiej, że tak jest. Ja poznałam go dobrze. Maia była moją siostrą i przez wiele lat mieszkałam z nimi w willi w Udine. Przez niego jej życie zmieniło się w piekło – opowiada z goryczą w głosie. – Zranił moją siostrę tyle razy, że nie umiem nawet powiedzieć, który był najgorszy. Biedna Maia, uwielbiała go i była o niego strasznie zazdrosna. Konrad nigdy nie grzeszył normalnością, zachowywał się jak szaleniec, a jego ataki wściekłości były legendarne. Czasami przez cały dzień mówił tylko zagadkami i szaradami, nikt nic z tego nie rozumiał. Tylko Oscar miał podobny talent do gier słownych. Dotrzymywał mu kroku, rzucali sobie wyzwania, które trwały wiele dni. Oscar był nawet zdolniejszy. Na domiar złego Konrad był niewiernym i bezdusznym egoistą.

Zmartwiona Selina przerywa wspomnienia ciotki.

– Wystarczy... Owszem, tata był dziwny. Zmienny, czasem dziecinny, poza tym... tak, jego obsesja na punkcie enigmistyki była szaleństwem. Ale nigdy nie sądziłam, że jest niespełna rozumu. Nigdy. A jednak to, że popełnił samobójstwo w dzień urodzin Clary, bardzo mnie poruszyło. I dało mi do myślenia. Mój ojciec, gdyby pozostawał przy zdrowych zmysłach, nie zadałby cierpienia Clarze, którą kochał bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Nie jestem w stanie pojąć, czemu zrobił to właśnie w tamtą przeklętą niedzielę. Tak naprawdę nie rozumiem, dlaczego postanowił odejść. Owszem, miał problemy zdrowotne, ale nic szczególnie poważnego. Wciąż czytał

i pisał, tworzył niesamowicie trudne krzyżówki, które pod pseudonimem publikował w czasopiśmie, co dawało mu wielką satysfakcję. A przede wszystkim miał Clare. I mnie, i mojego męża. Dobrze mu było z nami.

– Czy rozmawiała pani o swoich wątpliwościach z inspektorem Calligarisem?

– Tak, oczywiście.

Elisabetta wzrusza ramionami, ze skruszoną miną damy dworu.

– Nie jesteś obiektywna, skarbie. Może dobrze się stało. Pozwól sobie jednak powiedzieć, że twój ojciec był człowiekiem złym i niegodnym zaufania.

W tym momencie nie pozostaje mi nic innego, jak pójść do pokoju Clary. Zawierając najbardziej przydatnej z moich cech. Tej samej, dzięki której powstawałam z popiołów: zdolności improwizacji.

Nie licząc sporej dawki szczęścia.

* * *

Wchodzę po drewnianych, skrzypiących schodach, a kiedy docieram na piętro, niedaleko pokoju Clary, spotykam jej ojca. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że w berecie i z cygarem przypominałby Che Guevarę.

– Och! Dobry wieczór – mówi cicho.

– Ekhm, dobry wieczór.

– Jestem Edoardo Norbedo. Witam w moim domu – mówi, rozkładając serdecznie ramiona. – Przyszła pani, żeby porozmawiać z moją małą geniuszką, prawda? Selina o wszystkim mi opowiedziała.

– Tak, przysłał mnie inspektor Calligaris.

– Zdolny człowiek, ten Calligaris. Bardzo taktowny. Cieszę się, że wysłał panią do Clary. To skomplikowana dziewczynka, a śmierć dziadka, jeśli to tylko możliwe, sprawiła, że stała się jeszcze trudniejsza. Zastanawiam się, czy jego towarzystwo nie wpłynęło źle na jej charakter – mamrocze jakby do siebie.

– Z tego, co zrozumiałam, pana teść miał bardzo szczególny charakter.

– Był niezwykle i obdarzony ogromnym intelektem, a Clara jest do niego podobna.

– Co pan sądzi na temat ubezwłasnowolnienia? – pytam, sama nie do końca wiedząc, dlaczego. Może dlatego, że chodzi mi po głowie hipoteza, że Konrad nie popełnił samobójstwa i że ubezwłasnowolnienie i jego śmierć są w jakiś sposób powiązane.

– Było całkowicie pozbawione podstaw. Mój teść był świnią, ale nie był wariatem – Edoardo odpowiada szczerze, patrząc na mnie, jakbym była detektywem albo kimś w tym rodzaju.

– Dogadywaliście się? Był zadowolony, że mieszka z wami?

– Zadowolony? – odpowiada, z trudem powstrzymując uśmiech. – Jasne, jasne.

– Jest pan przekonany, że pana teść popełnił samobójstwo?

Norbedo zastanawia się przez chwilę, po czym mówi:

– Rozmawialiśmy o tym długo, także z Seliną. Nigdy by tego nie zrobił w dniu urodzin Clary.

– Zatem co pan podejrzewa?

– Moim zdaniem chodzi o coś nagłego. Może zawał. Ale to wy macie wszystkie odpowiedzi.

– A ten list?

– Teść był ekscentryczny. Nie szalony, ale na pewno niezwykły. Moim zdaniem trzymał ten list od dawna, na wszelki wypadek. Pewnie napisał go w chwili zwątpienia i nigdy nie wyrzucił. Albo może to jeden z jego podstępów: żył sztuczkami i zabawami, którymi nas zameczał. – Rzeczywiście papier był pożółkły, kartka wyglądała na starą. – Tragiczny zbieg okoliczności sprawił, że zmarł właśnie w dniu urodzin Clary i że to ona go znalazła. Ale teraz niech już pani idzie, pani doktor, córka na panią czeka – kończy, wskazując ramieniem pomalowane na biało drzwi, na których widnieje pastelowy napis z imieniem właścicielki.

Pukam delikatnie.

– Jestem – słyszę odpowiedź i kładę dłoń na klamce.

* * *

Otwarcie drzwi towarzyszy brzęczenie łapacza snów w pokoju, który na pierwszy rzut oka wygląda jak pokój księżniczki. Do połowy ściany sięga boazeria z beżowych i kremowych paseczków, a nad nią widnieje tapeta w drobny, kwiatowy wzór. Łóżko ma baldachim z białego drewna i różowy materac, który wygląda na bardzo miękki. Clara siedzi na orzechowym parkiecie i muska struny wiszącej na ścianie wiolonczeli. Jej długie włosy są splecione w warkocz, który opada na jej prawe ramię.

– Cześć, Claro – zaczynam, z nieśmiałym gestem dłoni. – Twój pokój jest cudowny.

– Dziękuję – odpowiada sucho, wyjmując z kieszeni cukierki Fruit Joy. – Chcesz?

– Tak – odpowiadam, biorąc z jej dłoni o pomalowanych na fioletowo paznokciach landrynkę. – Ile masz lat, Claro?

– Piętnaście – odpowiada, nie wstając z podłogi.

– Mogę usiąść?

– Jasne. Ale uprzedzam, że nic nie pamiętam. To nie jest fakt, który mogłabym modyfikować zależnie od rozmówcy.

Zdziwiona siadam przed nią na podłodze, moje kozaki wydają się wypełniać całą podłogę.

– Może wspomnienia się gdzieś ukryły i możemy spróbować je wywabić?

– Nie traktuj mnie jak pięcioletnie dziecko! – odpowiada ze złością.

Fałszywy ruch.

– Masz rację. Przepraszam.

– Powiedziałaś, że spotkam się z tobą, bo pamiętam, że byłaś miła dla mojego dziadka. I na razie jeszcze cię szanuję, więc nie popsuj wszystkiego.

Na pokrytą piegami skórę padają przez okno promienie słońca. Zielone oczy, pełne tego samego światła, przyjmują nieskończoną ilość odcieni. Bez makijażu jej twarz jest delikatna jak u dziecka.

– Porozmawiasz ze mną o dziadku? – proszę niepewna, jaką obrać drogę. Po co wkopałam się w takie kłopoty?

Clara gwałtownie kręci głową.

– Posłuchaj: dlaczego sądzisz, że nie pamiętasz nic z tamtego popołudnia?

– Co masz na myśli? – pyta żywo zainteresowana.

– Dlaczego wszystko zapomniałaś? Co się wydarzyło w twojej głowie? Jesteś bardzo inteligentna i na pewno zadałaś sobie to pytanie.

– Wcale nie – odpowiada poblądła, ale z przekonaniem.

– Dobrze. W takim razie porozmawiajmy o tamtym dniu.

O wszystkim, co pamiętasz.

Clara wzdycha ze znużeniem i niechęcią. Mam wrażenie, że ją atakuję.

Owinięta miękkim, bladoróżowym swetrem, naciąga na dłonie naddarte rękawy. Zaczyna opowieść swoimi małymi usteczkami, z tycią przestrzenią między dziąsłami.

– Tamtego dnia dziadek nie chciał zejść na obiad. Prosiłam, ale na nic się nie zgadzał. Powiedział: *Ani teraz, ani nigdy nie usiądę do stołu z twoimi wujami*. Poprosiłam, żeby ich ignorował, by zrobił to dla mnie. On odparł: *Zjedz z nimi, zrób przyjemność matce, a potem będziemy mieli popołudnie tylko dla siebie*.

– Zauważyłaś list na jego biurku? – pytam w nadziei, że uzyskam ważną odpowiedź.

– Nie... Na jego biurku zawsze panował bałagan, leżało tam mnóstwo książek i notatek, więc nawet gdyby tam był, mogłabym nie zauważyć.

– Nigdy nie przeglądałaś papierów dziadka?

Clara kiwa głową.

– Często to robiłam. Ostatnio skończył nową powieść i planował ją wydać. Lubiłam jako pierwsza czytać, co napisał i dlatego przeglądałam jego zeszyty. Pisał po włosku, więc lektura nie sprawiała mi trudności.

– I listu pomiędzy nimi nie było.

– Przynajmniej nie kilka dni przed moimi urodzinami... Ale może napisał ten list do jakiegoś opowiadania. – Wydaje mi się to mało prawdopodobne, bo jest zbyt osobisty, ale powstrzymuję się przed komentarzem.

– O której godzinie przyjechali twoi wujowie?

– Na obiad, nie wcześniej. Oni też nie lubią tu przyjeżdżać.

– Przywitali się z dziadkiem?

– Zapukali do drzwi, zapytali, czy mogą wejść, ale on wpuścił tylko wuja Oscara.

– Myślisz, że był zły na nich ze względu na wytoczoną sprawę czy chodziło o coś więcej?

Clara gładzi po plecach szarego kociaka. Ten wyciąga ogon i zamyka oczka.

– Chodź tu, Matisse – przyciąga go do siebie i układa na swoim łonie. Głaszcze go delikatnie. – No cóż, z wujkiem Enrico wiecznie były problemy. Dziadek zawsze się martwił, że nie ma pracy, poza tym jest dziwny. Przynajmniej dwa razy próbował się zabić. Wciąż jest w depresji, nigdy nic nie kończy. Jest bardzo wrażliwy. Bardzo są związani z moją mamą, bo mają podobne charaktery. Wujek Oscar gra w karty i przegrywa mnóstwo pieniędzy. Przegrał też dwa mieszkania, które podarował mu dziadek. Nie tylko traci pieniądze na hazard, ale też wydaje za dużo, żyje ponad stan. On jednak prawie do końca nie popierał ubezwłasnowolnienia, stał po stronie mamy i dziadka. Nie wiem, dlaczego potem zmienił zdanie, ale dziadek nie był szczególnie zaskoczony: uważał Oscara za powierzchownego człowieka. Leone zapewne przekonał go pieniędzmi, których Oscar niezmiennie potrzebuje. Dziadek nie był zły na wujka Oscara, w pewnym sensie go rozumiał. Poza tym mieli wspólne zainteresowania, więc czasem go przyjmował – jako jedyne z moich wujów – i spędzali długie godziny na rozwiązywaniu rebusów i tworzeniu nowych. A kiedy wujek wychodził, dziadek za każdym razem dawał mu jakiś prezent: klejnot mojej babci, pieniądze albo obrazy, czyli różne rzeczy, które ten później mógł sprzedać. Wuj Leone z kolei jest człowiekiem solidnym; dziadek mieszkał z nim i ciocią Marcellą i było mu z nimi dobrze, chociaż nie znosił ciotki. Ale jej się nie da lubić. A moi kuzyni to dwaj wstrętni idioci. Dziadek bardzo szanował wujka. Wuj Leone jest silny – komentuje z uśmiechem pełnym szacunku – ale kiedy w grę wchodzi pieniądze, nawet najlepsi ludzie stają się okrutni.

– Co to znaczy?

Clara wydaje się zdziwiona, że musi mi wyjaśniać coś równie banalnego.

– Chcę powiedzieć, że dziadek był z niego bardzo dumny. Żałował, że Leone nie jest artystą, ale cieszył się, że studiował i zdobył wysoką pozycję: jest dyrektorem generalnym filii amerykańskiej firmy. W pewnym sensie wujek uwielbiał dziadka. Traktował go jak bóstwo, a dziadek opowiadał, że spośród nich wszystkich wujek Leone był jedynym, o którego on i babcia nigdy nie musieli się martwić. A potem nagle wuj postanowił uznać go za szaleńca: oczywiście chodziło tylko o pieniądze. Dowiedział się, że w testamencie pojawiło się obce nazwisko. I dlatego pociągnął za sobą wujka Enrica, który był zawsze człowiekiem bez kręgosłupa. Wujek Oscar długo rozmawiał o tym z moją matką, ale miał zbyt dużo problemów finansowych, by się wycofać, więc – chcąc nie chcąc – i on się podłączył. Wtedy dziadek postanowił zamieszkać z nami.

– Wróćmy zatem do tamtego dnia. – Clara kiwa głową, kotek czmycha na podłogę, a jej dłonie opadają w pustkę między jej zgiętymi nogami. – Jak udał się obiad? Zauważyłaś coś dziwnego?

– Nasze posiłki są nieuporządkowane, moja rodzina nie jest dobrze wychowana.

Wstajemy od stołu, siadamy przed telewizorem, potem wracamy do stołu, żeby zjeść lazanie, rozmawia się przez telefon, kłóci o głupoty, opowiada złościwości, moja ciotka Marcella obraża się o byle co, a mój wujek Enrico ma smętną minę i z nikim nie rozmawia. Patrzy na nas wszystkich z nienawiścią, uprzejmie odnosi się tylko do mojej matki. Jest szalony, ma mnóstwo fiksacji: uważa, że nikt go nie szanuje, wszyscy uważają, że do niczego się nie nadaje. Wuj Leone twierdzi, że ma syndrom ofiary. Mój ojciec wszystkich zabawia i służy wujkom, którzy uważają się za arystokratów, patrzą na niego z wyższością i litością, przede wszystkim wujek Oscar. Wujek Leone przywdziewa maskę czułego ojca rodziny, ale w rzeczywistości jest hipokrytą. Moja matka się martwi, czy obiad się udał i czy kotlety są dobrze wysmażone. Wujek Oscar ciągle rozmawia przez telefon i jest obecny tylko ciałem. Zazwyczaj wychodzi jako pierwszy, zawsze pod pretekstem czegoś bardzo ważnego do zrobienia. Ciocia Elisabetta jest niczym ośmiornica, przyklejona do mojej matki. Nie do wytrzymania. Moi kuzyni grają w nintendo i wchodzą do dziadka na dziesięć minut, zmuszeni przez ciotkę Marcellę.

– Tak było także tego dnia?

– Tak. Mniej więcej – odpowiada sucho Clara.

– A potem?

– Potem pokroiłam tort. Upiekła go moja matka, to szwedzki przepis. Zaśpiewali mi sto lat, a potem mama poprosiła, żebym zniosła kawałek tortu dziadkowi. Nic więcej nie pamiętam – kończy gwałtownie, surowa i nieporuszona.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

Clara spuszcza głowę, wpatrując się w jakiś punkt po prawej stronie.

– Zamknięte drzwi.

– A potem? Jaka jest pierwsza rzecz, którą pamiętasz?

– Nie wiem, to nieważne – odpowiada zakłopotana.

– Czy ktoś inny wstał wtedy od stołu? Albo niewiele wcześniej?

– Nie. Sama poszłam do dziadka.

– Cofnijmy się w czasie. Kiedy poszłaś do dziadka, czy kogoś przy stole brakowało? – nalegam wytrwale.

– Tak, kogoś nie było. Jestem tego pewna.

– Kogo, Claro?

– Wujka. Mojego wujka Enrica.

*Zostaw mnie tu, zostaw
w spokoju, zostaw mnie tak,
nie mów ani słowa, które nie
byłoby miłością.*

Dom jest pusty. Albo może tak mi się wydaje, bo Yukino na święta wróciła do Japonii. W ramach rekompensaty zostawiła mi Ichiego, który pozna dziś ciepło domu rodziny Allevi w Sacrofano, najpiękniejszego miejsca, w którym można spędzić bożonarodzeniowe ferie.

Czekam aż do ostatniej chwili, by Arthur wszedł na Skype'a, żebym mogła z nim porozmawiać, ale muszę zapakować psa i torbę do twingo Alessandry.

Mój brat wysiada od strony kierowcy, żeby mi pomóc, podczas gdy słodka mamusia, nieco już zaokrąglona, podaje mi dłoń przez szybę.

– Alice, wyglądasz strasznie – komentuje mój brat, którego tendencje metroseksualne nie zostały stłumione przez zbliżające się ojcostwo.

– Dziękuję – odpowiadam, próbując oprzeć się namiętnej czułości Ichiego, który natarczywie stara się zlizać mi twarz.

– Ten piesek jest słodki! My też powinniśmy jakiegoś zaadoptować. Zawsze uważałam, że to doskonałe towarzystwo dla dziecka – komentuje Alessandra, która nie jest w stanie oderwać wzroku od mojego małego, podstępnego spryciarza.

– Tak, Ale – odpowiada Marco, jadąc via Maria Adelaide.

– Wszystko w porządku, Alice? – pyta Alessandra.

To oczywiste, że znają mnie lepiej, niż mi się wydaje.

– Zastanawiam się, czy nie zakończyć związku z Arthurem – ogłaszam bez zbędnych ceremonii i wyjaśnień.

Zdziwienie Alessandry objawia się stłumionym piskiem.

– Zwariowałaś?

– Nie, raczej się obawiam, że zwariowałam wcześniej, kiedy myślałam, że to może się udać.

– Dlaczego jesteś taka melodramatyczna, Alice? – wzdycha mój brat.

– Cóż, Alice zawsze była melodramatyczna. Daj jej skończyć, chcę zrozumieć, o co jej chodzi.

– Arthur nigdy nie wróci do Rzymu. Jego dom jest w Paryżu, a nawet to nie jest prawdą: wciąż jeździ w straszliwe miejsca. Jego idealna kobieta rzuciłaby pracę

i pojechałaby za nim. Albo wykonywałaby tę samą pracę, chociaż mam co do tego wątpliwości, bo on wyznaje ekstremalne wartości i skończyłoby się na wzajemnych oskarżeniach. W każdym razie tą kobietą nie jestem ja. Chyba oszalałam, skoro sądziłam, że mogę się taka stać. Ja jestem małym głuptasem z prowincji, nie mam z nim nic wspólnego, nie zamierzam porzucić Włoch, a tym bardziej mojej pracy. A zatem? Mamy żyć tak dalej? Widywać się, kiedy z rzadka nadarzy się okazja?

Alessandra milczy.

– Nigdy nie patrzyłam na wasz związek z tej strony.

– Ja też nie, ale z czasem to sobie uświadomiłam. I nie jest to miłe uczucie – odpowiadam, podczas gdy Ichi zwała mi się na kolana. Waży osiemnaście kilogramów. Zapowiada się ciężka podróż.

– Alice, czy twój pies nie jest trochę źle wychowany? – rzuca spokojnie mój brat.

– Nie zakochałaś się przypadkiem w kimś innym? – pyta podejrzliwie Alessandra.

– Nie – odpowiadam.

I wiem, że mówię prawdę: to, co czuję do Claudia, dalekie jest od miłości, ale wystarczy, bym czuła się jak dwulicowa suka.

– I zamierzasz powiedzieć mu to wszystko właśnie w Boże Narodzenie? – Alessandra jest zaskoczona.

– Tak.

– Boże Narodzenie jest święte. To niepisane prawo: nie wolno rzucić nikogo w święta.

Ja jednak podjęłam już decyzję. Postanowiłam pojechać po niego na lotnisko samochodem brata i wszystko mu powiedzieć. Raz a dobrze.

Czuję się strasznie.

* * *

Moja matka i mój ojciec mają już nową córkę Alessandrę i niespecjalnie zajmują się starą. Wszyscy drżą o synową i dzidziusia, a to przynajmniej ratuje mnie przed pytaniami o każdy, nawet najbardziej prywatny aspekt mojego życia.

Mogę więc spokojnie pomyśleć, chociaż rozmyślenia oznaczają udrękę. W moim starym pokoju, patrząc na plakat Kima Rossiego Stuarta w *Fantaghiro*, chronię się przed mrozem pod kołdrą. Ichi niezbyt elegancko nie powstrzymuje gazów, co dowodzi, że zasmakowały mu pulpeciki w sosie paprykowym mojej matki, chociaż nie jestem przekonana, czy to danie odpowiednie dla jego psiego układu pokarmowego.

– Alice! – dobiega z dołu głos mamy, ale udaję, że jej nie słyszę.

Wegetuję niezdolna, by zrobić cokolwiek, w to Boże Narodzenie, które okazuje się najgorszym w moim życiu.

* * *

Nadchodzi poranek pierwszego dnia świąt. Do późna grałam w loterię (tombola) z kuzynami trzeciego stopnia, których średnia wieku wynosi dwanaście lat, w telewizji

puszczali *Opowieść wigilijną Myszki Miki*, a potem nie spałam z niepokoju przed spotkaniem z Arthurem.

– Dlaczego musisz wyjść? Odkąd to biegamy po mieście w Boże Narodzenie? – pyta moja matka, biorąc się pod boki.

– To ważne – mówię tylko. – Niedługo wrócę.

– Idziesz się spotkać z tym dziwnym blondynem? A nie mogłabyś zaprosić go na kolację?

– Mamo...

– Przecież ty niezbyt dobrze prowadzisz, może ktoś powinien cię odwieźć?

Miałabym zabrać brata na jedną z najtrudniejszych rozmów w moim życiu?

Jadąc z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, docieram na Fiumicino w czasie, o którym lepiej nikomu nie opowiadać: szybciej dotarłabym piechotą na Wybrzeże Kości Słoniowej.

Czekam na niego w hali przylotów, a kiedy go widzę, kiedy widzę jego błyszczące, niebieskie oczy, które uśmiechają się, zanim jeszcze uśmiechną się jego usta, czuję ucisk w piersi i tracę oddech.

Alice, co ty wyprawiasz?

Przytula mnie z ciepłem, którego nie potrafię odwzajemnić, a on to zauważa.

– Co się dzieje? – pyta słodko.

– Jedziemy do mnie? – proponuję.

– *Sure* – odpowiada.

Pakuje torby do bagażnika i siada za kierownicą. Wypytuje o Ichiego, Yukino, o Cordelię. Opowiada trochę o Wybrzeżu Kości Słoniowej i mówi, że cieszy się na powrót do Paryża. Potem zapada przesywająca cisza.

– Elis, coś jest nie tak.

– Porozmawiamy w domu.

– A przez resztę drogi będziemy milczeć? – pyta zdziwiony.

– Masz rację.

– A więc? – nalega.

– Wydaje mi się, że żyjemy w tym związku, czekając, aż coś się wydarzy, ale w rzeczywistości nie mamy podstaw, by sądzić, że wydarzy się cokolwiek – mówię jednym tchem.

Arthur spogląda na mnie z niepokojem, po czym skupia się na drodze.

– Zaczynamy od nowa? Znow to samo marudzenie?

– Niestety tak – odpowiadam urażona.

Banalizowanie moich niepokojów zawsze świetnie mu wychodzi.

– Odległość ci ciąży?

– A tobie nie?

Zatrzymuje samochód na miejscu awaryjnym i wyłącza silnik. Wydaje się

zmęczony.

– Czasami, kiedy się budzę, nie pamiętam nawet, gdzie się znajduję i nie wiem, czy jest noc, poranek czy popołudnie. Śpię, kiedy nadarzy się okazja, żyję, kiedy nadarzy się okazja. Jeśli myślisz, że to mi się podoba, mylisz się, ale takiego dokonałem wyboru i... i tak jest dobrze. A jeśli ty będziesz chciała towarzyszyć mi w tym życiu, będzie wspaniale, ale nie chcę go zmieniać.

Nie podoba mi się, że uwzględnia mnie w swoich planach tylko pod warunkiem mojego poświęcenia.

– Wiedziałaś, w jaką zmierzamy stronę – ciągnie. – Zaczęliśmy od nowa właśnie dlatego, że byłaś tego świadoma. Co to za krok w tył, *Elis? Where is my fool Elis?* – Bierze moją twarz w dłonie, przygląda mi się z uwagą, aż nie mogę dłużej wytrzymać jego spojrzenia.

– Ja... byłam z kimś innym.

W jego oczach pojawia się obrzydzenie tak silne, że nigdy go nie zapomnę.

– Ach, już rozumiem.

– Nie, nic nie rozumiesz. Sama nie rozumiem, co się ze mną dzieje, a ty twierdzisz, że to potrafisz?

Arthur odrywa dłonie od mojej twarzy, jakby kopnął go prąd. Zapala marlboro i kręci głową.

– Zaskoczyłaś mnie. Sądziłem, że jesteś bardziej banalna, że towarzyszy ci wciąż przekonanie, że aby być razem, trzeba mieszkać w tym samym mieście, jakby nie można było iść naprzód krok po kroku, w międzyczasie konsolidując wszystko, co dobre.

– Przerywa, zaciągając się łąpczywie. – Cóż, gdyby się chwilę zastanowić, twoja zdrada też jest banalna. Ja jednak sądziłem, że jesteś czysta – ostatnie słowa wypływa z pogardą. Nie mam odwagi się odezwać.

– Mówię ci całą prawdę, a ty nawet nie starasz się mnie zrozumieć... Myślisz o sobie i o nikim innym.

– *That 's all?* – pyta z napięciem na twarzy.

– Arthurze, ja... zdradziłam cię, ale nie przestałam cię kochać. Tym, co nas rozdziela, jest odległość. Otwórz oczy. W jakim miejscu i w jakim czasie istnieje dla nas jakaś rzeczywista przyszłość?

Jest naprawdę wściekły, kiedy wyrywa mu się suche:

– W żadnym miejscu i w żadnym czasie. – Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

– Proszę cię o pomoc. Nie wiem, co zrobić – mamrocze, nie patrząc na niego.

– Chcesz pomocy? Oto pomoc!

Chwyta mnie dłonią za kark i pociąga za kucyk, ze słodką stanowczością zmuszając, bym odchyliła głowę. Przyciąga moje usta do swoich. Przez chwilę mam nadzieję, że mnie pocałuje.

Ale nasze wargi rozdziela kilka milimetrów ciszy.

Potem cichym i pełnym goryczy głosem mówi.

– Chcesz mojej pomocy? Udowodnij, że na nią zasługujesz, Alice.

Puszczaj mnie.

– Chcesz, bym wrócił do Rzymu? – ciągnie, podnosząc głos. – Co miałbym robić? Uciekłem z Włoch. A jeśli ty masz w głowie kogoś innego... co mam niby zrobić? Walczyć o twoje serce do ostatniej kropli krwi? Nawet nie wiem, czy jesteś tego warta, *Elis*. Źle mi z tym i to Boże Narodzenie jest fatalne, *but it's the end*. Możesz pójść własną drogą i wskakiwać do łóżka komu będziesz chciała.

– Mówisz tak, bo zraniłam twoją dumę – odpowiadam i – chociaż to dziwne – nie zaczynam płakać, mimo że jestem straszną beksą.

Udaje sarkastyczny aplauz.

– Cóż za intuicja.

Przez całe moje krótkie życie uczuciowe nie zostałam potraktowana jak dziwka. Do dziś.

– Chcę wysiąść z tego samochodu – kończy w swoim minimalistycznym stylu. Wyciąga z kieszeni komórkę i wychodzi z auta. Opuszczam szybę, muskam jego dłoń. – Dzwonię po taksówkę. Pozwolisz?

– Jest zimno. Poczekajmy na taksówkę razem. Albo, jeśli chcesz, odwiozę cię do twojego ojca albo do Cordelii, albo do hotelu... Gdzie tylko chcesz – mówię.

– Jedyne zimno czuję wewnątrz, a to twoja wina. Możesz jechać. Albo inaczej: to ja proszę, żebyś pojechała.

Wpatruję się w jego plecy, kiedy oddala się z plecakiem na ramieniu, paląc papierosa.

Oto obraz Arthura, który zachowam w pamięci na długi czas.

Merry Christmas, Arthur. I'm so sorry.

*Pisanie jest nieznanym. Na
początku nie wie się nic o tym,
co zamierza się napisać.*

Marguerite Duras

Mam paskudny humor, ale mimo to, decyduję się na intensywną terapię, która jeszcze go pogorszy.

Razem z Silvia pojechałam na prezentację *Patemi*, książki Enrica Azaisa. Kiedy dostałam mejlem newsletter od jednej z księgarni, których jestem stałą klientką, nie oparłam się pokusie i zaciągnęłam ze sobą uczuloną na kulturę adwokatkę, która siedzi teraz obok mnie i nie może powstrzymać ziewania. Od czasu do czasu spogląda na mnie wzrokiem, w którym mieszają się złość, że mnie posłuchała, z pragnieniem bycia gdzie indziej. Szczerze mówiąc, zasługuję na to: sama mam ochotę się zabić.

Najgorsze ze wszystkiego jest czytanie fragmentów. Robi to sam Enrico Azais, anonimowym, pozbawionym jakiegokolwiek ekspresji głosem. Sam tekst z kolei zaprowadziłby na skraj samobójstwa nawet najweselszego z optymistów.

Sala jest prawie pusta. Na koniec tortur podchodzą do niego tylko dwie osoby, zainteresowane kupnem egzemplarza. Co jeszcze gorsze, zauważam, że są oni wielbicielami ojca. Gdy podpisuje ich książki, pytają tylko o Konrada.

Enrico Azais jest wyraźnie zszokowany przebiegiem spotkania. Odpowiada drugiemu z kupujących tak niegrzecznie, jakby zamierzał wyrwać mu z rąk egzemplarz.

– Rozumiem, że moja książka zupełnie pana nie obchodzi? Wie pan, co panu powiem? Nie chcę, żeby pan ją miał. Niech pan jej nie kupuje, niech pan jej nie czyta! Proszę czytać w nieskończoność gówniane książki mojego ojca i przestać zawracać mi głowę!

Uniósł głos, a kilkoro obecnych wpatruje się w niego ze zdziwieniem. Inni klienci, którzy ominęli spotkanie i kręcili się pomiędzy półkami, zwracają nagle uwagę na agresywny ton jego głosu, który jeszcze chwilę wcześniej brzmiał zupełnie bezbarwnie.

Właściciel księgarni wygląda z jakiegoś ukrytego sektora i stara się go uspokoić.

– Panie Azais, niech pan się opanuje.

– Nie mam zamiaru! Proszę przyznać, że zaprosił mnie pan wyłącznie ze względu na moje nazwisko! No już, proszę to powiedzieć!

Sytuacja staje się groteskowa i żenująca. Przechodzący klienci przeglądają jego książkę, jedni odkładają ją tam, gdzie ją znaleźli, inni stają, czekając na właściwy

moment, by dostać dedykację. Pewnie sądzą, że skoro autor jest tak wściekły, musi być pisarzem ważnym i znanym.

– Zawsze tak jest: żeby coś sprzedać, trzeba narobić zamieszania. Kiedy jesteś spokojny, nikt się tobą nie interesuje – mówi Azais, zerkając z mieszaniną goryczy i zadowolenia na trzy osoby trzymające jego książkę. – Zapraszam, do usług. Chodźcie, chodźcie.

– Co za rozpacziwa scena – komentuje Silvia. – Dlaczego nalegałaś, żebym tutaj przyszła? Czuję się strasznie.

Nie słucham jej. Przeglądam *Patemi*, książkę o fatalnej okładce, niewielu stronach wypełnionych niezbyt ciekawymi historiami, które niewielu przeczyta, a jeszcze mniej zapamięta.

– No już, chodź. Wisisz mi przynajmniej jedno martini.

Byle jakie strony prześlizgują się między moimi palcami i zamykam już książkę, kiedy widzę, jak Azais wstaje z krzesła pośród pustki. Bierze kurtkę i po raz ostatni zerka na stertę niekupionych egzemplarzy, które sam sfinansował.

– Proszę poczekać, włożymy je do pudełka, żeby mógł pan je zabrać ze sobą – zatrzymuje go właściciel księgarni, wołając jednego ze sprzedawców i rzucając mu znaczące spojrzenie.

– A ja miałem nadzieję, że po śmierci mojego ojca coś się zmieni – mamrocze zmęczony Azais, opierając się o filar i patrząc, jak jego książki lądują, jedna po drugiej, w kartonowym pudle, wyblakłym od wilgoci.

Słodki dar terażniejszości.

Jacques Prévert

Po feriach bożonarodzeniowych wracam do instytutu z poczuciem żalu. Na widok sztucznego drzewka z tanimi ozdobami, przygotowanego przez sekretarki, robi mi się strasznie smutno, uderza mnie melancholia przedmiotów, którą Yukino nazywa *aware*. Poza tym jest lodowato – to najzimniejsza zima, odkąd pamiętam, z pewnością gorsza od zeszłorocznej – a kaloryfery się popsęły.

W zamian za to atmosfera w instytucie jest gorączkowa: wszyscy chcą pracować i produkować, gotowi uczynić z tego kwestię honoru. Oby nikt nie spróbował powiedzieć, że jest bardziej efektywny od Ambry, która wróciła z urlopu bardziej podekscytowana niż zwykle, nie mogąc się doczekać, by zakasować wszystkich, jakby to był najlepszy sposób na podniesienie się z miłosnych popiołów. Wally z kolei, którą nudzi każde świętowanie, aż kipi od inicjatyw i projektów, a wszyscy moi koledzy, na charakterach których pełne dobroci Boże Narodzenie odcisnęło piętno służalczości, prześcigają się w usługiwaniu jej. Tłum lizodupców.

Boss po powrocie z jakiejś niezidentyfikowanej, egzotycznej lokalizacji jest opalony i w dobrym humorze, co trwa przez cały pierwszy dzień: od drugiego przyjmuje znów typową dla siebie, niecierpliwą i niechętną postawę.

Doktor Anceschi, tragiczny nieobecny, obojętny na wszelkie potrzeby działu, jak można się było spodziewać, jest jeszcze na wakacjach w Roccaraso, gdzie radośnie jeździ na nartach, nie przejmując się tym, że bez trudu można by go pomylić z yeti.

W tym zamieszaniu Claudio przyjmuje rolę niekwestionowanego lidera: gromadzi nas w swoim pokoju i przedstawia listę projektów, jeden nudniejszy od drugiego, a ten wybrany przez Larę, która proponuje mi współpracę, jest ze wszystkich najgorszy.

Rozgryzając w zębach Polo – to jej ulubione cukierki, które kupuje w kiosku niedaleko uniwersytetu – zwraca moją uwagę na niezwykłą wartość pracy, którą powierzył nam Claudio, poddając się tej samej szalonej euforii, która ogarnęła dzisiaj instytut. Wyprowadza mnie z gabinetu Claudia, który jednak – po krótkim ataku kaszlu – woła mnie bezbarwnym głosem.

– Allevi, zostań. Muszę ci coś pokazać.

Czuję, że serce bije mi szybciej, jestem pewna, że się rumienię. Lara podejrzliwie nam się przygląda, po czym zamyka za sobą drzwi.

– Chodź. Chodź tutaj – zaprasza mnie Claudio ze swoim diabolicznym uśmiechem, z lekko zezowatymi oczami, silnie pachnący Declaration; ktoś powinien mu

wytłumaczyć, że lepiej nie przesadzać z perfumami.

– Jak ci minęło Boże Narodzenie, Alice?

Było najgorszym w całym moim życiu, dziękuję. Po części także z twojej winy.

– Doskonale.

– Myślałaś o mnie trochę?

– Nawet przez minutę.

– Szkoda – odpowiada, choć bez przekonania. Z torby wyciąga paczuszkę, obwiązaną ładną kokardą. – Wesołych świąt, Allevi – mówi obojętnym głosem, a kiedy przyjmuje prezent, mam wrażenie, że czas staje w miejscu. W jego zimnym gabinecie coraz częściej mi się to przydarza.

– Dzień... dziękuję – rozpakowuję prezent ostrożnie i powoli.

– Nie zapakujesz go z powrotem i nie wręczysz komuś innemu, prawda? Jest już twoja i musisz ją zachować. Rozerwij papier i będzie po wszystkim.

Jest to tomik wierszy Jacquesa Préverta. Jestem zaskoczona i patrzę na książkę zaskoczona, jednocześnie machinalnie kartkując książeczkę.

– Nie ma oczywiście żadnej dedykacji. To nie w moim stylu. Ale zaznaczyłem ołówkiem jeden wiersz, który przypomina mi pewien szczególny poranek.

Ze zdziwienia nie jestem w stanie nic odpowiedzieć. Na szczęście ktoś puka do drzwi i przerywa krępującą ciszę.

– Claudio? Przeszkadzam?

Rozpoznaję doktora Prestiego, toksykologa sądowego, z usług którego korzysta instytut.

Podczas wymiany uprzejmości między nimi pozostaję w stanie osłupienia, ciekawa wiersza, który przypomina mu mnie. Już chcę się pożegnać, kiedy rzuca mi przynętę, której nie mogę się oprzeć.

– To badanie toksykologiczne Konrada Azaisa.

Otrząsam się ze stuporu i zajmuję miejsce na *pole position*, by z uwagą wysłuchać ich rozmowy.

– Negatywny? – pyta Claudio, unosząc dłoń do zmarszczonego czoła. W jego okrzyku jest poczucie przegranej. Nie ma pojęcia – a szczerze mówiąc, ja także go nie mam – co spowodowało śmierć Konrada Azaisa. Pokładał nadzieje w badaniu toksykologicznym, z którego wynika wyłącznie, że: „Tak, przyjmował wiele leków, pośród których także antydepresant Citalopram, inhibitor i leki na zapalenie żołądka, ale wszystko w nasyceniu fizjologicznym i nic nie wskazuje, by samobójstwo lub śmierć były zależne od przyjęcia jakiejś szczególnej molekuly. Jest to typowe badanie toksykologiczne dla osoby w wieku Azaisa”. – Żadnych narkotyków? Żadnego alkoholu?

– Nada.

– A ten Citalopram... jakie jest jego natężenie? – dyszy Claudio.

– Niskie. Przyjmował zresztą mniej niż zalecane dawki – odpowiada toksykolog.

– W takim razie na co on, kurwa, umarł? – wybucha Claudio. Nie wiem, czy jest bardziej wściekły, że wciąż nie wie, jak rozwiązać sprawę, czy tym, że będzie musiał przyznać rację Beatrice.

Presti wzrusza ramionami. Nie ukrywa, że się spieszy i chce wrócić do swoich spraw.

– Powiedzenia, Claudio! Przyda ci się – mówi na odchodne, potwierdzając moje najbardziej ponure przypuszczenia.

– Teraz jestem już pewien – ciągnie Claudio, kiedy zostajemy sami. – To ty przynosisz pecha. Za każdym razem, kiedy się mieszasz, sprawy przyjmują kiepski obrót.

– Cóż poradzić, każdy ma swoje nieszczęścia. Ty masz mnie – mówię głosem bardziej drżącym, niżbym chciała. – Będziesz musiał porozmawiać o tym z Beatrice. To chyba jedyne rozwiązanie.

Claudio opada na fotel.

– Nawet mi o tym nie wspominaj.

* * *

Po wyjściu z jego pokoju, przemierzam korytarz dużymi krokami, docieram do łazienki, zamykam się na klucz i szukam zaznaczonego wiersza. Znajduję go. Jest to dziwny moment, bo z jednej strony ogarnia mnie szczęście. Dzięki krwi, która pulsuje mi w skroniach, czuję, że żyję, a jednak wyrzuty sumienia są obok i obserwują mnie okrutnymi oczami.

*Pomarańcza na stole
Twoja sukienka na dywanie
I ty w moim łóżku
Słodki dar teraźniejszości
Świeżość nocy
Ciepło mojego życia.*

Świat ludzi jest bałaganem.

Mała Syrenka

W krótkiej rozmowie telefonicznej Calligaris oznajmia, że musimy się spotkać. A jako że zazwyczaj odpowiadam na jego wezwanie niczym grzeczny piesek, teraz też staję przed nim gotowa, by puścić wodze fantazji.

– Co za zbieg okoliczności, Alice. Posłałem po ciebie, a ledwie dziesięć minut temu odebrałem donos Oscara Azaisa w sprawie nękania.

– To ciekawe! – wołam.

– Tak. Szkoda tylko, że nie dał żadnej wskazówki. Twierdzi, że ktoś go śledzi... ale nie umie sprecyzować, czy to mężczyzna, czy kobieta. Mówi, że to tylko wrażenie. I żąda, żebym się tym zajął!

– A opiera się jedynie na wrażeniu?

– Nie... powiedział też, że odbiera anonimowe telefony w domu i na komórkę. Może to sprawdzę... przejdźmy jednak do naszych spraw, Alice. Chcę poznać szczegóły twojego spotkania z małą Norbedo – mówi, popijając cappuccino, które kazał sobie przynieść młodej policjantce o ciemnych, kręconych włosach.

– Niestety, inspektorze, niewiele się dowiedziałam. Wciąż utrzymuje, że nic nie pamięta.

– A co ty o tym sądzisz?

– Zauważyłam jej wątpliwości, wahanie, załamania głosu.

– Myślisz, że zdołasz z niej coś wyciągnąć?

– Mała jest uparta. Niesamowicie inteligentna i błyskotliwa, doskonale posługuje się językiem. Ma trudny charakter.

Calligaris wzdycha, uderzając niebieskim długopisem o plastikowy blat stołu.

– Czy są jakieś nowe wiadomości o badaniach twojego narzeczonego?

– Inspektorze, może to właściwy moment, by wyjaśnić panu, że ja i doktor Conforti tylko razem pracujemy.

– Ale wciąż robicie do siebie słodkie oczy! – woła ze śmiechem. – Wracając do tego, co interesuje mnie naprawdę, czy przedstawił diagnozę?

Nie zamierzam tłumaczyć mu, że Claudio jest w lesie.

– Czeka na kolejne wyniki, by wyciągnąć wnioski.

Calligaris kiwa głową.

– Chcesz spróbować jeszcze raz? Porozmawiasz z wnuczką Azaisa?

Jego naleganie budzi moje podejrzenia.

– Inspektorze, dlaczego uważa pan zeznania Clary za tak istotne? Istnieje jakiś konkretny powód?

Chudy inspektor spogląda na mnie przebiegle.

– Alice, zadajesz coraz więcej pytań. To dobrze. Bez ciekawości nie dociera się donikąd. Zastanawianie się nad przyczynami zdarzeń to jedyny sposób, by znaleźć rozwiązanie. – Bierze gumę do żucia i częstuje mnie. Odmawiam uprzejmie i powtarzam pytanie. – Tak, istnieje pewien powód. Coś mi chodzi po głowie, ale nie ma sensu o tym mówić, dopóki nie poznamy przyczyny śmierci. Możliwe, że to straszna głupota.

– Proszę mi o niej opowiedzieć – zachęcam.

Calligaris się waha. Wreszcie zgadza się dać mi próbkę genialnej teorii, która zaległa się w błyskotliwym umyśle detektywa.

– Podejrzewam, że ktoś przyłożył rękę do tej śmierci. Nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale myślę, że dziewczynka zobaczyła coś, czego nie powinna była zobaczyć.

– Sądzi pan, że mamy do czynienia z morderstwem popełnionym na łonie rodziny?

– Nie wykluczam, ale potrzebuję w tej kwestii opinii Confortiego. Dlatego proszę, byś dalej pracowała nad małą Norbedo. Masz właściwy charakter, jesteś natarczywa, ale w radosny sposób i bardzo ekspansywna. Ludzie dobrze się przy tobie czują. Nawet nie wyglądasz na lekarza, a to bardzo dobrze.

Jego analiza, która w zamierzeniu ma wskazywać moje mocne punkty, wskazuje na pewne cechy, które trudno mi uznać za pozytywne. Ale inspektor taki jest i już.

– Zadzwońię do Seliny Azais jeszcze dzisiaj i zapowiem twoją wizytę, dobrze?

* * *

Następnego dnia, kiedy Beatrice wchodzi do instytutu, moje serce wypełnia się współczuciem dla tego biednego nieszczęśnika, który spędzi z nią cały poranek, próbując wymyślić dla starego wygi wiarygodną przyczynę śmierci. Spotkanie zbiega się z powrotem spokojnego Anceschiego, który – z jasnym śladem po goglach na twarzy – wzywa mnie na nadprogramową lekcję o śmierci spowodowanej porażeniem prądem, przez co zmuszona jestem opuścić pojedynek wszech czasów między konkurentami, przy których postaci z *Zeliga* są zwykłymi dyletantami.

Jest późny poranek, kiedy zachodzi coś niespodziewanego. Coś, co każe mi podziękować wyższej istocie boskiej – Bogu, Allahowi albo i Buddzie – za wybór medycyny sądowej, zawodu, który posypuje moje mdłe życie ostrą papryczką.

W pokoju Anceschiego, bez pukania, pojawia się nagle wściekła kobieta.

Jest bardzo drobna. Porusza się ze zdecydowaną elegancją, ma nordyckie rysy twarzy, a jej włosy są bardzo ciemne i średniej długości. Na lewym policzku ma nieduży pieprzyk, dużo tuszu na rzęsach, spory pierścionek z ametystem w środku i ogromną ochotę na kłótnię.

– *Vous êtes le docteur Anceschi?*

Doktor Anceschi mówi średnio po włosku, jego akademicki angielski w rozmowie jest gorszy niż słownik Google, za to rzymski – nad wyraz barwny. Francuski absolutnie nie mieści się w jego kompetencjach. Pytanie pojmuje dzięki intuicji i zabiera się do odpowiedzi z typowym dla siebie urokiem. Kobieta wyrzuca z siebie coś zdecydowanie zbyt trudnego dla nas obojga. Doktor Anceschi rzuca desperackie *du ju spik Inglisz*, ale ona nie chce o tym słyszeć.

Spośród wszystkich słów, które wylewają się z niej niczym lawa z wulkanu, wychwytyuję ważny szczegół. Powiedziała:

– *Je suis Amélie Volange.*

Jeśli się nie mylę, a nie sędzę, mam przed sobą powód niezgody z testamentu Konrada Azaisa. Jestem tak podniecona, że mój leniwy mózg rodzi propozycję, która okaże się zwycięska:

– Profesorze, pani doktor anatomii patologicznej mówi po francusku. Mogłaby tłumaczyć.

– Doskonały pomysł – mamrocze on, który z potoku przekleństw wydobył najwyraźniej coś, co go zaniepokoiło.

Szybka niczym chomik w swoim kółku docieram do pokoju Claudia i wyjaśniam sytuację.

Propozycja ma magiczną moc podsycenia nadętej natury Beatrice, podnieconej perspektywą odkurzenia swojego francuskiego, którego – jak mi wyjaśnia – nauczyła się w Quebecu, gdzie studiowała przez rok. Przychodzi do Anceschiego i pani Volange, przedstawia się wyraźnie i wyjaśnia, że może zostać jej tłumaczką.

Amélie Volange siada. Wzdycha, po czym rozpoczyna swoją pełną inwektyw przemowę, tłumaczoną przez Beatrice z profesjonalizmem, którego nie powstydzilaby się Olga Fernando.

– To pan napisał opinię na temat Konrada Azaisa? Powinien się pan wstydzić. Dał się pan przekupić Leone Azaisowi.

Umknął mi pewien szczegół.

– Doktorze Anceschi, przekazał pan już opinię o Azaisie? – Jestem zdziwiona.

Zaczynam się domyślać czegoś, co zupełnie mi się nie podoba.

Święty Mikołaj kiwa głową bez słowa.

– I potwierdził pan konkluzje Laurentiego?

– Nie mógłbym zrobić nic innego – odpowiada. Wygląda jak człowiek bliski utonięcia. – Testy, które przeprowadził, jego konkluzje... obowiązują, póki nie wykaże się, że są fałszywe.

– Mówiłam panu, że są fałszywe! Nie ufa mi pan? – pytam urażona.

– Allevi, masz brzydki zwyczaj traktowania spraw osobiście. Pozwól mówić pani Volange. Nie widzisz, że mamy tutaj trudną sytuację?

Zawsze myślałam, że Anceschi jest epikurejczykiem. Teraz wydaje mi się po prostu

wielkim tchórzem.

– Ta opinia jest fałszywa, bo o tym wrednym staruchu da się powiedzieć wszystko, ale nie to, że był szaleńcem! A pan odebrał mi to, co mi się należało! – gorączkuje się pani Volange.

To znaczy, że знаła testament. Zastanawiam się, jak to możliwe! Z tego, co mi wiadomo, jej nazwisko wciąż utrzymywane jest w sekrecie, a testament oficjalnie zapieczętowany.

Ciekawość bierze nade mną górę, a rozczarowanie Anceschim schodzi na drugi plan.

– Poproszę o szklankę wody. Przyszłam tylko po to, aby powiedzieć, jak bardzo panem gardzę. Nie spodziewam się, by odwołał pan teraz swoje brednie. Musi pan jednak wiedzieć, że zachował się niesprawiedliwie i nadejdzie taki dzień, kiedy zda sobie pan z tego sprawę.

Wściekłość Amélie jest gwałtowna niczym grzmot, a ja nie wiem, czy jej przyczyną są pryncypia, przywiązanie do pieniędzy, czy może jedno i drugie.

– Beatrice, czy mogłabyś jej zadać kilka pytań?

Claudio, który przyglądał się scenie, wzdycha ciężko.

– Znowu to samo – mówi do Anceschiego, który kręci głową z ponurą miną.

– *Bien sûr* – odpowiada szczęśliwa, że okazała się niezbędna.

– Czy mogłabyś spytać ją o naturę jej relacji z Azaisem?

Jedynie Beatrice wydaje się nieporuszona moim sposobem działania. Przeciwnie, jeszcze mnie zachęca:

– Masz rację, powinniśmy wykorzystać sytuację, by dowiedzieć się jak najwięcej!

Tłumaczy moje pytanie, a Amélie odpowiada z goryczą:

– Ten złodziej Azais zniszczył życie moich rodziców, więc teraz postanowił zostawić mi swoje pieniądze, aby odkupić winy. A pan, mały, nikczemny lekarz, który nic nie wie i niczego nie umie, odebrał mi to, co mi się należało.

– Skąd pani wie, że miała zostać jedyną spadkobierczynią Azaisa? – pytam, płonąć z ciekawości.

Amélie milczy przez chwilę, wpatrując się we mnie z lekceważeniem.

– Mam przyjaciół, którzy dbają o moje interesy.

Domyślam się, że Beatrice, równie rozentuzjasmowana co ja, z własnej inicjatywy szczegółowo wypytuje o krzywdy wyrządzone Amélie przez Azaisa.

– Były to straszne krzywdy, których nie da się dowieść i które nigdy nie zostaną pomszczone.

Pani Volange wstaje.

– Co za syf.

Bierze dużą torbę z czarnej skóry, nieproporcjonalną do jej wzrostu, i zostawia wszystkich w szoku, gwałtownie trzaskając drzwiami.

– Takie rzeczy czasem się zdarzają – komentuje poblady Anceschi.

– Jasne – mamrocze Claudio z empatią, zaniepokojony zajściem, ale pełen tej typowej radości, która ogarnia nas, kiedy komuś innemu się nie wiedzie. On i Beatrice wychodzą z pokoju z pewnym zawstyżeniem i zostawiają nas samych. Skonsternowana wpatruję się w Anceschiego.

– Allevi, nie patrz na mnie w ten sposób.

– Nie jestem w stanie w to uwierzyć. Popełniono straszliwą niesprawiedliwość. Azais był zdrowy psychicznie. Taka była jego ostatnia wola. Słyszał pan? Miał nierozwiązane sprawy z rodziną Volange, chciał odkupić swoje winy i zostało mu to uniemożliwione. Podwójna niesprawiedliwość. A wszystko to dlatego, że Niccolò Laurenti ze swoimi niewartymi złamanego grosza testami przestraszył się profesora Paladina. Nie widział pan – bo nie było tam pana – z jakim szacunkiem go traktował. Gdyby tylko mógł, merdałby ogonkiem. Powiem więcej: Volange ma rację, całkiem możliwe, że został skorumpowany.

– Ponosi cię wyobraźnia! Laurenti jest pedantem, może nieco antypatycznym, ale nie wątpię w jego uczciwość.

– Pański błąd!

– Teraz przesadziłaś.

Ton Anceschiego staje się nagle lodowaty, a w jego spojrzeniu pojawia się cień irytacji.

– Alice, musisz się nauczyć kontrolować. I powstrzymywać gniew. Przyjmij życzliwą radę od przełożonego, kolegi, z najlepszymi intencjami. Nerwy tylko ci szkodzą: twój entuzjazm nie zmieni tego świata. Ani nie pomoże ci w karierze.

Po powrocie do domu czekają mnie dwie niespodzianki: pierwszą jest Yukino, która miała wrócić jutro.

– Nie, pomyliłaś – mówi mi, po czym wraca do konwersacji z Ichim. Po japońsku.

– Co mu mówisz? – pytam z zaciekawieniem.

– Że za nim tęskniłam. I nie wiem, jak poradzę sobie w Kioto bez mojego małego Ichiego.

Sztywnieję.

– Przecież mówiłaś, że zabierzesz go ze sobą do Japonii.

– Wiem. Ale lepiej będzie, jeśli zostawię go z tobą.

– Dlaczego?

– Potrzebujesz go – odpowiada, ruszając do swojego pokoju, ciągnąc za sobą fuksjową walizkę, prawie tak dużą jak ona sama.

Drugą niespodzianką jest żółta paczuszka, w której znajduje się, owinięta podwójną warstwą gazety, zniszczona i brzydko pachnąca książeczka Oliviera Volange'a. Zbieg okoliczności jest tak namacalny, że przyciskam książkę do piersi z radością.

Czytam stronę tytułową.

Opowieści o złamanej samotności.

Olivier Volange.

Dla Catherine.

Dawny właściciel uczynił egzemplarz wyjątkowym, podpisując go niewyraźnym bazołem. Przeglądając go, zauważyłam, że niektóre fragmenty zostały podkreślone czarnym długopisem przez trzęsącą się dłoń. Dlatego kocham stare, używane książki: zdradzają historie i emocje tych, którzy czytali je przede mną. Być może dawny właściciel podkreślił te fragmenty, bo miały dla niego szczególne znaczenie. Odnosiły się do jego życia. Na tym polega niezwykła moc książek, największa pośród wielu; przetwarzamy emocje pisarza na balsam, którym leczymy nasze dusze, kiedy przeżywamy coś podobnego albo zgoła zupełnie innego. Koniec końców, każdy bowiem nadaje książkom takie znaczenie, jakiego potrzebuje.

Zanurzam się w lekturze, przerywanej na chwilę tylko przez Ichiego, który łapą otwiera drzwi i wskakuje mi do łóżka. Spod kołdry wystaje tylko jego pupa. To jego sposób na szukanie prywatności, jest przekonany, że wystarczy schować głowę, by nikt go nie widział.

Ta krótka książka ma około stu dwudziestu gęsto zadrukowanych stron, ale jej zawartość nie jest ani trochę lekka. Są w niej fragmenty ciężkie jak parmezan o północy. A jednak napisana została z elegancją i ponadczasową mądrością wielkich pisarzy. Pełna jest pozbawionego nadziei lęku, a niektóre strony są tak bogate w poezję, że już w połowie dochodzę do wniosku, że jest to książka zapomniana niesłusznie. Odkładam ją pod wieczór, by zjeść razem z Yuki wielki talerz makaronu.

– Och, jak bardzo będzie mi brakować naszych wieczorów w Kioto. Teraz maraton *Kochanych kłopotów*. Nie możesz się wycofać.

Nawet nie mam takiego zamiaru. Nie opowiadam jej o zerwaniu z Arthurem, jeszcze nie. Boli mnie to tak bardzo, że wolę o tym nie mówić. On milczy, a w konsekwencji ja nie staram się nawiązać z nim kontaktu, ale tęsknię tak bardzo, że czasem wydaje mi się, że popełniłam straszliwy błąd.

Otulam się ciepłem naszego małego mieszkania i naszej intymności, na niebieskiej kanapie, z wgniecionym śladem naszych pośladków, ze szczęśliwym z głaskania Ichim na naszych kolanach, przyciemnionymi światłami, włączonymi kaloryferami i miską popcornu, daleko od ulewnego deszczu.

* * *

Idę do łóżka prawie o pierwszej, wcześniej czytam opowiadania Volange'a. *Zima* jest szczególnie usypiająca, nic się w niej nie dzieje. To opowieść o mężczyźnie, który przechadza się po ogrodach Tuileries w grudniowe popołudnie i przypomina sobie najszczęśliwsze zimy swojego życia, zdając sobie wreszcie sprawę, że były szczęśliwe bez żadnego szczególnego powodu, dzięki obecności kobiety, braku nieszczęścia, dzięki nowemu filmowi Truffauta albo podróży do Normandii z rodziną brata. To opowieść o samotności, oczywiście, w końcu to temat całego zbioru, ale pełna delikatnej elegancji Volange'a, która czyni szczególnie pozornie banalny temat.

Zadymione niebo, zlodowaciałe pola. Przepętniony uczuciami, których nie doświadczyłem nigdy wcześniej i których mi brakowało. Nędza moich zmarnowanych zim.

Zaspana, wsuwam stopy w kaptcie w kształcie hipopotama i szukam na półce *Chciwości Deszideriusa Horvatha*. Wydaje mi się, że przeczytałam coś podobnego gdzieś w połowie książki, kiedy Desziderius śni, że znowu nadeszło lato, to lato, podczas którego poznał Helenę, swoją młodzieńczą miłość.

A jednak tych wrażeń byłem pewien, moją skórę przeszył dreszcz, a przebudzenie przyniosło ze sobą palące rozczarowanie. Przypomniałem sobie nędzę moich lat, każde zmarnowane lato, kiedy nie śmiałem marzyć, żeby cię znów zobaczyć, Heleno. Tak straszliwie, ogromnie brakuje mi każdego takiego lata.

Układam książki na szafce i gaszę lampę. Szybko zasypiam, ale przez tych kilka chwil między jawą a snem myślę sobie, że pierwsza słynna książka Azaisa i ten utwór Volange'a są do siebie podobne. I to bardzo.

* * *

Następnego dnia sprawdzam datę wydania obu książek. *Chciwość Deszideriusa Horvatha* ukazała się w 1950 roku, a *Opowieści o złamanych samotnościach* w roku 1956. Po przyjeździe do instytutu szukam w Internecie innej, wydanej we Włoszech, książki Volange'a, powieści zatytułowanej *Wilki*, ale nie ma po niej śladu w sieci.

Kiedy nie udaje mi się znaleźć czegoś za pierwszym razem, wpadam w manię i odnalezienie tego staje się dla mnie najważniejsze. Zwracam się do Lary, zagorzałej kolekcjonerki romansów spoza katalogu, jaki jest najlepszy sposób na odnalezienie *Wilków* Volange'a.

– Da Cugi, bez wątpienia – odpowiada, głośno rozgryzając cukierka.

– Co to?

– Mały antykwariat. Raj na ziemi, musisz się tam wybrać. Odkryłam tam perły, na przykład niemożliwą do odnalezienia książkę Heyer. Powinnaś poczytać Heyer, jest urocza.

Notuję tytuły najlepszych książek ulubionej autorki Lary i decyduję się jechać do Cugi i pozbawić księgarnię kilku skarbów. Po południu zwiedzam dzielnicę Monti w poszukiwaniu wskazanego przez Larę adresu.

Nie wiem, jak jej się odwdzięczę: to miejsce jest źródłem niesamowitej radości dla każdego czytelnika.

Sklep zachowuje późno dziewiętnastowieczne godło starej księgarni, która należała do pradziadka współczesnego właściciela. Podłoga wyłożona jest ciemnym linoleum, które leży na wiekowych, skrzypiących deskach, a każdy krok przywołuje wspomnienie wizyt w dawnych domach wielkich postaci i szkolne wycieczki. Pachnie starym papierem, a tomy leżą na jeszcze starszych i bardziej zniszczonych meblach. Za ladą, w całości przykrytą najróżniejszymi tomami – od kultowych komiksów o smerfach po powieści Moravii – stoją trzy osoby, w których rozpoznaję krewnych. Mężczyzna ma na nosie okulary krótkowidza i duży brzusek, a kobieta i młodsza dziewczyna mają takie same, natapirowane fryzury. Najchętniej od razu poprosiłabym, żeby mnie zatrudnili.

Wychodzę z zalem, ale w torbie niosę dwa cuda.

Zniewalającą Sophy Georgette Heyer i *Wilki* Oliviera Volange'a.

Jest środek nocy, kiedy budzi mnie dzwonek telefonu. Na ekranie wyświetla się nieznany numer.

– Doktor Allevi?

Najwyższy?

Zdarza się, że Boss zabiera nas na wizje lokalne, ale teraz, gdy zbliża się do emerytury, ograniczył działalność, więc stało się to rzadkim (choć nadal możliwym) wydarzeniem. Niewyobrażalne jednak, by dzwonił do nas osobiście, więc ten telefon oznaczać może tylko coś strasznego.

– Czy coś stało się Arthurowi? – pytam i czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Nie przeżyłabym z żalu.

– Nie – odpowiada surowym, ponurym tonem. – Proszę posłuchać. Musi pani koniecznie przyjechać do szpitala, na OIOM. Czekam na panią.

Kończy rozmowę, nim zdołam odpowiedzieć. Zrywam się na równe nogi z prędkością światła. Nie tracę czasu, biorę ubrania, których z lenistwa jeszcze nie schowałam i dzwonię po taksówkę, która dwadzieścia minut później dowozi mnie do celu. Trwa to nieskończenie długo, przez cały czas zastanawiam się, co się stało i z trudem powstrzymuję się przed zadzwonieniem do Najwyższego i błaganiem go o wyjaśnienia.

Zdyszana pędzę przez korytarz prowadzący do sali reanimacyjnej i czuję, jak połyka mnie ciemność, póki nie dostrzegam trzeciej żony Najwyższego, tonącej we łzach.

Cordelia!

Nie pomyślałam o niej nawet przez chwilę.

Szukam pomocy w oczach Najwyższego, który jednak wydaje się jeszcze bardziej nieprzenikniony niż zwykle.

– Dziękuję, że pani przyjechała.

– Co się stało? – pytam słabym głosem.

– Dzisiaj wieczorem Cordelia próbowała popełnić samobójstwo – odpowiada, nie zdradzając żadnych emocji. Wybałuszam z niedowierzaniem oczy. – Podcięła sobie żyły – dodaje, a w jego głosie, który zazwyczaj nie ma żadnej modulacji – może dlatego, że włoski nie jest jego ojczystym językiem – rozbrzmiewa nuta niepewności.

Zajęta własnymi kłopotami, które wydawały mi się tak poważne, nie zauważyłam złego stanu Cordelii. A przecież dało się dostrzec sygnały. Melancholia, apatyczne

zachowanie, potrzeba towarzystwa. Przypominam sobie jej zaproszenie, bym z nią zamieszkała, i to, jak głupio mi się wtedy zrobiło. Kiedy myślę, jak marzyłam, żeby przestała zawracać mi głowę gadkami o Larsie, czuję się jak śmieć.

– Co z nią? – pytam, chociaż boję się odpowiedzi.

Hrabina pociąga nosem.

– Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Straciła dużo krwi. Regina oddała swoją – wyjaśnia mi, wskazując blondynkę, w której moje zaspane neurony rozpoznają jedną z córek Malcomessa z pierwszego małżeństwa.

Jestem zaniepokojona, czuję się fatalnie. Zawładnął mną strach, przerażenie, panika. Cała ta sprawa mnie rozstraja: nie tylko przez to, że jej życie wciąż jest zagrożone, ale też przez to – dlaczego. Wyobrażam sobie godziny poprzedzające ten straszliwy gest, spędzone w domu, w rozpacz po kolejnym rozstaniu, kiełkowanie myśli w jej głowie. Zobojętniała, chce po prostu przestać istnieć. Chwyta żyletkę, raz za razem tnąc swoje ciało. Tryska krew; brudzi ręce, ubrania, podłogę. A ona płacze, samotna, nieszczęśliwa, zrezygnowana. Płacze, aż do utraty zmysłów. Kiedy ja śpię, kiedy jej ojciec je kolację w znakomitym towarzystwie, kiedy matka ogląda telewizję, Lars Mikkelsen leci do Oslo, Arthur pisze artykuł gdzieś daleko stąd, ona stara się pozbawić nas wspianego daru, jakim jest jej życie.

Najwyższy zwraca się do mnie:

– Zadzwoń do pani, bo mam nadzieję, że jest pani w stanie skontaktować się z Arthurem. – Gdyby nie tragizm sytuacji, wybuchłabym śmiechem. Ja miałabym znaleźć Arthura? Przekazać mu tę wiadomość? – Nie odbiera telefonu, a w redakcji powiedzieli mi, że wyjechał na Wybrzeże Kości Słoniowej. Liczę na panią – mówi wreszcie, tym samym tonem, który przysporzył mi tyle zmartwień. Nie mogę wyjaśnić, że w tym momencie ostatnim, czego chciałby jego syn, jest otrzymanie tej wiadomości akurat ode mnie, ponieważ gardzi mną i ma po temu powody. Ponadto wydaje mi się mało prawdopodobne, by odebrał telefon ode mnie, skoro nie odpowiada innym. To jednak wymagałoby wyjaśnień, których nie chcę udzielać i których z pewnością nie chcieliby słuchać. Nie mam żadnej wymówki. Wyjmuję z torby komórkę i wystukuję numer.

Jak się spodziewałam, Arthur nie odpowiada. Siadam w poczekalni. Nie chcę się narzucać, sytuacja jest wystarczająco niezręczna. W międzyczasie dowiedziałam się kilku szczegółów: Cordelia została znaleziona i uratowana przez Lavinie, kuzynkę ze strony Saglimbeni. Kilka dni wcześniej przyjechała z Mediolanu w odwiedziny do Cordelii. Lavinia wróciła do domu i znalazła kuzynkę w łazience, w kałuży krwi; wezwała karetkę, zawiadomiła rodzinę.

– Czy udało się pani porozumieć z Arthurem? – pyta Najwyższy.

– Jeszcze nie... – mamroczę zawstydzona, jakby była to moja wina. – Profesorze... chciałabym ją zobaczyć.

Zastanawia się przez chwilę.

– Proszę – mówi po chwili, towarzysząc mi do sali.

Wkładam torebki na buty i wszystkie konieczne ochraniacze, a pielęgniarka prowadzi mnie do chorej.

Cordelia wygląda, jakby była martwa.

Jest intubowana, blada jak ściana. Jej ładne, jasne włosy są pobrudzone krwią. Nadgarstki ma obandażowane.

– Czy zagrożenie minęło? – pytam dyżurnego lekarza.

– Właściwie tak, ale nie wiemy jeszcze, jakie szkody mógł wyrządzić szok anafilaktyczny.

O Boże, nie.

– Jakie szkody? – Jestem zaniepokojona.

– Nie myślmy o tym na razie – mówi. – Jest młoda, została w porę odratowana. Jestem optymistą – kończy z uśmiechem pełnym ostrożnej łagodności, który musiał pewnie nieskończoną ilość razy prezentować krewnym żądającym odpowiedzi, których on nie był w stanie udzielić.

Znów zostaję sam na sam z Cordelią. Ściskam jej wolną od rurek dłoń. Paznokcie są ubrudzone krwią. To naprawdę straszne.

Cordelio, dam ci kilka godzin, nie więcej. Potem żądam, żebyś się obudziła.

Siedzę tam długo, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu, nie zauważając, że noc minęła.

Obserwuję monitor z jej wynikami i myślę sobie, że muszę się opanować. W tym momencie Cordelii tutaj nie ma. Wyjechała w krótką podróż, ale szybko wróci.

Nie mogę znieść dłuższego pobytu w tej odrealnionej sali, w tej zielonej przestrzeni na granicy między życiem i śmiercią. Wychodzę i znów dzwonię do Arthura. Nie odpowiada.

Nie zamierzam się stąd ruszać. Nie pójdę do pracy. Opieram głowę o ścianę, zamykam oczy: jestem wykończona. Telefon wibruje.

– Alice? – To Arthur. Jego głos sprawia, że wracam do rzeczywistości. – Dzwoniłaś do mnie? – pyta. Jego głos jest boleśnie chłodny.

– Tak... – Jak ja mam mu to powiedzieć? – Muszę z tobą porozmawiać... powiedzieć ci... – mówię strasznie niejasno.

– Co się dzieje? – dopytuje niecierpliwie.

– Mógłbyś przyjechać do Rzymu?

Cisza. Jest przynajmniej zaskoczony.

– *Elis* – szepcze miększym głosem, który przypomina mi o naszych szczęśliwych dniach, które nigdy nie były równie odległe. – Co się stało?

– Musisz jak najszybciej tu wrócić.

– Coś ci się stało?

- Nie – mamroczę.
- *Are you pregnant?*
- *Pregnant?* W ciąży? Och, nie, nie!

Wzdycha, zawieszony między ulgą a dobrym wychowaniem.

- *Elis, please*, wyjaśnij mi powód twojego telefonu.
- Cordelia miała wypadek. – Tak to nazwijmy, może lepiej przyjmie enigmatyczną wiadomość.

Po jego reakcji wyczuwam, że to był cios.

- Powinieneś wrócić jak najszybciej.
- Boję się wypowiedzieć tego słowa. Samobójstwo. Budzi bezsilną wściekłość.
- Nie żyje? Natychmiast wyjaśnij mi, co się stało.
- Żyje, ale nie czuje się dobrze, Arthurze. Wracaj do domu.
- Powiedz ojcu, że wsiądę w pierwszy samolot do Rzymu.

* * *

Minął niewiele ponad dzień, a ja mam wrażenie, że wszystko zdarzyło się najwyżej godzinę temu. Cordelia wciąż jest gdzieś w odległym miejscu i nikt nie wie, kiedy wróci, a świat bez niej i wywoływanego przez nią zamieszania wydaje się nieskończenie pusty.

Niedawno minęła pora obiadu: zjadłam kanapkę w barze tylko po to, by nie opaść z sił. Nie mam apetytu.

Kolega z reanimacji traktuje mnie bardzo serdecznie. Pokazuje mi ostatnie wyniki badań Cordelii: teraz wie, że ja też jestem lekarką i rozmawia ze mną jak równy z równym.

- Widziałem, że przyniosła pani muzykę dla panienki Malcomess. Co to? – pyta.
- *La Bohème*. Uwielbia operę.

Wpatruję się chwilę w pustkę, potem w przezroczyste rurki, które utrzymują Cordelię przy życiu.

To kwestia sekundy.

Dźwięk otwieranych drzwi.

Instynktowne spojrzenie w ich stronę.

Widzę go.

Serce roztrzaskujące się jak uderzające na ziemię szkło.

Cierpienie tak silne, jakbym spadała w przepaść.

Arthur wydaje się oszołomiony. Nie wie, co zrobić najpierw: przywitać się, spytać o wieści, podejść do Cordelii. Na ułamek sekundy nieruchomieje. Wstaję, żeby ustąpić mu miejsca, ale on zdał się już zapomnieć o mojej obecności. Siada na łóżku Cordelii; dobrze, że nie ma pielęgniarki, która natychmiast kazałaby mu wstać.

Patrzy na siostrę, nie dotykając jej. Bez słowa. Cisza jest surrealistyczna, przerywana tylko pikaniem maszyn podtrzymujących życie. Czuję, że powinnam

zostawić ich samych. Potem widzę, jak pochyła się i delikatnie całuje ją w policzek. Szepcze jej coś do ucha, odgarniając opuszkami palców jej włosy. Coś, czego ja oczywiście nie słyszę. Chce mi się płakać.

Wstaje i zastyga, pochylony nad nią. Kiedy znów siada, zdaje mi się, że w ponurym jak nigdy błękitcie jego oczu dostrzegam łzę.

* * *

Siadam na krześle w poczekalni. Czuję się niewidzialna.

Kiedy Arthur wychodzi z pokoju, wyraz jego twarzy jest nieodgadniony.

Boss i hrabina Saglimbeni idą ku niemu. Anna obejmuje syna.

Czuję się tak, jakbym w tragicznej chwili podglądała życie tej rodziny. Nie jest to miłe wrażenie, odsuwam się na dystans. Arthur podchodzi do mnie.

Panuje między nami wyraźnie wyczuwalne napięcie.

– Dziękuję, że mnie uprzedziłaś. Że to ty przekazałaś mi wiadomość – mówi cicho.

– Poprosił mnie o to twój ojciec – odpowiadam. On kiwa głową i podobnie jak ja wpatruje się w pustkę.

– Muszę zapalić. Pójdiesz ze mną na taras? – Kiwam głową, zwłaszcza że uzależnienie od nikotyny dopada także mnie.

Na zewnątrz, w styczniowym mrozie, zwija sobie papierosa, bierze popielniczkę. Wciąż milczymy.

Przyglądam się jego dłoniom, pierścionkowi, który nosi na kciuku, jego ustom, z których zwisa papieros. Jego rzęsy są wilgotne.

– Ten lekarz powiedział, że mam być optymistą. Mój ojciec też tak mówi. A jak ty uważasz?

– Nie wiem. Jestem tak zaangażowana emocjonalnie, że nie czuję się teraz lekarzem.

– Wiesz, dlaczego to zrobiła? – pyta niespodziewanie.

– Myślałam, że ty będziesz wiedział...

Arthur przełyka ślinę.

– W ostatnim czasie nie byłem obecny w jej życiu. Powiesz mi, co straciłem?

– Odkryła, że Lars Mikkelsen jest żonatym ojcem bliźniaków. Zostawił ją, a mnie się wydawało, że się z tym pogodziła, ale najwyraźniej miała już dosyć rozczarowań. Nie mówiąc już o tym, że była w depresji po porzuceniu kariery aktorki.

– Żonaty? – Na jego twarzy maluje się oburzenie. – Nie chce mi się wierzyć, że zrobiła to przez tego idiotę.

– W najlepszym razie to dziwny zbieg okoliczności – zauważam trzeźwo.

Milczy. Dopala papierosa i odgarnia palcami włosy. Podaję mu gumkę. Są wystarczająco długie, by dały się związać w małą kitkę.

– Jesteś zmęczony? – pytam.

– Nie – zaprzecza.

Otulam się płaszczem, czubkiem buta przydeptując peta, którego rzuciłam na ziemię. Nagle zauważam przez szybę Larsa Mikkelsena. Widziałam go przelotnie tylko raz, ale raczej się nie mylę.

– Co on tu robi? – mówię bardziej do siebie niż do Arthura.

– Kto? – Artur unosi wzrok i przez szybę przez chwilę patrzy na Norwega. Rzucił na ziemię kolejnego, na wpół wypalonego papierosa i, nie przejmując się mną, wchodzi do środka i gwałtownie popycha mężczyznę.

– *What the hell are you doing here?* – denerwuje się.

Najwyższy podchodzi do syna i z trudem go odciąga.

Słyszę, że Lars o wypadku dowiedział się od Lavinii i poczuł się winny. Przeprasza, pyta o wieści i niedługo później odchodzi, żegnany nienawiścią bogów i ludzi.

Nigdy nie widziałam Arthura w takim gniewie. W jego oczach dostrzegłam zdolność do nienawiści. Nie podejrzewałam go o nią.

Czasami wydaje ci się, że dobrze kogoś znasz, a nagle zdajesz sobie sprawę, że ledwie musnęłaś jego naskórek.

Good time for a change.

Jestem w łazience i czytam w skupieniu opowiadania Oliviera Volange'a, kiedy przychodzi wiadomość od Arthura.

Obudziła się. Przyjeżdżaj.

Muskam tylko rzęsy tuszem i już jestem w metrze, pełna entuzjazmu. Moje dłonie są spocone, a serce wali jak młotem: czuję ogromną ulgę, ale jednocześnie boję się, że w obliczu jej rozpaczy poczuję się nie na miejscu. Idę na oddział i rozpoznaję radość w szarych oczach Najwyższego.

Kiedy z sali wychodzi Arthur, wciąż w zielonym kitlu, czepku i ochraniaczach na buty, ja także poddaję się temu samemu rytuałowi ubierania. Przed wejściem uśmiecha się do mnie w sposób, który jest pełen ulgi, a ja czuję nagłe ukłucie żalu.

Oczy Cordelii są otwarte, wytrzeszczone. Nie jest już intubowana i wydaje się przytomna, na tyle, że zasłania dłonią twarz, żeby się nie pokazywać.

– Co ty robisz? – pytam. – Przychodzę do ciebie z wizytą, a ty nie patrzysz mi w oczy?

– Wstydzę się. Zrobiłam coś kretyńskiego...

– Cóż, przynajmniej o tym wiesz. Zawsze coś.

– Nie chcę się z nikim widzieć.

– Mam sobie iść?

Kręci głową z zamkniętymi oczami. Nie jest nieobecna, ale też nie w pełni świadoma.

– Nie, miałam na myśli psychiatrę. Możesz coś z tym zrobić? Nie potrzebuję go.

– Ale może... ta rozmowa dobrze ci zrobi.

– Nie – odpowiada sucho. – Chciałam tylko, żeby przestało mi być tak źle. Zgasić światło. Obudzić się gdzie indziej albo wcale się już nie budzić. Cokolwiek, byle nie czuć całej tej rozpaczy...

– Cordelio...

– Chcę tylko wrócić... wrócić do domu i wziąć życie w swoje ręce. Ludzie ze sklepu... nie powinni się dowiedzieć.

Kiwam głową, gładzę ja po czole. Jej oczy są zamknięte, z początku nie jestem pewna, czy śpi, ale jej oddech staje się ciężki i regularny, a Cordelia wraca do świata snów, gdzie nie trzeba myśleć i gdzie można nie cierpieć. Wychodzę z pokoju, krzyżuję spojrzenia z jej rodziną i pozwalam sobie na pozdrowienie. Arthur idzie za mną, także po chwili, nim zdążę wyjść z oddziału, staje obok.

– *Elis* – szepcze. Wydaje się stęskniony, ale kto go tam wie. Mogę być pewna tylko swojej tęsknoty. – Jak oceniasz jej stan?

– Jest świadoma – odpowiadam. Niezręczna sytuacja. Jest mi głupio, bo nie czułam się tak nawet w najdziwniejszych momentach naszego związku. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Muszę jak najszybciej wrócić na Wybrzeże Kości Słoniowej. Jeśli Cordelia poczuje się lepiej, wyjadę za parę dni.

– Rozumiem.

– Mogę na ciebie liczyć?

– W sprawie...?

– Cordelii.

Obiecuję mu, że jej nie opuszczę i cieszę się z tego zaufania, które nas zbliża.

Później, w domu, wracam do lektury *Wilków Volange'a*, podgryzając zimną i rozmiękłą tempurę Yuki, ale zbyt często przypominam sobie oczy Arthura, wielkie i smutne w tym wyblakłym korytarzu.

* * *

Pod nieobecność Najwyższego i Wally, która – zupełnym przypadkiem – wyjechała akurat z miasta na kongres, instytut popada w anarchię. Claudio bawi się w dyktatora, a Anceschi korzysta z tego, by robić wstrętne rzeczy. Studenci błakają się jak dusze czyścicowe, włączając mnie, przynajmniej dopóki nie zostają przywrócona do życia przez powrót Beakrocze.

– Dzień dobry, skarbie – woła, nie zdejmując okularów słonecznych, które zajmują połowę jej twarzy. – Chodź, musimy doprowadzić do końca sprawę Azaisa, inaczej Confortiemu tętnice się zatkają.

Ledwie powstrzymuję śmiech i idę za nią, nie każąc powtarzać sobie tego dwa razy. Bez pukania wchodzi do pokoju Claudia, witając się z nim w sposób coraz bardziej teatralny.

Marszczy czoło i przewraca oczami:

– Dwie za jednym zamachem? O nie. Nie dam sobie rady.

Beatrice patrzy na niego z pełnym ironii chłodem.

– Przygotuj dokumenty, dzisiaj skończymy.

On wzdycha.

– Jak się czuje mała Malcomess? – pyta cicho.

– Lepiej – odpowiadam pospiesznie. On uśmiecha się ze współczuciem, ale potem znów skupia się na Beatrice, która deklamuje głośno swoje diagnostyczne konkluzje.

Claudio nie jest zdziwiony.

– Czyli jednak arytmia. Nie skłoniłaś się ku śmierci stresopochodnej *et similia*?

Beatrice unosi brew.

– To najlepsze rozwiązanie, uwierz mi.

– I to właśnie teraz, kiedy ja zaczynałem się ku niej skłaniać! – woła on

z udawanym żalem.

– Conforti, nigdy ni w ząb nie rozumiałeś nic z kardiologii. Pozwól mi działać.

– Migotanie komór o nieznanym przyczynach – powtarza wreszcie Claudio. Zmęczony, znudzony, obojętny. – Niech ci będzie – kapituluje, uderzając w klawisze swojego maca.

Milczę. Z wielu powodów: przede wszystkim, nie wiem, jak mogłabym włączyć się do dyskusji. Po drugie, wciąż nie mogę otrząsnąć się po wypadku Cordelii. Po trzecie, przez moment Claudio patrzył na mnie w sposób, który przypomni mi Sycylię, zaczęłam rozpamiętywać i straciłam koncentrację. Wreszcie przypomniłam sobie o zadaniu, które wyznaczył mi Calligaris i konieczności rozmowy z Clarą. Chociaż nie sądzę, bym zdołała cokolwiek z niej wyciągnąć. Zwłaszcza że na widok diagnozy, która zakłada śmierć z przyczyn naturalnych, Calligaris będzie musiał pohamować swoją detektywistyczną wyobraźnię. I to samo, niestety, będę musiała zrobić i ja.

O tym, jak i dlaczego doktor
Conforti stał się
parweniuszem.

Wychodząc z pokoju, Beatrice proponuje wspólne wyjście na obiad.

– Czemu nie? – odpowiada Claudio. – Allevi, wchodzisz w to?

– Nie, dziękuję... wrócę do domu.

– Och, nie! Nie! Nie każ się prosić, naprawdę będzie mi miło – nalega podejrzenie miła Beatrice.

– W porządku – kapituluję wreszcie i wychodzimy z instytutu, żeby wsiąść do jego złotego Opla Corsy. Siadam z tyłu, w radiu leci *Love that Girl* Raphaella Saadiq. Beatrice prowadzi pewnie i szybko docieramy do Momart Café. Ledwie Claudio zdąży zamówić, odbiera telefon i zostawi nas same. Jeśli wcześniej czułam się niezręcznie, teraz zażenowanie wprost mnie obezwładnia.

– Muszę wreszcie zmienić telefon – uśmiecha się, kiedy jej klawiatura odpada. – Szkoda, że Conforti zrobił *forfait* – mówi potem z westchnieniem, przyjmując sałatkę z rąk kelnera. – Dziękuję panu – mówi. Zwraca się do niego per „pan”?

– Od kiedy znasz Claudia? – pytam.

Wydaje się zadowolona, że może dać się ponieść wspomnieniom.

– Od pierwszego roku studiów. Ledwie przyjechałam z Reggio Calabria, miałam siedemnaście lat – tak, byłam czymś w rodzaju cudownego dziecka – i wciąż szukałam domu, w międzyczasie pomieszkując u dalekiej krewnej. Poznałam Claudia w stołówce, między chemią a fizyką. Był zupełnie inny niż teraz. Wieśniak przez duże W. Ubierał się beznadziejnie, miał włosy tak długie, że przypominał Satomi z *Kiss me, Licia*, ale jego oczu nie dało się zapomnieć. I niezłego tyłka. Wciąż siedział sam i był najlepszy w grupie, zrobiliby wszystko, byle zostać zauważonym.

– Mówisz poważnie?

– Powiem nawet więcej. Żadna nie chciała go puknąć, a na egzaminach strofowano go za niechlujny wygląd.

– Chcę jeszcze!

Beatrice uśmiecha się złośliwie, przetyka rukolę i kontynuuje opowieść.

– Claudio pochodzi ze skromnej rodziny. Matka jest woźną, ojciec – tragarzem. Są miłymi ludźmi, ale bez cienia ambicji. Claudio to typowy przykład człowieka, którego fascynują pieniądze i po pierwszym z nimi kontakcie zmienił się w niedostępnego

doktora Confortiego. Kiedy go jednak poznałam, ta faza była jeszcze bardzo odległa.

– A potem? Chętnie dowiem się wszystkiego, bez filtrów i cenzury.

– Podczas obiadu w stołówce stało się coś dziwnego. Zaprzyjaźniliśmy się w jednej chwili i wydał mi się zupełnie inny, taki towarzyski! Był przeciwieństwem tego, jakim wydawał mi się na zajęciach. Powiedział mi, że w jego budynku, nad jego mieszkaniem znajduje się zaniedbana kawalerka i zaproponował, żebym ją odwiedziła. Zgodziłam się i tydzień później byłam już jego sąsiadką.

Przerywa, żeby napić się swojego drehera. Ignoruje dzwoniącą komórkę.

– Claudio był geniuszem. Wybitnym zwłaszcza w dziedzinach propedeutycznych – chemii, fizyce, biologii – które mnie szły beznadziejnie. Zaczęliśmy uczyć się razem po lekcjach. Matka Claudia była bardzo opiekuńcza: zapraszała mnie co wieczór na kolację, po jakimś czasie czułam się jak adoptowana córka, jak w domu. Wzruszam się na samą myśl o dorastającym Claudiu, który grał na perkusji i wyjadał krokieciki ryżowe swojej matki.

Serce ściska mi się z zazdrości, gdy mówi o tej jego stronie, której nigdy nie zrozumie i nie poznam.

– Nie wiem, co mnie napadło pewnego popołudnia. Byliśmy w kawalerce, on przepytывał mnie z kwasów rybonukleinowych, popijając sok owocowy. Jego długie, kręcone włosy pachniały szamponem, a poza tym, wiesz, zawsze miał ładne usta. Innymi słowy, stało się. Od tamtego popołudnia... prawie codziennie, przez trzy lata, póki nie wyjechałam do Quebecu. Ale nie byliśmy razem, nie chciałam.

– Dlaczego?

– To było tylko fizyczne przyciąganie. Nie patrzyłam na niego jak na mojego chłopaka.

– Może się go wstydziłaś? – pozwalam sobie zadać pytanie.

– Może – przyznaje szczerze. – Kiedy wróciłam z Quebecu, spotkałam takiego Claudia, jakiego znasz, ale bez pieniędzy. Obciął włosy i zadbał o prezencję. Osiągał doskonałe rezultaty, był pożądanym przez dyrektorów różnych wydziałów. A mieszkanie, które zostawiłam, wynajmował już ktoś inny.

– Jeśli mogę spytać... jakie mieliście stosunki, zanim wyjechałaś?

– Okropne. On bardzo źle przyjął wiadomość o moim wyjeździe, także dlatego, że zależało mu na podobnym doświadczeniu, a nie mógł sobie na to pozwolić, żadne stypendium by nie wystarczyło. Wiem, że kiedy został magistrem, na rok przeniósł się na Uniwersytet Johnsa Hopkinsa. Ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Ale w naszej kłótni nie chodziło tylko o wyjazd. Był o mnie zazdrosny. Nie kontaktowaliśmy się więcej.

– A po twoim powrocie z Kanady?

– Walczył o swoje miejsce w towarzystwie. Uzyskał maksymalną liczbę punktów na dyplomie, ale już wcześniej był pupilkiem waszego szefa. Stypendium wydawał na

ubrania, podróże, kolacje. W ciągu czterech lat odzyskał wszystko, co stracił przez poprzednie dwadzieścia pięć, a przynajmniej próbował. Zaczął podrywać dziewczyny, co chwila widziałam go z nową panienką. Chłopak, którego cieszyła perkusja, już nie istniał. Nic się nie da zrobić, pieniądze zmieniają ludzi – komentuje wreszcie, przełamując na pół chlebowy paluszek. – Z czasem żal, który do mnie czuł, wyblakł. Spotykaliśmy się od czasu do czasu i wspominaliśmy dobre czasy. Potem zrobiłam doktorat w Mediolanie i wyjechałam na trzy lata. Wróciłam niedawno, kiedy wygrałam miejsce w konkursie. Odnalazłam oszalałego karierowicza, ale tego można się było spodziewać. Taki los miał zapisany w gwiazdach. Myślę, że jego rodzice są z niego bardzo dumni.

* * *

Chociaż obiecywałam to sobie przez całe popołudnie, nie mam czasu, by skontaktować się z Seliną Azais. Moje lenistwo znajduje doskonałe alibi.

– Allevi, co dasz mi za bombową wiadomość? – Po drugiej stronie słuchawki słyszę Claudia. Po wysłuchaniu opowieści Beatrice, nie mogę nie wyobrazić go sobie z długimi włosami i palczkami od perkusji w dłoniach.

– Kopniak w dupę cię satysfakcjonuje?

– Jak zawsze urocza. I tak byś się dowiedziała, więc już teraz przekażę ci wieści. Masz czas jutro rano?

– Tak.

– W takim razie przygotuj się na autopsję Amélie Volange.

Czuję, jakbym dostała obuchem w głowę. Przez chwilę wydaje mi się, że coś źle zrozumiałam.

– Tej Amélie Volange?

– Właśnie tej.

– Gdzie, jak, kiedy? – pytam niecierpliwie.

– Po kolei. Amélie Volange została potrącona przez pirata drogowego trzy dni temu na ulicy Sallustiano. Mieszkała u koleżanki. Jeśli chcesz mnie spytać, co Amélie Volange wciąż robiła w Rzymie – a wiem, że chcesz – odpowiem ci, że nie wiem. Jej stan okazał się bardzo ciężki i zmarła dzisiaj.

– Co wiemy o piracie drogowym?

– Uciekł z miejsca wypadku.

Mój mózg wypełnia się hipotezami, przy których blakną fabuły kryminałów. To nie może być przypadek, jestem pewna, a jak znam Calligarisa, jest tego samego zdania.

Dzwonię do niego zaraz po rozmowie z Claudiem, który moje teorie podsumowuje uprzejmym: „Nie zwracaj znowu dupy”.

– Że ta sprawa śmierdzi, nie ma najmniejszych wątpliwości – odpowiada za to Calligaris. – Spotkałaś się z Clarą Norbedo?

– Jeszcze nie, inspektorze. Miałam za dużo spraw na głowie.

– W takim razie się pospiesz. Mamy teraz nowy układ kart.

Jest nowy, chociaż nie wiem, w jakim stopniu, skoro w oficjalnym raporcie Claudia śmierć Konrada uznana zostaje za naturalną, a nie mam pojęcia, jaka zbrodnia mogłaby za nią stać.

Jestem także pewna, że ten, kto potrafił Volange, zrobił to z jakiegoś powodu związanego ze śmiercią Azaisa i nie dopuszczam do siebie alternatywnych możliwości.

*And we don't know just where
our bones will rest.*

Amélie Volange leży na stole sekcyjnym naga, jej głowa jest zabandażowana, a małe ciało spuchnięte, jak u wszystkich martwych po reanimacji. Ma ranę na udzie, w które uderzył samochód i brzydkie rozcięcie czaszki z wielkim krwiakiem, który pozbawił ją szans. Jej powieki są fioletowe, jak zawsze w przypadku traum czaszkowych, kiedy krew odpływa napędzana siłą grawitacji. Ciało Amélie Volange wygląda typowo, podobnie do wielu, które niestety widziałam. Od strony patologii sądowej jest to prosty przypadek.

– Claudio, na zewnątrz czeka sędzia, chce rzucić okiem na zwłoki – informuje go jeden z moich kolegów.

– Pozwól mu wejść – odpowiada. – Niech i on zobaczy, jaką mamy robotę. Zastanowi się dwa razy, zanim następnym razem obetnie mi po sto euro od sekcji.

– Jakiś ty małostkowy – mówi Lara, która nie rozumie, jak można pieniędzmi mierzyć wartość naszej pracy. Dla niej to tak, jakby wyceniać diament Koh-i-noor.

– Kochanie, to ten świat czyni mnie małostkowym – usprawiedliwia się on.

Po wyjściu z sali sekcyjnej widzę kobietę podpisującą dokumenty. Nie sposób jej nie zauważyć: jest smukła i drobna, choć dojrzała. Jej siwe włosy związane są w kucyk, a na nogach ma beżowe mokasyny, zupełnie nie na tę porę roku. Na szyi ma czarny łańcuszek z wisiorkiem z zielonego nefrytu. Generalnie jest dość dziwna, a słysząc, że mówi po francusku, domyślam się, że nie może to być nikt inny jak Catherine Rouvroy. Innymi słowy, żywa legenda baletu.

Jej twarz zdradza napięcie, ale zachowuje się spokojnie.

– *Bonjour* – wita cichym głosem Claudia, po czym, po angielsku, pyta go, czy może zobaczyć córkę.

On odpowiada, że lepiej będzie poczekać. W jednej chwili z kąśliwego tyrana zmienia się w przyjacielskiego doktora, ale kiedy ona chce kontynuować rozmowę po angielsku, jego cierpliwość się wyczerpuje.

– *Just a moment, please* – mówi, unosząc palec wskazujący i szukając mnie wzrokiem.

– Allevi, mam prezent dla ciebie, skoro tak lubisz poznawać krewnych zmarłych – szepcze, wskazując mi panią Rouvroy, która wyciera łzę opuszką palca. Claudio wkłada marynarkę, spogląda na swojego iPhone'a i przegląda się w okiennej szybie.

Wyglądałyby doskonale, szkoda tylko, że trochę śmierdzi trupem.

– Dokąd idziesz?

– Mam spotkanie – rzuca od niechcienia.

– Z kobietą?

– A myślałaś, że z mężczyzną? – odpowiada z nieprzyjemnym dla moich uszu sarkazmem. – *Bye, bye, Allevi* – kończy, gładząc mnie po włosach.

* * *

Moim szkolnym angielskim próbuję wyrazić moje współczucie. Doskonałym angielskim, z leciutkim tylko uroczym francuskim akcentem, dziękuje mi. Wyjaśnia, że trudno zorganizować przewiezienie Amélie do Paryża. Odpowiadam, że rozumiem, ale ona rzuca mi znaczące spojrzenie.

Pochować oboje dzieci... nie, ty nie możesz tego zrozumieć i tym lepiej dla ciebie.

Ma rację. Poruszona i spięta, podaję jej kleenex, który przyjmuje z wdzięcznością.

– Przeczytałam książkę ojca Amélie. Uważam, że jest cudowna.

Na twarzy Catherine pojawia się grymas, w którym rozpoznaję cień sarkazmu, choć nie znam jego powodu.

Silvia kiedyś poruszyła mnie pewną obserwacją: „Alice, ty zawsze wiesz, co i kiedy powiedzieć, a także – jak”. Obawiam się, że w tej sytuacji wygłosiłaby podobny komentarz, choć zachowałam się nieracjonalnie.

– Którą? – pyta po chwili Catherine.

– *Opowieści o złamanej samotności* – odpowiadam po włosku w nadziei, że zrozumie.

– *Oh, oui.*

– A teraz czytam *Wilki*.

– Nie znasz w takim razie jego najpiękniejszej książki – odpowiada ze zmęczonym uśmiechem, który sprawia, że zmarszczki wokół jej oczu stają się bardziej wyraźne.

– A która to? – pytam wciąż po angielsku.

– Nosi tytuł *Siostra, kochanka*.

Muszę ją koniecznie znaleźć.

Kiwam głową i dziękuję jej za uprzejmość. Ona odwzajemnia podziękowanie, choć nie wydaje się przekonana.

Zapisuję na komórce tytuł książki, obiecując sobie, że jej poszukam.

Żegnam się z Larą i jadę do szpitala, gdzie dowiaduję się, że rano Cordelia została przeniesiona do kliniki. Wsiadam do busiku, który wiezie mnie do pawilonu, w którym znajduje się oddział, a przed pokojem Cordelii, wskazanym mi przez salowego, widzę Arthura i Najwyższego.

Mogę się mylić, ale mam wrażenie, że poważna twarz Arthura się rozświetliła i zastanawiam się, co widać na mojej twarzy, kiedy jestem tak skonfundowana. Czuję,

że jest mi daleki i myślę już o naszej historii w czasie przeszłym, ale Arthur pozostanie Arthurem i trudno mi o tym zapomnieć. Być może wcale nie chcę zapominać.

– *Hi, Elis* – mówi i całuje mnie. Nie jest to niewinny gest. Pocałunek w usta, który zadowala się policzkiem.

Pytam go o Cordelię. On z radością odpowiada, że czuje się już lepiej i wciąż powtarza, jak bardzo chce wrócić do domu i do pracy.

– Idź do niej. Potrzebuje towarzystwa.

Zaglądam do pokoju i widzę, jak hrabianka – zawsze ją tak po cichu nazywałam, pamiętając o jej szlacheckich korzeniach ze strony matki – leży wygodnie i popija sok przez słomkę.

– Nareszcie jesteś! – woła. – Za bardzo bołą mnie nadgarstki, żebym mogła się umalować i uczesać. Potrzebuję pomocy.

Kładę torbę na krześle obok łóżka.

– Gdzie znajdę szczotkę?

– Czekam, aż mama przywiezie mi rzeczy. Nie mogę już wytrzymać. Także dlatego, że podoba mi się jeden lekarz i nie chcę wyglądać jak potwór. I tak widzi we mnie samobójczynię-wariatkę, a to nie najlepsza opinia. Ty nie masz swojej szczotki?

Jasne, że mam. Przy mojej grzywce to nieodzowne. Z tej samej przyczyny noszę także mały lakier do włosów. A poza tym kilka kosmetyków.

– Cieszę się, że jesteś wesoła – komentuję, czesząc jej delikatne włosy.

– Wesoła to za duże słowo. Dobrze jest być uczesaną. Masz miły dotyk. Przypomina mi się ta scena z *Pożegnania z Afryką*, w której Robert Redford myje włosy Meryl Streep. To jedna z moich ulubionych filmowych scen.

– A jakie są inne? – pytam.

Zastanawia się chwilę. Potem wydaje z siebie pisk, kiedy próbuję rozczesać jej kołtun, i odpowiada:

– Kiedy John Malkovich pisze list na pośladkach Umy Thurman w *Niebezpiecznych związkach*. I kiedy Melanie Griffith ochrzania Sigourney Weaver w *Pracującej dziewczynie*. A twoje? Wystarczy już tego czesania. Moje włosy są obrzydliwie brudne, mogłabyś kupić mi gumkę, żeby je związać?

– Jasne. – Sięgam po puder. Jej skóra jest odwodniona, łuszczy się i nie wygląda dobrze.

– Nie przesadzaj z różem, jak to sama robisz – strofuje mnie, kiedy biorę do ręki pędzelek.

– Chciałaś wiedzieć, jakie są moje ulubione sceny? Kiedy stopy Billa Murraya i Scarlett Johansson muskają się w *Między słowami* i kiedy Mei daruje życie Jinowi w *Domu latających sztyletów*.

– Ależ z ciebie romantyczka. Podaj mi tusz i lusterko.

Robię, o co prosi, a jej twarz smutnieje.

– Jestem żałosna, ale cóż zrobić! Wiesz może, kiedy mnie wypuszczą?

Kręcę przecząco głową.

– Zamieszkasz ze mną, kiedy stąd wyjdę? Moja kuzynka niedługo wróci do Mediolanu, a nie chcę być sama.

– Oczywiście – odpowiadam bez wahania.

– Dziękuję. Zwłaszcza, że wiem, co się stało między tobą a Arthurem. Znowu.

– Cóż, jesteś moją przyjaciółką. Nie szwagierką.

– Zastanów się jeszcze – mówi sucho. Przenika mnie intensywność jej głosu. To ona mówi, ale równie dobrze mogłaby być to jakaś część mnie, którą zamknęłam w kasetce umysłu razem ze wszystkimi dobrymi chęciami jak rzucenie palenia i zabranie się na poważnie za studiowanie cywilnej medycyny sądowej.

* * *

Szukam *Sister, Lover*, powieści Volange’a po angielsku, w antykwariacie online, bo już od wielu lat jest niedostępna w księgarniach. Znajduję egzemplarz za 0,99\$ i kupuję bez namysłu. Wpisuję dane z mojej wymęczonej karty kredytowej, kiedy słyszę dzwonek do drzwi. Ichi podbiega do nich jako pierwszy. Otwieram, nie pytając, kto to, bo spodziewam się Yuki, która wciąż zapomina kluczy.

– *Elis*.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Pozwól mi wejść – mamrocze i nie jest to prośba, lecz coś więcej.

Wpuszczam go, a on machinalnie gładzi Ichiego, który nigdy nie ma dość zabawy. Z pieskiem między nogami obserwuje mnie bez słowa, trzepocząc swoimi długimi, kobiecymi rzesami.

Każda część mnie, od serca aż po cebulki włosów, wypełnia się melancholijnym żalem, który towarzyszy każdemu wspomnieniu o nim.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Chcesz usiąść?

– Nie... pozwól mi mówić. Chcę to zrobić na jednym oddechu, inaczej się pogubię. Muszę ci powiedzieć, że... zawsze myślałem, że jestem niezależny. Że niczego nie potrzebuję. Że chcę podróżować... i to mi wystarczy. Że nie potrzebuję towarzyszki. Ale to nieprawda, bo potrzebuję ciebie.

Kładzie swoje dłonie o długich palcach na mojej szyi i gładzi mnie po policzku.

– Pod wieloma względami jesteś małą dziewczynką. Kapryśną i trudną... ale ja cię kocham...

Pochyla głowę. Jego jasne włosy dotykają mojej głowy, sprawiają, że przenikają mnie dreszcze. Zanurza swoje usta w moich, a ja nie umiem się wycofać, bo to dla mnie całkiem nowe uczucie.

– Porozmawiam z moim ojcem. Możesz skończyć specjalizację we Francji – mamrocze mi do ucha, głaszcząc moje włosy. Sam pomysł wywołuje we mnie panikę,

a ekscytacja zmienia się w niepokój. Pocałunki stają się smutne, pragnienie zdjęcia z niego skórzanej kurtki, wzięcia za rękę i zaprowadzenia do mojego pokoju, zmienia się w chęć wysłania go do wszystkich diabłów.

Odsuwam się i mam nadzieję, że on z mojej twarzy wyczyta, że to całkowicie nieudany pomysł.

– Arthurze, wciąż myślę o naszej rozmowie w Boże Narodzenie. – Słowa wypływają prosto z tej części mojego umysłu, odpowiedzialnej za język. – Nigdy nie wrócisz do Włoch. Ja nigdy nie wyjadę z Rzymu. Nasza miłość częściej jest źródłem bólu niż radości.

Przyjmuje sarkastyczną i gorzką pozę. Przejmuje moje usta, tym razem bez cienia słodczy.

– Ból, tak? Za to miłość do Confortiego wypełnia cię radością.

Domyślam się, że blednę.

– Arthurze, ja...

– Myślałaś, że nie wiem? Moja droga, naiwna *Elis*.

Uśmiecha się, lecz bez sympatii. Niemal z litością.

Drzwi zamykają się za jego plecami, ja stoję obok, żeby go zatrzymać, ale to wszystko mnie przerasta.

*Jestem pewna, Lucasie, że
każdy człowiek narodził się po
to, by napisać książkę i po nic
innego.*

Agota Kristof

Docieram do Tarquinii pociągiem i znajduję podwózkę do domu Seliny Azais. Trochę siąpi, a ja zastanawiam się, jak to możliwe, że zawsze, kiedy docieram do tego domu, jest brzydka pogoda. Za bramą jeden z kotów o żółtych oczach i rudym futrze mruczy, a ja gładzę go palcami przez kratę. Clara otwiera mi osobiście, w bluzie z kapturem w brązowo-różowe paski na głowie i gładkimi włosami, które opadają jej na pierś niczym para szelek.

– Cześć – wita mnie bez entuzjazmu. – Uprzedzam, że w ciągu dwóch tygodni nie odzyskałam pamięci.

– Dobrze. Właściwie nie chcę, żebyś ją odzyskała. Ponieważ sądzę, że nigdy jej nie straciłaś.

Clara blednie i unosi jasną brew.

– Wejdz. Moja mama upiekła tort pomarańczowy, naprawdę wspaniały. Chcesz kawałek?

– Z przyjemnością.

Selina Azais czyta wnętrzarskie pismo *Shabby chic*, siedząc na kanapie przed kominkiem.

– Dobry wieczór, Alice, miło cię znowu widzieć – mówi.

– Mamo, ukrój jej kawałek tortu.

– Sama możesz to zrobić – mówi.

Clara prychnęła głośno i udaje się w stronę kuchni. Zostaję sama z Seliną, która odkłada gazetę i obdarza mnie jednym ze swoich przyjaznych uśmiechów.

– Myślisz, że wyciągniesz coś z tej małej paskudy?

– Mam taką nadzieję.

– Będę szczerą: ja w to wątpię.

– Dlaczego? – pytam z ciekawością.

Selina zerka na drzwi do kuchni. Być może obawia się, że córka przyłapie ją na zdradzaniu wielkich tajemnic.

– To nieprzekraczalny mur. Nie mogę nawet wspomnieć o tacie, bo już zmienia

wyraz twarzy albo wychodzi z pokoju. Chce wyprzeć wszystko, co dotyczy jej dziadka, a ja tego nie rozumiem, bo przecież był najważniejszą osobą w jej życiu. Dlaczego miałyby o nim zapomnieć?

– Być może ból był tak silny, że woli usunąć wszystkie wspomnienia.

Dziewczynka wchodzi do salonu, w dłoniach niesie wciąż ciepły tort. Nie przesadzała: naprawdę jest przepyszny!

– Powinam skończyć pracę domową. Poczekasz piętnaście minut? – pyta obcesowa jak zawsze.

– Claro, nie możesz się tak zachowywać. Pani doktor przyszła tu dla ciebie i nie ma czasu do stracenia.

– Kwadrans nie robi różnicy – odpowiada z przekonaniem dziewczynka.

– Słusznie – mówię do Seliny. – Żaden problem.

Mam zresztą kilka pytań do Seliny i chętnie spędzę z nią kilka minut sam na sam.

– Widzi pani, pani Selino... wiele razy czytałam tamten list pani ojca.

– Jaki list?

– Ten, który został znaleziony przez pani brata Leone i stał się podstawą sprawy o ubezwłasnowolnienie.

– Ach, ten! To jedna z zabaw mojego ojca. Jedna z wielu szarad, które sprawiały, że omal nie oszaleliśmy!

– Tak to pani widzi? Pani ojciec przecież jasno wyrażał swój zamiar wydziedziczenia was wszystkich.

– Mój ojciec uwielbiał zwroty akcji – Selina nie wydaje się szczególnie poruszona.

– Lubił myśleć o sobie jako o bohaterze powieści.

– Czy ktoś z was znalazł w tym liście akrostych?

Po chwili wahania gwałtownie kręci głową.

– Nie. Nikt z nas nie zauważył. A przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo – mówi ze szczerym zdziwieniem.

– Hasłem akrostychu jest nazwisko.

– Czyje?

– Amélie Volange – mówię.

Selina otwiera szeroko swoje oczy koloru szaławii.

– Powiedziała pani: Volange?

Kiwam szybko głową, spodziewając się ciekawej opowieści.

– To może być córka Oliviera Volange'a.

– Tak właśnie jest – potwierdzam.

Selina odchyła się, zamyślona.

– Dawno temu miała miejsce nieprzyjemna sprawa... Ojciec tej kobiety był przyjacielem taty z Paryża z czasów ich młodości. Byli sobie bardzo bliscy, ale potem zerwali relację w strasliwym gniewie z powodu spraw sercowych.

– Catherine Rouvroy?

– Właśnie ona. Była wielką miłością ojca, zanim poznał mamę... Moja matka była o nią zazdrosna przez całe życie.

– Dlaczego wasz ojciec miałby zostawić wszystko córce Catherine?

Selina uśmiecha się gorzko.

– Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć – mówi, kręcąc głową. Potem w jej oczach pojawia się błysk. – Teraz, jak się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że kiedy dowiedzieliśmy się o decyzji ojca o pozostawieniu wszystkiego tajemniczej kobiecie, Leone zażartował, że musi chodzić albo o nieślubną córkę, albo tajemną kochankę.

Pomysł wydaje mi się sugestywny.

– Myśli pani, że to możliwe?

– Któż to raczy wiedzieć! Być może. Nie wykluczam tego.

– A inne hipotezy? – pozwalam sobie zapytać.

Selina kręci głową.

– Znaliście ją?

– Ja na pewno nie, ale nie mogę odpowiadać za moich braci.

– A pani, Selino, nigdy nie prosiła ojca o wyjaśnienia po przeczytaniu tego listu?

– Ależ oczywiście. Powiedział, że ma wobec tej kobiety dług i że po jego śmierci wszystkiego się dowiemy. Byłam bardzo ciekawa, ale nie dałam rady wyciągnąć z niego więcej. Odpowiadał: Nie bądź wścibska, bo tacy ludzie źle kończą.

– Muszę o tym pamiętać! – wołam, bo ta krótka maksyma w swojej prostocie pasuje i do mnie. – W takim razie nic się nie dowiedzieliście? A testament?

Selina wykrzywia różowe wargi.

– Nie rozpoczęliśmy jeszcze postępowania spadkowego. Domyślałam się, że zajmuje się tym Leone.

– A jednak Amélie Volange o wszystkim wiedziała. Wiedziała, że jest dziedziczką pani ojca.

– A niby skąd? Jeśli nawet my o tym nie wiedzieliśmy? – pyta oszołomiona Selina.

– Miałam nadzieję, że pani mi pomoże to zrozumieć.

– Przykro mi, ale nic o tym nie wiem. Dlaczego nie spyta pani o to jej samej?

– Ponieważ Amélie Volange nie żyje. Została zabita kilka dni temu, tu, w Rzymie – dodaję, próbując nią wstrząsnąć.

Zmarszczki na czole Seliny zmieniają się w głębokie bruzdy.

– Nie wiem wielu rzeczy... mój ojciec był mistrzem tajemnicy. Nie było się z nim łatwo dogadać. Szczerze rozmawiał tylko z Clarą, ale oni na pewno nigdy nie poruszyli tego tematu.

– Także Olivier Volange był pisarzem.

– Starał się – komentuje.

– Czytam jego powieści. Z ciekawości. Są bardzo piękne i znajduję w nich podobieństwa do powieści pani ojca, zwłaszcza do *Chciwości Deszideriusa Horvatha*.

– Słyszałam już podobne opinie – komentuje Selina po krótkim ataku kaszlu wywołanym jakimś pyłkiem w gardle.

– Olivier Volange kopiował książki dziadka. Był bardzo zazdrosny – wtrąca się Clara, wchodząc cicho do salonu w miękkich baletkach, które ślizgają się po parkiecie.

– Czytałam jego książki i wszystkie są słabą kopią *Chciwości Deszideriusa Horvatha*. Nie odniosły zresztą żadnego sukcesu.

To nic innego jak nastoletnia perfidia.

– Cóż, Claro, to powieści adresowane do bardziej dojrzałej publiczności. Każda książka ma swój właściwy moment, a przede wszystkim – swoją publiczność. Nie powinnaś ferować takich surowych ocen – zauważa Selina, przyjmując z moich dłoni talerzyk pełen okruszków. – Każda książka zasługuje na szansę. I nie istnieją książki dobre i złe, bo nie ma żadnego obiektywnego kryterium, by je osądzić. Istnieje tylko subiektywna ocena.

Clara przełyka ślinę, ale po chwili dodaje:

– Mówisz tak tylko dlatego, że wujek Enrico pisze. A ty powiedziałaś wszystko, żeby go chronić. Tak czy inaczej, wedle mojej subiektywnej oceny książki Volange’a to słabe kopie książek dziadka. On opowiedział mi całą historię.

– Jaką historię? – pyta lekko zaniepokojona Selina.

Clara siada obok mnie i zaczyna zaplatać kosmyk włosów w mały warkoczyk.

– Dziadek i Olivier byli najlepszymi przyjaciółmi. Poznali się na uniwersytecie i spędzali razem mnóstwo czasu. Studiowali francuską literaturę i próbowali swoich sił jako poeci, ale Oliviera nękały kompleksy, bo dziadek był od niego lepszy.

– Dziadek tak mówił? – dziwi się Selina.

– Właściwie tak. Olivier próbował opublikować tomik poezji, ale mu się nie udało. Dziadek natomiast zdołał wydać wiersz dedykowany cioci Heni, która umarła jako dziecko. Coś się między nimi popsło, także dlatego, że zakochali się w tej samej dziewczynie. Ona była baletnicą w operze. Na początku wołała dziadka, potem jednak wyszła za mąż za Oliviera. Zdaniem dziadka poślubiła go z litości, bo Volange był przegrany.

– Dziadek opowiadał ci też o tym? – dziwi się Selina.

– My z dziadkiem rozmawialiśmy o wszystkim. On przebaczył Volange’owi, wiedział, że zabrakło mu szczęścia. Dlatego w testamencie, który kazaliście podważyć – precyzuje, zwracając ku mnie pełen niechęci wzrok – poprosił swoje wydawnictwo, by ponownie opublikowało powieści Oliviera.

– Skąd wiesz? Przecież nie czytałaś testamentu? – pyta zaniepokojona mama.

– Dziadek mi powiedział. Ale testamentu nie czytałam – mówi, jakby chciała

dodać: „niestety”.

– Twój dziadek miał rację – dodaję. – Powieści Volange’a zostały niesłusznie zapomniane.

Clara nie zgadza się ze mną i nawet nie próbuje tego ukryć.

– Może i tak. Chodźmy na górę i pospieszmy się – decyduje, biorąc czekoladkę z blaszanej miseczki.

Tupot stópek Clary na drewnianych schodach prowadzi mnie do jej pokoju.

– Nie mówiłam tego wcześniej, bo nie chciałam, żeby mama usłyszała, ale doskonale wiem, dlaczego dziadek został ubezwłasnowolniony.

– Ach, tak? Chętnie cię wysłucham. Bo, mówiąc szczerze, ja nie wiem.

– Słyszałam, jak rozmawiają o tym moi rodzice, a oni są tego pewni. Wujek Leone przekupił drugiego lekarza, tego wysokiego, z kręconymi włosami, który był tu z tobą. Mój wujek zazwyczaj rozwiązuje problemy za pomocą pieniędzy. Ale chyba każdy, kto je posiada, postępuje tak samo. Słyszałam też, że zdaniem moich rodziców zdołał przekonać lekarza, by uznał, że dziadek był niepoczytalny już od dawna, a w ten sposób podważyć testament.

– To poważne oskarżenie – komentuję ostrożnie. – Macie jakieś dowody?

– Żadnych. Ale my to wiemy. Mój ojciec zrozumiał wszystko, gdy usłyszał fragment bardzo dwuznacznej konwersacji. A ty nie zaprotestowałaś.

Próbuję jak najprościej wyjaśnić jej, że nie mam żadnej autonomii ani autorytetu. Tak wygląda niewdzięczne życie studentów specjalizacji, które skończy się dopiero, kiedy odbiorę dyplom. Clara to rozsądna dziewczynka, wygląda, jakby rozumiała.

– Dziadek też to podejrzewał i twierdził, że Leone z pewnością zrobi wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Mój wuj to człowiek, który potrafi posunąć się za daleko. Poza tym dziadek miał bardzo złą opinię o tamtym lekarzu. To niesprawiedliwe, że jego wola nie jest respektowana.

Próbuję znów zapytać ją o wydarzenia feralnego popołudnia. Naciskam i wymuszam. Clara rumieni się i denerwuje:

– Dość już tych tortur. Nie pamiętam, nie pamiętam!

Jest mi bardzo głupio. Przysięgam sobie i jej, że po raz ostatni zmuszam ją do rozmowy, na którą nie ma ochoty.

– Proszę cię tylko, żebyś zadzwoniła do mnie, jeśli zdecydujesz się powiedzieć mi, co się stało z dziadkiem. Wiem, że doskonale wszystko pamiętasz, ale nie potrafię tego udowodnić. Mogę tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia wszystko mi opowiesz.

Clara nieśmiało kiwa głową.

To kluczowy moment: nie zaprzecza. Nie powtarza znów tej samej wymówki, w którą przestałam już wierzyć.

– Pamiętasz, prawda? – nalegam.

Ona spogląda na biały abażur, jak zaczarowana. Pozytywka zaczyna nagle grać, jak

to dzieje się czasem, kiedy mechanizm się blokuje, a potem na nowo rusza po kilku miesiącach.

– Claro, nie proszę cię o nic innego. Powiedz mi tylko, czy tak właśnie jest. Muszę wiedzieć, że nie zwariowałam. Nic nikomu nie powiem.

– Nie mogę ci pomóc, przykro mi – odpowiada tylko, wstając ze swojego fotelika w małe, różowe kwiatki i muskając tiul moskitiery nad jej łóżkiem. – Idziemy na dół? – pyta. Kiwam głową, pokonana. Nim zamykam drzwi, Clara szepcze mi do ucha: – Nie jesteś wariatką.

Czuję, że w moich żyłach krew się pieni, podnosząc alarm. To sygnał, który moje ciało wysyła, by mnie ostrzec. Sygnał, że przekraczam granicę.

*Nigdy nie zrozumiałem, co się
w moich książkach nie zgadza.*

*Przeczytałem już tak wiele
krytycznych opinii, że w końcu
sam doszedłem do wniosku, że
nie są nic warte.*

Olivier Volange w wywiadzie z 1974 roku

Wciąż w ekstazie kończę *Siostrę, kochankę* i odkładam ją na półkę.

To książka o stratosferycznej intensywności, która obezwładnia moje ciało i umysł. Wyszukuję w Google’u Oliviera Volange’a i zafascynowana pochłaniam wszystko, co jestem w stanie znaleźć.

Wersja Clary mnie nie przekonuje. Podobieństwo między książkami Azaisa i Volange’a można uzasadnić stwierdzeniem, że Olivier kopiował Konrada, ale... A gdyby było na odwrót? To wyjaśniałoby spadek dla Amélie, coś w rodzaju zadośćuczynienia za oszustwo. Gdyby bowiem tak było, Konrad wykorzystywałby styl Oliviera, ale z większym sukcesem.

Mojej hipotezie przeczy porządek chronologiczny: pierwsza powieść Volange’a jest późniejsza od *Chciwości Deszideriusa Horvatha*. A jednak...

Zastanawiam się gorączkowo.

Konrad i Olivier dzielili tę samą pasję i kto wie, ile razy przeczytali nawzajem swoje prace, nim poszli różnymi drogami. Podczas tej formacyjnej fazy z pewnością mieli wspólny bagaż. Być może żaden nie dokonał plagiatu, być może obaj na swój sposób opracowywali wspólne tematy i osiągnęli podobne rezultaty. Tylko krytyk literacki mógłby dać mi odpowiedź, ale w Internecie znajduję jedynie fragmenty wywiadu z Olivierem Volange’em. Z tego, co wyczytałam, krytycy pogardzali twórczością Oliviera, który cierpiał przez to przez całe życie. Wydaje mi się, że recenzenci zauważyli podobieństwa i przyjęli najbardziej oczywistą hipotezę: Volange kopiował Azaisa. A z tych dwóch Konrad był lepszy, ponieważ napisał *Chciwość Deszideriusa Horvatha*. Moim skromnym zdaniem nawet *Trylogia Margó* nie wytrzymuje porównania z *Siostrą, kochanką*. W książkach Oliviera Volange’a znajduję równowagę, podczas gdy powieści Azaisa oscylują między dwoma skrajnymi biegunami, może poza *Chciwością*.

Gdybym opowiedziała komuś o tych moich wycieczkach myślowych, ten z pewnością, całkiem słusznie, zauważyłby ich bezcelowość. Jeśli śmierć Azaisa była naturalna, a ta Amélie była wynikiem wypadku... jeśli wszystko jest oczywiste, po co starać się zrozumieć, czemu córka Oliviera Volange'a została dziedziczką Konrada Azaisa?

Następnego dnia w instytucie wciąż rozmyślam. Wally, która wszystko wie i wszystko widzi, a już zwłaszcza wszelkie błędy studentów, straszy *en passant*, że zdąży jeszcze oblać mnie w tym roku. Później, korzystając z nieobecności moich koleżanek z pokoju, wybieram numer Beatrice Alimondi, która nie kryje radości, że mnie słyszy.

– Wybierasz się dzisiaj do instytutu? – pytam.

– Nie, ale jeśli dzieje się coś ciekawego, jak na przykład striptiz Confortiego, już lecę.

– Cóż, nic aż tak ciekawego... Ale mam pewien pomysł. To długa historia i mogę ją opowiedzieć tylko tobie.

– Już jadę!

Kilka minut później Beatrice wchodzi do instytutu. Jak zwykle słycać ją z daleka.

– Pewnie przyjechała do Claudia – komentuje jadowitym głosem Ambra.

– Nie, do mnie – precyzuję. Ambra i Lara spoglądają na mnie z niedowierzaniem.

– Do ciebie?! – woła Ambra. – Przygotowujecie razem jakieś badanie?

Ambra ma ambicję zrobienia kariery uniwersyteckiej. Dlatego też każdy, kto prowadzi badania prócz niej, jest podejrzany, jako potencjalna konkurencja.

– Coś w tym stylu – odpowiadam, ciesząc się z jej zainteresowania.

Lara jest równie ciekawa, ona w sumie też ma duszę drapieńczy. Moje kontakty z młodą badaczką anatomii patologicznej uznaje za co najmniej niepokojące.

– *Bonjour* wam wszystkim! – Beatrice wkracza do naszego pokoju, a dwie moje koleżanki odpowiadają z mniejszym entuzjazmem. – Gdzie możemy spokojnie porozmawiać? – pyta, opierając się o framugę drzwi.

– W bibliotece powinno być pusto.

Idziemy korytarzem, a ja zauważam, że Beatrice szuka kogoś lub czegoś spojrzeniem.

Oczywiście chodzi o Claudia. Nie trzeba wielkiej intuicji, by na to wpaść.

Niedługo później nadchodzi potwierdzenie. On wygląda przez drzwi, przywołany jej piskliwym głosem.

– Wydawało mi się, że słyszałem twój słodki głosik – komentuje, popijając kawę.

– Co masz przeciwko mojemu głosowi? – odpowiada ona arogancko.

– Drażni mnie jego brzmienie – odpowiada on.

– Ach, Conforti! *Era megghiu crisciri porci, almeno manciaumu.*

On wybuchą śmiechem, ale ja nie zrozumiałam do końca tej opinii, którą Claudio

od razu tłumaczy.

– Typowa finezja Beatrice. Oznacza, że lepiej było hodować prosiaki, bo przynajmniej mogłaby je sobie zjeść. Wydaje mi się, że prosiakiem jestem w tej historii ja. To takie subtelności kalabryjskiego dialektu.

Beatrice uśmiecha się. Ich porozumienie wyłania się niczym z morskiej toni, a ja nijak nie mogę temu zapobiec. Nie da się uwolnić od przeszłości, jest za nami i w nas.

– Co wy kombinujecie we dwie? – pyta Claudio po chwili nie mniej zdziwiony niż Ambra.

Patrzymy na siebie z Beatrice i wybuchamy śmiechem. On kręci głową, zrezygnowany, i zostawia nas same.

I to właśnie w tym absurdalnym momencie, kiedy na niebie widnieje tęcza, jakiej nie widziałam od lat, w tej chwili, w której mniej więcej tak jak zwykle ryzykuję, że zostanę wzięta za wariatkę pozbawioną samokontroli, opowiadam Beatrice o moich przypuszczeniach.

Jestem o tym bowiem naprawdę przekonana: Konrad Azais splagiatował Oliviera Volange’a.

I tylko jedna osoba mogłaby to potwierdzić: Catherine Rouvroy.

Mam zamiar napisać do niej z pomocą Beatrice.

– Dobrze. A jaki widzisz związek między tym wszystkim a spowodowaną arytmia śmiercią Konrada Azaisa? – pyta. W jej głosie słyszę sarkazm, ale dość subtelny i nawet zabawny.

– Wszystko wskazuje na to, że Amélie Volange była główną spadkobierczynią Azaisa. A teraz, niby zupełnym przypadkiem, pirat drogowy potrafił ją i uciekł.

– Wydaje mi się jednak, że Azais zostanie uznany za niepoczytalnego, a wtedy jego testament nie będzie miał żadnego znaczenia. Zresztą, gdyby nawet Azais nie został ubezwłasnowolniony, jego dzieci miałyby prawo podważyć testament, ponieważ mają prawo do zachowku. A więc, w gruncie rzeczy Amélie Volange nie była dla nich aż tak niebezpieczna.

– Niezupełnie tak jest – precyzuję. – Ubezwłasnowolnienie liczy się od zapadnięcia wyroku, ale nie podważa testamentu sporządzonego wcześniej. Rzeczywiście, najprawdopodobniej rodzina Azaisa zdoła uzyskać potwierdzenie, że był niepoczytalny już wtedy, ale nie mogą mieć pewności. W każdym razie gra była warta świeczki: kwota zachowku musiała być minimalna, gdy porównać ją do bogactwa zgromadzonego przez Azaisa. No i jest coś jeszcze. Śmierć ze stresu. A co, jeśli ktoś przeraził Azaisa? A potem symulował samobójstwo, zostawiwszy na wierzchu list. I być może ta sama osoba potrafiła później Amélie Volange.

Beatrice nie wydaje się przekonana.

– No cóż, Alice, mogłabym się z tobą zgodzić, ale mówiąc całkiem szczerze, to dość fantastyczna hipoteza.

- Jestem przyzwyczajona do podobnych opinii, nie martw się.
- W każdym razie wciąż nie jestem pewna, jakiej odpowiedzi oczekujesz od matki

Amélie.

- Tylko potwierdzenia.

Beatrice wzdycha.

- W takim razie bierzemy się do roboty.

Tego samego wieczora wysyłam list na adres szkoły tańca, prowadzonej przez Catherine w Paryżu, a przed snem czuję, że zrobiłam to, co należało. Jeśli Catherine odpowie i potwierdzi moją teorię o plagiacie Konrada, porozmawiam o tym z Calligarisem.

*Tłumaczysz słowami pejzaże,
które widziałeś i układasz je
na nowo. W ten sposób
upewniaasz się co do swojej
egzystencji i swojego miejsca
w świecie.*

Haruki Murakami

Choć powinienam skupić się na badaniach dla Wally, mam otwartą przeglądarkę i dzięki swojemu uporowi odkryłam na jakiejś naukowej stronie odniesienie do artykułu o podobieństwach między twórczością Oliviera Volange'a i Konrada Azaisa. Niestety to jedynie cytat, ale zawsze coś. Jedyńm sposobem, aby przeczytać artykuł w całości, jest wizyta w bibliotece instytutu literatury. Postanawiam udać się tam jeszcze tego samego popołudnia, po wizycie u Cordelii, która została wczoraj wypisana ze szpitala w stanie względnie stabilnym. Kuzynka Lavinia wciąż z nią mieszka i zostanie, póki Yuki nie wróci do Japonii.

Zadowolona ze swojego odkrycia kontynuuję poszukiwania, kiedy słyszę głosy Claudia i Ambry, którzy kłócą się nieopodal mojego pokoju.

– Księżniczka znalazła się w kiepskiej sytuacji – komentuje Lara.

Kto wie, jaki był powód niezgodności charakterów, o której wspominał Claudio.

– Pewnego dnia słyszałam żalowaną rozmowę, podczas której ona prosiła, żeby do niej wrócił i oskarżała go o zdradę z kalabryjską anatomopatolożką – dodaje Lara.

– Cóż, księżniczka zasługiwała na przyprawienie rogów – odpowiadam, chociaż podejrzewam, że nie był to rzeczywisty powód rozstania. Ambra nie wypuściłaby Claudia z rąk z równie błahego powodu. Należy do kobiet, które znoszą zdrady, byle zachować swoją patynę splendoru. Intuicja podpowiada mi, że chodziło o coś znacznie głębszego i bardziej krytycznego, coś, co naprawdę poruszyło Królową Pszczolę instytutu i zraniło ją aż do głębi.

Jak zwykle w samą porę – chyba ma radar, który pozwala mu wyczuć, kiedy się o nim rozmawia – Claudio wchodzi i przerywa nasze plotki.

– Ruszaj się, Nardelli, jedziemy do prokuratury, musisz mi towarzyszyć w przesłuchaniu.

– Oczywiście... Muszę tylko skończyć ten raport.

– Głucha jesteś? Kazałem ci się pospieszyć.

Wyłączam komputer i zaczynam zdejmować kitel.

– A ty dokąd się wybierasz? – pyta, mierząc mnie lodowatym spojrzeniem.

– Idę z wami – odpowiadam spokojnie.

– Czy ja coś takiego powiedziałem?

Dopiero w tym momencie zdaję sobie sprawę, że mnie zaproszenie nie dotyczyło. Kręcę głową.

– No właśnie. A poza tym, co ci się stało? Odkąd lubisz babrać się w błocie?

To prawda, samochód przejechał tuż obok mnie na pełnym gazie i ochlapał mnie błotem, ale to nie moja wina, że wilgoć psuje fryzurę, ten problem dotyczy 90 procent kobiet rasy kaukaskiej.

– Uważasz, że wolno ci mówić takie rzeczy?

– Owszem. Nie możesz się tak pokazywać.

– Chcę zostać lekarzem sądowym, nie modelką. Mój wygląd nie ma znaczenia.

– Ach, cóż. Chciałem dobrze. Świat ocenia po pozorach.

– Na szczęście nie cały. Ale ty z pewnością należysz do tej powierzchownej grupy.

Nie możesz zabronić mi asystować w przesłuchaniu tylko dlatego, że kiepsko wyglądam. To byłby mobbing!

Mówię z ogromnym przekonaniem, na co on odpowiada wyzywająco:

– Ja mogę z tobą zrobić, co zechcę. Jeśli ci się nie podoba, pozwij mnie. Nardelli, czekam na ciebie za pięć minut w swoim gabinecie. Jeśli się spóźnisz, będziesz szła na piechotę.

Zastanawiam się, czy to wszystko się przydarzyło, czy mi się przyśniło, czy może to jakiś histeryczny duch pojawił się w naszym pokoju i wcielił się w Claudia.

– Brak mi słów. bardzo mi przykro – szepcze Lara, owijając szyję beżowym szalem, który sama zrobiła. Macham ręką, by się nie przejmowała.

– Posłuchaj – dodaje – zanim zapomnę, wczoraj, kiedy już wyszłaś, zjrzał tutaj ten nieszczęsny psychiatra, który pracuje z Anceschim.

– Laurenti? Co się stało?

– Prowadzili jakąś burzliwą dyskusję. Nigdy nie słyszałam... by Anceschi był tak poruszony. Jeśli dobrze zrozumiałam, ktoś chce podważyć jego opinię na temat tego pisarza.

– Laro, powinni zatrudnić cię w CIA. Teraz lepiej idź, zanim ten wstręciuch cię tu zostawi.

* * *

Kilkanaście minut później stoję przed drzwiami Anceschiego, aby mniej lub bardziej subtelnie wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Tak jest, Allevi. Zostaliśmy wezwani do złożenia wyjaśnień przez sędziego, który powierzył nam to zadanie, ponieważ doradca Seliny Azais napisał ocenę naszej

diagnozy. Powiedzmy tylko, że ją zmiążdżył, zwłaszcza część psychiatryczną.

– A profesor Paladino?

– Na razie milczy.

– Profesorze, wie pan, że Norbedo są przekonani, że Leone Azais skorumpował Laurentiego?

Anceschi wzdycha ciężko.

– Nie wiem, co myśleć. Popierałem i podzielałem jego opinię. Wydawała mi się intelektualnie uczciwa. Konsultant córki podważył w zasadzie wszystkie testy. Istnieje poważne ryzyko, że sędzia odrzuci naszą diagnozę i zamówi nową.

– Prof... ja wiele razy mówiłam, że Azais nie powinien zostać ubezwłasnowolniony.

– Popełniłem poważny błąd. Ta praca nie pozwala na dyspensy ani dystrakcje. Nie powinienem był opuszczać miejsca pracy, Allevi. I to nie ze względu na brak zaufania – przeciwnie, udowodniłaś, że miałaś rację, ale dlatego, że powinienem samodzielnie wykonywać moje zadania.

– Ale pana teściowa umierała...

– Tak, ale koniec końców nie umarła.

Nasz dobry Święty Mikołaj wydaje się bardzo rozgoryczony.

– Ale nie... zostawił mnie pan samą, bo wie pan, że muszę zdobywać doświadczenie. Należy to do obowiązków studentów specjalizacji – mówię, nie umiejąc oprzeć się pokusie pocieszenia g°.

Znów wzdycha głęboko, przez co pokój wypełnia się napięciem. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, a on żegna się chłodno, lecz nie sprawia wrażenia, by miał do mnie żal.

Nie jest miło widzieć swojego promotora w takim stanie. Czuję straszną złość wobec Laurentiego, który powinien zostać zawieszony do końca życia, ale któremu się, oczywiście, upiecze. Zastanawiam się, czy jest świadomy wszystkich kłopotów, których narobił: życzę mu, żeby pojął to jak najszybciej, żeby cały ciężar jego powierzchownej, skorumpowanej ignorancji spadł mu na głowę.

* * *

Z przyjemnością dowiaduję się, że Selina Azais zbuntowała się przeciw braciom i jestem na tyle pogodzona z ludzkością, że spokojnie przyjmuję informację, którą Alessandra przekazuje mi w czasie obiadu.

– Alice... tylko się nie złość. Zaprosiłam Arthura na ślub.

– I tak nie przyjdzie.

– Zadzwońiłam do niego, żeby spytać, na jaki adres przesłać zaproszenie. Był uroczy, jak zwykle. Powiedział, że zrobi wszystko, żeby przyjechać.

– Zawsze tak mówi, ale nie ma na co liczyć.

– Nadal uważam, że popełniłaś gigantyczny błąd, Alice. Głupio zrobiłaś, takiego

faceta ze świecą szukać, tyle ci powiem. Poniosła cię pycha.

– Dzięki – komentuję sucho.

– No dobrze, przynajmniej ci to powiedziałam.

– Och, nie ma wątpliwości, że powiedziałaś.

– Przykro mi – szepcze, ściskając moją dłoń nieco opuchniętymi palcami. – Po prostu czasami wydaje mi się, że nie potrafisz pewnie iść właściwą drogą. Zawsze zbaczasz z niej i pakujesz się w kłopoty. Martwię się o ciebie.

* * *

Nie sposób zaprzeczyć, że obiad z Alessandrą był tragiczny i wciąż przybita docieram na wydział literatury w Villi Mirafiori.

– Ma pani upoważnienie? – pyta mnie z uśmiechem bibliotekarka, kiedy wyjaśniłam, że nie, nie jestem studentką literatury, lecz medycyny.

– Nie mam pojęcia, co to jest – odpowiadam, gotowa na kolejne trudności.

– To gwarancja promotora, zezwalająca na wypożyczenie.

– Ale ja nie muszę nic wypożyczać. Jeśli to możliwe, chciałabym zajrzeć do tego tekstu na miejscu – wyjaśniam, pokazując karteczkę, na której zapisałam tytuł.

Bibliotekarka wydaje się zagubiona.

– Skarbie, obawiam się, że ja ci nie pomogę... Ale masz szczęście, jest tutaj dziewczyna, która długo zajmowała się tym właśnie autorem, wiele razy prosiła mnie o jego książki, do pracy magisterskiej czy czegoś w podobnym stylu. Poczekaj chwilę – mówi, po czym znika za regałami.

Rozglądam się dokoła, myśląc, że nie ma bardziej poetyckiego miejsca niż takie, w którym nie widać ścian z rzędów książek.

– Ja wezmę książkę, której potrzebujesz. Dzięki temu będziesz mogła do niej zajrzeć.

Głos należy do dziewczyny o długich, kręconych włosach, ubranej w sukienkę do kolan, z opaską z małą kokardką na głowie. Ma jasne, duże oczy, mocno podkreślone tuszem.

– Cześć, mam na imię Carlotta – dodaje, podając mi dłoń. – Chętnie ci pomogę, nie ma sensu bawić się w biurokrację.

Już chciałam zaangażować w sprawę Yukino, ale jeśli nieznajoma Carlotta oferuje mi praktyczne i natychmiastowe rozwiązanie, nie mam zamiaru odmawiać.

– Czego dokładnie szukasz?

Pokazuję jej bilecik, na którym zapisałam tytuł.

– Ooo! To ciekawe! Olivier Volange jest bardzo niedocenianym pisarzem! – woła zdziwiona. – A poza tym, jeśli dobrze zrozumiałam, studiujesz medycynę? To naprawdę przedziwne! Jeśli mogę ci jakoś pomóc... jak mówiła Patrizia, dość dobrze znam spuściznę Volange'a. Zgłębiałam jego twórczość, gdy pisałam pracę magisterską.

– Doskonale! Rzeczywiście, mam kilka pytań...

Oczy Carlotty otwierają się szeroko z zachwytem.

– Naprawdę! Wspaniale! Chodź, usiądziemy przy bocznym stoliku.

Widziane od tyłu jej ciemne włosy przypominają ponczo. Siada przy stoliku i stawia na nim plastikowy kubeczek z cappuccino.

– Mów, proszę – zachęca.

– Czy to prawda, że z technicznego punktu widzenia książki Volange’a są gorszą kopią powieści Azaisa?

Carlotta marszczy czoło i rozpoczyna egzegetyczne wyjaśnienia, które rzucają wyzwanie mojej cierpliwości. Jej konkluzja jest jednak warta odnotowania.

– Najnowsze badania obalają teorię, jakoby Volange był przeciętnym autorem, tworzącym kopie tekstów Azaisa. Jego powieści zostały poddane ponownej ocenie i ja osobiście doszłam do wniosku, że są lepsze od utworów Azaisa, który napisał tylko jedną wybitną powieść: *Chciwość Deszideriusa Horvatha*. Styl jest niewątpliwie podobny, ale Volange wydaje się bardziej autentyczny i ma przebłycki geniusz, których u Azaisa, prócz *Chciwości*, nie ma wcale.

– Właśnie! Całkowicie podzielałam tę opinię – odpowiadam triumfująco. – Prawda jest taka, że *Chciwość Deszideriusa Horvatha* wydaje się napisana przez Volange’a, nie Azaisa.

– Jak najbardziej! – potwierdza Carlotta. – Mój promotor też jest o tym przekonany. Opowiedział mi, że kiedyś, kiedy Azais był modnym autorem, w pewnych środowiskach krążyła plotka. Mówiono, że prawdziwym autorem *Chciwości* jest właśnie Volange. Kiedy wieść dotarła do Azaisa, który był człowiekiem porywczym, napisał w bardzo znanym, literackim czasopiśmie pamflet, którym udowodnił, że nie ma krzty poczucia humoru. Strasznie się wściekł, a to jedynie wzmogło plotki. Volange je zdementował, mówiąc, że napisanie takiej książki jest jednocześnie cudem i przekleństwem. Niewiele później popełnił samobójstwo i historyjka straciła swój urok. Dzisiaj uważa się, że plotkę wymyślono tylko po to, by narobić zamieszania i w rzeczywistości *Chciwość* napisał Konrad Azais, któremu nigdy nie udało się już wznieść na poziom wyznaczony przez debiut. Wielu pisarzy rozwija się z książki na książkę. Azais przeciwnie. Zdarza się.

– A ich życie prywatne? Z tego, co wiem, kochali jedną kobietę, która później poślubiła Volange’a.

Carlotta kiwa głową, popijając swoje, zimne już, cappuccino.

– Oboje kochali się w baletnicy tańczącej w operze. Azais, który miał gorący temperament, zdołał ją uwieść i ich związek trwał długo. Podobno łączyła ich bardzo gwałtowna relacja, dochodziło do rękoczynów, mówi się nawet – choć nie zostało to nigdy potwierdzone – że Azais złamał jej nadgarstek podczas kłótni. Rouvroy rzuciła go i kilka lat później poślubiła Volange’a, który był znacznie spokojniejszy, ale miał skłonności depresyjne i w końcu popełnił samobójstwo. Rouvroy z pewnością

wywarła duży wpływ na twórczość ich obu: zainspirowała *Trylogię Margo Azaisa*, która zresztą nie zawsze jest dla niej łaskawa. Volange zadedykował jej *Siostrę, kochankę*, która prawdopodobnie jest jego najwybitniejszą książką.

Po kolejnej wymianie literackich uwag z całego serca dziękuję Carolocie, która nalega, bym na wszelki wypadek zapisała jej numer telefonu.

Wracam do domu w deszczu, zziębnięta, rozleniwiona i zgnuśniała, czyli w takim samym humorze, jaki towarzyszy mi ostatnio codziennie.

*I hurt myself today to see if
I still feel.*

Gładząc najeżone futro Ichiego i popijając herbatę o smaku róży i hibiskusa, zastanawiam się nad wydarzeniami, które miały miejsce w dniu śmierci Azaisa. Jeśli podejrzenia Beatrice są słuszne, jeśli Konrad naprawdę padł ofiarą silnego szoku – hipoteza równie oryginalna, co sugestywna – czy traumę mogła spowodować jakaś nieoczekiwana wiadomość? A ten list na biurku... Czy położył go tam ktoś, kto zamierzał wprowadzić innych w błąd? Czy może Konrad naprawdę chciał ze sobą skończyć? A może to była zwykła arytmia, zjawisko typowe u starszych osób, zwłaszcza chorych na serce?

Zostawiam na łóżku Ichiego, który wydaje z siebie pisk rozczarowania i zaczyna drapać się po szyi, kiedy ja chwytam laptopa i zaczynam przeszukiwanie Pubmed.

Stress induced cardiomyopathy related deaths.

Śmierć spowodowana kardiomiopatią wywołaną stresem.

Zamykam stronę wzbogaconą intelektualnie, ale nie znajduję nic nowego w kwestiach, które mnie interesują: ze względu na brak pewnych danych, obawiam się, że podobnego przypadku nie da się rozwiązać. Jediną osobą, która posiada takie informacje, jest Clara, a ja zaczynam sądzić, że droga tolerancji prowadzi donikąd: prędzej czy później będzie musiała powiedzieć mi, co widziała.

Och, jak bardzo chciałabym mieć szklaną kulę albo zdolności mediumiczne! Albo może wystarczyłoby, gdybym była po prostu zdolniejsza i lepiej przygotowana...

– Alice! Przyszła do ciebie paczka. – Moja mała Japoneczka trzyma w dłoniach dużą, miękką kopertę. – To pismo Arthura *kun!* – zauważa podekscytowana, jakby to ona była adresatką. – Otwieraj, szybko!

Czuję, jak mocno serce wali mi w piersi. Otwieram ją delikatnie i znajduję w środku ilustrowaną książkę, cienką niczym broszurka. To książka dla dzieci, a ilustracje są śliczne.

The Usborne First Hundred Words in French. Pierwszych sto słów po francusku. Przeglądam ją, a Yuki podchodzi i zerka z zaciekawieniem. Dołączony jest bilecik.

Powiedziałaś kiedyś, że nie mogłabyś przeprowadzić się do Paryża, bo nie znasz ani słowa po francusku. To na początek.

– Jedziesz do Paryża?! – woła oszołomiona Yuki.

– Nie sądzę.

Zostawiam ją z jej milk shakiem i z uwagą przeglądam książkę. Na każdym rysunku schowana jest żółta kaczuszka, zaczynam jej szukać i uśmiecham się. Bolesnie jest zdać sobie sprawę ze zmiany, której wcale się nie pragnęło. Jak trudno jest akceptować przemianę, podejmować decyzje, mierzyć się z rzeczywistością.

Podejrzewam, że na tym właśnie polega dorastanie i że w wieku dwudziestu siedmiu lat i na mnie przyszła pora.

– Odpowiedziałś mu? – pyta Yuki z drugiego pokoju.

– Jeszcze nie. Nie wiem, czy odpowiem, nie mam nic do powiedzenia.

– Ach, doprawdy?! – woła, wbiegając do mojego pokoju niczym furia. – Nie powinnaś podziękować?

– Sytuacja jest skomplikowana.

– Nie sytuacja, ty skomplikowana! – odpowiada ona, jak zwykle upraszczając sprawę.

No dobrze, skoro nawet Yuki nie stoi po mojej stronie, to znaczy, że moja sytuacja jest naprawdę kiepska.

* * *

Kolejny dar w mojej skrzynce na listy: koperta koloru kości słoniowej, list napisany ręcznie po francusku – prezent od Arthura nie wystarczy, by go przetłumaczyć – w kopercie z adresem Catherine Rouvroy na odwrocie. Dzwonię do Beatrice, która proponuje kolację u siebie.

– Będziemy mogły spokojnie porozmawiać – uzasadnia, a ja zgadzam się natychmiast.

Wkładam brązową, aksamitną marynarkę i džinsy, męczę suszarką grzywkę, która dzisiaj jest wyjątkowo zbuntowana, i wsiadam do metra, żeby dojechać do Beatrice.

Ona przyjmuje mnie w czarnej sukience i pantoflach. Na ramionach ma szary szal, a na nosie okulary w niebieskich oprawkach. Przesadziła z ciemną konturówką.

– Witaj! – woła, otwierając drzwi. Jej mieszkanie jest małe, ale ma balkon ze spektakularnym widokiem na miasto.

– Zamówimy pizzę? Albo, jeśli wolisz, w pobliżu jest świetny chińczyk.

– Chińczyk brzmi super – odpowiadam, kładąc torbę na beżowej kanapie w salonie i zdejmując płaszcz.

– Taką miałam nadzieję! Sajgonki i pierożki?

– Ty wybierz – odpowiadam bezmyślnie, bardziej zainteresowana jej mieszkaniem, jej uśmiechniętymi autoportretami ze wszystkich krajów świata, które przypominają mi krasnalę z Amelii.

– Zamówiłam też chipsy krewetkowe i wieprzowinę z bambusem i grzybami – słyszę. Włącza stereo, a w pokoju rozbrzmiewa 1979 Smashing Pumpkins, piosenka, której słuchałam w ostatniej klasie liceum i która cofa mnie teraz w dawne czasy. Czuję się zagubiona. – No już, wyciągaj ten list.

– Ach, tak. Przepraszam – odpowiadam, budząc się z transu. Wyciągam z torby list i podaję jej.

Beatrice siada wygodnie, zaczyna czytać i tłumaczyć a vista.

Droga Alice, pani list oszołomił mnie i potrzebowałam chwili, by się otrząsnąć. By dać odpowiedź na pani pytanie, muszę opowiedzieć historię, która sięga wielu lat wstecz.

Byłam głupiutką dziewczyną, kiedy poznałam Konrada i Oliviera. Chciałam tylko tańczyć i uwolnić się od mojej opresyjnej matki, która nie pozwalała mi być tym, kim chciałam. Mieli tak intymną relację, że wydawało mi się, iż jest w niej coś... szczególnego. I rzeczywiście, coś szczególnego w niej było, chociaż nie to, co podejrzewałam i co wydawało mi się tak dziwne. Byli połączeni w niezdrowy sposób, szanowali się i zazdrościli sobie nawzajem, rzucali sobie wyzwania i walczyli, ale nie byli w stanie się od siebie odseparować. Dzielili małe, zapleśniałe mieszkanie w V dzielnicy. Oni sami śmierdziali zamknięciem, a wszystkie ich przedmioty pokryte były zielonkawą patyną. Także ich buty. A jednak nie chcieli opuścić tego mieszkania, którego podłogi nie dało się już dostrzec spod kartek, notatek, tomów. Mimo wszystko to miejsce mnie przyciągało. Mieli bardzo stary gramofon, który należał do ojca Oliviera, i słuchali muzyki klasycznej. Małe mieszkanie było zawsze pełne ludzi, wszyscy palili, a zapach pleśni mieszał się z zapachem dymu. Nigdy nie brakowało alkoholu ani jabłka. Olivier uwielbiał jabłka, poza tym za pieniądze, które mieli, nie mogli pozwolić sobie na befsztyki. Wszystko, co mieli, wydawali na książki i jabłka. Olivier był bardzo łagodny. Zbyt prawy, jego niewinności nic nie kalalo. Konrad był skomplikowany. Gniewny i gwałtowny. Obaj pragnęli zostać słynnymi pisarzami i dawali mi do przeczytania swoje utwory. Kopiowali różne style, nie umieli znaleźć własnego głosu. Oczywiście żaden z nich nie mógł znaleźć też wydawcy, ale nie tracili zapału. Konrad zwłaszcza był szalenie ambitny, nie myślał o niczym innym. Olivier był bardziej wycofany, żył marzeniami i nadzieją.

Szybko zdałam sobie sprawę, że stworzyliśmy trójkąt. Ja pragnęłam ich obu, być może przez niedojrzałość, być może przez próżność. Bałam się Konrada, jego okrutnego uśmiechu, ale Olivier nie wzbudzał we mnie podobnego drżenia.

Później lenistwo Oliviera zaczęło mnie męczyć, podczas gdy odwaga Konrada pociągała mnie coraz bardziej. Dokonałam wyboru i nie ma dnia, bym go nie żałowała. Konrad wciąż pisał z zapałem, który rósł wprost proporcjonalnie do tego, jak często mu odmawiano.

W międzyczasie coraz rzadziej widywałam się z Olivierem; stawał się coraz bardziej introwertyczny, rzadko wychodził z pokoju, coraz mniej pracował. Żył za pieniądze, które dawał mu ojciec, i spał całymi dniami, żeby pisać w nocy.

Pewnego dnia byłam świadkiem kłótni między nimi, tak gwałtownej, że poczułam się oszołomiona. Po raz pierwszy naprawdę przestraszyłam się Konrada, a jak się później okazało – nie ostatni. Jego niekontrolowane wybuchy złości były tak gwałtowne, że wolałam zakończyć nasz związek. Kilka miesięcy później jego powieść została opublikowana i osiągnęła ogromny sukces. Wyprowadził się z domu w V dzielnicy i zostawił Oliviera, który napisał do mnie kilka lat później. Pytał, czy podobała mi się „Chciwość Deszideriusa Horvatha”. To pytanie wydało mi się dziwne, zadane w niewłaściwym czasie, ale odpowiedziałam szczerze. Wciąż pamiętam dokładnie moje słowa: chociaż to ON napisał tę powieść, jest arcydziełem.

Olivier poprosił mnie o spotkanie, a potem nastąpiły smutne lata. Także jemu udało się wydać swoje prace, ale nie powtórzył sukcesu Konrada. Bardzo z tego powodu cierpiał. W końcu poślubiłam go. Zawsze wybierałam niewłaściwą osobę w niewłaściwym czasie. Dał mi dwoje cudownych dzieci, ale ja przeżyłam ich oboje. Podejrzewam jednak, że to pani nie interesuje, że ciekawi panią, co wiem o tej książce.

Niewiele.

Olivier nigdy się nie zdradził, ale coś mi zawsze mówiło, że to on był prawdziwym autorem „Chciwości”. Znałam ich obu.

Dobrze znałam Konrada, Oliviera jeszcze lepiej. Ta książka jest jego, nie Konrada. Biedna Amélie opowiedziała mi, że, niedługo przed śmiercią, Olivier wyznał, że Konrad ukradł mu rękopis, a on był zbyt słaby, by odzyskać swoją własność. Pozwolił, by jego książka stała się sukcesem innego człowieka,

jego największego rywala. To typowe dla Oliviera, nie mam problemu, by w to uwierzyć.

Taką odpowiedź mogę pani dać, lecz po śmierci mojej Amélie nie mam na to żadnego dowodu. Nie sądzę, by jakkolwiek dowód w ogóle istniał.

Serdecznie pozdrawiam,

Catherine Rouvroy

Beatrice patrzy na mnie obojętnie.

– I co teraz, kiedy już to wiemy? – Wygląda na rozczarowaną. Nie potrafi zrozumieć, czemu ja jestem tak poruszona.

– Nie rozumiesz? – dziwię się szczerze. – Między tymi słowami kryje się kolejny, prócz finansowego, motyw zabójstwa Amélie Volange.

Beatrice marszczy szerokie czoło.

– To prawda – przyznaje bezbarwnym głosem.

– Co więcej, teraz już wiadomo, dlaczego Konrad chciał wyrównać rachunki, pozostawiwszy jej pieniądze, które zarobił podczas kariery rozpoczętej dzięki jej ojcu. Potwierdza także związek między tymi dwoma wydarzeniami.

Dzwonek do drzwi odrywa nas od rozmowy. Beatrice nalega, że to ona postawi kolację, która mija bardzo przyjemnie, między jednym żartem a drugim.

– Podobasz mi się, doktor Allevi. Jesteś absolutnie szalona, to pewnie dlatego – wyznaje, wlewając sobie piwo do szklanki.

– Dziękuję – odpowiadam z uśmiechem, wgrzyzając się w pierożka.

– Będę z tobą szczerą. Ja ci Confortiego nie oddam. – Pierożek utknął mi w gardle, muszę wypić mnóstwo wody, żeby powstrzymać kaszel. Ona mówi poważnie. Odczekuje chwilę, bym się opanowała, i mówi dalej. – To takie oczywiste! Ubóstwia cię. Nie zauważyłaś?

Trudno mi unieść wieko mojej osobistej puszkii Pandory. Wychodzi z niej tylko zło, a tym złem jest właśnie Claudio. Nie potrafię być całkiem szczerą z przyjaciółkami, a co dopiero z Beatrice.

– Cóż, on nie jest rzeczą, którą można wziąć albo zostawić.

– Banalna odpowiedź, pani magister! Łatwo przyjąć, że to on dokona wyboru. Ale tak nie jest, wiesz doskonale, że wszystko zależy od ciebie i ode mnie.

Nie wie, że tak naprawdę nie ma wyboru i że całkiem prawdopodobnie jest to moja wina.

Moje życie nigdy jeszcze nie było tak pozbawione struktury i znam tego powód: tym razem to ja muszę zmienić się lub się nie zmieniać, a nie potrafię podjąć decyzji. Pograżam się w apatii, ciągnąc za sobą Arthura i Claudia. Prędzej czy później puszczą mnie i zostanę sama, unosząc się w pustce, którą sama dla siebie stworzyłam.

*Muskać cię jakby
przypadkiem,
z zawstydzeniem.*

Inspektorze? Chciałabym z panem porozmawiać – mówię przez telefon, w nadziei, że Calligaris znajdzie dla mnie czas.

– Dowiedziałas się czegoś nowego od Clary? – pyta niecierpliwie.

– Niezupełnie.

– W takim razie będziesz musiała poczekać przynajmniej dwa dni: wyjeżdżam do Matery i, o ile nie masz mi czegoś bardzo ważnego do powiedzenia, nie mogę umówić cię na spotkanie.

– Dobrze, w takim razie przejdę do sedna, a pan oceni, czy warto marnować na mnie czas.

Wybuchła śmiechem.

– No to zamieniam się w słuch.

– Wiem już, dlaczego Azais zapisał Amélie Volange swój majątek i znam wiarygodny motyw, dla którego ktoś chciał ją widzieć martwą.

– Uważaj, Alice. Nie jest jeszcze pewne, czy Volange naprawdę odziedziczyła wszystko. Testament nie został jeszcze otwarty.

– Wiem. Tak czy inaczej, jestem przekonana, że te dwie śmierci są ze sobą powiązane, chociaż jedna wydaje się naturalna, a druga przypadkowa.

– Czekam na ciebie dzisiaj o ósmej. Wcześniej naprawdę nie mogę.

Odniosłam małe zwycięstwo, więc spędzam brakujące godziny w instytucie na studiowaniu wszystkich powodów nagłej śmierci na tle kardiologicznym, o nietypowych cechach autopsyjnych. Przypomina mi się zwłaszcza pewien pomysł Beatrice: śmierć spowodowana zatrzymaniem akcji serca, które ma miejsce, kiedy stymulowane są receptory na tętnicy szyjnej. Wywierają one natychmiastowy wpływ na serce, mogą zatrzymać je w przeciagu kilku minut. Niektóre osoby są tak wrażliwe, że wyczuwają nawet zbyt mocno ściśnięty krawat. Nie jest konieczny silny nacisk, w rzeczywistości może on być bardzo lekki.

Mam pomysł.

A jeśli ktoś próbował udusić Konrada, ale okazało się, że słaby nacisk wystarczy, by go zabić? To by usprawiedliwiało brak śladów na skórze.

Wchodzę do pokoju Claudia, który jest otwarty, ale pusty.

Czekam przed drzwiami i widzę, jak wraca z laboratorium genetycznego, w białym kitlu i z dłońmi pełnymi próbek.

– Och, Allevi. Chodź. Wejdz.

Kładzie próbki na biurku i sprawdza godzinę.

– Co ty tu jeszcze robisz? Jest czwarta. Zazwyczaj o tej godzinie siedzisz przed telewizorem i oglądasz reality show.

– Muszę porozmawiać z tobą o niesamowitym pomysłe.

– Kiedy mówisz takie rzeczy, spodziewam się najgorszego.

– Śmierć spowodowana zatrzymaniem akcji serca: uczyłam się dzisiaj fizjopatologii i pomyślałam, że to mogła być przyczyna śmierci Azaisa.

– Cieszę się, że odkryłaś dzisiaj coś, co – w gruncie rzeczy – powinnaś była wiedzieć już na czwartym roku medycyny – odpowiada spokojnie.

– Bądź poważny, chociaż raz! Nie sądzisz, że mogę mieć rację?

– Rozmawialiśmy o tym z Beatrice. Pamiętasz? Tak czy inaczej, wyjaśnij mi swoją teorię – dodaje z niespodziewaną cierpliwością, wyciągając z kieszeni gumę do żucia.

– Ktoś próbował udusić Azaisa, który z powodu wrodzonej nadwrażliwości, umarł już przy małym nacisku. To tłumaczy brak śladów na szyi. I, jeśli o mnie chodzi, to wyjaśnia też, co takiego widziała Clara, czego nie chce zdradzić.

– Alice, Konrad Azais umarł z powodu arytmii. Nie mam pojęcia, dlaczego leżał tam ten pieprzony list, przez który straciłem wiele godzin snu, ale głównie mnie to już obchodzi. To był przeklęty, chory na serce staruch. Dlaczego wszędzie widzisz zabójców?

– To wyjaśnienie by mi wystarczyło, gdyby nie umarła też Amélie Volange. To niepokojący zbieg okoliczności.

Claudio wzdycha w zamyśleniu.

– Rozumiem już, że nie uda mi się powstrzymać twojej szalonej wyobraźni. Zastanawiam się tylko, czemu nie wykorzystasz jej do innych celów. Na przykład do fantazjowania o nas.

– Proszę cię, wysłuchaj mnie chociaż raz.

– Ja cię ciągle słucham. Chciałabym, żebyś ty mnie posłuchała. – Jego prośba ma w sobie coś niespodziewanie cierpiętniczego. – Co ze mną jest nie tak, Alice? To prawda, jestem narcyzem. Jestem kobieciarzem, bo przespać mógłbym się z każdą. Ale poza tym... jestem przystojnym facetem, mam trzydzieści sześć lat, jestem inteligentny i zdrowy.

Słowa wypływają same, bez mojej kontroli:

– Jesteś niebezpieczny. Byłbyś w stanie mnie skrzywdzić, i to bardzo. Mimo wszystko mój rozsądek tak mi mówi i dlatego... powinnam trzymać się od ciebie z daleka.

Podchodzi i całuje mnie w czoło, czuję silny zapach Declaration i miętówek.

– Mam dosyć całowania cię w tym pokoju. W ukryciu, niczym złodziej. Spotkajmy się gdzieś. Wcale nie chcę cię skrzywdzić.

– To niewłaściwy moment – jękam się, nie mogąc zaprzeczyć sama przed sobą, że mojemu ciału podoba się on bardziej, niż chciałby przyznać mój umysł.

– A to dlaczego? Chodzi o Malcomessa juniora?

– Tak – szepczę, kiwając głową i spuszczaając wzrok.

– On jest daleko, a co więcej – jakby to nie było wystarczającym powodem, by szybko załatwić sprawę – ty czujesz coś do mnie. Słyszysz, jak bije? – pyta, kładąc dłoń na moim sercu, a mnie wydaje się, że ono zaraz wybuchnie.

– Nie... sprawa z Arthurem jest skończona – wyjaśniam z wahaniem.

Zielone, perfidne oczy Claudia przyjmują radosny wyraz.

– Wspaniała wiadomość. Czuję się złym bohaterem. Rozdzieliłem was. cóż za okrucieństwo.

– Bierzesz na siebie nie swoją winę.

– Winę? To chyba raczej zasługa.

– W każdym razie ty nie masz z tym nic wspólnego, a może raczej... mieliśmy inne, ważniejsze problemy.

– Rozumiem – odpowiada z rezerwą.

Odechciało mu się żartów, podczas gdy mnie przeszła ochota na rozmowę o śmierci Konrada Azaisa. Zbliżam się do drzwi jego gabinetu ze straszliwym poczuciem goryczy, ponieważ zdaję sobie sprawę, że w jego towarzystwie jestem jak ćma uwięziona w szklance. Fruwam jak szalona i obijam się o szkło.

– Alice! – woła.

– Tak? – pytam, nie odwracając się od drzwi.

– Pamiętasz autopsję Azaisa? – rzuca beznamiętnym tonem.

– Oczywiście.

– Miał paradoksalne hipostazy: skóra na szyi przybrała czerwono-fioletową barwę. Gdyby nawet odpowiedni nacisk pozostawił maleńki ślad, my byśmy go nie dostrzegli. Musiałby to być dość silny nacisk, prawdziwa próba uduszenia, która pozostawiłaby widoczne uszkodzenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że możesz mieć rację. W diagnozie uwzględniłem różne hipotezy i – jak wiesz – wybraliśmy z Beatrice najbardziej prawdopodobną przyczynę śmierci. Nikt jednak nie może wykluczyć, że prawdziwa jest twoja wersja zdarzeń. Udowodnienie tego to zupełnie inna historia, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że brakuje danych, które pozwoliłyby myśleć o zabójstwie. Nie popełniaj tych samych błędów, moja mała Alice. Trzymaj się faktów.

– Napisałeś to w ekspertyzie?

– Wyślę ci ją mejlem, będziesz mogła przeczytać konkluzje. W każdym razie: tak,

napisałem, że jest to diagnoza możliwa, ale nie do końca pewna, że nie mogłem wykluczyć innych powodów nagłej śmierci na tle kardiologicznym. Pośród których znajduje się śmierć stresopochodna, moja droga, a także wiele innych.

Kiwam głową uspokojona.

– Dobrze. W takim razie czekam na mejla – mówię, próbując się uśmiechnąć, na co on odpowiada wzrokiem pełnym nieokreślonego smutku.

Dar syntezy.

Calligaris nie przesadzał, kiedy powiedział, że ma dla mnie mało czasu. Obawiam się, że myślami jest już na Materze.

– Inspektorze, słucha mnie pan?

– Cóż, Alice, nie da się powiedzieć, byś miała dar syntezy...

Zrezygnowana próbuję schematycznie przedstawić punkty, które mogłyby go zainteresować.

– W porządku, w takim razie przejdę do sedna. Co wiemy? Po pierwsze, Azais wyrządził wielką krzywdę ojcu Amélie Volange: ukradł jego rękopis, dzięki któremu zrobił karierę. Dlatego wyznaczył Amélie na swoją jedyną spadkobierczynię. I proszę mi nie wmawiać, że to nie jest jeszcze pewne, bo i tak panu nie uwierzę. Po drugie, Amélie wiedziała o wszystkim i ktoś mógł mieć interes, by ją zabić. Po trzecie, czytał pan ekspertyzę doktora Confortiego? – Calligaris kiwa głową ze zmęczeniem. – W takim razie widział pan, że nie można wykluczyć szczególnych przyczyn śmierci, takich jak śmierć z powodu odcięcia dopływu krwi lub stresu.

Udzielam mu krótkiej lekcji na temat śmierci z powodu odcięcia dopływu krwi do mózgu, przyprawionej teorią o śmierci Azaisa, a jego oczy wypełniają się nadzieją:

– A dlaczego mówisz mi to dopiero teraz?

– Ponieważ dopiero dzisiaj na to wpadłam. Poza tym podobny rozwój wydarzeń mógłby wyjaśnić, o czym zapomniała Clara albo raczej: czego nie chce powiedzieć.

– Alice, jesteś małym geniuszem! – woła z zarozumiałością. – A co mówi Conforti?

– Jak napisał już w swojej ekspertyzie, dopuszcza taką możliwość. Oczywiście to dane pośrednie decydują o wszystkim, kiedy aspekty anatomopatologiczne są tak niepewne i niejasne.

– Albo to Clara jest kluczem. Alice, musisz ją nakłonić, żeby powiedziała ci wszystko, co widziała. Ja też mam dla ciebie kilka nowin. Po pierwsze, dowiedziałem się, że od około roku Amélie Volange przyjeżdżała do Rzymu raz w miesiącu. I to nie w sprawach służbowych. Nie budzi to twoich podejrzeń? Po drugie – i oto powód, dla którego sprawa Azaisa coraz bardziej się komplikuje – badanie listu, który został znaleziony w jego pokoju dowodzi, że owszem, został on napisany przez niego, ale dawniej. Nie da się dokładnie ustalić daty, ale z pewnością nie w ostatnich dniach. Należy sprawdzić, czy on sam wyciągnął go skądś i położył na biurku, żeby ktoś go znalazł, czy ktoś specjalnie go tam umieścił, aby wprowadzić nas w błąd.

– Dlaczego Amélie regularnie jeździła do Rzymu? Można się tego dowiedzieć?

– Pracuję nad tym.

– Selinie Azais wyrwało się kiedyś, że być może Amélie była córką Konrada i dlatego on zapisał jej spadek.

– Myślisz, że to prawda?

– Cóż, Azais nigdy nie wychodził sam: był unieruchomiony na wózku inwalidzkim, dlatego nie mogliby spotykać się poza domem rodziny Norbedo. Poza tym Amélie miała dla Azaisa wiele gorzkich słów, kiedy pojawiła się w instytucie – wyjaśniam i zaraz potem przedstawiam mu okoliczności, w jakich ją poznałam. – Ale nie powiedziała jasno, czy go zna.

– Musi być jakiś motyw i nie wykluczam, że jest on ściśle związany z jej śmiercią. Albo zgonem Azaisa. Zastanów się przez te dwa dni, kiedy ja będę na Materze. Albo – jeszcze lepiej – spotkaj się z Clarą Norbedo. Wciąż mam wrażenie, że tylko ty możesz do niej dotrzeć. Zdobądź zaufanie Clary, a zdobędziesz klucz do tej sprawy.

Pomyśl o mnie jak o zakręcie na autostradzie życia.

Spełnienie pragnienia Azaisa nie jest proste. W ten weekend ma miejsce W-day, inaczej znany jako najważniejsze wydarzenie stulecia, przynajmniej dla dwóch osób: mojej matki i Alessandry.

Przygotowania trwają od dawna, a moja matka kilka razy wpadała w histerię, ponieważ państwo młodzi postanowili urządzić przyjęcie w ogrzewanym namiocie w ogrodzie naszego domu, a ona chce, żeby to wydarzenie przeszło do historii Sacrofano.

Tylko moja babcia Amalia zachowuje swój niezmienny, uśmiechnięty spokój.

Podeksytowana biegam między moim pokojem a łazienką. Patrzę na różową sukienkę z tafty, którą panna młoda kazała mi kupić na tę okazję, i czuję, że robi mi się słabo. Atmosfera w domu jest wybuchowa, wielokrotnie już obawiałam się, że mój ojciec udusi matkę, a Marco rzuci się do ucieczki, korzystając z chwili zamieszania.

Jednakże teraz, wciśnięta w różową suknię niczym mortadela w celofan, znajduję brata w mansardzie, gdzie pali papierosa, ubrany już i uczesany. Od tyłu wygląda jak ten sam awangardowy fotograf, którym był jeszcze niedawno. Potem się odwraca i znowu stoi przede mną niespodziewany ojciec i mąż. Przygląda mi się z uwagą, niepewny, co powiedzieć. Może zastanawia się, czy lepiej być szczerym, czy nie.

– Alice, dlaczego masz na sobie tę sukienkę? Nie pasuje do ciebie. – Jego metroseksualna natura dochodzi czasem do głosu, chociaż Alessandra zdecydowanie ją stłumiła.

– Wybrała ją twoja przyszła żona.

– Powinnaś była się zbuntować.

– Zależy jej na tym, żebyśmy ja i jej siostra wyglądały jak amerykańskie druhnny. I dlatego wybrała ten sam fason w dwóch kolorach. Mnie przypadła różowa i nie chciałam się z nią kłócić.

– Cóż, w takim razie dziękuję – odpowiada głosem pełnym zrozumienia.

– Jesteś zadowolony? – pytam go ze szczerym zainteresowaniem.

– To szczególny rodzaj radości. To radość płynąca ze zmian, wyborów prowadzących do punktu zwrotnego w twoim życiu, którego głęboko pragnąłeś.

Uśmiecham się trochę wzruszona. Jasne światło marcowego popołudnia wnika stopniowo do pokoju, muska jego gładką twarz, a jego niebieskie oczy są dwoma

szafirami pełnymi emocji. On zawsze taki był, wszystko, co czuje, da się wyczytać ze spojrzenia, które nigdy nie umiało kłamać. Prawość jest jego największą zaletą. Myślę sobie, że Alessandra miała ogromne szczęście.

– Arthur nie przyjedzie – mówi po chwili, gasząc papierosa w starej popielniczce.

Nie jestem pewna, czy czuję ulgę, czy rozczarowanie. Czy obie te rzeczy naraz.

– Spodziewałam się tego – mówię.

– Marco, już czas! Musimy iść!

Głos naszej matki przywołuje nas do porządku. Razem schodzimy po schodach, które prowadzą do drzwi wejściowych, gdzie ona i tata stoją z uroczystymi, ale też oszołomionymi minami, jakby wciąż nie mogli uwierzyć, że ich ukochany synek opuszcza łono rodziny Allevi.

– Idziemy? – pyta słabym głosem moja matka, a głos łamie się jej ze wzruszenia.

Wsiadamy do starego volvo mojego ojca, przepełnieni emocjami, które przypominają mi czasy, kiedy wyruszyliśmy w kolejną podróż po Włoszech, ulubione wakacje naszych rodziców. Ja i mój brat nosiliśmy takie same czerwone czapeczki z daszkiem, bermudy i T-shirty, a ludzie myśleli, że jesteśmy bliźniakami. Były to radosne dni beztroskiego dzieciństwa, takiego, jakiego życzę dziecku w brzuchu Alessandry. Pod powiekami zbierają mi się łzy, co moja mama od razu zauważa.

– Proszę, nie zaczynaj, bo ja nie będę się mogła opanować! – nakazuje mi kategorycznie, jednocześnie jednak się uśmiecha, a nawet śmieje. Śmieje się z tą radością, która graniczy z melancholią, radością, która nie wiadomo, czym jest, nie wiadomo nawet, czy rzeczywiście jest radością. Serce wali mi jak szalone i jestem tak oszołomiona siłą swoich emocji, że nic mnie już nie obchodzi, że wyglądam jak szynka z indyka.

Świadkowie muszą usiąść po bokach ołtarza, a ja zajmuję miejsce obok siostry Alessandry. Czekamy na jej przyjście, a ja jestem pewna, że się nie spóźni, bo wiele razy mówiła, że uważa spóźnialskie panny młode za żenujące. I tak, dokładnie dziesięć minut przed rozpoczęciem ceremonii, pojawia się Alessandra Morante, po raz ostatni jako panna. Po wyjściu za mąż będzie już Alessandrą Allevi, moją *sister in law*, jak mówi się po angielsku. Czuję się tak podekscytowana, jakby moja matka urodziła mi nową siostrę. Wygląda cudownie w sukience z empirową talią, która ukrywa jej ciężowy brzusek; dopiero teraz przychodzi mi do głowy, jak bardzo to romantyczne, że dziecko uczestniczy w ceremonii. Jest z nimi przed ołtarzem! Wszyscy powinni brać ślub w ten sposób!

Bukiet jest podarunkiem od mojego brata i podobnie jak on stanowi przykład oryginalności: w całości zrobiony z origami z zielonego papieru, a ona nosi go z wielką gracją. Smyczki grają *Kanon* Pachelbela, a mnie obezwładnia świetlista radość. Przez chwilę, tylko przez momencik, wyobrażam sobie, że stoję na miejscu Alessandry, na swoim przyjęciu, obok swojego ukochanego. A w tym marzeniu, które

trwa zaledwie mgnienie oka, u mojego boku stoi Arthur.

* * *

– Moja drużna! – woła Alessandra na koniec ceremonii i całuje mnie w policzek, prosząc jednocześnie, bym nie odwzajemniała pocałunku, żeby nie zniszczyć jej makijażu.

– Panna młoda! I to jaka! – odpowiadam z podziwem. – Jesteś wzruszona?

– Bardzo. Najważniejsze, żeby nie było tego widać – dodaje i puszcza do mnie oko.

– Nie, wydajesz się bardzo opanowana.

– Świetnie wyglądasz. Cieszę się, że namówiłam cię na tę sukienkę.

Spuśćmy na ten temat zasłonę milczenia.

– Najważniejsze, że ty jesteś zadowolona.

Odsuwam się, bo inni przyjaciele nowożeńców czekają w kolejce, żeby złożyć im życzenia.

U mojego boku Silvia, w paskudnym humorze, jak na wszystkich ślubach, obgaduje złośliwie wszystkich zaproszonych. Na nikim nie pozostawia suchej nitki. Pyta, czy może się wypowiedzieć na temat mojej sukienki, ale jej zabraniam.

– Spójrz na tamtą: wygląda jak kaczką-karlica.

– To moja kuzynka Anna – wybucham śmiechem.

– O, cholera – słyszę jej szept, ale nie z powodu gafy, którą z pewnością się nie przejęła.

Palce Arthura układają się delikatnie na moim ramieniu, zaraz po czułym pocałunku.

Jest cudowny i może to euforyczna atmosfera, może hormony, może lekka zazdrość, którą czuję wobec nowożeńców, ale jestem rozpalona z oszołomienia. A przede wszystkim żalu, że zakończyłam naszą historię i odrzuciłam jego miłość. Mam już siebie serdecznie dosyć, niczym wyżutej gumy.

– Przypomniałam sobie, że zostawiłam coś w samochodzie – wyjaśnia Silvia przekonującym tonem, ale wiem, że mówi tak, by zostawić nas samych.

– Jednak przyjechałeś – zauważam.

Kiwa głową. Patrzy na mnie z pewnym zdziwieniem, po czym uśmiecha się i mówi:

– *Elis, you look like Miss Piggy.*

– Kto?

– Pamiętasz tę postać z *Muppet's Show*? – pyta, puszcżając do mnie oko.

– Nie wierzę, że powiedziałeś to na serio – odpowiadam, nie mogąc zdecydować, czy powinnam się obrazić, czy roześmiać.

– Zdjęcie grupowe – mówi, obejmując moje nieopalone ramiona i uśmiechając się szeroko.

Zabawne, że zostaniemy unieśmiertelnieni niczym zwyczajna para, którą nigdy nie

byliśmy i nigdy nie będziemy.

Następnego dnia odwożę Arthura na lotnisko. Moje oczy są zapuchnięte.

On nocował w pensjonacie niedaleko mojego domu, a ja musiałam przekonać go, że odwiezienie go do domu nie jest dla mnie żadnym problemem. Przeciwnie, cieszę się, że mogę to zrobić, bo dzięki temu spędzimy razem więcej czasu. Z lotniska wrócę samochodem mojego brata – jemu się nie przyda, bo wyjeżdża dzisiaj w podróż poślubną – po czym czeka mnie niedziela pełna nudy i melancholii.

W radiu leci *Lovers in Japan* Coldplay, a mnie wydaje się to gorzkim żartem, bo kojarzę tę piosenkę z pierwszym porankiem, który spędziłam w jego domu, kiedy mieszkał przy via Sistina, a wszystko między nami układało się inaczej.

– Pamiętasz? – pytam i od razu żałuję, bo lepiej nie przywoływać tego, tak intymnego, momentu.

– Powinienem? – odpowiada, ale nie jest niegrzeczny, jedynie zaniepokojony.

– Nie. Nic ważnego – mówię, ale trudno byłoby powiedzieć coś bardziej fałszywego. Oczywiście, że to ważne, ale tylko dla mnie, bo te wspomnienia, te szczegóły brzmią jak ogromny żal.

Czas spędzony w samochodzie nie jest przesadnie niezręczny. Rozmawiamy jak znajomi, pełni żalosnej obojętności. Jakby wszystkie te młodzieńcze wyznania miłosne, które padły na początku związku nigdy nas nie dotyczyły, jakbyśmy obejrzeli film, a na naszym miejscu byli aktorzy. Gdy docieramy na lotnisko, on zdejmuje swój mały bagaż z tylnego siedzenia, żegna się ze mną, jakbyśmy mieli zobaczyć się następnego dnia. Zawsze tak robił, inaczej jego życie byłoby pasmem pożegnań.

W ten anonimowy poranek przypominamy dwie osoby bez wspólnej przeszłości, które ledwie się znają i niespecjalnie chcą poznać się lepiej. A wszystko to napętnia mnie poczuciem porażki, z którą nigdy się nie pogodzę.

* * *

Powrót do pracy jest traumatyczny, a godziny spędzone w instytucie zdają się ciągnąć w nieskończoność, bo nie jestem w stanie się na niczym skoncentrować. Jedynym sposobem na to, by się do czegoś zmusić, jest dotrzymanie obietnicy złożonej Calligarisowi i powrót do Tarquini. Umawiam się z Seliną Azais i już o czwartej stoję przed ich domem.

Clara w swoim pokoju wydaje się zdenerwowana moją obecnością. Obgryza skórki przy paznokciach, patrzy w podłogę, prychnie i wyłącza komputer, przerywając *Half Jack* Dresden Dolls.

– Nie wiem, dlaczego moja matka zgodziła się na tę farsę. Myślisz, że coś zyskasz, jeśli będziesz mnie nękać?

– Claro, nie zamierzam cię nękać. Gdybyś mi powiedziała prawdę, zostawiłabym cię w spokoju. Podziwiam twój upór, ale istnieje granica, która dzieli go od niesprawiedliwości. Chcę, żebyś wiedziała, że przekraczasz tę granicę.

Zdziwiona Clara unosi wzrok.

Trafiłam.

– Powiedziałałam już, że nie pamiętam – powtarza z tym samym dumnym uporem, jakby recytowała wyuczony wierszyk.

– Claro, tego dnia ktoś próbował zabić dziadka. Nie udało mu się? Udało? Medycyna nie ma na to odpowiedzi. Tylko ty możesz nam ją dać.

Wydaje mi się, że słyszę bicie jej serca, potężne niczym bębny, chociaż jej twarz pozostaje jak z granitu, nie zdradza najmniejszej niepewności. Gładka, pozbawiona jakiegokolwiek zmarszczki buzia, przypomina mi, że choć zgrywa dorosłą, Clara wciąż jest dziewczynką.

Drzwi do jej pokoju otwierają się w najlepszym momencie, niczym *coup de théâtre*.

Edoardo Norbedo uśmiecha się uśmiechem sympatycznej kanalii, który nauczyłam się już rozpoznawać.

– Dzień dobry, pani doktor. Jak się miewa córeczka tatusia? – pyta z czułością, czochrając jej włosy. Clara drży.

– Idź sobie, tato. Daj nam skończyć.

Edoardo robi śmieszoną minę.

– W tym domu znaczę mniej niż zero. Nawet moja królowna mnie już nie kocha. – Spogląda na mnie z rozbawieniem, kłania się żartobliwie i żegna: – Szacuneczek.

Gdy zamyka za sobą drzwi, Clara wydaje się wykończona. Wzdycha ze smutkiem i spogląda na mnie błagalnie, jakby chciała powiedzieć: „Już dosyć”.

Zamierzam się pożegnać i zostawić ją w spokoju, kiedy słyszę głośną rozmowę Edoarda i Seliny. Clara unosi wzrok na drzwi, jakby chciała otworzyć je siłą umysłu.

– Co się dzieje, Claro? Twoi rodzice się kłócą?

– Nie. Nigdy się nie kłócą. Tylko stało się coś bardzo dziwnego i rozmawiają o tym.

Nie umiem powstrzymać ciekawości i pytam, co się wydarzyło.

– Kojarzysz ten mały domek obok naszego? – pyta.

– Nie bardzo.

– Cóż, obok naszego domu stoi drugi, który należy do mojej mamy i jest czymś w rodzaju *dépendance*. Jeszcze kilka lat temu mieszkał tam mój wujek Enrico, który był wciąż samotny i zdołowany. Moja matka chciała mu pomóc, więc oddała mu do dyspozycji domek. Potem wyjechał, a my używaliśmy domku jako schowka, więc

panuje tam straszny bałagan. Dzisiaj w nocy ktoś włamał się do środka przez okno. W kuchennej szafce była szuflada, w której trzymamy najróżniejsze klucze, głównie stare i zepsute, ale także takie, które wciąż otwierają drzwi. Dzisiaj rano znaleźliśmy tę szufladę na naszym stole i rodzice nie pamiętają, których kluczy brakuje... Na pewno tych do naszego domu, skoro ktoś sobie wszedł, a my niczego nie zauważyliśmy. Koty też nie. Jakby do środka wleciały duchy. Ale duchy nie zostawiają na widoku szuflady...

– Może to nie był przypadek i szufladę zostawiono tam specjalnie.

– Ale po co?

– Żeby was ostrzec – to pierwsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. – Przekonać was, że w tej szufladzie znajdowały się klucze, które mogłyby zainteresować jego... lub ją.

– Chodzi o to, że rodzice nie pamiętają, co tam trzymali. Mama myślała, że chodzi o klucze do sejfu dziadka, który ukrywał w swoim pokoju. Sprawdziła jednak i nic nie brakuje.

– Zakładając, że złodziej szukał kluczy do sejfu dziadka, możliwe jest, że ich nie znalazł. Dlatego położył szufladę na stole. Nie obchodziło go, czy zostawi ślady, skoro i tak nic nie zabrał i wie, że nie ma po co wracać.

– Moją mamę przeraża myśl, że ktoś wszedł do domu, a ona niczego nie zauważyła. Ojciec myśli, że był to wuj Enrico, ale ona broni brata. Dlatego dyskutują. Zawsze tak jest. Mój ojciec i moi wujkowie nie lubią się, zwłaszcza z moim wujem Enrico.

– Dlaczego?

– Jest między nimi antypatia. Zazdrość. Wujek Enrico miał obsesję, zazdrościł wszystkim, którzy dogadywali się z dziadkiem.

– A ty myślisz, że wujek Enrico mógł zostawić tę szufladę?

– Owszem, wiedział o kluczach. Może właśnie na niego najłatwiej zrzucić winę.

– A jakiś służący? Pracownik, który myślał, że uda mu się dokonać włamania?

Clara wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. To mógł być ktokolwiek, łącznie ze mną.

– Zrobiłaś to, Claro?

Cień fatalizmu przebija się poprzez jej inteligentne spojrzenie.

– Tak tylko powiedziałam. Żebyś zrozumiała, że wszystko można poddać w wątpliwość.

* * *

Docieram do mieszkania Claudia, czując, jak serce podchodzi mi do gardła, spóźniona o przynajmniej pół godziny. Spóźnienie – które on, wiem to doskonale, uznaje za niemożliwe do usprawiedliwienia – jest wynikiem niespodzianki: musiałam wrócić do domu, żeby zabrać Ichiego. Zbyt długo był sam, a Yukino boi się, że pogryzie wszystko, co napotka na swojej drodze: udowodnił już, do czego jest zdolny.

Claudio otwiera drzwi gotowy, by mnie skrzyczeć, ale jego uwagę przyciąga coś poważniejszego. Zdezorientowany spogląda na Ichiego, który, niczym niezrażony, wytrzymuje jego spojrzenie.

– Zabrałaś psa ze sobą jako obrońcę, bo się boisz, że cię zgwałcą?

– Nie, Claudio. Świat nie kręci się wokół ciebie.

– Jeśli nasika na wykładzinę, wyczyścisz ją językiem.

– Nie robi tego – zapewniam, kiedy idę za nim i odciągam Ichiego, który podejrzliwie obwąchuje palemkę.

Wkłada mojego pendrive'a do swojego maca i otwiera plik. Skoncentrowany, poprawia coś i obrzuca mnie inwektywami. Pyta właśnie, czy na pewno skończyłam podstawówkę, kiedy Ichi postanawia dać wyraz swojemu niezadowoleniu i potknąwszy się o kabel, zrzuca telefon, który z hukiem uderza o ziemię.

– Przepraszam! – odstawiam aparat na miejsce i karcę Ichiego. Jako przeciwnik przemocy, unosi łapkę i wesoło merda ogonem.

– Nie masz nad tym psem żadnej władzy – zauważa, nie przestając wprowadzać poprawek w pliku. Kiedy kończy, wyłącza komputer i wkłada aksamitną marynarkę, która interesująco modeluje mu ramiona i tors. – Potrzebujesz podwózki do domu? – pyta, wyciągając klucze z pudełka.

– Mam Ichiego – przypominam.

Claudio jest zdezorientowany. Ze względu na obsesyjno-kompulsywne podejście do higieny swojego samochodu (właśnie wymienił SLK na X3, a ja sędzę, że SUV bardziej odpowiadałby jego megalomanii), wizja Ichiego, rozwalonego na tylnym siedzeniu, musi go przerażać. Potem jednak patrzy Ichiemu prosto w oczy i nie ma już odwrotu. Spojrzenie mojego psa ma moc przekonania samego diabła. Nawet ja kilka dni temu przeproszałam Ichiego po tym, jak nakrywszy go na podgryzaniu mojego biustonosza La Perla, strasznie go skrzyczałam. Schodzimy po schodach – studio znajduje się na pierwszym piętrze – a nowy samochód stoi zaparkowany przed bramą. Mimo pełnego rezerwy tonu Claudio zaskakuje mnie, mówiąc:

– Wsiadajcie.

Podczas podróży rozmawiamy o innych sprawach, atmosfera jest spokojna, w radiu raz lecą Oasis, raz Explosions in the Sky, Ichi siedzi cicho, a Claudio wydaje się miły. Kiedy się żegnamy, chwyta mnie za nadgarstek. Ten moment trwa długo. Nie mam odwagi prosić go o wyjaśnienia. Potem puszcza mnie i kładzie dłonie na kierownicy.

– Do jutra – mówi sucho i pospiesznie.

Rusza przed siebie, zanim drżącą dłonią zdążę włożyć klucze do zamka, z Ichim, który skubie swoje futerko u moich stóp, jakby czas dla niego nie istniał.

*Bądź odważny: nieszczęście
nie potrwa długo.*

Ajschylos

Straszliwie zimny poranek. W instytucie raz jest jasno, raz ciemno, zapal do pracy się ulotnił. Więcej jest nieobecnych niż obecnych, Najwyższy pojechał na wakacje, a Wally każe nam zacząć autopsję jakiegoś biednego brodacza, którego ciało znaleziono w parku; prawdopodobnie zmarzył.

Jadę windą, na trasie piwnica – najwyższe piętro, w towarzystwie ciała, śmierdzącego ponad wszelkie dopuszczalne normy, oraz Claudia, którego zapach jest tak silny, że poprzez jakąś chemiczną reakcję jeden reaguje z drugim, przyprowadzając mnie o odruchy wymiotne.

Nie mogę oddychać.

Przyciśnięta do ściany windy, wstrzymuję oddech, w tym świetle mam wrażenie, że moja skóra przybrała barwę niebiesko-zieloną.

– Przesadziłem z płynem po goleniu? – pyta Claudio, przerywając ciszę i gładząc się po policzku.

– Oj tak.

– Przynajmniej maskuje ten smród.

– Obawiam się, że go wzmacnia.

– Uważaj, Allevi, nie opieraj się o przyciski. Brakuje tylko, byśmy zostali uwięzieni w tym fetorze.

– Ech, wiem... przepraszam... niewygodnie mi. Przyciągnij łóżko do siebie.

Docieramy na trzecie piętro i drzwi się otwierają. Uśmiechnięta para staruszków zamierza wsiąść, ale po chwili uśmiech zmienia się w grymas obrzydzenia, a ich nosy przyjmują anatomicznie niemożliwy kształt. Znikają w okamgnieniu.

Ja już nie daję rady: chcę wsiąść, ale Claudio chwytą mnie za rękaw.

– Co ty zamierzasz? Zostawisz mnie tutaj, żebym sam łykał ten smród? Niby to ja mam zawieźć trupa Wally? Za kogo ty mnie masz, za swojego służącego?

– Nie wytrzymam!

– Nic mnie to nie obchodzi! Chcesz być patologiem? Cóż, trupy śmierdzą. Przywyknij.

Drzwi się zamykają, ale ja instynktownie blokuję je nogą. Cofam ją, drzwi się poruszają, ale do mnie docierają nagle dwie straszliwe myśli: pierwsza jest taka, że

złamałam obcas – i to w butach Rogera Viviera, wygrzebanych na przecenie w outlecie – ale druga jest jeszcze gorsza.

Winda się zablokowała.

– Kurwa – wyrywa mi się mimo woli.

– Wiedziałem – mamrocze Claudio, opierając czoło o lustro. – To musiało się wydarzyć. Te windy to najnowsza technologia, dyrektor wydał miliony euro, żeby wymienić je w całym szpitalu. Nigdy się nie psują. Pod warunkiem, że ty się nie zbliżysz! – Niemalże wybucha śmiechem.

– Przykro mi.

Dopełniając tragikomicznego obrazu, gaśnie światło.

– Cóż za podniecająca sytuacja – mówi Claudio, dotykając ekranu iPhone'a, by oświetlić windę. – Co nie znaczy, że nie chciałbym, żeby zadzwonił alarm – dodaje, kierując światło na przyciski.

Szturчам go dwa razy, nim udaje mi się uzyskać odpowiedź. „Zaraz się tym zajmiemy” – z głośnika rozlega się uspokajające zapewnienie. Jedyna korzyść z tej sytuacji jest taka, że po kwadransie moje nozdrza są już znieczulone. Za to zmarnowany w windzie czas strasznie denerwuje Claudia, którego cierpliwość kończy się błyskawicznie.

– Allevi, czemu nie wystąpisz o rentę? Masz wszystkie wymagane przez prawo objawy.

– Nie żartuj sobie z niepełnosprawnych.

– Ależ nie żartuję! Ty naprawdę jesteś niedorozwinięta. W ekstremalnych sytuacjach wykorzystać można także korzyści wynikające z ustawy numer 104 o upośledzeniach. Ten uroczy przestój będzie mnie kosztował stówkę za pranie, bo smród składa się z molekuł, które – jak być może wiesz – przyklejają się do ubrań niczym niewidoczne plamy. A ja jestem umówiony na spotkanie. Myślisz, że będzie elegancko zaprezentować się na nim, śmierdząc trupem?

– Jestem pewna, że spodobasz się jej nawet śmierdzący.

– Nie powiedziałem, że idę na obiad z kobietą.

– Jakbym cię nie znała.

– Przestaniesz ruszać tym łóżkiem?

– Ja go nie ruszam.

– Chcesz powiedzieć, że *eau de tombe* wciąż żyje?

– Nie, łóżko jest po prostu niestabilne. Trzymaj je z drugiej strony, inaczej ciało spadnie na ziemię.

– Jak dla mnie, mogą je pochłonać czeluści piekielne. Może byś znowu wcisnęła alarm, co?

– Nie mogę, trzymam łóżko, żeby trup nie spadł.

– Nie utrzymasz go sama, i tak zleci, kretynko!

- Więc mi pomóż.
- Jakem Claudio Conforti, nigdy więcej nie będę towarzyszył ci do kostnicy.

Nigdy.

- To na pewno!
- Alice, trzymaj to łóżko mocniej!
- A ty odłóż ten telefon, żebyś mógł używać obu rąk!
- Bez komórki będzie całkiem ciemno. Przestań się ruszać, kurwa!

W tym momencie jego iPhone ląduje na podłodze. A potem następuje jedna z jego fantastycznych, zabawnych wiązanek przekleństw.

I tak właśnie zastają nas technicy, którzy przychodzą naprawić windę. Dwójkę młodych lekarzy *glamour*, którzy konkurują ze sobą w obrzucaniu się najokropniejszymi obelgami, podtrzymując jednocześnie łóżko, na którym leży potwornie śmierdzące ciało.

* * *

Kiedy wreszcie wydostajemy się z cuchnącego więzienia, nie ma sposobu, by przekonać Wally, że do spóźnienia doszło z przyczyn od nas niezależnych. W bawełnianym, niebieskim kitlu przypomina żabę przebraną za turkusową wróżkę.

- Co wyście narobili? – woła po chwili, przykrywając ciało. – To nie jest brodacze!

I rzeczywiście, przywieźliśmy nadpsutego trupa którego trzymamy w chłodni od dłuższego już czasu, ponieważ nikt się po niego nie zgłosił. Oto skąd ten smród!

- Conforti, doprawdy ci się dziwię!

– Mnie? A co ja mam do tego? Mnie tam nie było – odpowiada swobodnie, oparty o drzwi sali autopsyjnej.

Zwracam się do niego.

- Jak to cię nie było?
- Sama poszłaś do kostnicy.
- Ach, czyli towarzyszył mi tylko twój hologram?
- Brawo, Allevi. Teraz zaczynasz zrzucać winę na swoich przełożonych.
- Zawsze była impertynencka, ale teraz jeszcze kłamie! – woła Wally.

Claudio uśmiecha się perfidnie.

- Cóż, pani profesor, w każdym razie to nie wina Alice, tylko technika.

- Nie broń jej!

– Tym razem naprawdę będę jej towarzyszył i osobiście się upewnię, że zabrała właściwe ciało – dodaje, machając rękami przed czujnikiem, który otwiera drzwi. – Chodź, Allevi – mówi.

- Wolałabym pójść sama – odpowiadam z godnością.

– O nie. Zmarnowałaś już wystarczająco dużo naszego czasu. Ty się tym zajmij, Claudio – mówi Wally.

* * *

– Jesteś obrzydliwą kreaturą.

– Po prostu dokonałem szybkiej kalkulacji. Jedna szkoda mniej albo więcej nie zmieni twojej opinii w jej oczach, ja natomiast... ja kolekcjonuję tylko sukcesy.

– Tchórz.

Okazuje się jeszcze większym tchórzem, kiedy jakiś czas później zgłasza moją kandydaturę do nagrody największej ofiary losu. Nagrody te co miesiąc przyznawane są grupie doktorów i jednemu szczęśliwcowi z grona studentów. Wręczane przez komisję, której to Claudio jest, oczywiście, honorowym przewodniczącym. Odbywa się nawet ceremonia, a zwycięzca stawia wszystkim drinki w pobliskim barze.

Wygrywam trzeci miesiąc z rzędu.

Something happens and I am head over heels.

Czytam *Długie oczekiwanie* Konrada Azaisa. A w każdym razie próbuję, bo jest to książka apokaliptycznie trudna. Opowiada historię mężczyzny, który pragnie zwalczyć swój kompleks niższości wobec ojca. Sytuacja się komplikuje, gdy ojciec i syn zakochują się w tej samej kobiecie, która kocha syna, lecz wybiera ojca. Wszystko opowiedziane zostało w surrealistycznym i nieco agresywnym stylu Azaisa. Wykończona, chcę już odłożyć książkę na półkę, kiedy – przeglądając ostatnie strony – zauważam fragment, który zwraca moją uwagę.

Pierwszy raz pomyślałem, że chciałbym zabić mojego ojca, kiedy byliśmy na schodach w naszym domu. On szedł tuż przede mną, a ja powiedziałem sobie: teraz, w tej chwili, wystarczy go popchnąć, a spadnie. A jeśli dopisze mi szczęście, uderzy się w głowę i umrze na miejscu, nie cierpiąc, niczego nie zauważając, nie wiedząc, że jego syn pragnął go zabić.

Miałem piętnaście lat.

W nocy nie mogę spać, udaje mi się zdrzemnąć tylko przez chwilę. O piątej, zirytowana, zapalam lampę i biorę do ręki książkę. W słabym świetle nocy, która ustępuje dniu, wreszcie ją kończę, a w mojej głowie rodzi się niejasna jeszcze, ale natarczywa myśl.

Enrico Azais to literat przytłoczony manią wielkości i całkiem możliwe, że jego ojciec – gwałtowny i wymagający wobec siebie, a bardziej jeszcze wobec innych – poddawał go nieustannej krytyce. Możliwe, że sfrustrowanego syna przepęśniała zazdrość i gniew na wielkiego rodzica. Poza tym dokładnie pamiętam opowieść Clary. Kiedy wstała od stołu, żeby zanieść dziadkowi tort, przy stole brakowało tylko wuja Enrica. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego dziewczynka zamknęła się w sobie i nie ma zamiaru zdradzić, co wydarzyło się tamtego popołudnia. Wuj próbował zabić dziadka. I przypadkiem, dzięki przypadłości starego Azaisa, osiągnął cel.

Jestem gotowa przedstawić moje teorie inspektorowi Calligarisowi, który wraca z Matery z gipsem na środkowym palcu prawej dłoni.

– Nawet nie pytaj – mówi jednocześnie ze złością i sympatią. – Powiem tylko, że należy bardzo uważać podczas zamykania bagażnika. Powiedz mi lepiej, co słyhać?

Pospiesznie dzielę się z nim moimi konkluzjami, których wysłuchuje z zainteresowaniem, od czasu do czasu krzywiąc się z bólu.

– Ciekawe. Musisz mieć jednak o mnie kiepskie zdanie, jeśli nie pomyślałaś, że

mogłem już sam na to wpaść. Jak myślisz, dlaczego każe ci męczyć małą Norbedo? Ponieważ jej rzekoma amnezja jest oczywiście sposobem na ukrycie czegoś. Jakie są relacje między Clarą a jej wujkiem?

– Clara opowiedziała mi, że Selina i Enrico byli ze sobą bardzo związani. Może Clara ukrywa, co się wydarzyło, by chronić matkę, wiedząc, jak bardzo by cierpiała, gdyby winnym okazał się jej ulubiony brat. On przez pewien czas mieszkał w domu obok. Clara powiedziała mi, że to trudny, rozżalony i niespokojny typ. W każdym razie, jeśli przyczyna tej śmierci jest podejrzana – a tak właśnie myślę – ktoś z obecnych na urodzinowym obiedzie odegrał tu główną rolę. Wzięłam pod uwagę wszystkich, ale Enrico wydał mi się idealnym kandydatem.

– Niewątpliwie Enrico Azais jest dobrym kandydatem, a motywacja, o której pomyślałaś, wydaje się wiarygodna. Trzeba jednak przypisać mu sporą dozę głupoty, aby wyobrazić sobie, że sprawy potoczyły się wedle twojego scenariusza. Przede wszystkim musimy się upewnić, że on wstał od stołu i że, jak twierdzi Clara, był jedynym nieobecnym przy stole w tym momencie. Co wskazywałoby na niego jako podejrzanego, ponieważ był, przynajmniej pozornie, jedyną osobą mającą sensowny motyw, by zabić ojca. Tylko po co zostawił ten list, wyraźnie wprowadzający w błąd? Czy naprawdę był tak naiwny, by nie domyślić się, że prędzej czy później zrozumiemy, iż ta scena została zaaranżowana?

– Kto inny miał powód, by zabić Konrada? Myślę, że motyw finansowy możemy wykluczyć. Żaden z synów nie zyskałby nic na śmierci ojca, biorąc pod uwagę niepewny wynik sprawy o ubezwłasnowolnienie.

Mówiąc szczerze, akurat Leone Azais mógł być pewny ubezwłasnowolnienia, ponieważ zawarł porozumienie z Niccolò Laurentim. A jednak mam wrażenie, że on nie ma z tym nic wspólnego albo może raczej trudno mi wyobrazić go sobie jako ojco-bójcę. To mężczyzna, któremu zależy na pozycji. Po co miałby ryzykować wszystko? By otrzymać jak najszybciej pieniądze, których akurat on niespecjalnie potrzebuje? Potrzebuje ich raczej Oscar. Ulubiony syn, jedyny, który cieszył się przywilejem spotkania z ojcem-tyranem.

– Chcesz wiedzieć, co myślę, moja mała pani doktor?

– Oczywiście!

– Ktoś pomyślał, że najlepsze będzie samobójstwo. Ktoś, kto wiedział o istnieniu tego listu i wyciągnął go, nie wiadomo skąd, po czym położył na biurku, by od razu został znaleziony. W jaki sposób zamierzał zaaranżować samobójstwo, tego jeszcze nie wiem. Wiem, że podszedł do Azaisa gotowy go zabić. Po czym nastąpił zwrot akcji: Azais umarł na arytmie, którą doktor Conforti uznał za przyczynę śmierci. A ten ktoś był tak poruszony wydarzeniem, że w panice opuścił pokój, zapomniawszy o liście, który został na stole. Clara jednak wszystko lub prawie wszystko widziała i słyszała.

– Przecież Azais zacząłby krzyczeć, a Clara nie pozwoliłaby nikomu zrobić

dziadkowi krzywdy. Nie stałaby beczynnio.

– Clara mogła być świadkiem tylko ostatniej części sceny i nie zdołała zainterweniować. Dom Norbedo jest duży, dźwięki mogły być stłumione.

– Nawet krzyk?

– Rzeczywiście, nikt nie słyszał krzyku. Azais mógł nie mieć powodu, żeby krzyczeć, mógł też nie zdążyć.

– Sądzę, że Clara mogłaby mieć interes w kryciu tylko dwóch osób – mówię, bardziej do siebie niż do niego, podczas gdy przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Pomysł, który jednocześnie zasmuca mnie i ekscytuje. Ponieważ od początku wiem, że mam rację – rodziców.

– Właśnie. Nadeszła chwila, żeby przedstawić ci nowiny. – Słyszę, jak moje serce przyspiesza, kiedy Calligaris wyciąga z teczki podpisanej AZAIS kartkę, która wygląda jak oficjalny dokument. – Masz czyste ręce? – pyta najpierw.

– Oczywiście! – odpowiadam niemal niegrzecznie, chcąc jak najszybciej wyrwać mu kartkę z rąk.

Zerkam na nią, ale sprawa wydaje się skomplikowana.

– To holograficzny testament Konrada Azaisa, sporządzony w gabinecie notariusza De Laudiego w obecności dwojga świadków. A jako że jego ubezwłasnowolnienie wydaje się już mało prawdopodobne, podejrzewam, że zostanie uznany.

– Jeśli potwierdza to, co podejrzewam, Leone Azais i jego bracia z pewnością podważą testament, przynajmniej ze względu na zachówek.

– Z pewnością.

– Przeczytałaś nazwiska świadków?

Selina i Edoardo Norbedo.

– Zastanów się. Chcąc zachować z ojcem dobre relacje, spełniają każde jego żądanie.

– Nie, Selina nie jest taką osobą.

– A jednak. De Laudi to potwierdził. Azaisa przyprowadziła jego córka. Może miała nadzieję na szczególne względy w testamencie.

– Nie, inspektorze. Jest pan w błędzie – wyrywa mi się.

– Poza tym uważam, że śmierć Azaisa powiązana jest z wypadkiem Amélie Volange. Nawet jeśli uwzględnimy motyw finansowy, trudno wyobrazić ich sobie jako morderców.

Z uwagą czytam testament, próbując zapamiętać każde słowo.

Z wyjątkiem wszystkich klejnotów mojej żony Mai i willi w Udine, które chciałbym przekazać mojej wnuczce Clarze, swoją dziedziczką obwołuję Amélie Volange, córkę Oliviera Volange'a i Catherine Rouvroy.

Powód jest jasny: wszystko, co posiadam, zdobyłem dzięki jedynej opublikowanej przeze mnie książce, która odniosła sukces w oczach krytyki i czytelników. „Chciwość Deszideriusa Horvatha” jest absolutnym arcydziełem. Tej powieści nie napisałem jednak ja, a przynajmniej nie w całości.

Sprawiedliwym będzie, jeśli to, co mi pozostało, wróci do jego twórcy, z przeprosinami za całe zło, jakie wyrządziłem, które samo w sobie nie zasługuje na wybaczenie. Ufam, że zrozumiecie, iż artysta jest próżnym szaleńcem, ofiarą swojej własnej manii.

Azais, którym byłem wówczas – gwałtowny i ambitny – pragnął nade wszystko dwóch rzeczy: Catherine i sukcesu.

Nie mogłem pozwolić, by Olivier miał je obie. Moglibyśmy się podzielić, gdybym tylko był bardziej rozsądny. Catherine dla mnie, sukces dla niego. Ja jednak zamieniłem karty. I koniec końców zostawiłem mu Catherine, ale zabrałem „Chciwość”, zarówno w dosłownym, jak i metaforycznym sensie. Rękopis, który on uznawał za przeciętny i który chciał spalić, wziąłem, poprawiłem, dałem mu moc, zrobiłem z niego arcydzieło.

Taka jest prawda.

Leone, Enrico, Oscarze, Selino.

Wybaczcie mi.

Spodziewaliście się małej fortuny, ale ja na nią nie zasługiwałem, a w konsekwencji nie zasługujecie na nią także wy. Mam nadzieję, że zrozumiecie, iż spadek może składać się z dóbr niematerialnych, a ja pozostawiam wam w spadku odwagę naprawy własnych błędów, nawet jeśli oznacza to konieczność przyznania się do zdrady i kradzieży. Nie podważajcie testamentu, nie sprzeciwiajcie się mojej woli. Każdy z was wiele zawdzięcza temu skradzionemu bogactwu, nie wymagajcie więcej niż to, co zostało wam już dane.

Leone, jesteś dzielnym mężczyzną. Jestem z ciebie dumny, cokolwiek się stanie, niezależnie od tego, że uważasz mnie za szaleńca.

Enrico, twoja wrażliwość przypomina mi pełną czaru wrażliwość twojej matki. Korzystaj z niej, by zrozumieć innych, a nie po to, by zyskać coś dla siebie. Porzuć marzenia, które nie są dla ciebie i mogą cię tylko unieszczęśliwić.

Oscarze, znajdź własną drogę. W tobie genetyka dokonała mieszanki, z której wyłoniła się ogromna liczba talentów, które – jeden po drugim – marnujesz. Wróć do malowania, rozbudź swoją kreatywność z energią i zapałem, przestań się zadawać z tymi śmieciami, do których nie należysz.

Selino, moja słodka dziewczynko, tobie nie mam nic do powiedzenia, nie mam żadnych ostrzeżeń, żadnych rad. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej córki.

A wreszcie ty, Edoardo, który jesteś mi drogi bardziej niż syn, dzięki twojej pogodzie ducha i radości. Nigdy ich nie strać.

– Mam zamiar złożyć wizytę państwu Norbedo jutro po południu. Możesz pojechać ze mną.

Nie każę sobie tego powtarzać dwa razy.

* * *

Zdziwienie na twarzy Seliny Azais dowodzi, że tym razem wizyta nie była zapowiedziana.

Jest uprzejma jak zwykle, częstuje nas kawałkiem tarty, której w domu Norbedo nie może zabraknąć i wyjaśnia, że Clara poszła na obiad do przyjaciółki, ale niedługo wróci.

– Dzisiaj nie chcę rozmawiać z Clarą – ogłasza Calligaris spokojnym i eleganckim tonem. Ten człowiek jest kameleonem.

– Ach, nie? – pyta Selina, rumieniąc się lekko.

– Nie, wystarczy, że zadam kilka prostych pytań pani i mężowi.

– Dobrze. Zawołam Edoarda, jest w swoim gabinecie.

– Dziękuję – odpowiada inspektor. – I dziękujemy za pyszną tartę.

Selina uśmiecha się z wdzięcznością i wraca chwilę później w towarzystwie męża, jowialnego jak zawsze.

– Próbowaliście tarty po normandzku mojej żony? Wspaniała, prawda? – Wita się, energicznie ściskając moją dłoń. – W czym możemy wam pomóc?

– Jak wspominałem pana żonie, chcemy tylko zadać kilka prostych pytań.

– Proszę – odpowiadają chórem małżonkowie, po czym oboje chichoczą.

– Wiecie o tym, że Konrad Azais złożył testament holograficzny u waszego rejonowego notariusza?

Selina kiwa głową, po czym znów oboje zaczynają mówić jednocześnie.

Z tego duetu wybija się głos Seliny.

– Oczywiście, że wiedzieliśmy. Kiedy mój ojciec wyraził taką chęć, zaproponowaliśmy mu nasze towarzystwo. Jak zapewne wiecie, uważamy, że mój ojciec nie był szaleńcem i miał prawo do złożenia swojej ostatniej woli.

– Dlaczego nie wspomnieliście o tym wcześniej? Na co czekaliście?

– Woleliśmy, żeby ta wiadomość nie dotarła do moich braci przed ogłoszeniem decyzji sędziego w sprawie ubezwłasnowolnienia. Nie sądziliśmy też, aby to było istotne. My tylko mu towarzyszyliśmy, nie czytaliśmy testamentu.

– Jak myślicie, co w nim napisał? – ciągnie Calligaris, ściskając w lewej dłoni prawą, zranioną.

– Domyślam się, że potwierdził to, co ogłosił już w liście, który odkrył mój brat Leone.

– Pani naprawdę pogodziła się z decyzją ojca o zapisaniu całego majątku obcej kobiecie i zostawieniu was z pustymi rękami?

– Pewnie miał swoje powody, poza tym mnie nic nie potrzeba. Nigdy nie liczyłam na pieniądze ojca. Był jednakże dla nas hojny, a ten dom to prezent od niego.

– Naprawdę uważa pani jego decyzję za sprawiedliwą? – nalega Calligaris.

– Inspektorze – wtrąca Edoardo – jeśli pyta pan, czy się z niej cieszymy, odpowiedź brzmi nie. Zawsze dobrze mieć więcej pieniędzy. Być może dzięki pieniądzom teścia mogliśmy pojechać na Borneo, o czym marzymy od lat! Cieszymy się jednak, że jego wola zostanie uszanowana. To wszystko – kończy Edoardo, jakby mówił o drobniakach, a nie o wielkich sumach.

Rozmowę przerywa dźwięk zamykanych gwałtownie drzwi. Ze słuchawkami iPod'a w uszach, z długimi włosami, które opadają na jej szczupłe ramiona, w różowych conversach na nogach i z zapisanym markerem plecakiem Eastpack, Clara przemierza salon, by dotrzeć do schodów, które prowadzą na górę, do jej pokoju.

Kiedy widzi nas zgromadzonych wokół stołu, kamienieje ze strachu.

– Nie, nie, nie! – woła zrozpaczona.

Kusi mnie, aby przeprosić, bo wiem, że to mnie ma serdecznie dosyć. Boi się, że znowu zacznę ją wypytywać. Clara szuka pocieszenia w twarzach rodziców, którzy

wydają się zadziwieni jej reakcją.

– Claro, skarbie, nie bądź niegościnna – karci ją matka. – W szkole wszystko w porządku?

Łzy wypełniają oczy Clary i zaczynają rozmazywać czarny makijaż. Jej reakcja jest zrozumiała tylko w pewnym stopniu.

Wtedy przychodzi mi do głowy pewna myśl.

Obawia się, że wszystko zrozumieliśmy.

Obawia się, że Calligaris przyszedł, by dokonać aresztowania.

Claro, prawda jest zapisana w twoich oczach, barwą twojego strachu, i wypłynie na wierzch niczym lawa.

Calligaris spogląda na mnie z wyższością i satysfakcją. Dla niego Clara jest tylko narzędziem służącym rozwiązaniu sprawy. Dla mnie jest zagubionym dzieckiem.

– Dobrze się czujesz, Claro? – pyta ją głosem pełnym nieszczerzej słodczy. – Co tak bardzo cię poruszyło?

– Może obawia się ponownego przesłuchania. Ma już dosyć. Prawda, mała? – Ojciec podaje jej rękę, ale Clara ją odtrąca, odsuwając od siebie jakby była ostrymi nożycami, które mogą ją zranić.

– Nie z tobą chcę rozmawiać, nie martw się. Przyszli do nas – wyjaśnia matka, pogarszając tylko sytuację.

– Do was?! – woła, zakrywając dłonią usta, różowe, jak bywają tylko dziecięce wargi.

– Wszystko w porządku, kochanie – dodaje ojciec z szerokim, uspokajającym uśmiechem, jakby nie rozumiał w pełni przyczyny tak silnego wzburzenia.

– Szczerze mówiąc, powinienem zadać jedno pytanie także Clarze – mówi Calligaris. Spoglądam na niego ze obawą: chyba żartuje?

W tym momencie Selina i Edoardo wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Trudno zrozumieć, czy przyczyną lęku, jaki paruje z każdego poru ich skóry niczym specyficzny zapach, jest coś, o czym nie wiem, czy może zdenerwowanie ich córki.

Rozgoryczona Clara kręci głową. Zrozumiała.

Wyjmuje z uszu słuchawki i chowa je do kieszeni kurtki.

Edoardo szuka spojrzenia córki, ale ona opuszcza wzrok.

Ja czuję, jak serce wybucha mi w piersi. Wiem, że Calligaris zmierzy się z Clarą i wyciągnie z niej prawdę. To tylko dziewczynka i jest u kresu sił.

Diamenty są na zawsze, tajemnice nie.

Istnieje granica zapachu, z jakim każdy z nas potrafi utrzymać sekret, a mam wrażenie, że Clara dotarła do swojej.

Gdyby się teraz poddała, doprowadziłaby nas do prawdy.

Odkrylibyśmy, czy jedno z tych dwojga próbowało zabić Azaisa i w jaki sposób. A przede wszystkim – a to interesuje mnie najbardziej – moglibyśmy się dowiedzieć –

dlaczego. Trudno mi wyobrazić sobie wiarygodny motyw dla któregokolwiek z nich.

Odpowiedź jest na wyciągnięcie ręki.

A jednak nie chcę jej poznać.

Nie chcę, żeby bicie serca tej rodziny ustało, żeby idylliczna atmosfera tego domu rozwiła się w nicość. Nie chcę niszczyć spokoju Clary, nie chcę, by czuła, że zdradziła rodziców.

– Zaczynamy, Alice – ponagla mnie Calligaris, podnosząc się od stołu.

Idę za inspektorem i Clarą jak na ścięcie.

*Umiem dawać sobie dobre
rady, ale nie umiem z nich
korzystać.*

„Alicja w Krainie Czarów”

Clara siada przy okrągłym stole w kuchni z białego drewna, która wydaje się urządzona osobiście przez Babcię Kaczkę. Zakłada kosmyki włosów za uszy i gładzi opuszką palca brzeg szklanki pełnej mleka.

Calligaris kaszle z niespodziewanym zawstydzeniem. Magiczna aura Clary sprawia, że czuje się niezręcznie, bo gdyby skomplikowana intensywność dziewczynki miała konsystencję, byłaby aksamitem i – choć niematerialna – potrafi w całości owinać każdego rozmówcę.

– Claro, kiedy weszłaś na pierwsze piętro, żeby zanieść dziadkowi tort, drzwi jego pokoju były otwarte czy zamknięte?

– Już mnie pan o to pytał – odpowiada obronnym tonem dziewczynka.

– Powiedz jeszcze raz.

– Były zamknięte.

– Były zamknięte – powtarza zdecydowanie Calligaris. – Dobrze, skoro były zamknięte, jak to możliwe, że tort, który upadł ci na ziemię, nie pozostawił śladów w pokoju twojego dziadka?

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś, że upadł ci, kiedy drzwi były jeszcze zamknięte. Ale to znaczyłoby, że nie widziałaś jeszcze nieprzytomnego dziadka. Co, w takim razie, widziałaś? Albo słyszałaś?

Cholerka. Na to zupełnie nie zwróciłam uwagi.

Clara wzdycha. Opuszcza ciężkie powieki na zielone tęczówki i spogląda na drewnianą podłogę.

– Drzwi były otwarte, Claro, a ty kogoś zobaczyłaś, prawda? – nalega Calligaris. – Kto był z dziadkiem w pokoju?

Dziewczynka przez długi czas patrzy na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, być może rzucając wyzwanie, po czym mówi chłodno:

– Mój wujek Enrico.

Calligaris jest kłębkiem nerwów.

– Enrico Azais? – powtarza przekonany, że źle usłyszał.

Spodziewał się usłyszeć: „mój ojciec” lub „moja matka”, a przez dłuższą chwilę ja też się tego obawiałam. Bałam się, to dziwne! Powinnam była mieć raczej nadzieję. Zazwyczaj stoi się po stronie dobra. Kto jednak, w tej historii, jest zły? Inspektor przyjmuje rozczarowanie pełnym chłodu grymasem i wydaje się zdesperowany. Nie wie – bo nie zna Clary wystarczająco dobrze, wbrew przekonaniu, że udało mu się zrozumieć wszystko dzięki prostemu dodaniu koherentnych czynników – że dziewczynka jest równie zdesperowana, pełna zapału, który sprawia, że jej oczy upadłego anioła miotają iskry.

– Mówiłam już przy innej okazji, że mój wuj Enrico był jedynym, którego brakowało przy stole, kiedy poszłam na górę do dziadka – przypomina nam ze sprytnym błyskiem w oczach i dołeczkami rysującymi się na policzkach.

– Jasne, jasne – odpowiada Calligaris, udając, że jej wierzy. – A pamiętasz, co zaszło między dziadkiem a wujem?

Clara nie spieszy się z odpowiedzią. Wypija łyk mleka i – jak to ma w zwyczaju – splata długi warkocz, który opada na jej szczupłe plecy.

Nie pozwól się ochlapać tym błotem, Claro. Twój dziadek nie chciałby, żebyś była kłamczuchą, jak on. Nawet jeśli twoje intencje są szlachetne.

Staram się mówić do niej wzrokiem, ale ogranicza mnie dominująca obecność Calligaris.

– Coś się stało, ale nie pamiętam, co. Spytajcie mojego wuja.

Jej odpowiedź jest zbyt chłodna. Naprawdę sprawia wrażenie zdolnej pokerzystki, która blefuje, że ma królewskiego pokera, w rzeczywistości ma tylko zwykłą parę.

– Daj spokój, Claro. Chyba nie sądzisz, że nas oszukasz! Doskonale wiesz, że widziałas coś ważnego, czego nie chcesz nam zdradzić, ponieważ kogoś chronisz. Naprawdę chcesz chronić twojego wuja Enrica? Dlaczego? Jest ci tak bliski, że jesteś gotowa nie dopuścić do tego, by sprawiedliwości stało się zadość?

– Mój dziadek umarł. Co by miało naprawić uwięzienie mojego wuja? On żyje, a sprawiedliwość, o której pan mówi, mogłaby go zniszczyć. I nie jestem pewna, czy tak powinno się stać. W takiej sytuacji sprawiedliwości wydaje mi się niepotrzebna. A poza tym i tak nic nie pamiętam.

– Dziewczynko, mówiąc delikatnie, twoja skala wartości jest nieco zniekształcona – komentuje kwaśnym, zniecierpliwionym głosem inspektor, który zapewne chciałby uderzyć ją w twarz. – Porozmawiam z twoim wujem Enrikiem. Powiem mu, że widziałas go w pokoju dziadka. Wysłucham jego wersji. Jeśli w międzyczasie sobie coś przypominasz, zadzwoń do mnie.

– Cóż, jeszcze jedną rzecz mogłabym powiedzieć – dodaje Clara szeptem, patrząc na nas błyszczącymi oczyma. – Mój wuj Enrico ukradł rękopis z sejfu dziadka.

O, to rzeczywiście coś nowego.

Clara opowiada Calligarisowi historię kluczy do szuflady, tę samą, którą już znam,

ale z innym zakończeniem.

– To ostatnia powieść dziadka. Istniała tylko jedna kopia, napisana ręcznie, a po śmierci dziadka moja matka schowała ją do sejfu. Nikt z nas jej nie czytał. Miałam zacząć przepisywać tę powieść tydzień po moich urodzinach.

Nie mogę zaprotestować i przytoczyć pierwszą wersję opowieści, którą od niej usłyszałam: oznaczałoby to przyznanie, że o wszystkim widziałam i nie powiedziałam inspektorowi. Z tego samego powodu nie mogę zapytać Clary, dlaczego nagle jest taka pewna, że to jej wuj Enrico dopuścił się kradzieży. Pyta ją o to Calligaris i zapisuje kilka rzeczy w swoim notesiku. A ona odpowiada z godną podziwu błyskotliwością.

– Ponieważ nikt inny nie wiedział, że klucze były w szufladzie i tylko mój wuj Enrico mógł być zainteresowany rękopisem.

– Ale dlaczego ukradł tylko rękopis? Było tam coś jeszcze?

– Tak, klejnoty mojej babci. Ale nie wziął nic więcej, tylko rękopis.

– A skąd twój wujek o nim wiedział? Dziadek nie dopuszczał go przecież do siebie. Kto w takim razie mu powiedział?

– Myślę, że moja matka. Codziennie ze sobą rozmawiają, wujek jest od niej zależny i dzwoni codziennie o ósmej rano i o ósmej wieczorem.

Mimika inspektora nie zdradza żadnej myśli.

– Claro, pytam po raz ostatni. Co zaszło tamtego popołudnia między twoim wujem a twoim dziadkiem? Nawet jeśli nie pamiętasz wszystkiego, dla nas każdy detal może się okazać istotny.

Ona oblizuje lekko wargi i przyjmuje wyraz twarzy kogoś, kto się intensywnie zastanawia. Bardziej niż na kogoś, kto stara się coś sobie przypomnieć, wygląda na kogoś, kto wymyśla.

– Mój wuj... on był... blisko dziadka. Bardzo blisko. Jego dłonie dotykały go... tutaj – kładzie dłonie obok obojczyków. – Ale nic się nie wydarzyło. Nie kłócili się, wręcz przeciwnie... dziadek mówił, że... że wybacza mu próbę ubezwłasnowolnienia i może go odwiedzać, kiedy tylko zechce. Potem... nic więcej nie pamiętam.

Calligaris przyjmuje ojcowską postawę.

– Claro... dlaczego nie powiedziałaś nam tego wszystkiego wcześniej?

– Bałam się, że źle mnie zrozumiecie. Mój wuj nic nie zrobił, mogłabym przysiąc.

– Przecież nic więcej nie pamiętasz! – poprawia ją zirytowanym Calligaris.

– Przysięgam, przysięgam! Nie zrobił nic złego. Nikt nie zrobił mu nic złego.

– W porządku, zrozumiałem. Ale nie wykluczam, że będziemy musieli porozmawiać z tobą znowu.

Ona kiwa głową z pełną rezygnacją.

Przed wyjściem Calligaris prosi Seline o potwierdzenie teorii Clary dotyczącej kradzieży rękopisu. Ona powtarza słowa córki; Calligaris zapisuje je w swoim notesie.

W drodze do Rzymu inspektor planuje spotkanie z Enrikiem Azaisem.

- Porozmawiam z nim, o nic go nie oskarżając. Chcę poznać jego stanowisko.
- Sądzi pan, że Clara nie powiedziała nam prawdy?
- Nie ufam tej dziewczynce. Jest pełna żaru i ma dość szczególną koncepcję dobra i zła. Posunie się do kłamstwa z powodów, które uznaje za słuszne... Na tym etapie nie uważam jej wersji za wiarygodną.

Desperacko pragnę wziąć udział w spotkaniu z Enrikiem Azaisem. Calligaris wie o tym, więc proponuje mi, bym mu towarzyszyła. Nie wierzę w swoje szczęście i nie mogę już się doczekać przesłuchania.

Every teardrop is a waterfall.

Jest 11 marca 2011 roku. Dzień, który zmieni wiele istnień ludzkich.

Pośrednio także i moje.

Lara pyta mnie, czy słyszałam o trzęsieniu ziemi w Japonii. Od razu dzwonię do Yuki, która nie odbiera komórki i zaraz potem szukam informacji w Internecie. To bezprecedensowa katastrofa.

Wychodzę z pracy trochę wcześniej, wracam do domu i zastaję Yukino na kanapie.

Rozmawia przez telefon po japońsku. Obserwuje obrazy w telewizji pogrążona w katatonii, a kiedy odkłada słuchawkę, zdaje się pełna niepokoju.

– Jestem bardzo smutna – obwieszcza spokojnie.

– Domyślam się. W domu wszyscy zdrowi?

– Tak, na Kioto nie ma problemu. Chcę tam wrócić, jutro poszukam lotów.

– Yu, myślisz, że to rozsądne?

– Nieważne. I tak zdecydowałam już, że muszę wrócić do domu. To znak, że powinnam wrócić jak najszybciej.

– Albo może znak, że powinnaś zrobić zupełnie na odwrót! – wołam, nie rozważając sensu tego zdania. Yukino nie wydaje się jednak poruszona moją sugestią. Zdecydowała i koniec.

– Jutro uprzedzę profesorów z uniwersytetu. Pomożesz mi się spakować?

Chciałabym odmówić. Oczywiście z egoizmu. Nie jestem gotowa na pożegnanie. Oczywiście, że to nie będzie pożegnanie: coś takiego nie istnieje w XXI wieku, w czasach Internetu, Skype'a i tak dalej. Nie zachowam się melodramatycznie, to niewłaściwy moment, zła okazja.

Jednocześnie dociera do mnie, że Kioto nie leży za rogiem i nie wiem wcale, czy będzie mi dane znowu spotkać się z Yuki, znów spędzać z nią pogodne niedziele. Poprosić ją o radę. Czuć ogromną radość z jej obecności. Nie będzie łatwo znaleźć kogoś, z kim będzie mi równie dobrze; udane wspólne mieszkanie jest małym cudem.

– Oczywiście – odpowiadam wreszcie. Ona wstaje z kanapy i przytula mnie mocno.

– To tak straszne, że aż brak mi słów. Nie mogę stąd na to patrzeć. Wiesz, że nie mam już powodu, żeby tu mieszkać, mówiłam ci to dawno. Chcę wracać do mojego domu, do mojego łóżka, do mojej mamy. Do Sosuke, mojego dziadka, do moich sióstr, do mojego psa Pero, do taty, do moich ogrodów, chcę znów zobaczyć Kinkakuji, chcę pomodlić się w świątyni, pójść na spacer w Higashiyama, napić się soku z pomidora,

kupionego w Family Mart, chcę słuchać ludzi mówiących z akcentem Kansai. Chcę zobaczyć wolne drzewa w Miyajimie. Chcę mojego Nihona, bo jest delikatny i cenny, ziemia pokazała dzisiaj, że może zniszczyć go w jednej chwili, a ja straciłam dwa lata życia z Nihonem.

Mówi bez przerwy, od czasu do czasu wstrząsana łkaniem. Przytulam do siebie szczupłe, drobne ciało, pachnące pudrem, muskam błyszczące włosy.

To dzień bez ulgi, bez nadziei.

* * *

Następnego dnia w pracy, na widok mojej ponurej miny i zapuchniętych powiek, które przypominają pełną niepokoju i strasznych myśli noc spędzoną u boku Ichiego, Lara domyśla się, że coś jest nie tak. Wyjaśniam, że martwię się rychłym wyjazdem Yukino, a Lara wzrusza mnie swoją czułą propozycją przeprowadzki do niej. Ten wybór byłby nie tylko sensowny, ale też rozsądny: Lara mieszka dwa kroki od instytutu i jest osobą godną zaufania, dojrzałą i konkretną. Czyli dokładnym przeciwieństwem Cordelii, mieszkanie z którą zapowiada fajerwerki.

Poza tym poprzez Cordelię mój związek z Arthurem pozostawałby żywy, a ja sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Być może nikt nie chciałby zamieszkać ze swoją niedoszlą szwagierką, ale mała Malcomess jest tak wyjątkowa, że mieści się w niemal abstrakcyjnym wymiarze. Spędzenie z nią nawet paru godzin jest próbą dla cierpliwości i zdrowego rozsądku, nie sposób więc będzie nie czerpać z tego radości. Poza tym Cordelia mnie potrzebuje. Z ogromną trudnością wydobywa się z bagna, w którym utknęła; prosi o pomoc, wyciągając dłoń, a ja nie mogę udawać, że jej nie widzę. Dzwonię więc do niej koło jedenastej, a ona przyjmuje nowiny z typowym dla siebie entuzjazmem.

– Już straciłam nadzieję! W takim razie zwolnię ci pokój! – woła, by następnie zacząć wymieniać wszystkie dobra konsumpcyjne, jakie ma zamiar nabyć, by uczynić bardziej przyjemnym i wygodnym swoje małe mieszkanko przy viale Giulio Cesare numer 151.

– Cordelio, naprawdę nie ma pośpiechu. Nie przeprowadzam się jutro – wyjaśniam spokojnie.

– Ale pospiesz się, nie znoszę być sama. Moja kuzynka Lavinia musi wracać do Mediolanu, a ja już miałam szukać współlokatorki.

– Nie będzie problemu, jeśli zabiorę ze sobą psa, prawda?

Cordelia milczy tylko przez chwilę.

– Nie, ale ty po nim sprzątasz.

Przed moim biurkiem pojawia się potężna sylwetka Anceschiego, zmuszając mnie do szybkiego przerwania rozmowy. Pod białym kitem ma odblaskowe, zielone polo, które sprawia, że przypomina żywy orzeszek pistacjowy.

– Allevi, są nowe wiadomości o ubezwłasnowolnieniu Azaisa. – Fakt, że przyszedł

przekazać mi je osobiście, ma ogromne znaczenie. – Pójdiesz ze mną do baru?

Po drodze z zainteresowaniem słucham jego relacji.

– Sędzia poprosił o powtórny diagnozę i powierzył ją innemu konsultantowi. Można się było tego spodziewać, chociaż wpędziło mnie to w spiralę wyrzutów sumienia. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w mojej trzydziestoletniej pracy.

– To wina Laurentiego.

– Wiesz, co o tym myślę. Mówi się, że jeśli ktoś chce coś zrobić, robi to, a kto nie chce – próbuje to na kogoś zrzucić. Tak właśnie wyszło. W każdym razie na Laurentiego nic już nie zrzucę, ale to niczego nie zmieni: wciąż będą powoływać go na eksperta, chociaż jest pozbawiony zasad moralnych wymaganych przez prawo i kodeks etyczny. Sam w sobie ten paradygmatyczny przypadek wiele mnie nauczył. Chciałbym przygotować seminarium dla was, studentów, na którym podzieliłbym się tym doświadczeniem, żeby was nie spotkało to samo. Nigdy. Wiem już, że ty unikniesz tej pułapki, bo ty jesteś inna.

Jestem zachwycona tonem, jakim wypowiedział słowo „inna”. Wyraził moje podejście do życia.

– Wie pan już, kto będzie konsultantem?

– Tak. To nemezis, kara od dobrego Boga.

– Conforti?

– Gorzej.

Nemezis może być tylko jedna. Ta, która zrobiła z medycyny sądowej prywatny instrument socjoprofesjonalnej *escalation*. Najwstrętniejsza w królestwie, groźba każdego trybunału, fetysz każdego adwokata, koszmar każdego sędziego, piekło każdego studenta: profesor Valeria Boschi *aka* Wally.

Dobry doktor Anceschi kiwa ponuro głową.

– Powiedziała mi już, że chce zadać ci kilka pytań na temat Azaisa. Bądź gotowa.

Historia nabiera paradoksalnego kształtu: „bądź gotowa” Anceschiego okazuje się przepowiednią i już o dwunastej zostaję wezwana do Królestwa Terroru, znanego inaczej jako pokój Wally. Kiedy wchodzę, ona siedzi wczytana w akta sprawy Azaisa, w okularach, które zmieniają jej fizjonomię, z pełną pieprzyków szyją i siwymi włosami, sztywnymi jak kask motocyklisty.

– Proszę usiąść – mówi, nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem i oblizując opuszek wskazującego palca, by przełożyć stronę; zawsze miała ten paskudny zwyczaj. – Giorgio powiedział mi, że brała pani udział w badaniu w domu Azaisa.

– Tak. Tamtego dnia wydarzyło się coś niespodziewanego i doktor Anceschi musiał opuścić ich dom... poprosił więc, bym go zastąpiła.

I oto znajduję się naprzeciw potężnej dychotomii: opowiadam jej nieocenzurowaną wersję mojej historii i ryzykuję, że wystawię złe świadectwo doktorowi Anceschemu, a on na to nie zasługuje. Nie mogę jednak skłamać.

Faktem jest też, że scedowanie swoich obowiązków na kogoś innego stawia go w niezbyt korzystnym świetle i nie ma co próbować uniknąć konsekwencji. Dlatego wyjaśniam jej wszystko, skupiając ostrze krytyki na Niccolò Laurentim i jego stroniczym podejściu.

– A na czym opiera pani swoje przekonanie, że Azais był przytomny i zdrowy psychicznie?

– Na wszystkim: jego sposobie mówienia, zachowaniu, na jego opiniach.

– Zauważyła pani coś niewłaściwego w podejściu Paladina? Na przykład jakieś dziwne porozumienie między nim a Laurentim?

– Nic szczególnego. Laurenti okazywał mu wiele szacunku, na granicy lizusostwa.

– Dziwię się, że nigdy nie poddano go tomografii komputerowej... – mówi jakby sama do siebie.

– Cóż, Azais nie opuszczał domu córki.

– Są tutaj stare wyniki badań, od początku lat dwutysięcznych. I wszystkie wizyty kardiologiczne.

– Tak, chorował.

– Właśnie.

– Ale nic nie wskazuje na niemoc umysłową – powtarzam, jakbym była konsultantką wynajętą przez Azaisów.

– Zrozumiałam. Możliwe, że ma pani rację. Wie pani, że testament został już otwarty? – pyta zagadkowym tonem. Przy Wally człowiek czuje się zawsze jak na egzaminie, nawet kiedy pyta o coś oczywistego, w stylu: „Czy ekspres do kawy działa?”.

– Tak.

– Azais wyznał, że ukradł swoją pierwszą powieść.

– Uważa to pani za gest szaleńca? Mnie wydaje się to nad wyraz przytomne.

– A wie pani już o liście, który Azais napisał do Amélie Volange, która była jego główną dziedziczką?

– Nie, nie wiem! Wstrętny Calligaris o niczym mi nie powiedział!

– Oto i on – ciągnie, podając mi kopię napisanego po francusku listu i zaraz potem tłumaczenie na pogiętej kartce.

Rzucam okiem na list, próbując ogarnąć całość. Napisany jest bardzo starannie jego spiczastym charakterem pisma, pełnym gotyckich łuków.

Czytanie listu zaadresowanego do osoby, której nie dane było go przeczytać, ma w sobie coś jednocześnie dosadnego i melancholijnego. Wiesz, że te słowa porwał wiatr, że rozplynęły się w nicości. Żałuję tych słów, które umarły jak ten, kto je napisał i ta, która miała je przeczytać.

Tarquinia, 16 października 2010

Jeśli odziedziczyłaś arogancję swojej matki i brak rozsądku ojca, nie zainteresują cię odziedziczone

po mnie pieniądze. Zainteresuje cię przyczyna, przeprosiny, które nadejdą – nie obawiaj się. „Chciwość Deszideriusa Horvatha” została napisana przez twojego ojca. Idea, postaci, alegoryczne znaczenie – wszystko to należało do niego. Książka ta nie była jednak nic warta. Brakowało jej czegoś nienazwanego, co czyni książkę genialną. Twojemu ojcu zabrakło ambicji, by napisać arcydzieło. Był leniwy, należał do ludzi, którzy rezygnują z projektu, zanim jeszcze zrozumieją, czy są gotowi, by się z nim zmierzyć.

Ja poznałem się na tym potencjale. Miałem ambicję i zmierzyłem się z wyzwaniem. I zwyciężyłem.

Poprawiłem słabości, wzbogaciłem styl, odmieniłem finał. To, czego dokonałem ja, dzisiaj zrobiłby uzdolniony redaktor. Ja sam nie stworzyłem tego arcydzieła, ale on także nie. Tak czy inaczej, kradnąc mu rękopis – tak było, użyję właściwego słowa – odebrałem mu też jakąkolwiek możliwość zaistnienia jako pisarzowi, połamane mu nogi: od tej chwili nie chodził już, lecz kulał. Gdyby się nie zabił, prosiłbym go o przebaczenie. Powinienem był zrobić to wcześniej, bo życie takie właśnie jest: daje ograniczoną liczbę szans.

Proszę cię o wybaczenie, Amélie, za wszystko, co ci odebrałem i wszystko, czego ci nie dałem. Pozostawiam ci przeklęte pieniądze, które zarobiłem dzięki tej nieszczęsnej książce. Użyj ich, by wyjechać, podróżować i poznawać świat. Tak poradziłem moim dzieciom. I, przy okazji, ojcowska rada: nie trać na nich czasu ani energii. Nie znają oddania. Koncepcja poświęcenia jest im obca. Są okrutni, podobni do mnie.

K.

– To nie jest list szaleńca – podsumowuje Wally.

– Nie – potwierdzam zdecydowanym tonem. Rozważam opinię Konrada o jego dzieciach. Zastanawiam się, do czego dokładnie się odnosi. Dlaczego radzi Amélie, żeby nie traciła na nich czasu ani energii?

– Chciałabym, żeby pani wiedziała, że doceniam pani postawę w tych okolicznościach, pani doktor. Była pani pełna zapału, ale ostrożna. Metoda wciąż pozostawia jednak wiele do życzenia, opiera się bardziej na intuicji niż na danych naukowych. Spodziewałabym się na przykład, że uwzględni pani histologiczne badanie mózgu z autopsji Azaisa. Nie ma śladów wskazujących na demencję naczyniopochodną, alzheimera ani żaden inny z częstych syndromów demencyjnych. Oczywiście nie jest to czynnik pozwalający na całkowite wykluczenie takiej ewentualności, ale to ważny element oceny. Mimo wszystko jestem pewna, że się pani poprawi.

Spoglądam na nią ze zdziwieniem.

Dobrze słyszałam czy przypadkiem wciągnęłam nosem halucynogeny w laboratorium (co zresztą kiedyś mi się zdarzyło)?

Komplement Wally zawsze był moim zakazanim marzeniem. Koniec końców, zawsze jest tak samo: pragniemy zadowolić tych, którzy nas nie doceniają. Zmienić ich opinię na naszą korzyść, zmusić, by przyznali się do błędu, by powiedzieli, że dotąd nas nie doceniali.

*Posiadasz cenne wspomnienie,
którego ja już nie mam.
Wspomnienie tego, jakim
byłem, utknęło w twojej
pamięci, bo nie widziałaś,
czym się stałem.*

Konrad Azais, *Chciwość Deszideriusa
Horvatha*

Popołudnie jest nudne i irytujące. Może to za sprawą walizek Yukino, które rzucają cień na nasz salon.

Z zamyślenia wyrywa mnie Calligaris, który jednym ze swoich telefonów, niespodziewanych jak wywalające korki, pilnie wzywa mnie do swojego biura: jest umówiony na spotkanie z Enrikiem Azaisem.

Inspektor sprawia często wrażenie, jakby przypominał sobie o mnie w ostatniej chwili, co jest zresztą uzasadnione: nie ma przecież wobec mnie żadnych zobowiązań. Jego telefon zmusza mnie do opuszczenia ukochanej kanapy, zebrania kapryśnej grzywki spinką, pożegnania się z Ichim, którego błagam, by nie zniszczył domu – albo, jeśli już musi, by ograniczył swoją aktywność i, na Boga, nie podgryzał nóg od stołu – i włożenia na siebie szybko kurtki, żeby następnie rzucić się na ulicę niczym letni deszcz.

Docieram do biura, dysząc ciężko i mam szczęście: zauważam niezdarną sylwetkę Enrica Azaisa, który spokojnie czeka na przyjęcie. Jak zwykle wygląda jak gruźlik z dawnych czasów, z żółtawymi cieniami pod oczami, zapadniętymi policzkami, przeredzonymi włosami na czole i palcami przypominającymi gałązki wyschniętej azalii.

– Dzień dobry – wita się bezbarwnym głosem z energią urzędnika pocztowego pod koniec ciężkiego dnia pracy.

Podaję mu dłoń, którą ściska bez siły. Otulony w zniszczony płaszczyk wygląda, jakby marzył i pragnął być już gdzie indziej. Jestem to w stanie zrozumieć.

Calligaris staje w drzwiach w swojej wyblakłej, niebieskiej koszuli i z błyszczącymi oczami.

– Proszę, usiądźcie.

Azais wzdycha ciężko niczym straceniec i idzie przede mną, zapomniawszy o dobrych manierach. Siada przed biurkiem inspektora, krzyżuje długie nogi, ukazując łydki w pasiastych skarpetkach i buty przypominające dwa drewniane kajaki.

Inspektor częstuje go cytrusowymi cukierkami, które trzyma na biurku, i groźnie splata palce, gotowy, by przejść do ataku.

– Pamięta pan urodzinowy obiad pańskiej siostrzenicy Clary?

– Jak mógłbym zapomnieć? Żartuje pan sobie?

– W żadnym wypadku. Opowie mi pan ze szczegółami o tym obiedzie?

Szczerze zmieszanie maluje się na twarzy Enrica Azaisa, który wydyma wargi z niepewnością, po czym zaczyna opowieść:

– Mój ojciec odmówił udziału w obiedzie i został w swoim pokoju: była to demonstracja przeciwko synom. Zwłaszcza mnie i Leone. Oscar zawsze był jego ulubieńcem, wszystko by mu wybaczył. Był przekonany, że on nie ma z tym nic wspólnego. Niesłusznie, bo on przecież także podpisał papiery.

Jego ton jest złośliwy, kolejne słowa wypowiada już ostrożniej.

– Mój ojciec nigdy nie potrafił wybaczać, a cała ta sprawa z ubezwłasnowolnieniem głęboko go zraniła. Nie po raz pierwszy odmawiał przyjscia do nas do stołu. Aż do krojenia tortu, wszystko wydawało się przebiegać normalnie. Banalny obiad urodzinowy. Moja siostra dała z siebie wszystko, przygotowała wspaniałe menu. Mój szwagier jak zwykle popisywał się jak kuglarz na królewskim dworze. Oscar i Leone byli dość znudzeni. Moja siostrzenica zdmuchnęła świece, pokroiła tort, a Selina poprosiła ją, by zaniosiła kawałek dziadkowi. Chwilę później usłyszeliśmy dźwięk rozbijającego się szkła.

– Co dokładnie znaczy: „Chwilę później”?

– Nie jestem pewien. Pięć minut, może mniej.

– Pan siedział przy stole w czasie tych pięciu minut?

– Oczywiście. Tam usłyszałem brzęk.

– A tuż przed tym, jak Clara poszła do dziadka?

– Słucham?

– Wstawał pan od stołu?

– Nie. Wstawałem kilka razy tylko po to, by pomóc siostrze. Nikt się nie kwapił. Moja szwagierka Marcella tkwiła w miejscu, chyba po to, żeby jej tyłek stał się jeszcze bardziej płaski. O moich braciach nawet nie ma co wspominać. Ciotka Elisabetta jest już staruszką, a mój szwagier. dajmy spokój.

– Co zrobiliście, kiedy usłyszeliście ten dźwięk?

– Selina zawołała Clare. Spytała ją, czy wszystko w porządku.

– Czy pana siostrzenica krzyczała?

– Nie.

– A potem?

– Clara nie odpowiedziała. Selina się zdenerwowała i weszła na górę. To ona zawołała nas, mówiąc, że ojciec wydaje się martwy. Moja siostrzenica straciła pamięć. O cokolwiek by ją zapytać... milczała albo mówiła: „Nie wiem”.

– Kogo nie było przy stole, kiedy Clara poszła na górę?

– Naprawdę nie pamiętam. Wtedy nie wydawało mi się to istotne.

– Proszę się zastanowić – drąży Calligaris jak traktor orający pole.

– Nie zwracałem na to uwagi, przykro mi.

– Jestem pewien, że przy odrobinie koncentracji się uda. To ważne, panie Enrico. Jest ktoś, kto pamięta, że to pana nie było wtedy przy stole – rzuca tajemniczo Calligaris.

– Mnie? – Azais aż podskakuje, jakby nigdy nie słyszał nic podobnie absurdalnego.

– Właśnie. Teraz rozumie pan, dlaczego należy się skupiać na szczegółach?

Enrico wydaje się skonsternowany.

– Cóż, nie chcę popełnić błędu. Nie zwróciłem uwagi i tyle.

– W takim razie spróbujmy inaczej. Pamięta pan, kto na pewno siedział przy stole?

Enrico kiwa głową.

– Na pewno Selina. Edoardo opowiadał jakiś cienki żart, a Selina próbowała mu przerwać. I, jeśli się nie mylę... tak, Leone też siedział przy stole. Wstydził się za naszego szwagra i popatrzył na mnie porozumiewawczo. Jestem pewien, że on to potwierdzi. Ja i moi bracia mamy nasz własny kod spojrzeń, kiedy znajdujemy się w towarzystwie naszego szwagra. Żaden z nas nie jest w stanie zrozumieć, czemu siostra go poślubiła.

– Dlaczego? – pyta inspektor.

– Ponieważ to strasznie przeciętny człowiek. Głupak jakich wielu. Moja siostra zasługiwała na kogoś lepszego. Poza tym był lizusem: to on przekonał Selinę, żeby nie podpisywała wniosku o ubezwłasnowolnienie... A wie pan, dlaczego? Bo chciał podliznąć się ojcu.

– Z jakiego powodu?

– Ponieważ Edoardo jest tchórzem i zawsze podporządkowywał się mojemu ojcu. Sługus.

– A pana ojciec? Co o nim sądził?

– Nic dobrego, podobnie jak my. W ostatnich latach jednak ich relacje były silniejsze ze względu na Clarę. Mój ojciec ją uwielbiał.

Inspektor zapisuje coś w swoim notesie i zamyślony bawi się długopisem.

– Przez jakiś czas mieszkał pan w przybudówce domu pana siostry, prawda?

Azais kiwa głową, szybko przestawiając się na nowy temat.

– Jak długo? I kiedy?

– Mieszkałem tam około roku. Cztery lata temu.

– Dlaczego?

– Z wygody. Przechodziłem dość ponury okres w moim życiu i potrzebowałem towarzystwa. Ja i Selina zawsze byliśmy ze sobą blisko, przynajmniej do czasu, kiedy jej zmijowaty mąż nie zaczął mącić.

– W jakim sensie?

– Mój szwagier nigdy nie rozumiał naszej relacji i był o nią zazdrosny. Przeszkadzała mu moja obecność. Widzi pan, ja nie mam pracy. Z wyboru. Nigdy nie znalazłem żadnej, którą uznałbym za odpowiednią dla mnie. Mam więc mnóstwo wolnego czasu.

– A z czego pan żyje? – pyta inspektor szczerze zainteresowany.

– Mam dwa mieszkania, które podarował mi ojciec. Żyję z wynajmu i spędzam czas na pisaniu.

– Więc pana szwagier nie cieszył się z pana obecności?

– Nie. I komunikował to jasno, bo na domiar złego jest również bezczelny.

– Proszę posłuchać, Enrico. Na pewno tamtego dnia nie spotkał się pan z ojcem?

– Na pewno. Tylko Oscar dostępował tego zaszczytu. Ja i Leone zostaliśmy przez jego wysokość skazani na banicję. Od bardzo dawna nie rozmawiałem z ojcem. Żadnemu z nas nie było wolno się z nim witać. Ostatnie słowa, jakie ze sobą zamieniliśmy, nie należały do szczególnie miłych.

– Wie pan o tym, że niedawno włamano się do domku, w którym pan mieszkał?

– Nie – odpowiada sucho.

Cisza zapada w pokoju niczym mgła.

– Że otwarto sejf pana ojca i coś z niego skradziono?

– Mój ojciec miał sejf? I coś było w środku?

– Rozumiem – odpowiada z lekkim sarkazmem w głosie Calligaris.

Wyraźnie rozczarowany żegna się z Azaisem.

– Zauważył pan, że każdy brat twierdzi, że inny był pupilkiem ojca? – pytam po chwili.

– Tak. Wszyscy mają potężne kompleksy. Zastanawiam się, czy ta robota ma sens – stwierdza, zapalając pall malla. Wyciąga notatnik i robi szybkie podsumowanie, któremu się z radością przysłuchuję.

– Selina Azais twierdzi, że tuż po pokrojeniu tortu – to interesujący mnie moment, bo właśnie wtedy Clara coś zobaczyła, a więc przy stole musiało brakować kogoś prócz niej – otóż zdaniem Seliny nie było tam jej brata Leone. Leone Azais z kolei utrzymuje, że siedział cały czas obok Enrica i słyszał hałasy dobiegające z góry. Oscar Azais zapewnia, że przy stole nie było ciotki Elisabetty, która z kolei uważa, iż brakowało żony Leone, Marcelli. Która dla odmiany nie pamięta, czy był tam Oscar. Co oczywiste, zdaniem Edoarda Norbedo przy stole nie było Enrica. Nie sposób tego pojąć. Jeśli zaś chodzi o skradziony z sejfu rękopis, jak wiesz, nie jest to kłamstwo, gdyż Selina Azais potwierdziła kradzież, ale nie zamierza jej zgłaszać, ponieważ jest

pewna, że zabrał go Enrico.

– Dlaczego miałby go zabierać?

– A któż może wiedzieć? Enrico Azais nie należy do ludzi, których łatwo zrozumieć. Może Clara mówi prawdę: był z ojcem, ale nie wydarzyło się między nimi nic podejrzanego. Gdyby nie ta historia z Volange... – Calligaris przerywa z gniewem.

– W jakim sensie? – pytam.

– Pojawiły się nowe informacje, które potwierdzają niektóre nasze podejrzenia co do związku między obydwoma zgonami.

– To znaczy? – Niemal spijam słowa z jego ust.

– Naoczny świadek złożył zeznanie, które uznałem za wiarygodne. Chodzi o sąsiadkę przyjaciółki, u której mieszkała Amélie Volange. W noc wypadku, o dwudziestej trzeciej, kobieta widziała jakiegoś mężczyznę, wychodzącego z mieszkania tej przyjaciółki, której jednak nie było w domu. Zeznała, że Amélie korzystała z tego mieszkania mniej więcej raz w miesiącu. Przyjaciółka często wyjeżdżała i zostawiała Amélie klucze.

– Przyjaciółka Amélie nie zdradziła powodu tych regularnych wizyt?

– Amélie zwierzyła się jej, że poznała mężczyznę i spotykała się z nim, kiedy tylko mogła. Ale jej przyjaciółka nie wie nic więcej. Sąsiadka widziała, jak ten mężczyzna wychodzi z domu, wsiada do samochodu i zostaje tam około kwadransa. Wreszcie znudziła się obserwowaniem, a właściwie podglądaniem, bo powiedzmy sobie szczerze, że kobieta jest strasznie wścibska, i zajęła się czymś w domu. Godzinę później usłyszała gwałtowne hamowanie i porzuciła swoje wieczorne spotkanie z Marzullo, żeby zająć miejsce na balkonie, z którego miała nadzieję podejrzeć jakąś interesującą scenkę. Samochód zniknął, ale kilka minut później zobaczyła, że prędko przejeżdża pod jej oknami. To on mógł potrącić Amélie na równoległej ulicy, z której zabrała ją karetka. Kobieta nie jest czytelnikzką „Czterech kółek” i zdołała zapisać tylko część numeru rejestracyjnego. Koniec końców udało nam się zidentyfikować model: jest to czarne audi sportback.

– Męski samochód. Drogi – komentuję. Przyznaję, że mam słabość do samochodów. Ja, która ledwo jeżdżę.

– Po długich i absorbujących poszukiwaniach udało nam się połączyć częściowo spisany numer z audi rozpoznany przez świadka. Samochód zarejestrowany na nazwisko Vittorii Galli, urodzonej w 1967 roku, panny, historyczki sztuki. – Zagląda do notesu i po chwili dodaje: – Jest właścicielką Ergi, bardzo popularnej w pewnych kręgach galerii sztuki.

– Nie rozumiem związku z Azaisami.

– Bo jeszcze ci o nim nie powiedziałem. Vittoria Galli przez wiele lat była partnerką Leone Azaisa. Wiele lat przed tym, zanim się ożenił. Mieli niewiele ponad dwadzieścia lat.

– To na pewno nie jest zbieg okoliczności! – wołam podekscytowana.

Calligaris przeciera palcami zmęczone oczy, niczym dziecko po długim dniu w przedszkolu.

– Zgadzasz się z tobą.

– Inspektorze... a jeśli skoncentrowaliśmy się na niewłaściwej osobie? Enrico i państwo Norbedo mogą nie mieć nic wspólnego ze śmiercią Azaisa. A jeśli to Leone Azais coś ukrywa?

– To nie wyjaśniłoby zachowania Clary. Poza tym nie widzę motywu.

– Inspektorze, po prostu wciąż trudno mi sobie wyobrazić Norbedo jako morderców.

– Alice, zdziwiłabyś się, ile razy na początku mojej kariery byłem przekonany, że jakiś podejrzany po prostu nie może być mordercą. Oczywiście później czekało mnie straszne rozczarowanie!

* * *

Po wyjściu z biura inspektora dzwonię do mojego brata, który jest przecież artystą, chociaż odkąd założył rodzinę, postanowił znaleźć prawdziwą pracę i zatrudnił się w studiu fotograficznym, w którym zarabia beznadziejnie, ale – jak sam mówi – „i tak więcej, niż zarabiałem wcześniej”.

Odpowiada przy trzeciej próbie, tłumacząc, że poszedł po krewetki po tajsku dla Alessandry, przerażonej, że bobas urodzi się z pieprzykiem w kształcie bezkręgowca.

– Znasz Ergi? – pytam.

– Galerię sztuki?

– Właśnie.

– Oczywiście – odpowiada, a resztę słów zagłuszają dźwięki klaksonu.

– Wystawiałaś tam kiedyś? – pytam, chcąc jak najszybciej przejść do sedna, bo kończy mi się kredyt na karcie.

– Ależ skąd! Trzeba mieć niezłe CV, żeby wystawiać w Ergi.

– Znasz właścicielkę?

– Z widzenia. Nazywa się Vittoria Galli, jest dość głupia, kiedyś pracowała na wydziale historii sztuki. Potem odeszła i otworzyła galerię.

– Coś jeszcze?

– Nie, *sister*. Może wpadłabyś do nas dzisiaj na kolację? Alessandra by się ucieszyła.

Znajduję sobie wymówkę. Wolę spokojny wieczór z nudlami, Yuki i Ichim, póki takie wieczory nie są tylko wspomnieniem, jak to się stało z dniami spędzonymi z Arthurem, które odeszły w przeszłość, zanim zdążyłam się nimi nacieszyć.

*Tęsknota to uświadomienie
sobie, że rzeczy nie były tak
dojmująco nieznośne, jakimi
wydawały się wtedy.*

Prawo Grimesa

Pałę merita, patrząc przez okno, które wychodzi na podwórko, żeby popatrzeć na jakiś ruch, który nie rozgrywa się na ekranie telewizora. Yukino wreszcie znalazła samolot Rzym – Osaka, który zabierze ją do domu w przyszły czwartek, a teraz siedzi przy komputerze, kończąc prace, które powinna oddać swoim włoskim profesorom.

– Alice! – woła w doskonałym momencie, bo popiół dosięgnął już filtra.

Kiedy wchodzi do jej pokoiku, odwraca się i uśmiecha do mnie.

– Arthur *kun* napisał do mnie. Chcesz przeczytać?

Mogłam się tego spodziewać. Wbrew pozorom Arthur potrafi być troskliwy. Pyta ją, jak się czuje i czy poniosła jakieś szkody podczas trzęsienia ziemi. Pisze, że jedzie do Libii zmienić przyjaciela, ale wcześniej spędzi weekend w Rzymie u Riccarda.

– Może mógłby przyjść na moją pożegnalną imprezę.

O matko, jeśli go zobaczę, grozi mi upadek z mojej huśtawki emocjonalnej.

– Będzie miło, jak przyjdzie, o ile pozwolisz, bym go zaprosiła.

– Nie sądzę, by istniał jakiś wybór. Cordelia przyjdzie, więc pominięcie go byłoby niegrzeczne. Pomyślałyby, że go unikamy, a tak nie jest.

Dziwne, że ta mała, mała Malcomess, mnie nie uprzedziła. Potrafi długo się rozwodzić nawet nad swoją przemianą materii, a podobną informację zachowała dla siebie.

– Doskonale! W takim razie go zaproszę – cieszy się Yuki.

Kiedy pisze mejla, poprawiam kilka błędów – choć muszę przyznać, że jej włoski znacznie się poprawił – ona jednak nie chce słuchać moich sugestii.

– Głupia jesteś, jeśli list dobrze napisany, on rozumie, że pomagasz.

– Masz rację.

I tak mejl leci w przestrzeń z kilkoma błędami i całą naszą tęsknotą.

* * *

Opróżniłyśmy supermarket, nie mają już pringlesów, bo wszystkie wykupiła Yukino. Stereo jest gotowe, z płytą pełną mp3. Nie wiem, gdzie zmieszczą się wszyscy zaproszeni ludzie, także dlatego, że Ichi zapobiegliwie zajął pół kanapy. Pięć minut

przed umówioną godziną jesteśmy jeszcze w łazience, a Yuki nożyczkami poprawia moją grzywkę, która zaczyna się już właściwie na szczycie głowy. Kiedy wyjedzie, będę musiała skonfrontować się z prawdziwym fryzjerem, ale jestem przekonana, że porównanie wyjdzie na korzyść Yukino. Maluję rzęsy tuszem i czuję, jak serce wali mi w piersi. To oczywiście, że jestem podekscytowana: Artur potwierdził swoje przybycie.

Przy każdym dźwięku dzwonka czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Powtarza się to mniej więcej do dziesiątej, kiedy to Arthur pojawia się z siostrą u boku.

Przyjaciel Yukino właśnie załadował płytę Doorsów i w całym domu głośno rozbrzmiewa *Light my Fire*.

Cordelia ma na nadgarstkach grube, mosiężne bransolety, żeby w stylu *glamour* ukryć niedawno zagojone rany. Długie włosy podtrzymuje opaska, a małe, niebieskie oczy są podkreślone cieniem w kolorze indygo. Wygląda, jakby wyszła prosto z musicalu *Hair* i chociaż jej humor ma pewien związek z lekami na bazie litu, jest rozradowana w sposób pogodny, ale nie męczący.

Arthur u jej boku wygląda na zmęczonego: ma kilka nowych zmarszczek albo może przez to zmęczenie stały się widoczniejsze; jasna barwa jego włosów została jeszcze podkreślona przez afrykańskie słońce, są też trochę krótsze niż dawniej. Jest jednak – jak zwykle – fascynujący.

Wydaje mi się, że pali nieco mniej, zamiast tego rzuca się na tartinki. Podchodzę ostrożnie, nie chcąc narzucać mu swojego towarzystwa. Oczywiście spędzamy ze sobą resztę wieczoru

Rozmawiamy o Libii, a on wydaje się zaskakująco mało entuzjastycznie nastawiony do zbliżającego się wyjazdu. Zamieszka w Bengasi; wyjaśnia, że jest to miasto najbardziej wrogie dyktatorowi, gdzie młodzi ludzie buntują się głośniejsze niż gdziekolwiek indziej. Ludzie z mojego pokolenia, a nawet młodszy, którzy walczą o wolność, kiedy mnie jest tak wygodnie w pełnym hipokryzji bagnie, jakim są Włochy. Rozmowy z Arthurem sprawiają, że czuję się jakbym miała dług wobec kogoś lub czegoś, co on zna doskonale, ale co dla mnie ma rozmyte kontury. Chociaż nie stara się występować jako nauczyciel historii i polityki, Arthur żyje w rzeczywistości pełnej informacji, które mnie umykają, a to sprawia, że czuję się przeciętna. I być może taka właśnie jestem. Nie można nie być średniakiem, kiedy pławi się w ignorancji.

Arthur szybko wyczerpuje temat. Wydaje mi się niestabilny, jak zawsze niespokojny, trochę melancholijny, ale też zrezygnowany, czego nigdy wcześniej w nim nie dostrzegłam i nie spodziewałam się dostrzec.

Jak bardzo męczy cię to życie, Arthurze?

Jak mogłeś opuścić Rzym, który tak kochałeś?

Co czujesz, kiedy życie rzuca cię z brzegu na brzeg? Byłeś pewien, że ty zadecydujesz, dokąd jechać i co opowiedzieć. Okazuje się jednak, że wciąż jesteś tylko pionkiem na szachownicy. Być może nawet wcześniej bawiłeś się lepiej, chociaż nigdy

byś tego nie przyznał.

Ichi staje na dwóch łapach, by przyciągnąć uwagę Arthura. Ledwie go zna, ale nigdy go nie zapomniał, tak to już jest z naszym uczuciowym pieskiem. Żyje miłością, zakochuje się w każdym, kto okaże mu czułość, nawet gdyby później już zawsze miał mu ich skąpić.

Jestem do niego tak bardzo podobna.

Arthur mówi do niego po angielsku, gładzi go po brzuszku

– Yuki zmienia go powoli w chodzącą kielbasę – a ja myślę sobie, że spojrzenie tego psa potrafi wzbudzić całe pokłady niespodziewanej czułości.

– Jego uszy są jak dwa kotleciki – komentuje Arthur, nie mogąc się powstrzymać, by ich nie dotykać. Usta rozciągają się mu w słodkim, zaraźliwym uśmiechu.

Dzisiaj jest tutaj ze mną, z moim psem, w moim domu, pije moje prosecco, delikatnie muska moje włosy. A pojutrze może rozerwać go mina. Jest symbolem niestabilności. Wiedziałam, że to spotkanie mnie zdruzgocze. Nie wiedziałam, że aż tak bardzo.

* * *

Kiedy się żegnamy, jest już ciemna noc. Jako ostatni wychodzą właśnie oni i Cordelia.

Mówię: „udanej podróży, napisz do mnie”. On odpowiada: „oczywiście”, ale bez przekonania. Cordelia zaczyna planować nasze wspólne mieszkanie, a Yukino prosi ją, żeby się mną opiekowała. Ale kiedy to robi, to Arthurowi patrzy prosto w oczy.

*Czy rzeczy, które znikają, są
tym samym, co te, które nigdy
nie istniały?*

Chica Umino

Następnego dnia wciąż oszołomiona docieram do instytutu powoli i z wysiłkiem. Pół godziny po wejściu do pokoju, kiedy podjadam mdłego, dietetycznego batonika, odbieram telefon od inspektora Calligarisa, który obojętnym tonem ogłasza:

– Clara Norbedo zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Nie wiadomo, gdzie się podziała. Wyszła wczoraj wieczorem na lekcję gry na wiolonczeli i już nie wróciła. Jej rodzice zgłosili zniknięcie dzisiaj w nocy.

Ogarnia mnie przerażenie. Przypominam sobie jej jasne włosy, jej ciemną szminkę, powieki pomalowane szarym cieniem, koronkowe rękawiczki, które ukazują jej szczupłe palce. Strasznie się boję, że spotkało ją coś złego. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, że mogłabym być świadkiem kolejnej strasznej autopsji.

– Proszę o więcej szczegółów – mówię.

– Błądzimy w ciemnościach, jakby rozplynęła się w powietrzu. Jej komórka jest wyłączona i wciąż nie udało nam się jej namierzyć. Szczerze mówiąc, zadzwoniłem do ciebie w nadziei, że dasz nam jakąś wskazówkę.

– Ja? – odpowiadam zirytowana myślą, że mogłam przegapić jakiś ważny sygnał.

– Cóż, ostatnio spędziłaś z nią sporo czasu. Wszystko, co zauważyłaś, może okazać się przydatne.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Zaraz jadę do Tarquinii. Chcesz mi towarzyszyć?

Ekran z badaniami, które uzupełniałam przed odebraniem telefonu, przypomina mi o moich obowiązkach. Mam jednak ogromne doświadczenie w ignorowaniu ich i znacznie mniej istotne okoliczności sprawiały, że porzucałam wszystko w połowie. Trzy godziny później jesteśmy już w Tarquinii. W ciszy stajemy przed bramą domu Norbedo.

Na nasz widok Selina zrywa się z kanapy. Edoardo jest blady, a oboje wydają się zdenerwowani i przestraszeni.

– Wciąż nic nie wiadomo? – pyta ojciec Clary.

Calligaris przecząco kręci głową. Wyciąga z kieszeni notes i znajduje pośród

notatek czystą kartkę.

– Muszę poznać wszelkie, nawet pozornie błahe szczegóły wczorajszego dnia.

Edoardo Norbedo zaczyna mówić po krótkim ataku kaszlu.

– Wczoraj Clara poszła do szkoły, jak co dzień. Zjedliśmy razem obiad koło drugiej, także jak co dzień, nie licząc tych, kiedy pracuję popołudniami, wtedy Clara i moja żona jedzą same.

– Czy zachowywała się dziwnie?

– Nie – zaprzecza pospiesznie Selina.

– Nie – potwierdza Edoardo po chwili wahania.

– Jest pan pewien?

Edoardo wzdycha.

– Córka od bardzo dawna była smutna. Śmierć mojego teścia głęboko nią wstrząsnęła.

– Czy prócz śmierci dziadka coś jeszcze mogło nią... wstrząsnąć?

– Nic o tym nie wiem – odpowiada Norbedo, spoglądając w oczy żony, załamane i pełne niepokoju.

– Czy mówiła wam o kimś, kto chciałby zrobić jej coś złego? Miała w szkole wrogów? Problemy z rówieśnikami? – nalega Calligaris, zaczynając się pocić. Ogrzewanie jest nastawione na taką temperaturę, że w tym domu można chodzić w białym.

– Clara jest wymagająca, ma trudny charakter. Nie ma wielu przyjaciół. Jest bardzo inteligentna. Może aż za bardzo. W jej wieku to raczej przeszkoda niż zaleta – zauważa z goryczą.

Słowa Edoarda nie są dla mnie zaskoczeniem: spodziewałam się, że Clara jest urodzoną samotniczką.

– Przerwałem panu. Dotarł pan do pory obiadowej. Co się działo później? – ciągnie inspektor.

Selina łąka cicho. Wydaje się, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu rezygnuje.

– Co się stało? – zachęca Calligaris, odkładając notes na kanapę i zdejmując zmechacony kardigan z akrylu, który ma na sobie za każdym razem, kiedy go widzę.

– Była cicha, może nawet bardziej niż zazwyczaj – odpowiada Norbedo z opuszczoną głową.

– Nie zgadzam się – poprawia męża Selina. – Była po prostu spokojna.

Calligaris przygląda się im przez dłuższą chwilę

– W porządku. Co jeszcze?

– Po obiedzie pobiegła do swojego pokoju. Powiedziała, że musi się uczyć. My zostaliśmy w salonie, wypiliśmy kawę i rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Także o niej – ciągnie Norbedo.

– Mianowicie? – pyta Calligaris, nie unosząc małych oczek znad zeszytu, w którym

robi niewyraźne notatki.

– Myśleliśmy o wakacjach, krótkiej podróży, czymkolwiek... co mogłoby ją pocieszyć. To był dla niej trudny czas – wyjaśnia Selina.

– Powiedzieliście coś, co mogło ją zdenerwować lub obrazić? Czy mogła was podsłuchiwać?

– Nie, absolutnie nie – zaprzecza kategorycznie Edoardo.

– O czwartej Clara wyszła. Lekcja zaczyna się o czwartej trzydzieści, ale ona zawsze wychodzi wcześniej. Zagląda do księgarni, to taki jej mały rytuał – ciągnie Selina. – Lekcja trwa dwie godziny i zazwyczaj za piętnaście siódma Clara wraca do domu.

– Wiemy już, że nie pojawiła się na lekcji. Osobiście sprawdzę, czy widziano ją w księgarni. Kiedy zaczęliście do niej dzwonić?

– Po siódmej... dokładnie nie pamiętam. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że powinna już być w domu.

– Proszę przynieść swój telefon. Zazwyczaj można sprawdzić godzinę ostatnich wykonanych połączeń.

Selina spogląda na męża, który w odpowiedzi podnosi jej telefon z białego stolika przy kanapie.

– Proszę. – Podaje go Calligarisowi, który od razu sprawdza rejestr połączeń.

– Zadzwoiła pani do niej o wpół do dziewiątej. Trochę późno... – komentuje, oddając jej telefon.

– Cóż, tak, mówiłam już... byłam zajęta czymś innym i nie sprawdziłam godziny. A potem mój mąż... Tak, to on zapytał mnie, gdzie jest Clara.

– Dzwoniliśmy bez przerwy do dziewiątej. Jej komórka była wyłączona. Zadzwoiłem do nauczycielki Clary, która powiedziała mi, że tego dnia jej nie widziała. Pojechałem samochodem do szkoły muzycznej. Nie widziałem nikogo w okolicy. Zadzwoiiliśmy do was od razu.

– Czy mógłbym zajrzeć do pokoju państwa córki? – pyta Calligaris i wstaje, nie czekając na pozwolenie.

– Oczywiście – odpowiada Edoardo. – Zaprowadzę pana.

Moja obecność jest tak niepotrzebna, że nawet ja – która zazwyczaj jestem mistrzynią improwizacji – nie potrafię jej uzasadnić. Słucham i obserwuję, drzę i zastanawiam się. Wejście do pokoju Clary bez jej pozwolenia wydaje mi się gestem przemocy, wiem jednak, że inspektor musi to zrobić. Ja zostaję na progu, powstrzymywana przedziwną siłą, która nie pozwala mi wdrzeć się na jej terytorium.

– No już, Alice. Na co czekasz? Wejdz.

Co mogę zrobić?

Wchodzę.

*Może dlatego, że rozpoczyna
się w sercu, nie w oczach,
percepcja rani nas bardziej niż
bezstronna obserwacja.*

Olivier Volange, *Zima*

Inspektor uważnie przygląda się przedmiotom na biurku Clary. Książka do gramatyki greckiej, kikut ołówka i przyczerniona gumka do ścierania. Zdjęcie, które przedstawia małą Clare na kolanach mamy. Mały, biały netbook. Calligaris otwiera go, jest w uśpieniu, ale nie ma żadnej włączonej strony w Internecie. Sprawdza historię, ale nie pojawia się w niej nic przydatnego, tylko YouTube i strona fanów jakiegoś amerykańskiego serialu. Na łóżku leży szara bluza, która pachnie jabłkowym szamponem.

– Czy w szufladach i szafkach czegoś brakuje? – pyta Calligaris Seline, która stoi w progu i wpatruje się w nas z dłonią na ustach.

– Och, nie wiem. Proszę poczekać – odpowiada coraz bardziej skonfundowana.

Wchodzi do pokoju i grzebie w ubraniach i bieliźnie Clary. Szafa jest dwudrzwiowa, biała, malowana ręcznie w różowe kwiaty. W środku panuje porządek, co wydaje się zaskakujące, wzięwszy pod uwagę wiek dziewczynki.

– Raczej niczego nie brakuje – mamrocze.

Na dnie szafy leżą zeszyty. Wskazują je Calligarisowi, który spogląda na mnie z wdzięcznością.

– Mogę? – pyta, klękając już na ziemi.

– Co... Ach, dzienniki. Proszę. Pewnie sama powinnam je panu pokazać.

Calligaris podnosi trzy zeszyty o zdobionych, sztywnych okładkach. Podaje mi jeden z nich, a ja zaglądam do środka.

Charakter pisma Clary, jak porządek w jej pokoju, sugeruje znacznie poważniejszy wiek. Jej myśli są jednak myślami nastolatki. Niepokoje z powodu rzeczy, które za kilka lat wydadzą jej się głupie i nieistotne. Niewystarczająca umiejętność gry na wiolonczeli. Kolega z klasy, który jej się podoba, ale woli inną.

Poczucie, że nie ma miejsca, w którym czułaby się dobrze.

Dostrzeganie piękna świata, ale poczucie, że jest się z niego wyłączoną.

Dni podobne do siebie, towarzystwo dziadka. Książki, które czyta, muzyka, której słucha i którą gra.

– Na jakiej dacie kończy się twój? – pyta niecierpliwie inspektor.

Zaglądam na ostatnią stronę.

– 13 listopada – odpowiadam. – Dzień przed śmiercią Azaisa.

– Daj mi go.

Selina Azais patrzy na nas, jakbyśmy trzymali w rękach coś, co brudzi albo parzy.

Podchodzę do inspektora i razem czytamy wpis z 13 listopada.

W najbliższych dniach zacznę przepisywać nową powieść dziadka. Jestem ciekawa, ale jego charakter pisma jest tak niewyraźny, że można oszaleć.

W domu panuje dziwna atmosfera. Tata w kiepskim humorze, mama wydaje się nieobecna. Są smutni, a ja nie rozumiem – dlaczego. Boję się, że znowu zmagają się z poważnymi problemami finansowymi; mam tylko nadzieję, że nie będę musiała zrezygnować z lekcji muzyki, jak dwa lata temu.

Gdyby nie dziadek, powietrze w tym domu byłoby nieznośne.

Jutro skończę piętnaście lat. Czuję, jakbym została z tyłu. Jakby reszta świata poruszała się w pewnym tempie, którego ja nie jestem w stanie osiągnąć. Jakbym wypadła z rytmu. Kiedy rozmawiam o tym z dziadkiem, mówi, że to normalne, że on w moim wieku też czuł smutek, ale jednocześnie wściekłość.

Dziadek jest gniewnym człowiekiem, chyba to jego największa wada. Kilka dni temu skrzyczał mamę za jakąś głupotę. Na tatę się nie wścieka, chyba tylko z nim się nie kłóci, ale obawiam się, że to z litości, bo uważa go za głupca. Wujowie też sądzą, że tata nie jest na ich poziomie. Przykro mi z tego powodu.

Po śmierci dziadka nie napisała już nic więcej.

– Może dlatego, że nie chciała pozostawić śladów dla nas – mówię cicho.

Calligaris rozgląda się wokół ostrożnie.

– Ciii – przykładą palec do ust. Selina wygląda przez okno, nieobecna i zamknięta w sobie, niczym wyblakłe żółtko w skorupie pękniętego jajka. – Pani Norbedo, czy kilka dni przed śmiercią ojca, pokłóciła się pani z nim?

Selina odwraca się z szeroko otwartymi oczyma.

– Jak to... Ach, rozumiem. Przeczytał to pan w dzienniku mojej córki.

– Tak.

– Owszem, pokłóciliśmy się. Mój ojciec był bardzo kapryśny. Przygotował rebus i chciał, żebym zrozumiała, co ma mi do powiedzenia. Zdenerwowałam się i podałam rebus, mówiąc, że mam dosyć tego sposobu komunikowania się ze mną. On wpadł we wściekłość. To naprawdę takie ważne? Nie powinniście skupiać się na poszukiwaniu mojej córki?

– Oczywiście, oczywiście – odpowiada inspektor. – Będę musiał zabrać jej pamiętniki.

– Bardzo proszę.

Calligaris podaje mi zeszyty i notuje coś w swoim notesie. Selina zostawia nas samych.

– Inspektorze... jak pan myśli, co przydarzyło się Clarze? – pytam. Zapach jabłkowego szamponu gładzi moje nozdrza, niesiony przez lekki wiatr zza okna.

– Mogło się zdarzyć cokolwiek. Mogła zostać porwana, zgwałcona i zabita. Mogła

uciec z domu albo mieć wypadek i wyładować w szpitalu. Cokolwiek. Musimy procedować krok po kroku.

– Ale chyba jakaś hipoteza jest bardziej prawdopodobna niż inne!

– Chciałabyś mieć wszystko na tacy. Kto pracuje nad podobną sprawą, musi się pogodzić z tym, że nie uda mu się rozwiązać zagadki natychmiast.

– Rodzice dziwnie się zachowują, prawda?

– Matka, ojciec nie. Zazwyczaj jest trochę nieogarnięta, ale dzisiaj naprawdę przechodzi samą siebie.

– Może po prostu jest w szoku?

– Kto powiedział, że kiedy źle o kimś myślimy, popełniamy grzech, ale często mamy rację?

– Chyba Andreotti. Panie inspektorze, niepokoję się. A jeśli nie żyje?

– Kiedy znika osoba niepełnoletnia, trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność. Z doświadczenia mogę ci powiedzieć, że najczęściej miewam do czynienia z ucieczkami z własnej woli.

– Według pana Clara mogła to zrobić?

– Cóż, dusi w sobie tajemnicę. Jest niespokojna i ponura. Owszem, myślę, że to możliwe.

Jakby na potwierdzenie jego słów z dołu dobiegają głosy.

Clara wróciła do domu.

*Once upon a time somebody
ran... Somebody ran away
saying... as fast as I can...
I got to go.*

Zwariowałaś?! – krzyczy Selina Azais.

Clara jest nieruchoma i obojętna. Najpierw matka bierze ją w ramiona. Edoardo Norbedo wciąż obejmuje córkę i gładzi ją po włosach. Oboje mają łzy w oczach.

Clara jest nieumalowana i jak zawsze, kiedy nie przesadzi z eyelinerem i tuszem, wydaje się jeszcze młodsza, wręcz malutka, jak kropla jasnej wody w błotnej kałuży.

Po pierwszym westchnieniu ulgi Selina daje upust wściekłości. Chwyta Clarę za nadgarstek, pomalowane na czarno paznokcie latają niczym muchy.

– Nocowałam u koleżanki – oznajmia dziewczynka głosem tak bezbarwnym, że brzmi jak automatyczna sekretarka.

– Jakiej koleżanki? Nie uprzedziwszy nas? Chyba oszalałaś!

– Uspokój się, Selino. Zaraz nam wszystko wyjaśni. Nigdy nie zachowuje się nieodpowiedzialnie. Musi być jakieś wyjaśnienie. Prawda, Claro?

Clara spogląda na ojca z takim gniewem, że ten zamiera.

– Och, nie, nie! Nie podoba mi się to, Edoardo! Jeszcze jej bronisz? Jaki numer wywinie następnym razem? – krzyczy znów Selina.

Clara jest blada. Wydaje się niewyspana. Zdejmuje czarną kurtkę, bardzo podobną do mojej, i zmęczonym gestem zostawia ją na wieszaku. Teraz ma na sobie czarny, wełniany sweter, ozdobiony kolorową, filcową broszką. Opis jej stroju odpowiada temu, który podała Calligarisowi Selina.

Jeszcze nas nie zauważyła, a kiedy jej wzrok pada na mnie, cała się kurczę.

– A co oni tutaj robią? – pyta ojca.

– Myślałaś, że nie zadzwonimy na policję? – szydzi zdenerwowana Selina, krzyżując ramiona na piersi.

– Przykro mi, że się niepokoiłicie. Chciałam pobyć trochę sama.

– Claro, co się stało? – pyta ojciec ponurym, pełnym niepokoju głosem. Clara milczy i wbija wzrok w podłogę. – Ktoś zrobił ci krzywdę? Chcesz porozmawiać o tym z inspektorem? Albo z panią doktor?

Czuję się jak w szkole, kiedy myślałam o czymś innym i nagle zostawałam wezwana do tablicy.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jestem nastolatką. Jestem niespokojna. Robię tylko to, czego można ode mnie oczekiwać. Wyobrażacie sobie nastoletnią córkę, która nie sprawia problemów?

Założyłabym się o Ichiego, że Clara coś ukrywa.

– Pani doktor, sądzi pani, że powinniśmy ją zabrać na pogotowie?

Clara spogląda na nią w szoku.

– Absolutnie nie! – woła.

– Faktycznie, pani Norbedo, to nie miałoby sensu. Clarze nic nie dolega, a wykonanie badań bez jej zgody jest niemożliwe, zwłaszcza że na nic się nie skarży – wyjaśniam.

– Chcę tylko, żeby wszyscy dali mi spokój. Święty spokój – Clara cała drży. Jej oczy wypełniają się łzami. – Proszę, idźcie stąd – prosi, a może raczej żąda. – Już tego więcej nie zrobię. Nie ucieknę – dodaje, zwracając się do rodziców.

Słowo, którego użyła, daje mi do myślenia.

Uciekać.

* * *

– Dlaczego chciała uciec? – pytam Calligarisa, nie zdradzając mu, że sama znam odpowiedź.

– A kto zrozumie nastolatki?

– Clara nie jest zwykłą nastolatką. Widziała coś strasznego, być może wręcz zabójstwo swojego dziadka.

– Możliwe, że przeżyła załamanie nerwowe z powodu stresu. Żałuję, że musiałem oddać jej pamiętniki. Mogły zawierać jakieś niespodziewane sekrety. Przez chwilę miałem ochotę udać, że o nich zapomniałem. Uczciwość jednak zwyciężyła.

– Jakie sekrety?

Ścisza radio, w którym leci stara piosenka The Smiths. Ogrzewanie nie działa, z zimna pocieram dłonie, po czym chowam je w kieszeniach kurtki.

– Kilka rzeczy wydało mi się interesujących. Refleksje o Azaisie i jego dzieciach. Nie miałem czasu, żeby czytać dokładnie, więc to tylko wrażenia.

– A dokładniej?

– Przeczytałem, że Oscar Azais był jedynym, który mógł spotykać się z ojcem. Enrico Azais dowiedział się o tym i zrobił Selinie scenę.

– A co Selina ma z tym wspólnego?

– Enrico obwiniął siostrę o to, że pozytywnie wypowiada się przy ojcu o Oscarze, a jednocześnie pogarsza stosunki między nim a Azaisem.

– Cóż, Enrico Azais jest paranoikiem.

– Wydawało mi się, że go rozgryżłem, ale byłem w błędzie – przyznaje z grymasem niepewności na twarzy. – Uznałem, że jego najłatwiej obwinić i dlatego jest najlepszym kandydatem na winnego. Wiesz, taka zawodowa przypadłość: nie wierzę

w to, co oczywiste – dodaje. – A jednak... czasami to, co oczywiste, może się okazać właściwym rozwiązaniem. Może ta sprawa jest prostsza, niż myślimy.

Kiedy rozważam słowa Calliagarisa, moje dłonie znajdują w kieszeniach coś, czego nie powinno w nich być.

Wyciągam pogniecioną kartkę, rozwijam i przyglądam się jej.

– Inspektorze... – zaczynam niepewnie. Doskonale wiem, że mnie zabije.

– Słucham.

– Musimy wrócić do domu Seliny. Pomyliłam się i wzięłam kurtkę Clary.

Calligaris hamuje i spogląda na mnie jednocześnie załamany i rozbawiony.

– Dziękuj niebiosom, że dopiero wyruszyliśmy i nie wjechałem jeszcze na autostradę.

Rumienie się, ale przynajmniej raz milczę.

* * *

Oddawszy płaszcz Selinie, która bierze go ode mnie ze spuchniętymi oczami i coraz bardziej zagubiona w pustce, zakładam mój własny, a potem ruszamy w drogę powrotną.

Kiedy samochód wjeżdża na autostradę, doznaję niespodziewanej iluminacji.

– Inspektorze, znalazłam coś w kieszeni kurtki Clary.

– Ach, tak? Co?

– Wydrukowaną kartkę. Myślę, że dzisiaj Clara w nocy była w Rzymie.

Calligaris marszczy czoło, patrząc prosto przed siebie.

– Może mieszka tam koleżanka, o której wspominała. Może umówiła się z chłopakiem. W jej wieku robi się głupoty, które po latach wydają się śmieszne.

– Był to wydrukowany ekran z Google Maps, z zaznaczonym konkretnym adresem. Zapamiętałam go. Mógłby pan sprawdzić, do kogo należy?

Calligaris nie jest przekonany, ale się zgadza.

Kiedy docieramy do jego gabinetu, uruchamia potężne działa i już po dwudziestu minutach wiemy, że przy via Ciancaleoni 5 mieszka Oscar Azais.

*Well, I feel like they're talking
in a language that I don't
speak.*

Najmłodszy z Azaisów otwiera nam drzwi w białej koszuli i dżinsach. W tle leci chilloutowa muzyka, a on trzyma między palcami kieliszek z aperitifem. Skropił się litrami wody kolońskiej i wydaje się oczywiste, że nie jest sam.

– Słucham? – pyta nieco zaskoczony.

Calligaris przedstawia się i mówi:

– Musimy zadać panu kilka pytań.

Z grymasem na twarzy Oscar ścisza głos, wyjaśniając, że wolałby nie pokazywać się kobiecie, która czeka w drugim pokoju, w towarzystwie policji.

– Doskonale pana rozumiem. Będzie jednak musiała poczekać.

Azais sztywnieje. Bez słowa zostawia nas na progu. Słyszemy, jak tłumaczy swojemu gościowi, że niebawem wróci, bo musi rozwiązać pewien problem. Ja i Calligaris wymieniamy pełne satysfakcji spojrzenia: on zawsze się cieszy, kiedy może być dla kogoś problemem.

Oscar znów pojawia się w przedpokoju, z kluczami w dłoni i kurtką przewieszoną przez ramię.

– Niedaleko jest bar. Proszę was o pośpiech.

Idziemy za nim i siadamy przy najbardziej ustronnym stoliku. Azais nie chce nic zamówić, inspektor natomiast pozwala sobie na uroczysty kieliszek cynaru.

– Czy wczoraj ktoś pana odwiedził? – pyta niejasno.

Oscar otwiera szeroko oczy, bardzo podobne do tych jego ojca.

– Czy coś się stało Clarze?

– Nie. Wróciła do domu dzisiaj rano, cała i zdrowa. Widzę, że od razu pan zrozumiał. A skoro się panu spieszy, proszę nam pokrótce wyjaśnić powód wizyty pańskiej siostrzenicy.

Oscar nie patrzy inspektorowi w oczy. Zamawia Ballentine'sa, prosząc kelnera, by nie wlewał mu zbyt wiele.

– Ona wam powiedziała?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, panie Azais – mówi spokojnie Calligaris.

– Przyjechała wczoraj wieczorem, bez uprzedzenia. Mogła mnie nie zastać. Kiedy zwróciłem jej na to uwagę, powiedziała, że czekałaby na mnie przed drzwiami nawet

przez całą noc. Ta dziewczynka jest bardzo dziwna.

– Czego od pana chciała?

– Powiedziała, że uciekła z domu po kłótni z rodzicami.

– Dlaczego schowała się właśnie u pana? – pyta sceptycznie Calligaris.

– Wiecie, jakie są nastolatki. Kto mógłby je zrozumieć? Chciała zobaczyć przyjazną twarz. Dorosłego, któremu może zaufać. I wybrała mnie. Może dlatego, że spośród wujów mnie lubi najbardziej.

Azais stara się, by jego głos brzmiał naturalnie, ale moim zdaniem odgrywa rolę, i to dość kiepsko.

– Czy nie chciała przypadkiem porozmawiać o jakimś sekrecie... który ma coś wspólnego ze śmiercią pana ojca? – wtrącam.

Przyznaję, że odezwałam się spontanicznie, a teraz Calligaris patrzy na mnie tak, jak patrzyła moja matka, kiedy byłam mała i zrobiłam jakieś głupstwo, a ona chciała przekazać mi wzrokiem, że „pogadamy później”.

– Oczywiście, że nie. Czy śmierci mojego ojca towarzyszą jakieś sekrety?

– Nie – zaprzecza sucho Calligaris, zgromiwszy mnie wzrokiem. – Moja współpracownica chciała powiedzieć, że... – Nawet on nie wie, co wymyślić. – Pana siostrzenica jest w szoku. Myślę, że zapomniała podzielić się z nami jakimś szczegółem związanym z odnalezieniem ciała jej dziadka. Co pan o tym sądzi?

Oscar wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Moja siostrzenica ma jednak wciąż nasze geny, chociaż zmieszane z genami mojego szwagra. Dlatego jest wyjątkowa. Trudna do zrozumienia. Nocowała tutaj, a rano kupiłem jej bilet powrotny do Tarquinii.

– I nie przyszło panu do głowy, żeby powiadomić o tym siostrę? Nie pomyślał pan, jak bardzo się martwi?

Azais opuszcza wzrok. To oczywiste, że się nad tym zastanawiał. Należy tylko zrozumieć, czemu tego nie zrobił. Z pewnością nie chodziło o ucieczkę po banalnej kłótni z rodzicami.

Clara rozmawiała z wujem o śmierci Konrada.

Wuj zna prawdę, jakakolwiek by ona nie była.

A jednak ten człowiek, który siedzi naprzeciw nas, popija Ballentine’ sa i nie może się doczekać powrotu do domu, nie pozwoli, byśmy dowiedzieli się czegokolwiek.

*Niczym linę napiąłem duszę
nad przepaścią i robiłem
z siebie sztukmistrza, zonglera
słów.*

Włodzimierz Majakowski

W instytucie jest tak cicho i spokojnie, jakbyśmy zagubili się na Saharze.

Boss wyjechał na kongres. Anceschi podobno jest chory – domyślam się, że nie kłamie – sprawa Azaisa go załamała. Wally traktuje studentów specjalizacji obojętnie, jeśli w ogóle się do nas odzywa, to tylko po to, by nas dręczyć.

Claudio ma nową fankę, studentkę piątego roku, która zgłosiła się na staż. Uświadomiła nam dobitnie, że to on jest powodem, dla którego zgłosiła się do naszego instytutu i brakuje tylko, by napisała sobie na czole „do wynajęcia”. Nie mogłaby zachowywać się w sposób bardziej jednoznaczny: on i jego próżność rozkwitają wśród uśmiechów, spojrzeń i aluzji, które posyła mu mała Francesca. Na pewno robi karierę, ma to zapisane w gwiazdach.

Spisuję listę zadań do wykonania, z uwzględnieniem przeprowadzki do domu Cordelii, kiedy telefon uprzedza mnie, że jestem proszona do gabinetu Wally.

Popija sok z ananasa, z nogami tak krótkimi, że nie dotykają ziemi, bez kitla i w koszulce koloru fuksji, która sprawia, że wygląda jak ogromny lizak chupa chups o smaku truskawkowym.

– Proszę usiąść, Allevi. Zapisałam wnioski na temat diagnozy Azaisa. Pomyślałam, że chciałaby pani je poznać.

– Oczywiście, pani profesor – odpowiadam, zajmując miejsce naprzeciw niej.

Zaczyna czytać swoim piskliwym głosem, kichając w najbardziej newralgicznym momencie, w którym wyraża się negatywną opinię na temat ubezwłasnowolnienia.

– Powinnam wziąć antybiotyk – zauważa cicho. – Niedaleko jest apteka, ale mam tyle do zrobienia...

Oto rozłam. Linia demarkacyjna.

Jeśli powiem: „Nie ma problemu, pani profesor, ja pójdę”, moja kariera posunie się naprzód.

Ona właśnie tak funkcjonuje, jest leniwa i samotna, a kiedy ktoś spełnia jej prośby, ma jej tylko ulżyć. Krążą plotki, że Ambra regularnie zabiera chihuauę Wally do fryzjera i że Claudio od lat wozi ją co miesiąc do dentysty. Nie wspominając o tym, że

Lara robi marmolady z sezonowych owoców, które Wally uwielbia. Lubi pochlebstwa: rozpoznaje je nieomylnie, nie brakuje jej inteligencji, by odróżnić szczerze od udawanych, a jednak nie dałaby sobie rady bez nich. Być może jest to jedyna, smutna słabość Wally.

– Jeśli pani sobie życzy, ja mogę pójść – słyszę swój głos, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Może to dlatego, że podziwiam pozycję, jaką zajęła w sprawie Konrada Azaisa. Wyświadczała mi chyba przysługę.

– Proszę nie wygadywać bzdur! Nie wykorzystuję studentów! Jeszcze byście na mnie donieśli do *Striscia la notizia*⁸. Mówiłam do siebie. Proszę pozwolić mi skończyć czytać.

Nie da się ukryć, że diagnozę napisała wybitną. Wally jest utalentowanym potworem: ostra i dzika, taka, jaką ja nigdy nie będę. Mam ochotę powiedzieć, że ją podziwiam, ale by tego nie zrozumiała.

– Rozmawiałam z Claudiem o przyczynie śmierci, która nie została ustalona z całkowitą pewnością – dodaje, patrząc na mnie ciemnymi oczami, które bez deformujących je okularów wyglądają trochę jak oczy świnki morskiej. – Powiedział, że była pani bardzo aktywna i wykonała pani dogłębne badania. Bardzo mnie to cieszy.

– Dziękuję, pani profesor.

– Podzieliłam się z Claudiem moją opinią. Jestem prawie pewna, że chodziło o śmierć z powodu zatrzymania akcji serca.

– Ja też tak uważam! – wołam z satysfakcją, brakuje jeszcze, żebym nadęła się jak paw. Powinnam nauczyć się ukrywać swój entuzjizm, bo staję się żenująca.

– Tak, wiem. Od Claudia – potwierdza beztrąsko. – Ale na jakich podstawach zasadził się mechanizm, tego nie jestem w stanie odgadnąć.

– Nikt nie jest, pani profesor. Jedyne naoczny świadek nie chce powiedzieć, co się naprawdę stało.

– Cóż, prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Teraz proszę wracać do pracy – nakazuje wreszcie obcesowo.

I tak, znów na swoim miejscu studentki, czyli na najniższym poziomie łańcucha pokarmowego, wstaję i podchodzę do drzwi.

I właśnie kiedy staję na progu, słyszę za sobą głos ropuchy.

– Naprawdę poszłaby pani do apteki? – pyta z zadowolonym spojrzeniem kogoś, kto jest pewien, że i tak nie doniosę na nią do *Striscia la notizia*.

* * *

Z opakowaniem Klacid 500 w torebce wracam do instytutu po zakupieniu w zapomnianym przez Boga i ludzi kiosku poźółkłej powieści Agathy Christie.

Przez całą drogę myślałam tylko o śmierci Konrada, o autorytatywnym potwierdzeniu Wally i o tym, że – jestem tego pewna – zatrzymanie akcji serca nastąpiło, kiedy ktoś spróbował go udusić. Część mnie wie, że istnieje inne

mechanizmy, które mogą do tego doprowadzić. Nie są one gwałtowne i każdy z nich da się sprawdzić, jednak anomalia sytuacji skupia się na kluczowej figurze Clary, w jej wiedzy i odmowie podzielenia się nią.

A jednak jej wspomnienie dłoni wuja przy szyi dziadka wydaje się właściwym elementem puzzli. A ja postanowiłam zamknąć tę sprawę sama. Na mój sposób.

Dzwonię do inspektora Calligarisa i proponuję, byśmy raz jeszcze, po raz ostatni, pojechali do domu Norbedo. To ma być przełom.

– Myślisz, że powinniśmy? – pyta zaskoczony.

– Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Może donikąd nas nie doprowadzi, ale możliwe też, że tym razem zdemaskujemy kłamstwo Clary.

– Wydawało mi się, że wolisz, żeby zostało po staremu – odpowiada lekko karcącym tonem.

Umawiamy się o trzeciej przed moim domem, a o wpół do piątej, dzięki dynamicznej jeździe inspektora, docieramy do Tarquinii. Zatrzymujemy się w centrum na herbatę w małej kawiarence przy ulicy Carducci; Calligaris korzysta z postoju, żeby zjeść kanapkę i kupić książeczkę dla swoich dzieci. Wsiadamy znów do samochodu i jedziemy do domu Norbedo.

Zaskoczenie, z którym przyjmuje nas Selina, szybko przechodzi w rezygnację.

Calligaris nigdy nie przeprosza, że przeszkadza, chociaż byłoby to na miejscu, ponieważ Selina zamierzała wyjść. Ma na nogach kozaki, a przez ramię przewiesiła sobie kurtkę. Potwierdza moje przypuszczenie wciąż bardzo grzecznie i z uśmiechem.

– Oczywiście mogę się spóźnić, nie ma problemu – dodaje po prostu i odkłada kurtkę na białej kanapie ze zniszczonego płótna.

Prosi nas, żebyśmy usiedli, częstuje ciastkami z mąki kukurydzianej, które upiekła i patrzy na nas pytająco. Prawdopodobnie ma nadzieję na bardzo krótką wizytę. Struny wiolonczeli Clary rozbrzmiewają w pokoju na górze, co dowodzi, że mały geniusz właśnie ćwiczy.

– Musimy porozmawiać z pani córką – ogłasza inspektor tonem człowieka, który nigdy nie musi o nic prosić.

Wyraz twarzy Seliny ulega zmianie. Robi się opiekuńcza, a w jej dziewczęcym głosie słychać lekką irytację.

– Inspektorze, naprawdę uważam, że przesadzacie z męczeniem Clary. To jeszcze dziecko, do tego zestresowane... a wy ciągle chcecie rozmawiać z nią o tamtym popołudniu... w nadziei na co? Na to, że nagle coś sobie przypomni?

– Pani Norbedo, mam powody, by przypuszczać, że pani córka dokładnie pamięta, co spotkało jej dziadka. Bo, umówmy się, spotkało go coś złego.

Selina cała sztywnieje.

– Czy mogę zabronić wam z nią rozmawiać? Może powinnam skontaktować się z moim adwokatem.

– Decyzja należy do pani, ale raczej nie ma powodu. Będzie nam pani towarzyszyć?

– Wcześniej nie brałam udziału w rozmowach, z szacunku do Clary. Chciałam, by czuła się swobodnie.

– Mądra decyzja – chwali ją Calligaris.

Selina wzdycha z niepokojem.

– Clara! – woła smutnym, zmęczonym głosem.

Dziewczynka powoli schodzi po schodach, zerka i ignoruje nas. Matka jednak znów ją woła, a ona spogląda na mnie z urazą.

– Znowu? – pyta, biorąc ciastko z porcelanowego talerza, który podaje jej matka.

– To ostatni raz – odpowiadam, a Calligaris nie cieszy się specjalnie z mojego kolejnego występu.

– Zostawię was tutaj – dodaje Selina i wychodzi z pokoju. – Claro, nie denerwuj się, kochanie.

Clara kiwa głową i siada. Unosi głowę i patrzy na mnie zielonymi, mocno podkreślonymi kredką oczyma.

– Alice, zaczynaj – zachęca Calligaris, gotowy, by przyjrzeć się scenie, jakby siedział we własnym salonie i zamierzał obejrzeć nowy odcinek serialu *Napisała: Morderstwo*.

Z trudem przełykam ślinę, zaczyna boleć mnie gardło. Mała jest zniecierpliwiona, jej pomalowane na czarno paznokcie między jasnymi włosami poruszają się jak po klawiszach fortepianu.

– Claro, wiesz, że wyniki autopsji są wreszcie jasne?

Marszczy jasne, płaskie czoło. Calligaris zakłada nogę na nogę i podpira brodę ręką.

– Ach, tak?

– Wiemy, co się stało tamtego popołudnia. Pomyśleliśmy, że ci to powiemy i dzięki temu zdołasz coś jeszcze sobie przypomnieć.

– Nie sądzę – odpowiada, rumieniąc się lekko.

– A jednak spróbujemy. Dłonie... widziałaś je obok szyi dziadka. Te dłonie go zabiły. Do kogo należały, Claro?

– Już mówiłam.

– Dobrze. W takim razie... czy to był twój wuj Enrico? To ważny moment, Claro. Zastanów się dobrze. Wysyłasz swojego wuja do więzienia – mówi Calligaris, a ja cała drzę.

Nie odpowiada.

– Claro, koniec zabawy. Dzisiaj rozmawiamy poważnie. Twoje słowa będą miały swoje konsekwencje.

Clara otwiera szeroko oczy. W jej zielono-niebieskich tęczęwkach widzę żal, że do

ostatniej chwili nie pozwalała wyjść na jaw prawdzie i jednocześnie – że nie udało jej się osiągnąć celu.

Cisza.

Nadal cisza.

Ma swoje zasady. Wychowywała się otoczona słodyczą, edukowana w stylu środkowoeuropejskim, w prawości. Kiwa głową, nie podnosząc wzroku, jej wargi są zaciśnięte. Szczupłe dłonie położyła sobie na brzuchu, palce splótła ze sobą.

– My wiemy, kto to był. Nie możesz go już chronić – nalega Calligaris, który potrafi szachrować jak stary szuler. Bezlitośnie chwyta nóż, dotyka jej serca, a Clara wybucha płaczem i szlocha tak głośno, że Selina wbiega do pokoju po drewnianych schodach.

Przytula córkę, która chwyta ją za ramiona, jakby miała spaść w przepaść.

– Wybacz mi, mamie – łka, a Selina gładzi ją po włosach.

– Nie muszę ci niczego wybaczać – mówi.

– Ja... ja już nie mogę...

– To był twój ojciec? – pytam słabym głosem.

Clara kiwa głową.

Jestem pewna, że nigdy wcześniej nie czułam nic podobnego. Osiągnęłam rezultat, nad którym Calligaris pracował od miesięcy. Zrobiłam to ja, dzięki mojemu zapałowi, dzięki nauce i pasji.

A jednak czuję się beznadziejnie.

Mam wrażenie, że zniszczyłam piękny kryształ. Jego szczątki leżą teraz u moich stóp i czuję się tak, jakbym zniweczyła jakąś część piękna, którego na świecie jest zawsze za mało.

Na nic się zdaje powtarzanie, że to Edoardo Norbedo wszystko popsuł. Poczucie odpowiedzialności, wcześniej ledwo wyczuwalne, teraz ścina mnie z nóg. Czuję się winna.

Clara znów wybucha płaczem, a ja się zastanawiam, ile razy czuła się równie źle od dnia jej piętnastych urodzin. Ile razy dusił ją ciężar swojego wyboru? Bo tak właśnie jest: dokonanie wyboru to najtrudniejsza próba, jakiej może być poddany człowiek.

Selina z żalem wypuszcza córkę z ramion i siada naprzeciwko mnie przy drewnianym stole.

– Co się teraz stanie? – pyta z niepokojem.

Clara opiera głowę o ramię matki i wyciera nos chusteczką, którą jej podaję. Oszołomiona pozwalam inspektorowi odpowiedzieć.

– Przede wszystkim, proszę pani, Clara musi dokładnie wyjaśnić, co widziała. Pani również zadamy kilka pytań, wreszcie – trzeba będzie przesłuchać pani męża... Oczywiście domyśla się pani, co się stanie później. – Rezultat niezbyt fortunnej

delikatności Calligarisa, próbującego nie mówić Clarze, że jej ojcu zostanie postawiony zarzut próby zabójstwa – albo wręcz morderstwa z premedytacją – jest mocno dyskusyjny.

– Dasz radę, Claro? Musimy być silne. Wszystko się ułoży, a tata niedługo wróci.

Clara kiwa głową. Widzę, że paradoksalnie czuje się teraz lżejsza, wolna.

– Zauważyłam, że dziadek nie żyje chwilę przed obiadem, a nie wtedy, kiedy zaniósłam mu tort.

Blednę, a Calligaris uśmiecha się z sarkazmem lisa, którego oszukała mysz. Selina wydaje się zdumiona, wpatruje się w córkę błyszczącymi oczami.

– Nakryliśmy z Terézią do stołu i przyniosłyśmy tacę z przystawkami. Dziadek uwielbiał roladki z rukolą, więc zamierzałam mu zanieść kilka na górę. I poprosić po raz kolejny, żeby do nas zszedł. Drzwi do pokoju były zamknięte, zapukałam, ale on nie odpowiedział. Myślałam, że śpi, więc zostawiłam jedzenie na regale przed drzwiami i postanowiłam, że dam mu je później. Potem usłyszałam dziwny dźwięk. Otworzyłam więc drzwi i zobaczyłam mojego ojca przy wózku dziadka i... jego dłonie... były na jego szyi. Dziadek już wtedy był nieprzytomny. A może umarł, sama nie wiem.

Selina zaczyna cicho płakać.

Clara opowiada pełnym emocji, ochrypłym od płaczu głosem.

– Ojciec mnie nie zauważył. Zrozumiałam, że robi coś złego. Schowałam się w pokoju i chwilę później zobaczyłam, że idzie do łazienki. Płakał. Opłukał twarz i zobaczył mnie. Nic sobie nie powiedzieliśmy. Ani on nie zadał mi żadnego pytania, ani ja jemu.

Selina podnosi dłonie do oczu, wydaje z siebie stłumiony szloch.

– Weszłam do pokoju dziadka. Potrząsnęłam nim lekko. Ale był martwy, całkiem martwy. Nie miał na szyi śladów, więc nie mógł zostać uduszony. Byłam pewna, że ktoś się zorientuje, że został zabity. Nie wiem, jak... Ale lekarze zawsze wiedzą, jak człowiek umarł, inaczej na co by im była autopsja? Potem uznałam, że tata go nie udusił, ale zrobił coś innego. Może go otruł... Wtedy popatrzyłam na dziadka i przeprosiłam go w imieniu ojca. Wzięłam ten list, który dobrze znałam. Był bardzo stary, miał go wykorzystać w jakimś opowiadaniu. Zostawiłam go na biurku, w nadziei, że wszyscy pomyślą o samobójstwie.

Oto cała niedojrzałość Clary. Nawet nie przyszło jej do głowy, że dziadek umarł śmiercią naturalną. Założyła, że wyjdzie na jaw coś nienormalnego, a ona musi chronić ojca. Zaaranżowała więc samobójstwo. Gdyby sytuacja nie była tak straszna, byłaby wzruszająca.

– Udawałam, że noszę dziadkowi jedzenie przez cały obiad. Odnosiłam talerze, mówiąc matce, że nie chce jeść. Mój ojciec był tak wzburzony, że nic nie zauważył, cały czas starał się zachowywać naturalnie. Pod koniec obiadu, pokroiwszy tort, zapamiętałam, gdzie kto siedzi. Ojciec opowiadał akurat jakąś śmieszną historyjkę przy

stole. Idealny moment. Udałam, że w tym momencie znalazłam dziadka martwego, żeby nikt nie mógł obwinić ojca.

Clara przerywa. Wydaje się wykończona.

– Ja... zrobiłam wszystko, co możliwe, żeby go obronić, ale... już nie dawałam rady. Kiedy uciekłam, pojechałam do wuja Oscara, bo tylko on mógł zrozumieć. On mnie wysłuchał. On... jest taki jak dziadek.

A więc słusznie podejrzewałam, że Oscar Azais znał całą prawdę. Milczał, by chronić siostrzenicę i rodzinę siostry, czy może z czystej inercji?

W międzyczasie opowieść Clary rozniosła się w pustce, jej słowa zmieniły się w pył. Także Calligaris, który spisał zeznanie dziewczynki, wydaje się poruszony. Clara patrzy w dół, obgryza do skóry swoje czarne paznokcie.

Ona, która zrobiłaby wszystko, by chronić ojca, nie zdaje sobie sprawy, że uwięziła go własnymi rękami. Swoim milczeniem, nieudaną próbą użycia starego listu, aby namieszać w dochodzeniu. Mam nadzieję, że zrozumie swoje błędy jak najpóźniej, kiedy będzie już na tyle dojrzała, by umieć sobie wybaczyć.

*Wino, kolacja i amulet
w kieszeni... ale nic, co za
kamień!*

Wszystko potoczyło się szybko.

Poczekaliśmy na przyjazd zaufanego prawnika rodziny Norbedo, a Calligaris spisał oficjalne zeznania Clary i Seliny.

Problemem jest motyw. Mamy jakieś fragmentaryczne informacje, hipotezy konfliktów, gorycz zranionej żony, która nie знаła prawdy, ale może ją podejrzewała – kóż może wiedzieć? Poza wszystkim musi istnieć jakiś związek między śmiercią Konrada i wypadkiem Amélie, a ja nie potrafię wymyślić, w jaki sposób i z jakiego powodu Edoardo miałby zabić panią Volange.

Edoardo Norbedo grał w tenisa na nieodległym korcie, gdy pojechał do niego patrol, który miał go zabrać do Rzymu. Calligaris odesłał mnie do domu:

– Na dzisiaj to wszystko, moja droga. Będę cię informował na bieżąco. Doskonale sobie poradziłaś.

W drodze powrotnej wysłałam wiadomość do Claudia, by wysondować, jaki ma humor i zrozumieć, czy powinnam opowiedzieć mu o mojej roli w ostatnich wydarzeniach. Mógłby to źle przyjąć; dobrze znam drażliwość instytutowego superbohatera.

Coś musiało się wydarzyć, bo na moją drugą, pozornie niewinną wiadomość, odpowiada telefonem.

– Kiedy diabeł cię głaszcze, chce twojej duszy – zaczyna. – Skąd wiesz, że sędzia, który zajmuje się sprawą Azaisa, wezwał mnie pilnie do siebie?

– Pilnie?

– Kurwa, pod moim domem stali karabinierzy. Skąd o tym wiedziałaś?

– To długa historia.

– Tkwisz po szyję w gównie? Wiedziałem.

– Kiedy skończysz, przyjedź do mnie.

– Uuuu!

– Wyjaśnię ci wszystko, a ty opowiesz mi o swojej diagnozie.

Kolejną godzinę spędzam, próbując zrobić porządek w mieszkaniu przy dźwiękach płyty Johna Mayera. Yukino poszła na pożegnalną kolację ze swoimi kolegami i profesorami, więc nie może mi pomóc. Zresztą jest tak bardzo zajęta swoimi

problemami, że przestała pilnować porządku, którego utrzymanie spada na moje barki. Staram się, jak tylko umiem – czyli kiepsko. Jestem straszną bałaganiarą, i to między innymi dlatego tak bardzo się cieszę, że nie mieszkam już z moją matką, która utrzymuje zawsze nieskazitelny porządek, jakby się spodziewała wizyty ekipy z *Elle Decor*.

Ledwie zdążyłam wyrzucić do kosza zwinięte papierki po batonikach bounty, które wcześniej przeoczyłam, kiedy Claudio dzwoni do drzwi. Wita mnie, głaszcząc lekko po policzku, zdejmuje kurtkę Fay i z dezynwolturą upuszcza ją na fotel, idzie do kuchni i nalewa sobie wody.

Opiera się o biały blat i rozgląda wokół z lekkim obrzydzeniem na twarzy. Ichi podchodzi do niego ostrożnie, bez zbędnych czułości.

– Cześć, psie. Nie zbliżaj się do mnie. Lubię relacje uprzejme, ale bez spoufalania.

Ichi odpowiada mu spojrzeniem, które zdaje się mówić: „Twoja strata”, odwraca się, kręcąc pupą z godnością, po czym wskakuje na kanapę i układa się na niej w pozie Pauliny Bonaparte.

– Na Boga, gdzie my teraz usiadziemy? – pyta mnie Claudio, wpatrując się w Ichiego, który odpowiada mu spojrzeniem, które mówi: „Ja się stąd nie ruszę”.

Wskazuję mu stołek.

On siada, kręcąc głową. Włosy mu trochę urosły. Cały emanuje pewnością siebie, niczym słońce w sierpniowe południe.

Sprawdza godzinę i pyta:

– Najpierw ja czy ty?

– Oczywiście ty.

– Masz martini? Jakaś oliwkę?

– To nie bar. No już, pospiesz się. Umieram z ciekawości.

Claudio rozpiną kołnierzyk, energicznie pociera szyję, grymas na jego twarzy zdradza zmęczenie. Wyjmuję z lodówki ananasowego Bacardi Breezera, jedyny alkohol, jakim mogę go poczęstować. Otwieram butelkę, chcąc przelać go do szklanki, ale on wtedy szczypie mnie w tyłek.

– Ała!

– Daj mi ją – wyciąga rękę, nie odwracając wzroku. – To znaczy butelkę. Nie musisz mi nalewać, jak soczek dziecku.

Między jednym a drugim łykiem opowiada historię, której się spodziewałam. Sędzia zapytał go o zgodność między dynamiką zrekonstruowaną przez Calligarisa na podstawie zeznania Clary i wynikami autopsji Azaisa, tak szczególnymi i nietypowymi. On odpowiedział, że zgodność jest absolutna, a wszelkie pośrednie dane tylko potwierdzają ten mechanizm. I tyle.

– I co dalej?

– Co dalej, Alice? Przyjechałam tutaj. Teraz ty mi powiedz, jaką rolę odegrałaś w tej całej sprawie.

Wyjaśniam mu wszystko dość ogólnie, wybieram fragmenty, które przynoszą mi największą chwałę. Mam dosyć roli kretynki, która chodzi z głową w chmurach i kompletnie nic nie rozumie. Tej, którą uważa się za płytką i tępą, nienadającą się do zawodu, w którym on odnosi sukcesy. Słucha mnie z miną pełną sarkazmu, ponieważ taki już jest: nigdy do końca poważny, przynajmniej nie w moim towarzystwie.

– A więc to ty, z tym twoim detektywistycznym mózdzkiem, rozwiązałaś sprawę Azaisa. Brawo, Alice – mówi, udając, że klaszcze.

– Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że wierzę. Czemu miałbym nie wierzyć?

– Bo mnie nie szanujesz. Dobrze to wiem.

– Znowu zaczynasz.

– Bo to dla mnie ważne.

Unosi wzrok nieco zdziwiony.

Możliwe, że odpowiedziałam mu z niekontrolowaną intensywnością, która zaskoczyła go, ale też dodała mu odwagi.

Kończy swojego drinka.

Wstaje ze stołka i przez długą chwilę gładzi mnie po szyi. Stoję w ciszy, zamykam oczy. On kładzie głowę na moim ramieniu, przytulając mnie niewygodnie, niezgrabnie.

– Nie wiem, jak cię schwycić – szepcze niewinnie.

Odpowiadam na jego uścisk. Muskam jego szyję wargami, opuszkami palców głaszczę po włosach, twardych od żeluz. On poddaje mi się, a prąd, który płynie od niego do mnie, sprawia, że zapominam, kim jest on, kim jestem ja, i znowu tracę nad sobą kontrolę.

Och, do diaska. To się źle skończy. Już o tym wiem. Dziś nie mam żadnych wymówek, nie jestem pijana.

Jest cudowny. Oprzeć się mu to jak przerwać w połowie picie kremowej, gorącej czekolady. Jego oparte o ścianę dłonie tworzą ramę dla mojej twarzy, która – jeśli tylko odzwierciedla kolor mojej duszy – musi być biała jak kreda.

Chciałabym umieć przestać myśleć. Wystarczyłoby pięć minut pustki.

Poddaj się, Alice.

Odsuwam go gwałtownie. Kręci głową z niedowierzaniem i rozczarowaniem jednocześnie.

– Jakiś problem?

– Nie chcę.

Wytrzeszcza oczy, a lekki zez lewego oka, podkreślony przez żądzę, zostaje zniesiony przez ogarniającą go wściekłość.

– Alice! Wszystkie te ceregiele za jedno ruchanko. Nie masz piętnastu lat, a ja mam tego dosyć.

Pełen dramatyzmu jak zawsze, kiedy sprawy przybierają niekorzystny obrót, bierze

swoją kurtkę i wychodzi pośród uroczystej ciszy.

Kilka minut później piszę do niego wiadomość, by wiedział, że jest mi przykro. Że nie chcę się nim bawić. Oczywiście nie odpowiada.

Następnego dnia tak bardzo tęsknię za światłem, że cieszę się z zapachu, z jakim słońce toruje sobie drogę pomiędzy szarymi chmurami. Wsiadam do metra i jadę do gabinetu Calligarisa. Inspektor pracuje już na pełnych obrotach.

Jego oczy są podkrążone, ale pełne entuzjazmu. To jedna z cech, które najbardziej w nim podziwiam: chociaż ze względu na swoją pracę staje twarzą w twarz z najgorszym ludzkim bagnem, wciąż potrafi szczerze zaufać ludzkości. Jest jowialny, przyjazny i entuzjastyczny. Wszystkie te cechy chciałabym odnaleźć w swoim mężczyźnie.

– Dzień dobry, Alice – mówi spokojnie, ale w jego głosie wyczuwam jednak drżenie. – Poproś o cappuccino dla ciebie. Zasłużyłaś.

– Dziękuję, inspektorze.

– Czuję, że razem dokonamy wielkich rzeczy.

Jego podwładna – domyślam się, że jest policyjnym odpowiednikiem takich niewolników jak my – przynosi mi cappuccino. Pokrzepiona kawą czekam na jego opowieść z lękiem, że dowiem się prawdy, która mną wstrząśnie.

On odprawia niewolnicę, nakazując, aby mu nie przeszkadzano, chyba że w sprawach niecierpiących zwłoki. Nie ma na to rady: w każdym środowisku powstaje podobna dynamika. Ludzie tacy jak Wally są na górze, ludzie tacy jak ja – zawsze na dole.

Calligaris splata palce i przyjmuje pozycję wielkiego opowiadacza w stylu Lucarelliego z telewizyjnego programu *Blu Notte*; nie sposób mu odmówić talentu narracyjnego: gdy przymykam oczy, wydaje mi się, że widzę przed sobą dwudziestoletniego Edoarda Norbedo, który marzy o wielkiej pisarskiej karierze.

* * *

Edoardo to młody członek bohemy, pochodzący z bogatej rodziny parweniuszy z Marche. Ucieka z prowincji po koncertowo zdanej maturze i przeprowadza się do Rzymu, by studiować literaturę włoską. Marzy o tym, żeby zostać pisarzem.

Mimo wysiłku młody Norbedo nie osiąga jednak celu, chociaż staje się częścią bardzo prężnego, stymulującego środowiska i nawiązuje cenne znajomości. Na kolacji zorganizowanej przez żonę pewnego wydawcy, której był kochankiem, Edoardo poznaje Konrada Azaisa, idola swojej młodości. Pisarz jest już w schyłkowej fazie kariery; dwie frustracje spotykają się w pół drogi i pocieszają się nawzajem. Edoardo chwali Konrada, którego próżność ustępuje jedynie szalonej ambicji; Konrad od czasu

do czasu rzuca aspirującemu pisarzowi jakieś słowo zachęty.

Norbedo jest karierowiczem. Jego zdaniem relacje międzyludzkie są jedynie środkiem do celu. Wczepia się w Azaisa i już nie puszcza. Przedziwny związek staje się czymś w rodzaju nawyku: spotykają się w domu Konrada i rozmawiają o książkach, oczywiście przede wszystkim autorstwa Azaisa. Tytan zerknął na rękopisy Norbeda i uznał je za banalne. Przestaje go zachęcać, przeciwnie: wskazuje mu inną drogę, która nie ma nic wspólnego z literaturą. Edoardo przełyka tę żabę, dziękuje, lecz nie przestaje pisać i wciąż promuje się w odpowiednich środowiskach. Pewnego letniego popołudnia w domu Azaisa poznaje Selinę; rok później odbywa się wesele.

Selina Azais patrzyła, jak jej brata rujnuje pisarska obsesja, poczucie, że ma coś do powiedzenia, chęć powtórzenia sukcesu ojca. Jej zdaniem, by napisać książkę, nie wystarczy nosić w sobie historii, którą chce się podzielić ze światem; przede wszystkim każdy początkujący autor powinien wykazywać się wystarczającą dozą samokrytyki, by wiedzieć, czy na świecie istnieje ktoś, kto będzie chciał go wysłuchać. Opowiada mężowi o Enricu, który raz już próbował popełnić samobójstwo – w przyszłości miał ponowić próby – a także o Oscarze, eklektycznej, wielowymiarowej osobowości. Obaj utrzymywani przez ojca. Obaj nieszczęśliwi.

Rozczarowanie przychodzi za rozczarowaniem, a Edoardo coraz mniej czasu poświęca na pisanie. Znajduje dobrą, perspektywiczną pracę, naprawdę uwielbia Selinę, a osiem lat po ślubie zostaje ojcem dziewczynki, która jest jego skarbem. Marzenie o pisaniu wciąż zamieszkuje w zamkniętych pokojach jego umysłu, ale on nie zbliża się nawet do drzwi. Są to pokoje pełne melancholii niespełnionych marzeń, takiej melancholii, która rodzi poczucie winy, bo tak naprawdę wszystko jest dobrze, życie mu sprzyja, a jednak odczuwalny brak sączy słowa, które żłobią pęknięcia na gładkim tynku pogodnej egzystencji.

Azais daje córce w prezencie dom w Tarquinii. Selina zajmuje się ojcem od lat, a starzec zaczyna dzielić swój majątek. Ona przeprowadza remont, a jej zapomniany dyplom z architektury wreszcie się do czegoś przydaje. Clara dorasta i porzuca fazę edypalną którą Edoardo tak dobrze rozumiał. Perspektywy jego kariery okazują się przeciętne, a nuda kasa go niego niemal co dzień.

Wreszcie się poddaje.

Edoardo otwiera zakazane pokoje, melancholia wypływa na zewnątrz. Znów zaczyna pisać, skreśla, czyta na nowo, pisze na nowo. Czuje, że nadszedł jego czas. Dorósł, zyskał dojrzałość, której mu brakowało, nową perspektywę, absolutną oryginalność.

W międzyczasie Leone Azais odkrywa list ojca, w którym ten deklaruje, że całe swoje bogactwo zapisze nieznamym, rozpoczyna więc proces ubezwłasnowolnienia. W tym momencie

Konrad, mocno już niesamodzielny, decyduje się opuścić dom syna. Selina

przyjmuje go z otwartymi ramionami, podobnie jak Edoardo, który traktuje przeprowadzkę teścia jako znak od losu. Tym razem na pewno dostrzeże jego talent. Zachęci go do ponownego podjęcia pisarskich wysiłków.

To pewne.

Edoardo Norbedo ostrożnie obchodzi się z teściem. Dobrze go zna, wie zatem, że ma do czynienia z mężczyzną trudnym, porywczym i niecierpliwym. Nie chce usłyszeć słów: „Znowu zaczynasz, Edoardo?”. Szacunek teścia jest jego najgłębszym pragnieniem, bez niego czuje się niekompletny. Poprawia swoją nową powieść z pogodną metodycznością osoby pewnej sukcesu. Chce zaprezentować mu swoje dzieło w najlepszej możliwej wersji, nie spieszy się mu.

Wspólne mieszkanie okazuje się jednak trudniejsze, niż przewidywali: Azais staje się coraz bardziej ostry i nietolerancyjny. Lubi wyłącznie towarzystwo wnuczki. Edoarda zbywa, jakby miał całe mnóstwo pracy. Niby jakiej?

To Clara, niczego nie podejrzewając, zdradza tajemnicę: dziadek pisze swoją ostatnią powieść i pragnie spędzać jak najwięcej czasu sam. W jego wieku czas jest bezcenny, nie wiadomo przecież, ile mu życia jeszcze zostało.

Edoardo przyjmuje wiadomość z nieufnością i sarkazmem: uważa, że starzec nic ciekawego już nie wymyśli. W międzyczasie kończy swój rękopis: zadanie było doniosłe, powstało siedemset pięćdziesiąt stron historycznej powieści o Rzymie czasu Borgiów. Dzieło stanie się filarem wydawnictwa, które będzie miało szczęście je zakupić. To oczywiście, że stworzył bestseller! Być może w Ameryce, gdzie mają do tego nosa, Edoardo byłby skazany na bogactwo. Wyobraża sobie siebie w Hollywood, na premierze filmu nakręconego na podstawie jego powieści, z Russelem Crowe'em w roli głównej.

Jednak dręczy go niepewność zasiana wiele lat wcześniej przez Konrada.

Przez kilka dni przeżywa kryzys: czy naprawdę warto pytać teścia o opinię? Być może Azais nie zrozumie tej książki. Ten człowiek należy do innej epoki, ma staromodny gust literacki. Potem jednak Edoardo przekonuje sam siebie, że wielcy narratorzy nie mają wieku, nie poddają się modom i że nie powinien rezygnować z marzenia zdobycia największego ze swoich krytyków. Drukuje książkę piętnastką, żeby ułatwić lekturę starym oczom teścia. Liczba stron podwaja się, a on jest dumny jak ojciec dużego noworodka. Przygotowuje nawet okładkę z własną grafiką, binduje książkę i pewnego pięknego dnia wręcza ją teściowi jako skończone dzieło.

Konrad wybucha śmiechem.

– A kokardki nie dołączyłeś? – pyta swoim głosem starego kruka, kręci głową, przegląda wydruk ze znużeniem i pogardą. – Daj mi czas, żebym to przeczytał – mówi. – Tysiąc pięćset stron napisanych przez ciebie zajmie mi przynajmniej dwa lata. Całkiem możliwe, że wcześniej umrę. Ach, ach, ach.

Edoardo nie zbliża się do jego pokoju co najmniej dziesięć dni. Obawia się, że

wpływie na jego ocenę, że pod presją teść stanie się jeszcze bardziej krytyczny. Chce czasu? Będzie go miał.

Potem jednak przychodzi dzień sądu.

Clara przekazuje mu, że dziadek o niego pytał. Nareszcie! Edoardo mówi w pracy, że zachorował, żeby mieć całe mnóstwo czasu dla swojego teścia.

Ten przyjmuje go na swoim biednym tronie na kółkach, dawny król, przekonany, że wciąż rządzi w królestwie literatury. Brakuje tylko, by podawał dłoń do pocałunku.

Werdykt przychodzi szybko, w jednym słowie, wypowiedzianym nagle, ostrym, jak uderzenie bicia.

Baromsagok!

Głupoty.

Tak podsumował jego pracę.

To jednak nie wystarczy. Wygłasza analizę tak precyzyjną, że Edoardo nie może zarzucić mu powierzchowności w lekturze. Konrad nie znajduje ani jednej zalety. Edoardo czuje się jak Anna Magnani w *Najpiękniejszej*. Dzieło zmiażdżone z cyniczną złością kogoś, kto zachowuje się jak niszczyciel przekonany, że nie ma na świecie nic świętego.

Książka, poza wszystkim, jest pełna regionalizmów. Konrad pastwi się nad każdym błędem ze złośliwością. To sprawia, że Edoardo czuje się nie tylko pozbawiony talentu, ale po prostu głupi. Rozczarowania spływają na niego niczym deszcz naostrzonych szpil, najpierw tylko irytują, a potem ranią śmiertelnie.

Spotkanie trwa cały dzień. Jedzą razem obiad jak za dawnych czasów, rozmawiając o książkach. Edoardo ukrywa upokorzenie, przez lata nabrał w tym doświadczenia. Azais jest w swoim żywiole. Arterioskleroza rozwalila jego płat czołowy, nie ma żadnych zahamowań. Edoardo dochodzi do wniosku, że jego szwagrowie z Leone na czele, którzy przez tyle lat znosili kaprysy Azaisa, być może wcale się nie mylą, chcąc go ubezwłasnowolnić.

Potem jednak wydarza się coś nieoczekiwanego.

Tego gorącego dnia teść zdobywa się na spowiedź i opowiada mu o plagiacie. O tym, że jego arcydzieło wcale nie należało do niego. Wiadomość jest dla Edoarda niczym gwałtowny podmuch powietrza. Czuje w oczach pył. Konrad wyjaśnia, że to powód takiego a nie innego zapisu w testamencie, którego synowie nie znają i po ostatnim kieliszku wina – naprawdę przesadził – prosi, żeby nikomu nie mówił o tym ani słowa, nawet Selinie. Zwłaszcza Selinie, która szanuje ojca, niemal czci. Póki żyje, nie ma odwagi zmierzyć się z pogardą swoich dzieci. Chce powiedzieć prawdę, zaprowadzić sprawiedliwość, ale nie chce ponieść konsekwencji. Nie ma na to siły ani energii.

Jest wieczór, starzec zasypia na wózku. Głowa opada mu na bok, mięśnie drżą lekko, zapowiadając sen. Edoardo jest oszołomiony, ma wrażenie, że przeżył cały

tydzień w jeden dzień. Chce wyjść z pokoju. Na biurku zauważa nowy manuskrypt, wypełniony gęstym pismem teścia. Najpierw muska go palcami, czyta kilka linijek. Nie trzeba uciekać się do incipitu, już pierwsze strony wciągają czytelnika.

Zalewa go fala zazdrości.

Clara wchodzi bez pukania, jak to ma w zwyczaju. On chowa dłonie niczym złodziej. Córka wygląda jak wielki znak zapytania, w jej oczach dostrzega już oskarżenie o pomysł, który dopiero narodził się w jego umyśle.

– Co robisz? – pyta go.

– Spędziłem wspaniały dzień z dziadkiem. Ale teraz dajmy mu odpocząć.

Bierze córkę pod ramię i wychodzą razem. Przy kolacji Edoardo jest zaskakująco spokojny, on – domowy żartowniś, który rozśmieszyłby martwego. Selina pyta męża, co się dzieje, on po raz drugi wymawia się bólem głowy.

Spędza bezsenną noc.

W kolejnych dniach połyka następne strony rękopisu Azaisa w przerwach wizyt składanych z fałszywej uprzejmości. Teść przyjmuje go chętnie, on korzysta z drzemek starca.

Czyta aż do ostatniej strony, która jednak nie jest ostatnią: brakuje finału. Przez wiele dni Edoardo czeka na zakończenie, ale książka kończy się wciąż w tym samym miejscu. Niecierpliwość staje się dojmująca.

Azais kończy powieść w pewną sobotę, kiedy odmawia przyjęcia zięcia. Budzi się o świcie i pozwala tylko, by Terézia zmieniła mu pieluchę. Nie chce nawet zjeść obiadu, wypija zaledwie pół kubka rybnego bulionu, jednego ze swoich ulubionych dań.

A kiedy finał jest gotowy, okazuje się dziełem godnym mistrza. Edoardo odkłada na drewniane biurko ostatnią stronę, ze złością zazdrośnika, który widzi w innych łatwość osiągnięcia sukcesu. Książka jest prawdziwym testamentem Azaisa, jej poetyckość przekracza nawet niedoścignioną *Chciwość*. W wieku ponad osiemdziesięciu lat Azais zgotował osobistą zemstę, wyrównał rachunki ze swoją sztuką. Czy naprawdę zasłużył na odkupienie? Ktoś, kto oszukał swojego najlepszego przyjaciela? Ma na sumieniu samobójstwo. Debiut taki jak *Chciwość* zmienia całe życie. Uczyniłby świętego nawet z analfabety. Czy Azais istotnie potrzebuje tej nowej książki?

Czy może zasługuje raczej na odpowiednie zastosowanie prawa talionu?

Edoardowi zrobiłoby to wielką różnicę. Wystarczyłoby kilka sensownych skrótów tu i tam, drobna personalizacja, która mogłaby stanowić bazę dla przyszłej twórczości. Oczywiście ktoś powie, że po tak intymnej, dojrzałej powieści autor całkowicie zmienił styl, ale co to kogo obchodzi.

Tydzień później Clara przy obiedzie mówi, że dziadek zadzwonił do wydawcy i opowiedział mu o swojej nowej powieści. Poprosił, żeby przepisała ją na komputerze. „Epoka długopisów minęła już dość dawno” – wyjaśnił mu ze śmiechem

wydawca.

„A ty już zaczęłaś?” – pyta Edoardo z cieniem niepokoju w głosie. Nie, nie zaczęła. „Czytałaś?” „Nie, ani linijki. Dziadek chce, żebym przeczytała całość. A to przecież czas klasówek, mam pracę domową z greki, obiecałam mu, że zacznę w przyszłym tygodniu”.

Edoardo rozumie, że należy działać szybko. Dzieło nie może się ukazać pod nazwiskiem Azaisa.

Spędza gorączkowe godziny, obmyślając plan pozbycia się teścia w sposób, który będzie wyglądał na naturalną śmierć. Na początku do głowy przychodzą mu trucizny i leki. Boi się jednak badań toksykologicznych, którym Azais mógłby zostać poddany. Porzuca pomysł, obiecując sobie, że wróci do niego, jeśli na nic lepszego nie wpadnie. Wpada jednak i concept wydaje mu się genialny. Pamięta, że kilka lat wcześniej Konrad stracił przytomność, gdy wiązał sobie krawat. Przerażony Leone poddał go wszelkim możliwym badaniom, jednak – wzięwszy pod uwagę wiek – stary okazał się zdrowy. Lekarz powiedział, że ma zwykłą arytmie, po czym dodał coś o szczególnej wrażliwości nerwu współczulnego. Czego?

W tamtym czasie nikt z rodziny specjalnie się tym nie przejął: Konrad generalnie czuł się dobrze i na tym się skończyło.

Teraz jednak Edoardo przypomina sobie o tym zdarzeniu. W Internecie znajduje wyjaśnienie przypadłości teścia. Odkrywa, że wszyscy mamy komórki na tętnicy szyjnej, które spowalniają bicie serca, kiedy się ich dotyka. Gdy ktoś jest bardzo wrażliwy, może to spowodować nawet zatrzymanie akcji serca. Nie jest to częste, ale się zdarza.

Szybko opracowuje plan. Będzie to wyglądać na nagłą śmierć, zawał albo coś w tym stylu. Przecież stary ma ponad osiemdziesiąt lat. Kto w ogóle pomyśli o zabójstwie?

Nadchodzi właściwy dzień. Dzień urodzin jego córki, ukochanej wnuczki Konrada.

W chwili zamieszania Edoardo korzysta z okazji i przekracza próg pokoju teścia. Azais jest zmęczony, jego oddech wydaje się spowolniony. „Tato, źle się czujesz?” – pyta z udawaną troską. Konrad zaprzecza z zapałem. On nigdy źle się nie czuje. Serce mocno wali w piersi Norbedo, który mówi sobie: „Nie, nie uda mi się. Co ty robisz, Edoardo? Nie jesteś zabójcą”. Nadarzyła się jednak doskonała okazja, ten rękopis musi być jego. Jest bardziej podobny do swojego teścia, niż sądził, kto wie, czy Konrad czuł to samo podekscytowanie.

Chwała. Gazety, zagranica. Przekroczyć granicę, która dzieli aspirujących autorów od prawdziwych, patrzeć na dyletantów z satysfakcją kogoś, komu się udało.

„Śmierć Konrada jest bliska. Ja po prostu nieco ją przyspieszę” – mówi sobie, podchodząc do króla na tronie, gotowy, by zdjąć mu koronę i samemu ją włożyć.

Zbliża dłonie do jego szyi.

- Co robisz? – pyta zaskoczony Azais. Nie podejrzewa niczego, jest tylko ciekawy.
- Rozepnę ci kołnierzyk. Zbyt ciasno opina ci szyję.

Azais pozwala zięciowi. Przezroczysty guziczek przechodzi przez dziurkę. Konrad zamyka oczy. Jego pomarszczona twarz nie wyraża żadnych uczuć.

„Teraz, Edoardo. Teraz”.

Między kciukiem a palcem wskazującym każdej dłoni ściska krawędzie kołnierzyka.

„Zaciśnij. Zaciśnij, do kurwy nędzy”.

Poci się, napędzany adrenaliną czuje, że jeśli go nie zabije, sam umrze ze strachu. Azais otwiera oczy, widzi panikę w oczach teścia, być może nie tylko panikę. Być może także swoje intencje.

– Wyjdź stąd, Edoardo.

Edoardo jednak się nie rusza.

Zbliża palce, a miękka, luźna skóra wylewa się z kołnierzyka, ciasnego, coraz bardziej ciasnego.

Azais wytrzeszcza oczy. Być może właśnie w tym momencie wreszcie wszystko rozumie.

Śmierć przychodzi, nagle i cicha.

Edoardo jest zaskoczony, ale czuje ulgę. „To nie było takie trudne”

Na szyi nie ma śladów, lekkie zaczerwienienie i nic więcej. Oczy są otwarte, sparaliżowane w przerażeniu. Edoardo przykrywa wilcze źrenice powiekami.

W łazience płacze. Nie wie nawet – dlaczego. Być może ze strachu. Jego nerwy są w strzępach.

Reszta jest historią.

Ach, wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem, gdyby Clara nie wyciągnęła tego listu. Jak Clara, inteligentna i opiekuńcza, mogła popełnić taki straszny błąd? To przez ten list zlecono sekcję. Gdyby nie podejrzenie samobójstwa, nikt by nie przypuszczał, że śmierć nastąpiła z przyczyn innych niż naturalne.

Selina postanawia schować w sejfie rzeczy ojca, łącznie z rękopisem, i później zdecydować, co z nimi zrobić.

Edoardo inscenizuje kradzież, wydaje mu się, że minęło wystarczająco dużo czasu i wrzawa ucichła.

Podczas przesłuchania wyznaje, że przepisał już połowę.

Ale tego wszystkiego Alice nie wie.

Muszę mieszkać w naszym domu bez Yukino. Na szczęście tylko przez kilka dni, potem przeprowadzę się do Cordelii.

Widzimy się na Skypie i wydaje mi się pogodna. Może trochę nostalgiczna, ale nie za bardzo. Prędzej czy później wszyscy chcemy wrócić do domu. Ciekawe, czy to pragnienie będzie kiedyś udziałem Arthura. Zastanawiam się zresztą, jakie miejsce uznaje za swój dom. Kiedyś, w rzadkiej chwili wrażliwości, Silvia powiedziała, że dom to nie miejsce, tylko zbiór uczuć.

W mieszkaniu Cordelii stoi fotografia, która przedstawia ją i Arthura jako nastolatków. Ona go obejmuje, a właściwie jest w niego wczepiona. Można powiedzieć, że to zdjęcie-przepowiednia. On jest szczupły, uroczy, przypomina wręcz dziewczynkę. Cordelia zwierzyła mi się, że gdy miała dziesięć czy jedenaście lat, właściwie kochała się w bracie. Próbowала go pocałować, nie uważała tego za dziwne. Potem poczuli się winni, przypomnieli sobie, że są przyrodnim rodzeństwem i nigdy więcej tego nie powtórzyli. Jej opowieść mnie przeraziła. Chciało mi się wymiotować.

– Jeśli nie przestaniesz pożerać wzrokiem zdjęć mojego brata, znowu ci opowiem, jak się całowaliśmy.

Cordelia zagląda przez drzwi mojego nowego pokoju. Ściany są pomalowane na szaro, meble w stylu gustawiańskim. Na regale stoi orchidea, na szafce kryształowa lampka, która przypomina kandelabr. Uważam, że Cordelia ma znakomity gust i sugeruję, że mogłaby się zająć dekoracją wnętrza.

– Och, tyle rzeczy mogłabym robić! Życia by mi nie starczyło na wykorzystanie wszystkich moich talentów. – Krzyżuje ramiona pod drobnym biustem. Ma na sobie za dużą, niebieską koszulę, jej delikatne włosy falami opadają na wąskie ramiona, na nadgarstkach ma dwie niebieskie, gumowe bransoletki.

W pokoju jest też mały balkon. Odwykłam od takich luksusów. Otwieram drzwi i wychodzę na mały tarasik, pokryty sztuczną trawą. Stoją na nim donice z roślinami, suszarka i, przede wszystkim, pralka! I to włączona!

– Cordelia!

– Słucham?

– Trzymasz pralkę na balkonie?

– A gdzie miałabym ją trzymać? W domu do niczego nie pasuje.

– A jeśli pada?

– Przykrywam ją – odpowiada zaskoczona oczywistością mojego pytania.

Ichi przygląda się pralce z podobnym mojemu zdziwieniem. Jest za to zachwycony nowym materacem, na którym układa się jak pasza. Wyciąga łapy, obraca się i pokazuje łaciaty brzuszek z naiwną radością istot czystego serca.

Zostaliśmy sami, mój mały Ichi, ty i ja. Trzeba zacząć od początku.

* * *

Kilka dni później piszę w instytucie diagnozę, słuchając Elli Fitzgerald. Piosenka *Bewitched* daje mi natchnienie, by napisać do Arthura. Mejl jest serdeczny i trzeźwy, mam nadzieję, że nie wyczuje w nim nostalgii. Jestem tylko ciekawa, jak się odnalazł w Libii. Jego wyjazd uczynił mnie bardziej wrażliwą na telewizyjne wiadomości i za każdym razem, kiedy słucham raportów z Bengazi, czuję coś między dumą a przerażeniem. Teraz Arthur ma iPhone'a i poprawę jakości komunikacji da się zauważyć od razu: odpowiada po pięciu minutach. Uspokaja mnie, pisze, że wszystko jest w porządku, że nie mam się czego obawiać. Pyta, jak się mieszka z Cordelią i który z moich współlokatorów podda się pierwszy: Ichi czy dziwna siostra.

Już mam mu odpowiedzieć, kiedy do pokoju bez pukania wchodzi Claudio. Siada na miejscu Ambry.

– Przestań się opieprzać. Mam niezłego newsa.

– Wcale się nie opieprzałam – protestuję, zamykając pospiesznie okno z otwartym Hotmailem. – Gdzie Ambra? Od tygodnia się nie pojawia.

– Powinienem to wiedzieć? – odpowiada.

– Po prostu mógłbyś wiedzieć. Claudio, dlaczego ją rzuciłeś? Zmieniłeś ją w kałamarnicę: jest blada, nic nie mówi, nawet cycki jej opadły.

Wzdycha ciężko z bezradnością.

– Ambra jest inna, niż się wydaje. Ta jej błyszcząca powłoka to tylko pozory. Nie byłoby grzecznie opowiadać o czymś, co dotyczy tylko nas. Poza tym powiedziałem ci, że mam niezłego newsa, taki brak zainteresowania nie jest w twoim stylu.

Teraz ja jestem kałamarnicą: wpatruję się w niego ze zdumieniem.

– No to dawaj tego newsa. Najwyraźniej marzysz tylko, żeby się nim podzielić.

– Och, jak najbardziej – odpowiada, celowo obscenicznym tonem. – Mam badanie histologiczne organów Amélie Volange i parę niespodzianek. Pierwsza jest taka, że była w ciąży. Od kilku dni, więc nie wykryło tego badanie mikroskopowe. Najprawdopodobniej sama jeszcze nie wiedziała. Druga nowość: Amélie sporo wypila. Co może sugerować, że nie była przytomna, kiedy walnął w nią samochód pirata drogowego. Nie ma to wielkiego znaczenia, bo za spowodowanie śmierci kierowca – o ile da się go zidentyfikować – będzie odpowiadać także ze względu na nieudzielenie pomocy potrąconemu, ale to ogranicza prawdopodobieństwo morderstwa

z premedytacją. Poziom alkoholu we krwi był tak wysoki, że Amélie prawdopodobnie miała problemy z utrzymaniem równowagi, mogła nawet sama wpaść pod samochód. Chodzi mi o to, że dysponując takimi danymi, skłaniam się ku hipotezie wypadku. Poza tym, jeśli pamiętasz, inspektor mówił o śladach hamowania na asfalcie, co sugeruje, że nie było to zaplanowane potrącenie.

Nie mogę zaprzeczyć. A jednak fakt, że samochód należy do Vittorii Galli, wydaje mi się zbyt znaczącym zbiegiem okoliczności.

– A co jeszcze wiesz o ciąży?

– Nic. Znam orientacyjne daty, które podała mi Beatrice. Oczywiście nie mam pojęcia, kto był ojcem. Nie ustalimy tego bez badań genetycznych, które – mówiąc całkiem szczerze – są w tej sytuacji kompletnie bezsensowne. Jeśli hipotezę wypadku potwierdzą dane pośrednie, lepiej, żeby tożsamość ojca pozostała prywatną sprawą biednej Amélie.

– Tylko że inspektor Calligaris powiedział mi, że zidentyfikował samochód, który potrącił Amélie. Należy do byłej dziewczyny Leone Azaisa, jednego z synów Konrada. Nadal uważasz, że chodzi o wypadek?

– Mówisz o testamencie?

– A o czym innym?

Wzrusza ramionami w ten swój fatalistyczny sposób. Widać, że nadeszła wiosna: zaczął chodzić do solarium.

– To może skomplikować sprawy, ale nie dla mnie. Ja muszę przeprowadzić diagnozę i opisać, co wykazała autopsja: obrażenia ciała, początek – a dokładnie tydzień – ciąży oraz wysoki poziom alkoholu we krwi.

– Claudio, zawsze mówisz, że powinniśmy się do tego ograniczyć. Że medycyna sądowa jest opisem, świadectwem. Ja myślę, że jest czymś więcej.

– Tak, jasne, czym tylko chcesz. Byle postępować praworzadnie i zgodnie z etyką. Twoje podejście wydaje mi się nieco nierozsądne, ale to tylko osobista opinia. Bez urazy.

Zerkam na komputer. Rozlega się sygnał dźwiękowy: Arthur wysłał kolejnego mejla.

– Przepraszam, Claudio. Muszę odpowiedzieć na bardzo ważną wiadomość.

– Dzisiaj skończę pisać diagnozę na temat śmierci Amélie Volange, żeby jutro mogła trafić do prokuratury. Prześlę ci ją mejlem, OK?

– Dziękuję – odpowiadam z roztargnieniem, które wyraźnie go irytuje. Po raz ostatni spogląda na mnie zielenią swoich oczu, pełnych nieukrywanej nienawiści, po czym drzwi zamykają się za jego plecami.

* * *

Po południu spotykam się z Calligarisem w kawiarni niedaleko jego gabinetu. On zamawia gałkę lodów bananowych z mnóstwem śmietany. Zdjęli mu wreszcie gips

z palca i wygląda na zrelaksowanego. Niebo wydaje się perłowe, wysokie i dalekie, a ja czuję niepokój, jakbym miała niezłatwione sprawy, niezapłacone rachunki, nieodebrany ważny telefon.

– Przesłuchał pan Vittorio Gallia? – pytam, kiedy on gładzi swoje wąsiki uchatki, które tworzą jego nowy *look*.

– Oczywiście, moja droga. Czy myślisz, że my w policji pakujemy cukierki? Wykonujemy swoją pracę.

– No i?

– Cóż... Dowiedziałem się zaskakujących rzeczy. Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

Poczułam się urażona. Inspektor naprawdę jest wielkim manipulatorem: kiedy mnie potrzebuje, dzieli się wszystkim. Teraz za to każe się prosić.

– Jutro doktor Conforti złoży w prokuraturze wyniki autopsji Amélie Volange. Ja też jestem w posiadaniu informacji, które określiłabym jako zaskakujące – mówię, upiwszy łyk soku morelowego.

– Cóż za perfidia! – woła Calligaris. – Bawisz się moim zniecierpliwieniem.

– Każdy ma swoje sposoby, nie sądzi pan?

– Racja. Ale nie mogę dać ci tej przewagi. Panienko, życie jest ciągłą grą psychologiczną, nie mogę z tobą przegrać. Poczekam i przeczytam sobie diagnozę.

– Ale przecież zasłużyłam na jakieś słowa zachęty, czyż nie?

– No dobrze. Oto zachęta: Azaisowie tkwią w tej historii po uszy.

– Tego się sama domyśliłam – odpowiadam, trzęsąc się z ciekawości.

– A ja dałem ci potwierdzenie. To dużo.

– Kto z Azaisów? Leone?

– Bądź grzeczna, Alice. Znalazłem się w trudnym momencie. Daj mi trochę czasu.

– Jeden z nich specjalnie ją potrafił, prawda? Ze względu na testament? Czy jest jeszcze coś?

Calligaris zostawia pięcioeurowy banknot w srebrnej miseczce z naszym rachunkiem.

– Kiedy nadejdzie właściwa pora, wszystko ci powiem. W międzyczasie bądź grzeczna. Nie zaczynaj prywatnego dochodzenia. Pamiętaj, że ja wszystko widzę i wszystko wiem. I jeśli zobaczę, że wtykasz nos w sprawy Azaisów, więcej nie wpuszczę cię do gabinetu. Zrozumiałaś?

– Inspektorze, skazuje mnie pan na męki Tantala.

– Nie. To sposób, by nauczyć cię, że bez dyskrecji i cierpliwości niczego się nie osiągnie w moim zawodzie. Kto wie, czy za jakiś czas nie stanie się on i twoim. Chcę cię uczyć. Teraz, panienczko, po tej przyjemnej przerwie, wracajmy do naszych zajęć.

*Nie pragnijcie przygód, jeśli
nie jesteście gotowi na
nieszczęścia.*

Przysłowie chińskie

Zawsze taka byłam. Kiedy moja matka mówiła, żebym nie jadła za dużo cukierków o smaku rabarbaru, ja na przekór obżerałam się nimi aż do bólu brzucha, chociaż miałam serdecznie dosyć.

W towarzystwie Silvii i pary czarnych szpilek na fioletowej podeszwie – ich zakup był szaleństwem – otwieram kryształowe drzwi Ergi, świątyni sztuki współczesnej i designu. Silvia nie zna przyczyny, dla której znaleźliśmy się w tym miejscu, w którym zakup najtańszego przedmiotu kosztowałby mnie pięć miesięcy pracy. Chłopak, który musi być modelem, kręci się po galerii, podając *finger food* o niezrozumiałym smaku – coś w rodzaju soku z *Alicji w Krainie Czarów*, który smakuje marmoladą, śmietaną, ananasem i pieczonym kurczakiem. Pokoje są duże i minimalistyczne. Luksus nienarzucający się, oddychamy sztuką.

– Mogę wam w czymś pomóc? – pyta sardynka w przebraniu człowieka, wciśnięta w czarną sukieneczkę, z pomalowanymi na niebiesko paznokciami i jasnymi włosami zebranymi w kucyk w stylu panny Rottenmeier.

– Dziękuję, tylko się rozglądamy – odpowiadam, żeby ją spławić.

– Alice, nie jesteśmy w Max & Co. Do takiego miejsca nie wchodzi się po to, „żeby się rozejrzeć”. À propos, nie mam zielonego pojęcia, co my tu w ogóle robimy – mówi szeptem Silvia.

Prawda jest taka, że zabrałam ją ze sobą, żeby przyjrzeć się Vittorii Galli. Zanim jeszcze wymyśliłam, co powiedzieć i co zrobić, położyłam już dłoń na V z chromowanego żelaza, tak stylizowanej, że straciła swoją oryginalną funkcję wyrażania dźwięku. Teraz jest megalomańską rzeźbą, która służy za klamkę.

– Czy zastałam panią Galli? – pytam po chwili Sardynkę, z daleka od niedyskretnych uszu Silvii.

– Zajmuje się przygotowaniem wystawy na pierwszym piętrze. Przedstawić panią? – pyta z nieufnością, jakby myślała: „Uważaj, już Vittoria będzie miała dla ciebie czas”.

– Nie trzeba, dziękuję – odpowiadam, rozczarowana. – Można wejść na pierwsze piętro?

– Tak, oczywiście. Obok pawilonu, gdzie trwają przygotowania do wspomnianej wystawy, jest miejsce, w którym znajdują się obrazy irańskiego artysty.

– Wspaniale! W takim razie tam się właśnie udam.

Korzystam z chwili, kiedy Silvia przygląda się kilku dizajner – skim meblom, żeby wejść po białych schodach, które prowadzą na pierwsze piętro. Spoglądam na dwa pawilony i idę do tego, w którym spodziewam się spotkać Vitorię.

Właścicielka Ergi instruuje kilku robotników w kwestii scenografii. To na pewno ona. Ma stanowczy głos i wszystkie atrybuty kobiety z klasą: okulary w panterkę, czerwoną sukienkę, która na każdym innym wyglądałaby karykaturalnie i włosy barwy miodu, natapirowane i upięte w taki sposób, że rzucają wyzwanie prawom grawitacji.

– Słucham? – pyta, mrużąc oczy. Cóż za sokoli wzrok: jestem na wpół schowana, a jednak mnie dostrzegła.

– Ja... szukałam irańskich akwareli.

Vittoria Galli chłodno żegna się z robotnikami i podchodzi do mnie. Jest bardzo wysoka, a do tego ma na nogach czerwone, lakierowane pantofle, które czynią ją jeszcze bardziej dominującą. Jej ciało jest szczupłe i suche. Całości dopełnia nieco nienaturalna opalenizna.

– Proszę za mną, odprowadzę panią – mówi uprzejmie, wdzięcznym gestem wskazując mi kierunek.

Bardzo ładnie opowiada mi o życiu, śmierci i dziełach artysty, a akwarele są urocze. Szkoda, że nawet nie przechodzi mi przez głowę, że mogłabym wydać na jedną z nich coś w stylu trzech tysięcy ośmiuset euro.

Oczy Vittorii są oczami drapieżnej emerytki, która z trudem przywołuje miniony czar. Na jej twarzy widać patynę, która uwypukla zmarszczki, wyrażające niepokój i zmęczenie. Chirurg plastyczny spartaczył robotę: jej usta wyglądają jak siny pyszczek ryby.

– A co znajduje się w drugim pokoju? – pytam, wskazując fragment sali oddzielony ostrym łukiem.

– Chowam tam kilka obrazów, od których chciałabym się uwolnić.

– Mogę je zobaczyć?

– Oczywiście – odpowiada z wdziękiem doświadczonych sprzedawców.

Pokój jest mały, światła zgaszone. Vittoria zapala je z ciężkim westchnieniem. Na ścianach wiszą obrazy olejne, abstrakcyjne płótna, które robią niesamowite wrażenie. Użycie koloru jest mistrzowskie, zwłaszcza na największym z dzieł, które lśni magnetyczną, szmaragdową zielenią – jeśli chromoterapia naprawdę działa, trudno zgadnąć, jaki mógłby wywołać efekt.

– Podoba się pani?

Pytanie pada niespodziewanie. Vittoria opiera się o ścianę, obok dwóch obrazów. Ich wybuchowa czerwień tworzy pendant dla jej sukienki.

– Bardzo.

– Wyprzedają je. Niech pani poda cenę.

Jestem oszołomiona. Nigdy w życiu nie kupiłam żadnego obrazu, jeśli nie liczyć plakatu z reprodukcją Moneta, który wisiał w moim starym mieszkaniu, które dzieliłam z Yukino.

– Nie umiem. Nie chciałabym się wygłupić.

– Proszę się nie obawiać. Zawsze jest czas na naukę. Nie będę pani oceniać.

Liczę w pamięci, ile mam pieniędzy na koncie, żeby określić sumę, którą mogę zaoferować. Z przyjemnością podarowałabym obraz Cordelii: nie chce, abym płaciła jej czynsz, a uważam, że to dobry sposób, by się jej odwdziaczyć.

Kiedy wymyślałam strategię wyjścia bez wstydu z tej niezręcznej sytuacji, to Vittoria mnie ratuje, widząc moje wyraźne zakłopotanie.

– Widzi pani, gdyby to zależało ode mnie, podarowałabym go pani w prezencie, żeby nie musieć go więcej oglądać. Ale nie mogę pozwolić, by rozeszła się plotka, że zwariowałam, chociaż nie byłoby to pozbawione podstaw. Tysiąc euro i obraz należy do pani. Gwarantuję, że robi pani świetny interes, chociaż rozumiem, że nie posiada pani narzędzi, by móc mi uwierzyć.

– Najważniejsze, że mi się podoba. Zawsze uważałam, iż cena przedmiotu powinna zależeć od tego, ile jesteśmy gotowi za niego zapłacić. Nie interesuje mnie, czy namalował go jakiś nowy Kandisky.

– Och, zdecydowanie nie jest to nowy Kandisky.

– Powiedziałam to ot tak.

– Tak, rozumiem. Mam go zapakować?

Kiwam głową z euforią, która towarzyszy mi zawsze, kiedy daję się ponieść hiperaktywnej dopaminie i pozwalam sobie na nierozsądne zakupy. Silvia podchodzi do nas i z ciekawością przygląda się tej scenie.

– Kupiłaś to coś? – szepcze mi do ucha.

– Jest przepiękny.

– Ach, Alice, masz problem z zakupoholizmem. Wiesz, to naprawdę jest choroba, powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie. Pisze o tym Kinsella w takiej książce...

– Nie mam żadnego problemu. W porządku, nie jestem oszczędna, ale mam wszystko pod kontrolą. To prezent dla Cordelii.

– No nieźle! Mnie na święta kupiłaś majtki Tezenis.

– Ale wobec niej mam dług, nie płacę jej za czynsz. Nie sądzę, żebym miała na długo zatrzymać się w jej domu, ale nie chcę się czuć jak naciągaczka.

– To ona powinna ci płacić, skoro jesteś jej opiekunką.

Vittoria Galli, nie wydając się zniecierpliwiona, uśmiecha się do mnie z goryczą.

– Zejdźmy, żeby dokończyć transakcję.

Idę za nią: kiedy schodzi po schodach, jeszcze lepiej widzę kościste pośladki

i wyrzeźbione łydki. Ma ciało dwudziestolatki, chociaż musi mieć ponad czterdzieści lat.

Sardynka, która wydaje się wyraźnie zdziwiona, że coś zakupiłam, odsuwa się na bok. Vittoria przygotowuje gwarancję i przyjmuje moją kartę kredytową. To kobieta wypełniona samotnością, każda cząstka jej istoty przypomina piasek na opustoszałej plaży.

Ustalamy szczegóły dostawy. Proszę o dołączenie do obrazu bilecika, żeby Cordelia otrzymała moją wiadomość, gdyby mnie nie było akurat w domu.

Dobrze. Będę jadła suchy chleb do następnej wypłaty, ale jestem szczęśliwa. Obraz, który dla Vittorii był pełen duchów, mnie zachwyca i wydaje się wspaniałym prezentem dla Cordelii. Niczego się o Vittorii nie dowiedziałam, ale zauważyłam jedno: w jej spojrzeniu widać czarną przepaść.

* * *

Wracam do domu chwilę przed ósmą. Cordelia jeszcze nie wróciła, u Vuittona kończy zazwyczaj o 19:30 – jeśli nie ma dodatkowych obowiązków – i pojawia się w domu trzy kwadransy później. Zdjęłam buta, ale wciąż mam na nodze drugi, kiedy dzwonek do drzwi zmusza mnie do szalonych podskoków, które niosą za sobą poważne ryzyko upadku. Mam nadzieję, że to tylko Cordelia, która jak zwykle zapomniała kluczy. A w każdym razie, że nie jest to nikt nieznamy.

Otwieram drzwi i potykam się o próg, ale kurier z Ergi nie wydaje się szczególnie poruszony tym, że przez dobrych kilka sekund zwisam mu z szyi jak koala, żeby tylko nie przewrócić się na ziemię. Trudno mi powstrzymać Ichiego, który wita go bardzo nachalnie. Podpisuję kwitek, a duży, opakowany w papier obraz stoi oparty o ścianę w wąskim korytarzu.

Przenoszę go do pokoju Cordelii, gdzie powinna go znaleźć. To bardzo jasne pomieszczenie, w ciągu dnia słońce odbija się od ścian i pada na jej łóżko. Białe, lniane zasłony z haftem wykonanym ręcznie przez jej praciotkę mniszkę są zasunięte i przykrywają lakierowane żaluzje. Jej laptop koloru fuksji leży na niezasłanym łóżku, pościel wciąż pachnie poprzednią nocą. Biało-czarna fotografia, zrobiona jej na scenie podczas przedstawienia, wisi u wezłowania. Stawiam obraz obok drzwi, na których wisi tabliczka, którą kupiła sobie w sklepie z pamiątkami niedaleko Panteonu, a na której widnieje napis: „Tutaj śpi księżniczka”.

Zabieram się do pracy w kuchni. Alessandra udziela mi prywatnych lekcji gotowania, ale ze względu na ciężą ilość składników jest mocno ograniczona. Mistrzostwo będę mogła osiągnąć dopiero, kiedy urodzi się moja siostrzenica.

Tak, to dziewczynka.

Dźwięk kluczy w zamku uprzedza mnie o nadejściu Cordelii. Wydaje się nieco rozgoryczona.

– Wszystko w porządku? – pytam i czuję się trochę jak moja matka, kiedy zwracam

się do niej z blenderem – mieczem gospodarstwa domowego – w dłoni.

– Nie, a właściwie tak. Lars wysłał mi dzisiaj po południu milion wiadomości. Prawda jest taka, że wciąż go kocham. Szaleńczo. Mimo wszystko – mówi, muskając nadgarstki, przykryte długimi rękawami swetra. – Boję się, że mu wybaczę. Jestem mniej nieszczęśliwa przy nim niż bez niego.

– Mniej nieszczęśliwa? A może jednak spróbowałaś być szczęśliwa niezależnie od niego? – mówię, jednak pytanie brzmi idiotycznie nawet w moich uszach.

– Szczęśliwa? – pyta ona niemal oszołomiona. – Czy na tym świecie istnieje szczęście? Nie, nie dla mnie. A przynajmniej nie z płcią przeciwną. Od czasów mojej pierwszej miłości zawsze miałam pecha. Zawsze.

– Cóż, biorąc pod uwagę fakt, że twoją pierwszą miłością był twój brat, to oczywiste, że rezultat nie był pozytywny. – Ona uśmiecha się z czułością. – Riccardo był dla ciebie odpowiedni, ale go odrzuciłaś.

– Och, nie żałuję – odpowiada od razu, bez żalu. Zbiera w kucyk jasne włosy, długie jak u Senegalek. Wchodzi do swojego pokoju, a ja czekam na jej okrzyki pełne entuzjazmu: docierają do moich uszu po kilku sekundach. – Alice, co ty narobiłaś?

– Ja? Nic. Przeczytałaś wiadomość, prawda? To prezent od Ichiego.

Idę za nią i patrzę, jak rozpakowuje idealną paczkę, Ichi jej towarzyszy, ona gładzi go po główce.

– Och, dziękuję, Ichi. Naprawdę nie szkodzi, że pomyliłaś moją kanapę ze swoim posłaniem. Jest naprawdę śliczny! – woła. Biegnie do salonu i zaczyna zastanawiać się, gdzie powiesić obraz. – Czyj jest? – pyta po chwili.

– Twój!

– Alice, tyle to zrozumiałam. Pytałam, kto go namalował.

Rumienię się na myśl, że tylko ja jedna mogłam zapłacić tysiąc euro za obraz, którego autora nie znałam.

– Nie pamiętam. Ale nazwisko na pewno jest na gwarancji, zaraz ci ją dam.

– Podpis na dole wygląda jak litera A – mówi ona.

Szperam w torbie: koperta z Ergi, w której znajdowała się gwarancja, jakby wyparowała.

O, cholera. Na pewno zgubiłam ją w metrze. Wyjaśniam, co się stało, ale ona prosi, żebym się nie przejmowała.

Jutro będę musiała zadzwonić do galerii... ale przynajmniej mam doskonały pretekst, żeby znowu spotkać się z Vittorią.

*Zastanów się dobrze, Alicjo,
bo jeśli napijesz się z butelki,
której zawartości nie znasz,
prędzej czy później poniesiesz
konsekwencje.*

„Alicja w Krainie Czarów”

Z mojego pokoju w instytucie próbuję się dodzwonić do Ergi.

Nikt nie odpowiada, a ja sprawdzam godzinę. Może otwierają po dziesiątej. Ach, szczęściarze. Ja siedzę tu od ósmej trzydzieści, i to razem z trupami i z Wally.

Kiedy wreszcie ktoś odbiera, rozpoznaję po burżujskim głosie Sardynkę w sukience-tubie. Wyjaśniam jej, co się wydarzyło, a ona się śmieje piskliwie.

– Jeśli chce pani poznać nazwisko autora, wystarczy sprawdzić z tyłu płótna; znajduje się tam gwarancja autentyczności. Jeśli potrzebuje pani innego certyfikatu, poproszę o niego Vittorię i będzie go pani mogła odebrać w dogodnej chwili.

– Pani Galli jest dzisiaj w galerii?

– Nie – odpowiada sucho, nie mogąc się doczekać, kiedy mnie pożegna.

– A jutro? – nalegam.

– Jutro tak.

– W takim razie do jutra – mówię, po czym odkładam słuchawkę.

Po powrocie do domu oddaję się lenistwu. Kwiecień rozgrzewa Rzym niespodziewanym, godnym Karaibów, słońcem. W taki dzień jak dziś Yuki wycisnęłaby promienie słońca aż do ostatniej kropli, podczas gdy ja czuję się wykończona. Zastłaniam nawet zastony, żeby powstrzymać falangę światła.

– Widziałaś, jak pasuje tutaj twój prezent? – zauważa.

– Ach, prawie bym zapomniała. Zadzwoiłam do galerii i dowiedziałam się, że nazwisko autora jest z tyłu płótna. W każdym razie jutro odbiorę gwarancję.

Cordelia ze zmęczeniem kiwa głową.

– Za dwa dni jadę do Oslo – ogłasza, nie patrząc mi w oczy.

Zmienia program, a nasza cisza wypełniona jest banalnym dialogiem bardziej jeszcze banalnej amerykańskiej komedii, którą widziałam już sześć czy siedem razy.

– Rozumiem – mówię wreszcie ostrożnie, żeby nie podsycać jej rozdrażnienia. – Jesteś pewna, że dokonałaś właściwego wyboru?

– Ja nigdy nie jestem niczego pewna. Nie o to chodzi. W każdym razie nie sądzę, aby to było w porządku. Naprawdę tak nie uważam. Ale tak zdecydowałam.

– Arthur wie?

– Arthur nie jest moim opiekunem. W każdym razie ostatnio już go nie obchodzę. Jest zajęty swoim życiem, które rozpieprzyło się tak samo jak moje.

Nie odpowiadam. Czuję zawsze jakieś niezrozumiałe oskarżenie, kiedy słowa dosięgają tego miasta złożonego ze ślepych zaułków, którym jest mój związek z Arthurem.

– A co z żoną i bliźniakami Larsa? – pytam głosem pełnym szczerego zainteresowania.

– Wciąż istnieją, w wymiarze, który mnie nie interesuje. Na razie jest tak. Być może pewnego dnia wszystko się zmieni – mam taką nadzieję – a być może nie. Godzę się z tym, co niesie życie.

– Zmień program, ten film jest obleśny.

Wyłącza telewizję i wstaje z sofy. Ichi pochyla głowę ze spojrzeniem, które mówi: „Wracaj tutaj!”.

– Spójrzmy na tył obrazu. Jestem ciekawa, kto namalował to dzieło. – Jej propozycja wydaje mi się zachętą do rozładowania napięcia. Puszczam poduszkę, którą trzymałam w ramionach, jakbym chroniła dziecko. Jej włosy, niczym welon panny młodej, towarzyszą szerokim gestom jej ramion, kiedy odsuwa oprawę od gwoźdźnia przyczepionego do ściany.

– Przeczytaj nazwisko – prosi.

Niespodzianka jest podobna tej, która pojawia się, kiedy wygrywasz skromną nagrodę, dzięki korkom albo etykietkom Coca-Coli. Wydaje ci się, że to głupota, ale potem przyjmujesz ją z radością, myśląc, że miło jest raz w życiu nie słyszeć zdania: „Spróbuj jeszcze raz, a będziesz miał więcej szczęścia”.

– Alice, sądząc po twoim wyrazie twarzy, mogę spodziewać się rzeczy niezwykłych. Czy mogę zawiesić obraz na ścianie?

Kiwam głową niezdolna się odezwać.

– No więc? – pyta, biorąc się pod boki odziane w T-shirt XXL z napisem *New York*.

– Autorem obrazu jest Oscar Azais.

– Z całym szacunkiem, Alice, obraz jest przepiękny, ale kim, do cholery, jest autor? Nigdy o nim nie słyszałam. O co chodzi w tej całej tajemnicy?

– To syn Konrada Azaisa.

– Tego pisarza?

– Tak.

– OK. Teraz rozumiem. Masz ochotę na kolację z Noilly Prat?

Cordelia nie jest osobą, z którą warto było się podzielić tym cennym odkryciem.

Zastanawiam się.

Vittoria Galli chce się pozbyć obrazów Oscara Azaisa. Czy ma to jakiś związek ze śmiercią Konrada?

Wymyślam teorie, jedną ciekawszą do drugiej, po czym zapadam w nicość przekonana, że mam ogromny dług wobec snu.

Co za bajzel!
„Alicja w Krainie Czarów”

Wychodzę z instytutu i wsiadam do metra, żeby pojechać do Ergi. Atmosfera, którą oddycha się w galerii, wydaje się obca, ale może tylko przez wibrujący w tle acid jazz.

Sardynka z udawaną uprzejmością pyta mnie, czy znalazłam nazwisko malarza. Podaje mi kopertę z gwarancją podpisaną przez Vittorię, ale to mi nie wystarcza i proszę o spotkanie z dyrektorką.

– Rozumie pani, ona jest bardzo zajęta – wyjaśnia pedantka, albo może wcale nie jest pedantką, tylko próbuje jak najlepiej wykonywać swoją pracę.

– Spodziewam się, ale chciałabym się z nią przywitać – nalegam przez zaciśnięte zęby.

– Musi pani zatem poczekać – odpowiada w nadziei, że się mnie pozbędzie. Niedoczekanie! Jeszcze mnie nie zna!

Korzystam z chwili, by przyjrzeć się wystawie.

Robię trzecie kółko, kiedy Vittoria dołącza do mnie, ściśnięta w kobaltowej sukience. Uśmiecha się z miną, która z pewnością oznacza coś w stylu: „Czego ona może znowu ode mnie chcieć?”.

Podaje mi dłoń; nadgarstek służy za podstawę dla licznych bransoletek z kolorowego drewna.

– Nowa właścicielka obrazu go uwielbia – wyjaśniam.

Policzki Vittorii przyjmują barwę różowawego zachwyty.

– Mówiłam, że ten zakup nie był błędem.

– Przekonała mnie pani tak skutecznie, że nawet nie spytałam, kto jest autorem.

– Przekonywanie to moja praca.

– Nie jest to zbyt znany autor – mówię, a słowa wydają mi się ulotne niczym wiatr.

Oczy Vittorii rozszerzają się.

– Zapewniam panią, że jest to naprawdę znany autor. Zasluguje na więcej, a w pewnych kręgach jego nazwisko jest naprawdę cenione.

– W takim razie dlaczego postanowiła pani pozbyć się jego obrazów? – pytam, przechodząc do sedna. W najgorszym razie mnie wyrzuci.

– Z powodów osobistych niezależnych od wartości artysty. To była chwila szaleństwa. Czasami sprzedawcy sztuki są większymi wariatami niż artyści – mówi z nerwowym chichotem.

– Powiedziała pani, że schowała je, aby się od nich uwolnić... To wskazywałoby na coś więcej niż chwila szaleństwa... – pozwalałam sobie na ryzykowne pytanie.

– Jest pani strasznie ciekawska – odpowiada Vittoria tonem, który wskazuje mi moje miejsce, ja jednak się nie poddam i nalegam.

– To jasne, że Oscar Azais może wzbudzać rozdrażnienie.

Jej wzrok staje się podejrzliwy.

Przez chwilę panuje pełna napięcia cisza, potem nagle ona wytrzeszcza oczy, jej twarz wykrzywia złość i wymierza we mnie palec ze świeżo umalowanym paznokciem:

– Jesteś jedną z jego kurewek, co? Przyszłaś obwąchać teren? Myślisz, że jestem idiotką? On cię tu przysłał?

Czuję się pokonana przez eksplozję adrenaliny. Pośród wszystkich moich szaleństw brakuje jeszcze tego, bym udawała, że jestem kimś innym. Pomysł wydaje mi się interesujący.

– Nie, nikt mnie nie przysłał. Jestem tutaj z własnej woli.

– Chcesz zobaczyć wrak dawnej kochanki? Dałaś mi nawet tysiąc euro jałmużny za obraz, który mogłaś mieć za darmo. Tak, pewne szaleństwa popełnia się tylko dla niego.

– Cóż, ja...

– Powiem ci tylko jedno: uważaj. Za jakiś czas ty możesz się znaleźć na moim miejscu.

– Ale ja...

– Wynoś się!

* * *

Obawiam się, że nigdy więcej nie przekroczę progu Ergi. Próbuję odkupić swoje zawstydzenie telefonem do Calligarisa.

– Tak, Alice?

– Vittoria Galli była w związku z Oscarem Azaisem. Dość gwałtownym związku, jak sądzę. Wiedział pan o tym?

– Przyjedź do mojego gabinetu – słyszę odpowiedź.

Czterdzieści minut później siedzę naprzeciwko jego biurka.

– Nasze spotkania stają się coraz częstsze. Kto mógłby to przewidzieć wtedy, kiedy uważałem cię za mitomankę!

– Dałam panu powody, żeby mi pan uwierzył.

– Jakim cudem dowiedziałas się o romansie Galli i Azaisa?

– Kosztowała mnie tysiąc euro – odpowiadam z uśmiechem.

– Masz sporo pieniędzy do wyrzucenia! – woła inspektor.

– To był interes. Kupiłam obraz Oscara Azaisa, nawet o tym nie wiedząc. Nie powiem panu, w jaki sposób, ale wynikła z tego wielka kłótnia z Galli, która wzięła mnie za najnowszą kochankę lowelasa.

– W rozmowie ze mną zaprzeczała. Kiedy zwróciłem jej uwagę na dowód w postaci rozmów telefonicznych, twierdziła, że utrzymują czysto zawodową relację.

– Nie wydaje mi się zbyt zrównoważona. Powiedziałabym, że jest trochę stuknięta.

– Dziękuję za ten precyzyjny termin techniczny, Alice.

– Czy to Vittoria potrafiła Amélie Volange? – pytam.

– Ma niepodważalne alibi. Zatem to nie ona, przynajmniej nie osobiście.

– A co mówi o swoim samochodzie?

– Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Zgłosiła kradzież auta dzień po śmierci Amélie Volange. Twierdzi, że jeździła nim do poprzedniego wieczora, a potem nie znalazła wozu tam, gdzie zaparkowała.

– A wy go odnaleźliście?

– Niestety nie. Bardzo by się nam przydał.

– Jakie przedstawiła alibi?

– Tego wieczora w jej galerii miał miejsce wernisaż, była tam aż do drugiej w nocy. O tej porze Amélie trafiła już na ostry dyżur i miała zostać przeniesiona na neurochirurgię. Poza tym sąsiadka mówiła jasno: na pewno widziała mężczyznę.

– Myśli pan, że to jeden z Azaisów, prawda?

– Bez wątpienia się wokół nich zacieśnia.

– Z powodu testamentu?

– Oczywiście. Zrozumienie mechanizmu zajęło mi trochę czasu, ale zaraz ci wyjaśnię. Umierając, Amélie przekazała matce prawo do przyjęcia spadku, a ona po prostu odmówiła. Azaisowie mogli jednak wiedzieć, że pani Rouvroy nie weźmie pieniędzy. A więc po śmierci Amélie cała fortuna znów wróciła w ich ręce.

– Ale skąd mieli o tym wiedzieć?

– To tylko takie wrażenie. Ale mogę ci powiedzieć, że Leone Azais się zdradził.

– W jaki sposób?

– Wezwałem go pod byle pretekstem. Zapytałem o sprawę dziedziczenia i to on powiedział mi, że Rouvroy zrezygnowała ze spadku Azaisa. Ale nie wydawał się tym zaskoczony, przeciwnie – zachowywał się jak ktoś, kto wie, że wszystko potoczyło się we właściwy sposób. Trochę poniuchałem i odkryłem, że miałem rację. Przyjął za pewnik, że Catherine nie weźmie pieniędzy jego ojca.

Calligaris kartkuje swój notatnik moleskine i odczytuje z notatek słowa Leone Azaisa:

– Catherine Rouvroy nigdy nie przyjęłaby pieniędzy: jest bardzo dumną kobietą. Jej stosunki z moim ojcem szalenie się pogorszyły, poczułaby się zbrukana jego spadkiem.

Inspektor zamyka notes i wzdycha.

– Ale dowody... ach, dowody... Gdzie one są?

Nie mam na to odpowiedzi, on na razie też nie.

Prawne konkluzje Calligaris towarzyszą mi przez całą drogę do domu. Trwają

w moim umyśle, kiedy biorę prysznic, kiedy gotuję risotto – robi się ze mnie całkiem niezła kucharka – kiedy jem sama kolację, bo Cordelia wyszła.

Wreszcie, dzwonię do Claudia.

– O tej godzinie? – odpowiada. Wokół niego, co rzadkie, panuje cisza.

– Muszę cię o coś spytać.

Zdradzam mu mój pomysł i wyjaśniam, na czym polega propozycja.

– Nawet nie ma mowy – brzmi jego pierwsza odpowiedź.

– Proszę... nic nie ryzykujemy. Nikt się nie dowie.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, czym jest etyka – komentuje, rechocząc. Wydaje się naprawdę rozbawiony moją irracjonalnością.

– Mogę to zrobić sama – dodaję, żeby zrozumiał, że jego rola wcale nie jest taka fundamentalna.

– Doprawdy? Droga wolna.

– Nie prowokuj mnie, Claudio Conforti.

– Jestem naprawdę ciekawy, czy byłabyś do tego zdolna. A przede wszystkim, czy znajdziesz dowody. Czy je zrozumiesz i umiejętnie zinterpretujesz. Ach, jakie to będzie zabawne.

*Jeśli nie zaryzykujesz, nigdy
szczęścia nie poczujesz.*
„Miecz w kamieniu”

Czekam do trzeciej, aż instytut opustoszeje. Claudia dzisiaj rano nie było, pojechał do sądu gdzieś na prowincji i nie daje znaku życia. Sama sobie poradzę.

Szukam w lodówce potrzebnych próbek. Nie jest to łatwe: palce ziębną tak bardzo, że obawiam się odmrożenia. Nie wiem, w której części wielkiej lodówki szukać, zamykam ją więc, ogrzewam sobie palce i rozpoczynam poszukiwania od nowa. Cała operacja zajmuje mi przynajmniej pół godziny, ale i tak ponoszę klęskę.

– Dzień dobry, Allevi. Tego szukasz?

Claudio zagląda do laboratorium w momencie, kiedy zrezygnowana zbieram rzeczy, żeby iść do domu.

W małej próbowce trzyma DNA pobrane od zapłodnionej Amélie Volange.

– Próbowka była u Beatrice. Pozdrawia cię, tak w ogóle.

– Dziękuję.

– Widzisz, koniec końców zawsze robię to, czego ode mnie chcesz.

– Mam taką moc. Skromną, ale zawsze. Powinam ją częściej wykorzystywać.

– Też tak sędzę – zdejmuje kurtkę i wkłada kitel, który trzyma w laboratorium. – Do dzieła.

– Potrzebujemy próbki Azaisa.

– Tego też nie znalazłaś? Ach, ach!

Kiedy on otwiera lodówkę i natychmiast wyjmuję to, czego ja nigdy bym nie znalazła, włączam na komputerze playlistę Sade, która zdaje się mu podobać.

Miło jest pracować z Claudiem. Jest niestrudzony, precyzyjny. I jest świetnym dydaktykiem.

Zauważa, że się poprawiłam, a ja cieszę się z jego pochwały.

Jestem zadowolona, że towarzyszy mi w tym szaleństwie: sprawdzamy, czy dziecko Amélie Volange było siostrzeńcem Azaisa, a więc dzieckiem Leone albo Oscara. Albo – choć to całkiem fantastyczna hipoteza – Enrica.

Robi się późno, przerywamy więc badania, a on odwozi mnie do domu. Dziękuję mu za pomoc, a on odpowiada tylko:

– Do jutra.

* * *

Następne popołudnie jest jeszcze ciekawsze. Nieprzerwana praca, muzyka, przerwa na podzielenie się paczką Oreo. Około szóstej kończymy.

Mamy wyniki.

Są tak nieoczekiwane, że nie dowierzam, czy właściwie zinterpretowałam materiał. Potrzebuję potwierdzenia.

– DNA płodu pochodziło od osób, które łączą więzy krwi – brzmi werdykt Claudia.

– Mówiłam! – wołam.

– Allevi, weź z lodówki jakąkolwiek próbkę z materiałem Amélie Volange.

– Ehm...

– Rozumiem. Ja to zrobię. Ty, dla odmiany, przydad się do czegoś.

– To znaczy?

– Idź do łazienki. Od pół godziny się powstrzymujesz, a ja dostaję choroby morskiej, widząc, jak przestępujesz z nogi na nogę w tych szpilekach, niczym Titanic przed zatonięciem.

* * *

To niesamowite, ale DNA nie kłamie.

Amélie Volange była córką Konrada Azaisa.

Leone Azais miał więc rację i zaczynam się zastanawiać, czy żartował.

A zatem dziecko Amélie było owocem kazirodztwa.

Najbardziej intryguje mnie przebieg wypadków. Od jak dawna trwał jej związek z jednym z braci? Zaczął się przed czy po liście z akrostychem?

I który z synów Azaisa był ojcem?

Leone... On zastanawiał się, czy tajemniczą dziedziczką nie jest jego siostra. Nie można też zapomnieć, że samochód, który zabił Amélie należał do jego byłej dziewczyny Vittorii, chociaż ich historia sięga dwudziestu lat wstecz. Powiązanie wydaje mi się nieostre, rozmazane, ale nie da mu się zaprzeczyć.

Enrico... nie istnieje jednak żadne powiązanie między nim a Amélie, przynajmniej jak dotąd żadnego nie zauważyłam.

Natomiast Oscar. Oscar. Nie wiem, czy był jakoś związany z Amélie, ale za to miał romans z Vittorią, której samochód zabił Volange.

Rezultatami powinniśmy się podzielić z Calligarisem, ale jak miałabym to zrobić? Nasze badania są właściwie nielegalne.

On wiesza swój kitel i ziewa. Małe zmarszczki wokół jego oczu wydają się bardziej wyraźne.

– Co teraz zrobimy, kiedy znaleźliśmy się w posiadaniu takiej informacji? – pytam. Wzrusza ramionami.

– Ach, nie mam zielonego pojęcia. Chyba nic. Przecież nie mieliśmy pozwolenia na badania. Zgodziłem się tylko z ciekawości.

Może i tak, chociaż mnie podoba się myśl, że chciał mi pomóc. Zrobić mi przyjemność. Poza tym w równoległym wymiarze, który tworzę sobie w głowie, wszystko jest możliwe.

Nawet to, że Claudio jest przyzwoitym człowiekiem.

* * *

List, który napisałam do Catherine Rouvroy, ląduje w śmieciach. Chciałam, żeby Beatrice przetłumaczyła mi go na francuski, ale zmieniłam zdanie. Nie mam odwagi zapytać kobiety w jej wieku, czy Amélie wiedziała, kto jest jej prawdziwym ojcem. Nie mogę.

Mogę natomiast spróbować podpytać Selinę.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy po raz kolejny przyjeżdżam do Tarquini i dzwonię do drzwi domu, tak strasznie doświadczonego przez zły los.

Selina otwiera drzwi i wygląda jak duch. Pachnie zamkniętymi szafami.

– Clary nie ma – oznajmia bezbarwnym głosem. Przyzwyczała się, że przychodzę rozmawiać z jej córką. – Pomyślałam, że wyślę ją na rok za granicę. Może do Wielkiej Brytanii. To będzie dla niej ważne doświadczenie, a poza tym powinna się odseparować od tego wszystkiego.

– Świetny pomysł. Clara się zgadza?

– Tak. Chodzi na lekcje angielskiego, dlatego teraz jej nie ma.

– A pani jak się czuje, Selino?

– Nigdy nie czułam się gorzej.

Dom jest ciemny. Nie pachnie świeżym ciastem. Koty się pochowały.

– Chciałabym zadać pani kilka pytań.

– Pani doktor, jakby to powiedzieć... proszę. Tak, proszę. Naprawdę, nie jestem w stanie odpowiedzieć nawet na najprostsze pytania. Poza tym, co jeszcze jest niejasne? Edoardo do wszystkiego się przyznał. Może nawet do tego, co spokojnie mógł zachować dla siebie – mówi, owinięta szalem niepokoju na zgiętych ramionach.

– Spokojnie, nie chodzi o pani męża.

Wzrok Seliny ożywia się nieco, a przynajmniej wydaje się zaciekawiona.

– A kogo?

– Pani ojca.

– Ach.

– Proszę posłuchać. Kiedyś powiedziała mi pani, że zdaniem Leone Amélie Volange była córką waszego ojca Konrada.

– Żartował. Mój brat mówił to ot tak, bo nie rozumiał, czemu zapisał jej cały majątek. To było najbardziej banalne rozwiązanie zagadki; Leone oczywiście nie mógł wiedzieć, że chciał odkupić winę kradzieży rękopisu. Boże, co za wstyd. Co za rozczarowanie. Mój świat zawalił się w przeciągu kilku miesięcy, jestem zdruzgotana.

– Selino... – mamrocze zakłopotana, dotknięta jej bólem.

– Wygląda na to, że ten pomysł nie jest wcale tak absurdalny. Istnieją pewne dane, które potwierdzają tę hipotezę – wyjaśniam, starając się mówić tak ogólnie, jak to tylko możliwe.

Patrzy na mnie oszołomiona:

– Jeszcze to... – wzdycha.

– Selino, proszę się zastanowić. To ważne. Czy któryś z pani braci utrzymywał kontakty z Amélie?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, czy Leone próbował się z nią skontaktować po otwarciu testamentu. To możliwe. Nawet prawdopodobne. Spytajcie jego, ja nic nie wiem.

– A Oscar?

– W sprawę o ubezwłasnowolnienie został wciągnięty przez Leone. Tak naprawdę zgadzał się raczej ze mną niż z moimi braćmi, chociaż wcale mu się to nie opłacało.

– Co ma pani na myśli?

– To, że jest w najgorszej sytuacji finansowej, więc spadek ojca bardzo by mu się przydał.

– Dlaczego w najgorszej?

– Oscar jest hazardzistą. Mój ojciec przekazywał mu pieniądze, ale teraz już nic nie ma, wszystko przegrał. Nie ma prawdziwej pracy: maluje, ale bez powodzenia. Szkoda, bo naprawdę ma duży talent.

– Sądzi pani, że to możliwe, by nawiązał kontakt z Amélie?

– Z Oscarem nigdy nic nie wiadomo, ale trudno mi wyobrazić sobie powód.

– A Leone, czy miałby jakiś motyw?

– Leone jest inny. On chwyta życie za rogi. Nie czeka, jest niecierpliwy. Jeśli chciał dowiedzieć się czegoś o relacji między moim ojcem a panią Volange, z pewnością się za to zabrał. Oscar natomiast jest obojętny. Nie ze słabości: po prostu cudze sprawy go nie interesują. Interesuje go tylko to, by mieć za co grać i cieszyć się życiem. To jego podstawowy impuls. Nic więcej.

– Dziękuję pani, Selino – mówię na pożegnanie. Towarzyszy mi do drzwi, wzdychając przy każdym kroku. Omal nie potyka się o dywan, a ja myślę sobie, że nie zasłużyła na taki los. Przekroczyłam już próg i ona ma zamknąć drzwi, kiedy unosi dłoń do czoła.

– Tak się zastanawiam... Jeśli mój ojciec naprawdę dowiedział się czegoś takiego, nie sądzi pani, że powiedziała by to jasno? Wyznał, że ukradł powieść, która uczyniła go słynnym pisarzem, a miałby nie przyznać się do pozamałżeńskiego dziecka? Według mnie to możliwe.

Jej obserwacja jest słuszna. Mnie też się wydaje, że Konrad nie wiedział, iż jest ojcem Amélie, a Catherine nie zdradziła swojej tajemnicy nawet córce. Równie dobrze jednak Konrad mógłby zachować to dla siebie. Ukradł Volange'owi sukces. Teraz

miałby przyznać, że ukradł mu także żonę i córkę? Przypominam sobie słowa Konrada w liście zaadresowanym do Amélie: odwoził ją od spotkań ze swoimi dziećmi. Może był świadomy jej związku z jednym z braci?

– I jeszcze jedno, może się pani przyda... Opowiedziała mi pani o tej sztuczce, którą tata zastosował w liście. Tym, w którym zdradzał nazwisko Amélie Volange. Pamiętam pani?

– Oczywiście – odpowiadam zaciekawiona.

– Cóż... z nas wszystkich tylko Oscar potrafiłby ją odczytać. On pomyślałby, że trzeba szukać między wierszami i miał po temu odpowiednie narzędzia: jest doskonałym enigmatykiem, może nawet lepszym niż ojciec.

Dziękuję jej przekonana, że ma rację. Oscar Azais mógł odczytać akrostych i zrozumieć, że to Volange jest słynną dziedziczką. I w jakiś sposób, którego jeszcze nie znamy, zwrócił się do niej bezpośrednio.

Ale w jakim celu?

W pociągu kończę książkę Marceli Serrano i przestaję rozmyślać o intrygach rodziny Azaisów. Tak naprawdę mam ich już dosyć. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, jest to, że muszę jak najszybciej porozmawiać z Calligarisem.

A rush of blood to the head.

Kiedy Cordelia wraca ze swojej krótkiej podróży do Oslo, jestem już po rozmowie z inspektorem, któremu opowiedziałam o tym, co przeskrobałam.

Jest poruszony, ale niespecjalnie zaskoczony. Oczywiście nie wspominam o Claudiu.

– Nie przejmuj się dochodzeniem, Alice. Oba podmioty to nieboszczycy, a gdyby okazało się, że rezultaty muszą zostać uznane za oficjalne, poproszę sędziego o autoryzację. Doskonale wiemy, że robiłaś już gorsze rzeczy! Komisja etyki lekarskiej mogłaby dać ci lekcję! – Uśmiecham się, przypominając sobie naprawdę kłopotliwą sytuację, która miała miejsce rok temu. – Okej. Podsumujmy sytuację, dobrze?

– Chętnie – odpowiadam.

– W ostatnich tygodniach przesłuchiwałem trzech Azaisów, i to dość ostro. Nie pozostawiłem drogi ucieczki żadnemu z nich. Enrico wydaje się nie mieć nic wspólnego z Amélie Volange. Jeśli zaś chodzi o Leone i Oscara, historia staje się bardziej skomplikowana. Żaden z nich nie ma wiarygodnego alibi na noc śmierci

Amélie. Leone powiedział, że był w domu z żoną, ale ja odniosłem wrażenie, że żona jest gotowa go kryć, więc nie przesądzałbym o jego niewinności. Oscar powiedział, że cały wieczór malował w swoim atelier. Przyznał się do relacji z Vittorią Galli, ale zeznał też, że nie znał Amélie Volange. Leone wyznał natomiast, że znał ją, ale bardzo powierzchownie. A jednak jeden z nich ją zapłodnił.

Co za paskudny termin. Tylko Calligaris mógł go użyć.

– Poza tym jest jeszcze coś dziwnego. W rejestrach połączeń w telefonie Amélie pojawia się włoski numer. Odkryłem tożsamość właściciela i, uwaga, uwaga... jest to Vittoria Galli.

– Jak Galli to uzasadnia?

– Wydała się zaskoczona. Mówi, że nie miała pojęcia o istnieniu takiego numeru zarejestrowanego na jej nazwisko.

– Rozumiem. A Leone powiedział, jak poznał Amélie?

– Tak. Twierdzi, że kiedy był jeszcze chłopakiem, towarzyszył ojcu w podróży do Paryża, gdzie poznał Amélie i jej matkę.

– Zaraz, zaraz! To bardzo ważne!

– Cóż... nie wiem, czy aż tak ważne. Ale niespodziewane. Nie patrz tak na mnie!

– Jak?

– Wyglądasz jak dziewczynka, której odmówiono nowej Barbie. Zachowujesz się,

jakbym ci zrobił krzywdę. Chcesz poznać szczegóły młodości Leone Azaisa?

Jeszcze pyta! Kiwam głową z wzrokiem przyklejonym do dłoni Calligarisa, splecionych na biurku. Jego Swatch nadaje się już do antykwariatu, a blada skóra pokryta jest gładkimi, ciemnymi włoskami.

– Miał jakieś szesnaście lat, kiedy ojciec zabrał go do Paryża, gdzie miał promować książkę. Azais wybrał Leone, ponieważ był najstarszy. Powiedział mu, że prędzej czy później zabierze w podróż także braci. Dotarli do księgarni, w której było mnóstwo ludzi. Między innymi pewna pani o imieniu Catherine ze swoją córką Amélie. Kobieta podeszła do Konrada i przytuliła go. Dziewczynka przyglądała się tej scenie z zaciekawieniem. Poszli razem na kolację do restauracji... Pomyśl tylko, że pamiętał nawet – do której! Do *Chez l’Ami Louis*. Zjedli pieczonego kurczaka. Konrad Azais próbował rozmawiać z dziewczynką po francusku. Ona nie chciała odpowiadać, była nieśmiała i cicha. Matka ją strofowała, a mała coraz bardziej zamykała się w sobie. Leone nie pamięta nic więcej.

– Cóż, to już sporo.

– Też tak sądzę.

– Wie pan, że też byłam w tej restauracji? Co za zbieg okoliczności. – Zabrał mnie do niej Arthur. Podają tam legendarnego kurczaka, ale on go nie jadł, bo jest wegetarianinem i patrzył na mnie z cierpiętniczą miną.

Ten kurczak był szczęśliwy, zanim ktoś go zabił, żeby trafił na twój talerz.

Nie sądzę, aby był szczęśliwy. Najwyżej nieświadomy. Jego śmierć nadała sens jego życiu: bycie ugotowanym w ten sposób to sztuka w czystej postaci.

Arthur, do cholery, wynoś się z moich wspomnień!

– I potem już jej nie spotkał?

– Chyba nie – odpowiada, nie wykluczając takiej możliwości.

– Czy to nie dziwne? Catherine Rouvroy zawsze uważała Azaisa za człowieka, który zniszczył Oliviera Volange’a... Nigdy dobrego słowa na niego nie powiedziała. Spotkanie w Paryżu, tyle czułości... i to wtedy, kiedy Volange jeszcze żył!

– Ach, nic się nie da z tego zrozumieć! Nie sądzę jednak, by wszystko to było ważne. Co kogo obchodzi Catherine Rouvroy i jej spotkania z Azaisem? To zupełnie inna historia.

Chciałabym powiedzieć, że nie istnieje żadna inna historia. Że wszystko jest powiązane i nie ma sposobu, by wykluczyć zbieg okoliczności.

– W takim razie co pan sądzi?

– Że równie dobrze może chodzić o każdego z nich. Zarówno o Leone, jak i o Oscara.

– Cóż, ja stawiam na Oscara. On miał więcej możliwości, by poznać zwyczaje Vittorii i ukraść jej samochód.

– Słuszna uwaga. Poproszę magistrat o zgodę na przeprowadzenie badania

genetycznego Oscara Azaisa, wtedy zyskamy pewność.

– Czy to możliwe, żeby nie dało się znaleźć żadnych dowodów na jego znajomość z Amélie? Telefoniczny, osobisty?

– Telefoniczny nie. Na sprawdzenie mejli potrzeba znacznie więcej czasu, ale może z tego coś wyniknie.

– Po co w 2011 roku czemuś zaprzeczać, skoro wiadomo, że prawda i tak wyjdzie na jaw?

– A kto to wie? Ludzie zaprzeczają instynktownie, bez zastanowienia.

* * *

Nakaz pobrania DNA Oscara Azaisa i sprawdzenia zgodności z płodem przychodzi szybko. Claudio przyjmuje go z pogodnym zrozumieniem.

– Nie muszę cię chyba pytać, czy chcesz asystować – mówi tak cicho, że niemal szepcze. – Wezwę Oscara Azaisa na jutro.

– Doskonale.

– Nasza współpraca okazuje się owocna. Dzięki tobie wykonuję pracę wcześniej. Profil płodu jest już gotowy.

– Kto mógłby przewidzieć, że będziesz podchodził do naszej wspólnej pracy z takim entuzjazmem?

Przez chwilę mam wrażenie, że będzie chciał odpowiedzieć, ale milczy. Nasze rozmowy zawsze urywają się w pół słowa. Już do tego przywykłam.

* * *

Oscar Azais wydaje się nieufny, kiedy przychodzi do instytutu. Rozpoznaję go od razu, nie zmienił się od dnia zabójstwa

Konrada, kiedy widziałam go po raz pierwszy. Uprzejmie ściska moją dłoń i pyta o łazienkę. Wyczuwam w nim napięcie, którego zresztą można się było spodziewać. Zostaję sama z Calligarisem, a on z trudem powstrzymuje chęć zapalenia. Wskazuję mu balkon, gdzie częstują go meritem.

– Wiesz, że się przyznał? I tak musimy zrobić badanie, ale w obliczu dowodów nie mógł zaprzeczyć. On i Amélie spotykali się od kilku miesięcy; oczywiście nie miał pojęcia, że zaszła w ciążę. A ten numer telefonu, pamiętasz... numer Vittorii Galli? Powiedział, że używał karty, o której Galli dawno zapomniała, dostała ją w prezencie przy zakupie komórki.

– Powiedział mu pan, że Amélie była jego siostrą?

– Na razie nie. Poza tym czy to naprawdę takie ważne?

– Cóż, nie sądzę. Mówił, w jaki sposób się poznali?

– To on nawiązał z nią kontakt, kiedy zrozumiał akrostych ojca. Powiedział, że był ciekawy, kim jest dziedziczka fortuny jego rodziny.

– Jedno mnie zastanawia. Skoro Konrad chciał chronić Amélie, dlaczego ukrył tę zagadkę w liście?

– Też o to spytałem. Myślałem, że Oscar jest jedyną osobą, która może udzielić sensownej odpowiedzi, ale jego wersja jest bardzo romantyczna.

– To znaczy?

– Zdaniem Oscara imię Amélie było wiadomością do niego. Konrad wiedział, że spośród wszystkich synów tylko on zdoła znaleźć tę głupią sztuczkę między wersami. Tak w zawołany sposób wyraził swoją wolę – chciał, żeby Oscar się z nią spotkał i rzeczywiście, kiedy syn wywiązał się z zadania, ojciec nie krył radości. Uznał, że jest jedynym, któremu wolno utrzymywać kontakt z dziedziczką i prosił, by nie robił nic, co mogłoby jej zaszkodzić, a nawet żeby chronił ją przed Leone. Byłoby znacznie wygodniej porozmawiać z nim wprost!

– Azais podobno używał podobnych łamigłówek przez całe życie. Zawsze wyrażał się za pomocą zagadek, wszyscy mieli go dosyć. Przynajmniej tak słyszałam. Poza tym proszę nie zapominać, że list miał być dołączony do testamentu i że to Leone znalazł go, zabrał i wykorzystał. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że Konrad wcale nie chciał, żeby dowiedział się o wszystkim wcześniej. Historyjka, którą opowiedział panu Oscar, cuchnie na odległość!

Calligaris wygląda na zagubionego.

– W każdym razie, kiedy rozpoznał imię Amélie, Oscar zaczął szukać informacji. Udało mu się zdobyć adres i napisał do niej list.

– A potem?

– Na początku była bardzo nieufna. Traktowała go niegrzecznie. Nie wiedziała, że jej nazwisko pada w testamencie i dopiero Oscar jej to uświadomił.

– Nieostrożna decyzja.

– Cóż, Azaisowie nie są szczególnie rozsądni.

– Jak zareagowała Amélie na próbę Oscara i jego braci ubezwłasnowolnienia ojca i pozbawienia ją w ten sposób spadku?

– Niezbyt dobrze. Ale on przysiągł, że znalazł się w samym środku tego zamieszania przypadkiem, że bezrefleksyjnie podązał za braćmi. W końcu przykro mu było, że straci pieniądze, na które liczył.

– Amélie mi uwierzyła, chociaż nie od razu – dodaje głos Oscara, który bezszelestnie pojawił się na balkonie. – Czy mógłbym poczęstować się papierosem? – pyta uprzejmie. Calligaris nie wydaje się zawstydzony, że został przyłapany na gorącym uczynku. Podaje Azaisowi paczkę papierosów, a on wyciąga z niej jednego i zapala go kosztowną zapalniczką. Oscar Azais jest niczym księżę ze Wschodu, zubożały, ale wciąż arogancki. – Chciała wejść w posiadanie tego, co jej się należało: to ona opowiedziała mi o plagiacie mojego ojca. Na początku nie wierzyłem, ale potem pomyślałem sobie, że nie ma innego wyjaśnienia dla testamentu mojego ojca. Relacja między nami narodziła się właśnie w ten sposób, między kłótniami a pożądaniem. Amélie miała paskudny charakter i była pełna goryczy, a jednak wzbudzała we mnie

czułość, chciałem ją chronić – niestety nie zdołałem jej uratować.

Wyjaśnienie Calligarisa mnie nie satysfakcjonuje. Chcę na własne uszy usłyszeć od Oscara wersję wypadków, chociaż obawiam się, że inspektor potem wychłoszcze mnie do krwi.

– Panie Azais. dlaczego pański ojciec umieścił w liście zagadkę? Twierdził, że chce chronić Amélie, a jednocześnie pozwolił odkryć jej nazwisko. Jak pan sądzi – dlaczego?

Oscar wzdycha tak ciężko, że pierś wydyma mu się jak u indyka.

– Zapomina pani, że mój ojciec był wariatem... kompletnym wariatem! Kto może wiedzieć, co mu siedziało w głowie? Mógł to zrobić dla rozrywki, żeby rzucić nam wyzwanie. Zawsze używał enigmistyki jako sposobu na komunikację ze swoimi dziećmi. Pamiętam, że kiedy byłem mały, co niedzielę czekała nas nagroda. Książka, zabawka, cukierki albo po prostu pieniądze. Przedstawiał nam enigmę – najczęściej rebus, ale czasem anagramy, które też były jego pasją – i ten, kto stanął na wysokości zadania, zdobywał nagrodę.

– Dobrze was wytresował – komentuje Calligaris bezbarwnym głosem.

– Enigmistyka jest jednocześnie zabawą i ćwiczeniem. W każdym razie ja wygrywałem niemal co niedzielę.

– A zatem, pana zdaniem, to była tylko zabawa?

Azais kręci głową. Podmuch powietrza rozwiewa jego ciemne włosy, przetykane gdzieniegdzie srebrnymi nitkami.

– Cóż, nie wiem. Kiedy miałem w dłoniach list, od razu szukałem jakiejś sztuczki. W rzeczywistości nie wysilił się za bardzo: było go stać na więcej, znacznie więcej. Znalazłem imię Amélie przy pierwszej lekturze. Chciałem wierzyć, że ta wiadomość jest tam ukryta dla mnie.

– Dla pana? Dlaczego?

– Ponieważ byłem jedynym synem, któremu ufał. Chciał jednak zostawić losowi otwarte drzwi. Tata wiedział, że Leone sprzedałby Marcellę i dzieci każdemu, kto byłby gotów zapłacić, a co dopiero jakąś nieznaną dziedziczkę. O tym wariacie Enricu nawet nie wspominajmy. Zostawił to nazwisko po to, żebym ja je odnalazł.

– Panie Azais. czy mogę spytać, czy także matka Amélie wiedziała o spadku?

– Czemu mnie pani o to pyta?

– A jak pan sądzi? Panie Azais, myśli pan, że jestem ciekawska? Skoro zadałam to pytanie, to znaczy, że potrzebuję tej informacji.

– Owszem. Wiedziała. Kiedy Amélie jej o tym opowiedziała, matka zareagowała bardzo ostro. Zabroniła jej przyjmować spadek, mówiąc, że to przekłete pieniądze.

Oczy Calligarisa błyszczą jak u dziecka, które znalazło zabawkę w Kinder Niespodziance.

– A więc nie był pan zaskoczony, gdy pani Rouvroy nie przyjęła spadku po

Amélie?

– Nie. Nie po tym, co usłyszałem od Amélie. Jej matka zachowała się uczciwie. Nasze pieniądze wracają do nas.

– No dobrze, panie Azais. Jest późno – mówi pośpiesznie Calligaris.

Kiedy Claudio pobiera próbkę, zwracam się szeptem do inspektora.

– Sądzi pan, że Oscar zabił Amélie?

– Miał doskonały motyw. Wiedział, że Catherine wyśle pieniądze Azaisów do diabła, a więc on, pozbywszy się Amélie, przywłaszczy je sobie. Co prawda samochód, który ją zabił, należał do niedawno porzuconej kochanki, co mogłoby sugerować bardziej aktywną rolę Galli, ale nie ma sensu podążać tą drogą: Vittoria Galli ma alibi.

– Oscar twierdzi, że spotkał się z nią tamtego wieczora?

– Nie, sam nie wiem, co myśleć. Po południu pokażę zdjęcie Oscara Azaisa naocznemu świadkowi, który wskazał samochód Galli. Może go rozpozna.

Kiedy najmłodszy z braci Azais poddaje się badaniu DNA, wydaje się nieobecny.

Rezultat otrzymujemy następnego dnia i nikt z nas nie jest zaskoczony. Takiej kompatybilności jeszcze nie widziałam, geny Azaisa są tam na sto procent. Ale też nie chciałabym natykać się więcej na dzieci zrodzone z kazirodztwa.

*Tajemnica nie jest na zawsze.
Prędzej czy później pojawia
się ktoś, kto jest gotowy ją
zdradzić.*

Konrad Azais, *Chciwość Deszideriusa
Horvatha*

Lara wpada do naszego pokoju jak burza.

– Co się dzieje? – pytam.

Nawet Ambra, jak dotąd ostentacyjnie milcząca, wydaje się zainteresowana. Lara odpowiada głosem kogoś, kto mówi o trzęsieniu ziemi, które wyrządziło nieoszacowane jeszcze szkody. Szczerze mówiąc, wiadomość, którą nam przekazuje, zasługuje na taki, albo może nawet bardziej jeszcze ponury, ton.

– Za cztery miesiące Boss odchodzi na emeryturę.

– Kurwa! – wołam. – Zastąpi go Wally!

Jasna cholera!

Instytut bez Najwyższego. Koniec epoki, bezpośrednie przejście od Króla Słońce do reżimu Robespierre’a, z pominięciem Marii Antoniny. Mój zapał do pracy i tak był dzisiaj równy zeru. Szukałam w wyszukiwarce Google zdjęć atoli na oceanie po napisaniu każdego paragrafu. Nie ma takiego odszkodowania, które zrekompensowałoby przejście władzy przez Wally.

Także Ambra jękiem wyraża swoje niezadowolenie. Ambra, a w zasadzie to, co z niej zostało. Nie mam już odwagi nazywać jej Królową Pszczół, to byłoby jak bezczeszczenie zwłok. Oto do jakiego stanu Claudio potrafi doprowadzić kobietę: *Never forget*. Jak powiedziała Vittoria Galli: „Uważaj. Za jakiś czas ty możesz się znaleźć na moim miejscu”.

Biedna Negri della Valle wpadła w totalną depresję. Czasami widzę, jak płacze w łazience. Chodzi z korektorem w kieszeni, żeby ukrywać cienie, które pojawiają się pod jej oczami codziennie około jedenastej. Inni także zauważyli zmianę, a kiedy pytali ją o samopoczucie, odpowiadała obojętnością. Obawiam się dnia, kiedy Ambra się podniesie. Nie jestem tak wredna, żeby jej tego nie życzyć, ale biada nam, maluczki. Będzie musiała nadrobić miesiące niezadowolenia oraz frustracji i wróci waleczna, wściekła jak dingo, gotowa, by pożreć nasze szkielety.

* * *

Tego samego wieczora, podczas kolacji, pytam Cordelię, czy wie coś o decyzji ojca.

– Och, a ty mu uwierzyłaś? Odkąd pamiętam, gada, że chce przejść na emeryturę za każdym razem, kiedy go widzę. Zawsze kończy się na gadaniu.

– Tym razem wygląda na to, że mówił poważnie.

– Cóż, tym lepiej dla niego, będzie mógł cieszyć się życiem. Mój ojciec jest zmęczony.

– Zostawia nas w bagnie.

– A kto w nim nie jest? – komentuje ona, zanurzając krewetkę w różowym sosie, który przygotowałam. – Alice, robi się z ciebie zajebista kucharka.

– To wszystko zasługa Alessandry.

– Przynajmniej to, że zmieniła się w napuchniętą kulkę miało taką zaletę, że znalazła czas, żeby cię czegoś nauczyć. Szkoda, że mój brat nie będzie mógł się tym cieszyć.

– Kto to wie, Cordelio – odpowiadam tonem, który już po chwili wydaje mi się przesadnie fatalistyczny. Poza tym życie decyduje tylko w pewnej mierze. Reszta należy do nas.

– Ja mam taką nadzieję.

Nigdy bym się do tego nie przyznała, ale moja nadzieja jest naprawdę silna.

* * *

– Powiedział wreszcie prawdę – mówi Calligaris, kiedy kelner z baru, w którym siedzimy, podaje mu cynar. – Na pewno nie chcesz nic więcej? – pyta, patrząc na moją kawę.

Kręcę głową i czekam na ciąg dalszy.

– Sąsiadka go rozpoznała, a on przyznał, że spotkał się z Amélie w noc jej śmierci. Ten człowiek nie jest wiarygodny. Przyznaje się do różnych rzeczy dopiero, kiedy zostaje postawiony pod ścianą. Nie sądzę, by kiedykolwiek miał powiedzieć prawdę, gdyby to rzeczywiście on ją potrafił. Trzeba znaleźć dowody.

– To chroniczny kłamca. Pamięta pan, jak ściemniał, kiedy Clara Norbedo uciekła z domu?

– Ech, tak. To była zresztą brzydka historia. Siostrzenica mówi, że jego szwagier zabił mu ojca, a on udaje, że nic się nie stało. To naprawdę dziwni ludzie.

Ojcowska rada: nie trać na nich czasu ani energii. Nie znają oddania. Koncepcja poświęcenia jest im obca. Są okrutni, podobni do mnie.

Konrad pisał tak jasno, do diaska!

– A co dokładnie panu opowiedział? – nalegam.

– Że pożyczył samochód od Vittorii Galli i spotkał się z Amélie. Powiedział, że kiedy ją zobaczył, była kompletnie pijana, co zgadza się z orzeczeniem Confortiego.

– Wydało mu się to dziwne, czy Amélie często piła?

Calligaris gładzi się po brodzie.

– Nie, przeciwnie. Zdaniem Azaisa była niemal abstynentką. Według niego była nie tylko pijana, ale też zrozpaczona, ponieważ on wciąż spotyka się z Galli. A Oscar, zgodnie z tradycją...

– Zaprzeczył – przerywam. – Z pewnością nie wyjaśnił jej, że wciąż jeździ samochodem Vittorii.

– Nie sędzę.

– À propos samochodu: Galli przyznała, że pożyczyła go Oscarowi?

– Nie. Uparcie twierdzi, że samochód ukradziono jej w czasie wernisażu, kiedy wieczorem zaparkowała przed Ergi. Wracając do kłamstw Oscara Azaisa: Amélie miała dowody.

– Jakie dowody? – pytam z ciekawości.

– Vittoria Galli dzwoniła do niej i straszliwie się pokłóciły.

– Cóż, ale słowa Vittorii same w sobie niczego jeszcze nie dowodzą.

– Wydaje się, że pokazała jej esemesy od Oscara. Klasyczny śliski trójkąt, nic nowego – ucina Calligaris, uznając całą sprawę za niegodną zgłębiania. – Azais twierdzi, że opuścił dom Amélie o jedenastej, kiedy zasnęła.

– A dlaczego z nią nie został? W końcu była w fatalnym stanie. Zakochany facet nie zostawiłby jej samej.

– Tego nie wiem. Azais pojechał do Ergi, gdzie zostawił samochód pożyczony od Vittorii – przegrał także swoje BMW. Potem wszedł do środka, spotkał się z Galli i zaczęli się kłócić w małym pokoju w galerii.

– Dlaczego się pokłócili?

– Azais zarzucił jej, że zaatakowała Amélie i kazał zostawić dziewczynę w spokoju. Mówiąc krótko, zostawił Vittorię dla panny Volange. Twierdzi, że zaraz potem wsiadł do taksówki i wrócił do domu. Teraz czas na skomplikowaną operację myślową: Azais twierdzi, że zna taksówkarza. Wskazał z dość dużą precyzją model samochodu, imię – bez nazwiska – kierowcy, powiedział nawet, jakiej audycji słuchali w radiu. Próbuję więc znaleźć tego taksówkarza. Gdyby potwierdził jego wersję, a godziny w zeznaniach się zgadzały, Oscar byłby całkiem czysty.

– W takim razie kto zabił Amélie?

– Moja droga, to oczywiste! Vittoria Galli. Próbuję rozpracować alibi, które dała jej pracowniczka galerii. Prawda jest taka, że o godzinie, którą podała sąsiadka, wystawa już się skończyła. Zdaniem tej dziewczyny, ona i Vittoria zostały razem do drugiej, a kiedy wyszły z galerii, zauważyły kradzież samochodu.

– Musi być jej wyjątkowo oddana, skoro dla niej kłamie. Poza tym... sąsiadka widziała Azaisa...

– Tak naprawdę – przerywa mi inspektor – kiedy zobaczyła samochód po raz drugi, kiedy odjeżdżał z dużą prędkością, nie rozpoznała kierowcy.

– Zatem finał jest otwarty – komentuję nieco zaskoczona.

– Otwarty – potwierdza Calligaris.

Kończy swój cynar, klepie mnie po ramieniu i przypomina, że musi wrócić do pracy.

– Będziemy w kontakcie – mówię, kiedy wiatr rozwiewa mi grzywkę.

On żegna się gestem dłoni i oddala z rękami w kieszeni, szczupły, skromny, wykonujący swój zawód ze znacznie większą skrupulatnością i sumiennością, niż podejrzewają ludzie.

*Mój mistrz nauczył mnie, jak
trudno znaleźć świt wewnątrz
ciemności.*

Sprawa ma swój dalszy ciąg kilka dni później, kiedy oglądałam film na Sky z Ichim i Cordelią. Ona ma wolny wieczór, a jako że pogoda jest paskudna, postanowiłyśmy zostać w domu.

Dla Calligarisa jednak pogoda nie jest istotnym czynnikiem.

– Panienko, nie mogę rozmawiać przez telefon. Skoro jesteś ciekawa, wsiadaj do metra albo czego tylko chcesz i przyjeźdź do mnie do biura.

Toczy się we mnie walka między lenistwem a ciekawością. Lenistwo ma dwóch potężnych sojuszników, którzy protestują, kiedy podnoszę się z kanapy.

Ten natarczywy impuls, który wiele razy narobił mi problemów, zwycięża także i tym razem.

Wkładałam fuksjowe kalosze, na które Cordelia spogląda z pogardą, ale które dostałam od Yukino i są wspomnieniem o niej. W radiu na stacji metra puszczają *In the Hall of the Mountain King* Griega jako reklama jakiegoś filmu, a melodyjka prześladowuje mnie niczym ścieżka dźwiękowa aż do gabinetu Calligarisa, w którym na szczęście nie ma żadnych gości.

– Wreszcie znalazłem.

– Co?

– Jak to: co? Chyba: kogo? Taksówkarza Oscara Azaisa. „Oczywiście! Artysta! Znam go od dwudziestu lat!”. Zrekonstruowałem przebieg całej jego nocnej zmiany i wersja Oscara Azaisa okazała się wiarygodna: taksówkarz odebrał go spod Ergi około jedenastej czterdzieści pięć. O tej godzinie sąsiadka nie słyszała jeszcze hamowania, a więc Volange nie została jeszcze potrącona. Do wypadku doszło o wpół do pierwszej, kiedy Azais był w taksówce, która odwiozła go do baru, poczekała na niego i zawiozła do domu. Taksówkarz prowadzi rejestr dłużników. stałych klientów, którzy żyją ponad stan: Azais nie miał pieniędzy, żeby zapłacić mu od razu, więc spotkali się następnego dnia. W tym rejestrze napisane są wyraźnie data, godzina i kwota. To bardzo dokładny taksówkarz i jego skrupulatność uratowała Oscara Azaisa przed więzieniem.

– Cholera – przeklinam. – Należy więc przyjąć, że to sprawka Vittorii Galli... Nie sądzę, by mógł to być ktokolwiek inny.

– No właśnie. Chociaż coś wciąż się nie zgadza, bo o tej godzinie Galli ma żelazne alibi, nie gorsze niż Azais.

– Ach... I nie da się nic zrobić?

– Alice, nie doceniasz mnie – mówi Calligaris z błyskiem w oku, który przywodzi mi na myśl Poirota. – Pracuję z delikatnością, ogromną delikatnością – dodaje tajemniczo.

– To znaczy?

– Mam podejrzanego, o którym wolę nie mówić, póki nie dokonam odpowiednich ustaleń. – Mimo zaciekawienia tym razem wolę nie nalegać: jest dobry i miły, ale kiedy mówi „nie”, to znaczy „nie”.

Wracam do domu, gdzie Cordelia i Ichi przyjmują mnie serdecznie; nie sądzili, że spędzę poza domem tak mało czasu. Na kolację dołącza do nas Silvia, ciekawa, jak wygląda moje nowe mieszkanie. Spędzamy miło czas, jednak czuję w sobie mrowienie, nieuzasadniony niepokój, pociąg do mroku, który od czasu do czasu się we mnie pojawia – *yugen*, powiedziałaaby Yukino, fascynację tym, co pozostaje w cieniu, co jest czymś innym, niż się wydaje, tym, co się kończy.

*Jestem jednak szalenie
ciekawska, lubię przygody
i niespodzianki.
„Alicja w Krainie Czarów”*

Czytam w necie lokalny dziennik z Lacjum, żeby poznać kilka szczegółów na temat pewnej śmierci, która interesuje mnie, bo jutro Wally ma wykonać autopsję zmarłego, kiedy zauważam tytuł, który od razu zwraca moją uwagę. Klikam, nie zastanawiając się dwa razy. Czytam i robię notatki. Dzwonię do nowożeńców Allevi, żeby złożyć im propozycję, której nie będą mogli odrzucić.

I tak w sobotę wieczorem siedzimy na plastikowych fotelikach, ustawionych niczym widownia w teatrze na piazza delle Erbe w Tarquinii. Alessandra ma najróżniejsze zachcianki, które mój brat spełnia ze stoickim spokojem, jej brzuch jest coraz większy, a on coraz bardziej wygląda na świętego. Plac zapełnia się powoli, my znaleźliśmy miejsca w pierwszym rzędzie, a ja rozglądam się tak często, że Alessandra od razu to zauważa.

– Kogo szukasz, Alice? Nie masz chyba nowego chłopaka?

Zaprzeczam pospiesznie i skupiam się na ludziach, którzy zajmują miejsca w pogodnej atmosferze szkolnego koncertu.

A oto i ona, Selina Azais.

Idzie powoli, jakby z trudem niosła wielki ciężar. Jest matowa jak stare, zakurzone srebro, którego nikt nie poleruje.

Kiedy do niej podchodzę, spogląda na mnie wzrokiem krótkowidza.

– Dobry wieczór – witam się przyjaźnie.

– Och – brzmi jej odpowiedź, jakby połknęła słowa. Wydaje się zaskoczona.

– Przeczytałam w gazecie o koncercie, domyśliłam się, że wystąpi Clara i postanowiłam przyjść.

– Dziękuję.

– Ma pani ochotę usiąść ze mną?

– Tak, oczywiście – odpowiada, ale tak, jakby było jej wszystko jedno, czy znajduje się tutaj, czy zupełnie gdzie indziej.

Clara wchodzi na scenę z wiolonczelą na ramieniu, ciemną szminką na ustach i całą swoją efemerycznością. Ma na sobie wiosenny, kolorowy płaszcz, który chyba widziałam w Desigual, a jej włosy, lekkie fale na małym, błyszczącym morzu,

związane są w koński ogon. Siada na stołku i ostrożnie wyjmuję instrument. Nie rozgląda się dokoła, nie patrzy na publiczność. Sprawia wrażenie znudzonej, spokojnie czeka na rozpoczęcie nieuniknionego koncertu.

– Czy Clara w końcu wyjeżdża?

– Tak, w połowie czerwca. To dla niej wielka szansa i nie ukrywam, że po wszystkim, co się stało, Clara stała się bardzo trudna. Nie mam już siły na jej humory. Jej ojciec będzie nieobecny przez długi czas, a ja... nie wiem, czy wciąż mogę nazywać się jej matką. Nie daję rady.

W tym momencie zaczynam rozumieć. Nigdy nie zdobędę dowodów, ale to wszystko wyjaśnia. Wyjaśnia, dlaczego Clara czuła się tak samotna. Dlaczego, kiedy nie dała już rady tłumić prawdy w sobie, nie zwróciła się do Seliny, tylko uciekła do swojego wuja do Rzymu.

Selina w i e d z i a ł a.

Wiedziała, że to jej mąż zabił Konrada. Selina wielbiła ojca. Odkrycie, że geniusz, który, jak się dowiedziała, zrodził się z kradzieży, musiało być dla niej straszne. A kiedy Edoardo przyznał się jej do zbrodni, Selina dokonała wyboru. Wybrała męża. Oto dlaczego teraz nie potrafi już być matką dla Clary.

– Poprosiłam mojego brata Enrica, żeby przeprowadził się do mnie na jakiś czas – ciągnie Selina. – Oboje chorujemy na samotność, może będziemy wspierać się nawzajem.

– A co się stało z Oscarem? – pytam, nie precyzując, o co mi chodzi.

– Ach, Oscar. Zamieszali go w historię śmierci Amélie Volange. Było oczywiste, że Oscar rozumiał sztukę taty w tamtym liście wcześniej niż ktokolwiek z nas i że rozpocznie swoje prywatne śledztwo. Pod wieloma względami Oscar jest do mojego ojca bardziej podobny niż ja, Leone i Enrico razem wzięci.

– Jak pani sądzi, dlaczego Oscar szukał Amélie? Z ciekawości?

– Och, nie. Na pewno nie z ciekawości. Chciał poznać wroga. Poznać ją dobrze, a potem zwinąć jej sprzed nosa całe pieniądze.

Jej spojrzenie na sprawę zaskakuje mnie i myślę, że gdyby nie była tak zdruzgotana, nie użyłaby równie mocnych słów. A przynajmniej nie użyłaby ich w rozmowie ze mną.

– Naprawdę ma pani tak złą opinię o swoim bracie?

– My, Azaisowie, jesteśmy okrutną rasą. Któż inny, jeśli nie mój ojciec, zostawiłby tę przynętę dla Oscara? Mówił, że chce chronić małą Volange, a jednocześnie dał najbardziej drapieżnemu ze swoich synów klucz do jej tożsamości. Musiał się spodziewać, że będzie jej szukał. Ale to nie Oscar ją zabił, to pewne. Adwokat mojego brata powiedział, że ma alibi. To jego zazdrosna dawna kochanka. Vittoria była kiedyś dziewczyną mojego brata Leone. Już wtedy była bardzo zaborcza.

– Znała ją pani?

– Często przychodziła do nas do domu. Zachowywała się bardzo natarczywie.

Miała nadzieję, że Leone ją poślubi i chyba koniec końców rozstali się właśnie z tego powodu.

– Wiedziała pani, że ostatnio Vittoria zaczęła spotykać się z Oscarem?

– Nie. On nigdy nie opowiadał nikomu o swoim życiu uczuciowym. Ale moim zdaniem miała w tym jakiś interes. Albo może Oscar zastępował jej Leone, pierwszą, niezapomnianą miłość. Kto wie! Ja nic nie rozumiem z tych intryg, z tych gorączkowych miłości... Kochałam tylko jednego mężczyznę. I ten mężczyzna mnie rozczarował.

– Selino... czy towarzyszyła pani ojcu w podróżach do Paryża?

– Oczywiście. Każdy z nas jeździł z nim w trasy promocyjne na wyraźne życzenie mojej matki, która pytała potem, co widzieliśmy i co robiliśmy.

– A dlaczego nie jeździła z waszym ojcem?

– Cierpiała na agorafobię. Nie wychodziła z domu, ale była bardzo zazdrosna i chciała go kontrolować.

– I... czy w Paryżu ojciec przedstawił pani kogoś... szczególnego?

– Nie pamiętam dobrze, byłam jeszcze mała. Ale za każdym razem tata dzwonił do koleżanki, która przychodziła z córką. Ta miała dotrzymać mi towarzystwa, ale była niema.

– Jak nazywała się ta dziewczynka? – Ciągnę ją za język, kiedy wpatruje się w pustkę, nawet przez chwilę nie zastanawiając się, czemu zadaję jej te wszystkie pytania.

– Nie pamiętam. Była strasznie nudna! Jej matka rozmawiała z tatą i zostawiali nas same. A ona tylko milczała i milczała. Już mówiłam, była niema.

– Nigdy więcej jej pani nie widziała?

– Nie.

Na tym placu w ich miasteczku, owiewanym lekką bryzą wiosennego wieczora, Clara i jej matka wydają się dwiema złamanymi gałęziami. Clara gra na swojej wiolonczeli z obojętnością, nie odrywając wzroku od strun. Wesoła, niemal świąteczna muzyka kontrastuje z jej pełnym gorczy spojrzeniem. *Koncert na gitarę, skrzypce i wiolonczelę* Antonia Vivaldiego, brzmi tytuł w wydrukowanym amatorsko programie, rozdawanym przez ucznia szkoły muzycznej Clary.

Reszta koncertu jest przyjemna. Nie śmiem przeszkadzać Selinie, która nie wydaje się zresztą szczególnie skoncentrowana na występie córki. Pod koniec wieczoru, pośród entuzjastycznych aplauzów rodziców młodych muzyków, Selina ledwie uderza dłonią o dłoń.

Clara podchodzi do matki; Alessandra i Marco komplementują ją, co ona przyjmuje chłodno. Także mnie odpowiada monosylabami, ale nie dlatego, że chce być niegrzeczna, po prostu nie ma ochoty na poufałości. Jest szorstka, jak osoba, która nie przejmuje się innymi, póki jej samej jest dobrze – a może całkiem odwrotnie.

Chciałabym powiedzieć jej, że jest mi przykro, ale to tak banalne, że jej tego

oszczędzę. Wszystkie słowa umierają mi w gardle, kiedy patrzę, jak odchodzi w noc, wraz z kroczącą obok matką, obie pokryte patyną smutku i obojętności, których nie zapomnę nigdy.

*Wszystkie te chwile zagubią się
w czasie jak łzy w deszczu.*
„Łowca androidów”

A więc sprawy potoczyły się tak: Vittoria Galli, jadąc swoim samochodem, potrafiła Amélie Volange, którą zwabiła na ulicę. Wcześniej zadzwoniła do niej i skłamała, że ma jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Potem zgłosiła kradzież samochodu, który zresztą nie został jeszcze znaleziony.

Co oczywiste, Vittoria Galli zaprzecza ze wszystkich sił. Zatrudniła najlepszych adwokatów, a ubrana na czarno Sardynka poszła nawet do programu *Quarto Grado*, żeby opowiedzieć, że jej pracodawczyni, jej absolutna idolka, nie ma nic wspólnego ze śmiercią Amélie Volange, mogłaby to przysiąc: o wskazanej godzinie ona i Vittoria były razem w Ergi.

Przekazanie części udziałów w galerii? To tylko nagroda za długą pracę, sposób na docenienie wysiłków, tylko fatalny zbieg okoliczności sprawił, że decyzja została podjęta kilka dni po śmierci Amélie Volange.

Oto na czym polegała „delikatna” praca Calligarisa.

Za każdym razem, kiedy widzę spojrzenie dużego i potężnego Oscara Azaisa patrzącego na mnie z portretu w małym salonie Cordelii, myślę o Amélie, cichej dziewczynce, o której Leone opowiadał Calligarisowi. Nie po raz pierwszy jestem bezpośrednim świadkiem kobiecej zazdrości i jej tragicznych konsekwencji. I tym razem jednak czuję swędzenie w nozdrzach, coś niepokojącego, czego nie umiem sobie wytłumaczyć.

Nowa normalność nastaje po trzęsieniach ziemi, bo życie zawsze znajduje jakiś sposób, by toczyć się dalej, deptając po martwej trawie. Internet jest pełen artykułów o zabójstwie Volange i jego związku ze śmiercią Konrada Azaisa. Krytycy literaccy odkurzyli wszystkie dzieła Oliviera Volange’a, które zostaną wznowione przez jedno z największych włoskich wydawnictw. Także Oscar Azais i jego dzieła przeżywają chwile chwały. Kiedy siedziałam w kolejce do kosmetyczki, żeby wyregulować brwi – chociaż czytałam w *Vogue’u*, że w tym roku modne są gęste – zobaczyłam w *Diva e donna* zdjęcie królewicza rzymskich kronik towarzyskich, seksownego faceta bez grosza, który zniewala kobiety grammi słów, poezją i sztuką.

Na tym etapie spodziewam się już, że żałosne książki Enrica Azaisa też znajdą wydawcę i nowy blask, na fali światła odbitego, które dotknie też jego i jego

niezrozumiałe dzieło.

Wyszukuję jego nazwisko i widzę, że faktycznie wymęczył nową książkę: *Loin*.

Intryguje mnie jej francuski tytuł; sprawdzam, ale tekst jest po włosku. Tym razem nie wydał jej za własne pieniądze, tylko w małym, lecz prestiżowym wydawnictwie. Sprawdzam listę spotkań promocyjnych. W następny wtorek jedno ma się odbyć w pobliżu mojego domu.

Wiem, że jestem masochistką. Już pierwsze było tragiczne, drugie będzie czystym cierpieniem. Na pewno nie uda mi się zaciągnąć ze sobą Silvii, która wolałaby chyba oddać krew – do czego zawsze ją zachęcałam i czego zawsze odmawiała, przedstawiając śmieszne wymówki.

Może robię to z litości. Sprzeda przynajmniej jeden egzemplarz.

Tym razem kozłem ofiarnym jest Cordelia.

Kręci się po domu z wałkami na głowie, wata między palcami stóp oraz w szlafroku vintage koloru khaki i wyraźnie szuka sobie zajęcia.

– Chodź ze mną, zabiorę cię na prezentację książki.

– O Matko Boska.

– W takich miejscach można poznać ciekawych ludzi.

– Intelktualistów? Nie, dziękuję. Postanowiłam złowić moją nową miłość spośród ludu. Chcę, żeby był brutalny i owłosiony.

Wreszcie udaje mi się ją przekonać. Podczas prezentacji jednak nie słucha ani słowa: wstaje z miejsca po trzech minutach i zaczyna ze znużeniem przyglądać się półkom, pozostawiwszy mnie samą.

Prowadzący pyta Enrico Azaisa, czemu akcję swojej powieści umieścił w Paryżu.

– Paryż zawsze wywierał na mnie magnetyczne wrażenie. Za pierwszym razem miałem dwanaście lat i oszołomiło mnie jego piękno. Uznałem, że jest to idealne miejsce dla mojej powieści, ale też miasto, w którym chciałbym kiedyś zamieszkać.

– To także miasto, w którym przez wiele lat mieszkał pan ojciec... – ryzykuje prowadzący, nie kończąc zdania, bo Enrico Azais rzuca mu mordercze spojrzenie.

– Wolałbym nie rozmawiać o moim ojcu. Wydaje mi się, że nie jesteśmy tutaj z jego powodu.

– Oczywiście. Proszę nam zdradzić, jak powstał pomysł na tę powieść.

– Chciałem opowiedzieć historię oddalenia. To też powód, dla którego poprosiłem wydawcę, żeby zachował wymyślony przeze mnie tytuł. W oddaleniu tkwi klucz do wszystkiego. Moi bohaterowie nie potrafią się zbliżyć... ale proszę pamiętać, że nie chodzi o odległość przestrzenną. To niemożliwa do przekroczenia różnica myśli. Vincent jest niewolnikiem gniewu, którego nie potrafi kontrolować i który zniszczył relację z kobietą, którą zawsze kochał.

– Lily to ukochana Vincenta z Paryża lat pięćdziesiątych. Wspaniała bohaterka, panie Azais, bardzo oryginalna. Młoda baletnica, która sprzedałaby duszę diabłu za

rolę pierwszoplanową. Ona i Vincent są dwiema stronami tego samego medalu.

Pośród publiczności unosi się ręka.

– Lily jest baletnicą, tak jak bohaterka pana ojca, Margot. Nawet jeśli nie chce pan o nim rozmawiać, proszę nam chociaż zdradzić przyczynę tego wyboru. To hołd?

Enrico Azais marszczy czoło. Żółtawe twarówki jego oczu otaczają dwie jasne, nieprzeniknione tęczęwki.

– Nie, to prawdziwa historia. Ktoś opowiedział mi ją dawno temu.

Przewodniczący zabiera głos niczym drapieżnik.

– Ach, to ciekawe! Prawdziwa historia? W jaki sposób pan ją przerobił? Ale przede wszystkim: dlaczego postanowił pan ją opowiedzieć?

– Ponieważ jest fascynująca. To historia, której dotknąłem osobiście... W pewnym sensie to historia opowiedziana przez moje życie – ona je odmieniła.

– W takim razie chyba można powiedzieć, że mamy do czynienia z powieścią autobiograficzną?

– Nie, nie jest to moja biografia, tylko kogoś, kogo znałem, kogoś, kto ucieszyłby się dzisiaj, widząc swoją historię w powieści. Wydarzenia z cudzego życia mają jednak wpływ na nasze: potrafią przewrócić je do góry nogami, nawet jeśli my nie odgrywamy w nich żadnej roli i wyłącznie się im poddajemy.

To historia Konrada i Catherine. To takie oczywiste! Jak to możliwe, że nikt się nie zorientował?

– Może przeczytałby nam pan fragment? Proszę wybrać – który.

Azais, jak podczas poprzedniego spotkania autorskiego, na którym byłem, nie każe się dwa razy prosić. Bierze egzemplarz: tym razem okładka jest sugestywna, widnieje na niej akwarela z widokiem dawnego Paryża, a jakoś jest doskonała. Ta miła odmiana sprawia, że cieszę się jego szczęściem. To wspaniale, że czasami komuś coś się udaje.

Zjedli obiad w restauracji, w której podczas wojny jadaliby amerykańscy żołnierze, a potem poszli do hotelu.

On zostawił syna w holu, by oglądał barokowe sufity razem z niemą dziewczynką.

Vincent i Lily udawali, że się nie znają. Wsiadli do dwóch różnych wind. Mimo wieku, ona nie straciła swojego wdzięku, miała na nogach kozaki, ale szła tak, jakby nosiła te buty ze spiczastym czubkiem, które raniły palce jej stóp. Zagubili się między biznesmenami i turystami w podróży, mieszała się niczym czerń i biel na jednym z jego obrazów.

Tego popołudnia byli znowu nim i nią, jakby przerwa na pół życia nie minęła, jakby te dzieci były cudzymi dziećmi.

To historia, którą Leone Azais opowiedział Calligarisowi! Jestem pewna, nie ma żadnych wątpliwości. To ta sama scena, nagrana inną kamerą. Są dwie możliwości: albo Azais zabierał do Paryża także Enrica i razem spotkali się z Catherine i Amélie, albo Leone opowiedział bratu o tym doświadczeniu. Wszystko to sprawia, że zaczynam myśleć, że historia Konrada i Amélie była długa, bardzo długa, że przemierzyła lata,

rodziny, dzieci i wzajemne żale. Konrad wiedział o Amélie, nie mogło być inaczej.

Na koniec spotkania podchodzę do Enrica Azaisa, żeby poprosić go o dedykację.

– To *Chez l’Ami Louis*? – pytam. – Ta restauracja, w której jadali amerykańscy żołnierze.

Arthur mi o tym opowiadał.

– Słucham? – mamrocze zaskoczony Azais.

– Restauracja, w której Vincent i Lily zjedli obiad z dziećmi.

– Nigdzie nie napisałem, że jedli z dziećmi – odpowiada Azais, który chyba mnie nie rozpoznał, co da się uzasadnić albo całkowitą zwyczajnością mojego wyglądu albo jego nieobecny umysłem.

– Ma pan rację. Ale chodzi o tę restaurację? – pytam raz jeszcze.

– Możliwe. W Paryżu jest wiele knajp, w których jadali amerykańscy żołnierze.

– Naprawdę ciekawi mnie pana powieść, panie Azais. Przeczytam ją natychmiast.

Zwalczywszy atak kaszlu, Enrico uśmiecha się triumfująco. Jakby całe życie było oczekiwaniem na satysfakcję, jaką przynosi dobre słowo od czytelników.

– Przypomina mi pewną historię. O Catherine Rouvroy. – Uśmiech Azaisa ciemnieje, ale nie znika z jego kościstej twarzy. – Uwielbiam, kiedy rzeczywistość miesza się z fantazją. To był naprawdę wspaniały pomysł.

Azais pochyla się nad swoją książką, z drogim, kolekcjonerskim piórem między palcami.

– Komu mam ją zadedykować?

– Alice, dziękuję.

Dłoń Enrica jest powykrzywiana. Źle zapisuje moje imię, pomija „i”, więc dostaję dedykację dla Alce.

Ale także bardzo interesującą wskazówkę.

Dziewczynka uczyniła z ciszy swoją religię.

Enrico Azais, *Loin*

Czy Enrico Azais powiedział panu kiedyś, że zna Amélie Volange? – pytam Calligarisa przez telefon, schowana w łazience instytutu.

– Nie. Na szczegółowe pytanie odpowiadał zawsze, że nie ma pojęcia, kto to jest.

– Spotkajmy się dzisiaj po południu.

Natarczywe pukanie do drzwi zmusza mnie do nagłego przerwania rozmowy.

Otwieram drzwi i widzę Ambrę.

– Łazienka ma służyć wszystkim.

Skwaśniała jak nigdy, przytłoczona przez rozczarowania, Ambra nie odnowiła balejażu. Ma z centymetr odrostów.

– I nie patrz na moje włosy! – złości się, instynktownie unosząc dłonie do głowy.

Uśmiecham się do niej perfidnie. Przychodzi mi do głowy wyjątkowo aktualne przysłowie.

Usiądź na brzegu rzeki i czekaj, aż przyplynie trup twojego wroga.

* * *

Po południu nie wracam do domu, lecz z egzemplarzem *Loin* w dłoni składam wizytę Calligarisowi.

Wskazuję mu wszystkie fragmenty podkreślone ołówkiem, który podarowała mi Cordelia.

Dziewczynka nie była do niego podobna. Ona nalegała: to twoja córka. Ale on widział w niej oczy Armande 'a. Oczy nikczemne i złodziejskie.

I dalej:

Żona chciała, żeby Vincent zabrał ze sobą dzieci, które – choć były jeszcze nastolatkami – przejechały już pół Europy.

Kiedy należało podjąć decyzję, kto pojedzie z nim do Paryża, zaczęli się kłócić, ale Vincent był sprytny, za każdym razem zabierał kogoś innego, więc każde z nich widziało Lily tylko jeden raz, nie wiedząc, kim ona jest.

I jeszcze:

Kiedyś podczas kłótni złamał jej nadgarstek. Oto dlaczego Lily go zostawiła.

Teraz ryzykował, że znowu to zrobi, kiedy bił ją i mówił, że jest kurwą.

Vincent nie godził się z rzeczywistością. Powiedział, że wszystko jej się pomyliło, że Armande jest przegrany i zawsze wybiera najgorsze. Jesteście parą przeciętniaków, do cholery, parą przeciętniaków.

- Masz rację. Znamy już tę historię.
- Enrico Azais skłamał. Znał Amélie i wiedział, że była nieślubną córką Konrada.
- Albo po prostu dowiedział się tego od Leone.
- Kłamał tak czy inaczej. Nie powiedział panu o związku Leone z Volange. Inspektorze, nie pomyślał pan nigdy, że alibi Vittorii Galli może być jednak prawdziwe? I że Leone coś ukrywa?
- Wszystko zdaje się wskazywać na Vittorię Galli jako winną śmierci Amélie. Motyw, świadkowie. Ale skoro zaczynamy od początku... Zastanówmy się, jaki motyw miałby Leone Azais, żeby zabić przyrodną siostrę?
- Złość? Zazdrość?
- Tak, ale nie tylko. Także pieniądze.
- Ale... po śmierci Amélie wszystko dostałaby jej matka, Catherine, prawda?
- Jak już wiesz, Catherine Rouvroy nie przyjęła spadku. Pieniądze wrócą do Azaisów.
- Ale tego Leone Azais nie mógł przewidzieć – protestuję.
- Słuszna uwaga. Ale pomyśl. Ja, żeby cokolwiek z tego zrozumieć, musiałem skonsultować się ze znajomym notariuszem. Nawet on na początku był gotów mnie zapewnić, że po śmierci Amélie spadek trafi bezpośrednio w ręce rodziny. Dopiero gdy sprawdził dokładnie, przekonał się, że prawo akceptacji spadku rzeczywiście przeszłoby na Catherine.
- Mhm. A więc?
- A więc całkiem możliwe, że Azaisowie nie znali tego szczegółu. I uważali za oczywiste, że wystarczy pozbyć się Volange, aby odzyskać pieniądze.
- Inspektorze, nie sądzę, żeby któryś z Azaisów dokonał morderstwa, wcześniej tego nie sprawdziliśmy. Jeśli to był jeden z nich, jak zresztą uważam, być może pieniądze nie mają znaczenia.
- W każdym razie nie zapominajmy o Vittorii Galli.
- Ona jednak zgłosiła kradzież samochodu – przypominam mu.
- Ale dopiero po zdarzeniu!
- Nie ma dowodów, że to ona prowadziła. A jeśli Vittoria Galli została wykorzystana jako przykrywka?
- Calligaris patrzy na mnie, a ja nie jestem pewna, czy jest zniecierpliwiony moim naleganiem, czy poważnie rozważa moje hipotezy.
- Dobrze, porozmawiam z Leone Azaisem. Ale tylko dlatego, że jestem skrupulatny, Alice. Znasz mnie, nie chcę przegapić żadnego szczegółu, nawet banalnego czy bezsensownego – odpowiada zachwycony sobą.
- Wstaje z krzesła, dzwoni do kaprała Calonera i nakazuje mu być gotowym za dziesięć minut.
- *Come on*, pani doktor.

- Dokąd jedziemy?
- Do kwatery generalnej Leone Azaisa, do jego biura. Taki mały nalot.

*Jeśli boisz się tajemnicy,
uwolnij ją, a przestanie cię
przerażać.*

Konrad Azais, *Niepokój Margo*

Biuro jest duże i anonimowe. Na biurku, jak u każdego szanującego się mieszczańskiego biznesmena, stoi zdjęcie Marcelli Azais i potomstwa.

Leone prosi swoją sekretarkę, żeby przełożyła spotkania. Jest uprzejmy i dyspozycyjny, pozwala się przesłuchiwać z cierpliwością i wdziękiem.

Inspektor znów wypytuje go o noc śmierci Amélie, a on nie wydaje się ani zaniepokojony, ani zirytowany.

– Tego wieczora byłem w domu z żoną. Oglądaliśmy telewizję... film z Johnnym Deppem. Nie pamiętam nawet tytułu, bo się zaczytałem.

– Jaka książka pana tak wciągnęła?

– Wystawia mnie pan na próbę, tak? *W kleszczach lęku* Henry'ego Jamesa.

– Przez cały wieczór nie opuszczał pan domu?

– Nie. Około dwudziestej trzeciej pojechałem po mojego młodszego syna, który był na zabawie urodzinowej. Wróciliśmy razem.

– O której?

– Piętnaście minut przed północą... mniej więcej.

– A potem?

– Poszliśmy z żoną do łóżka i spaliśmy przez całą noc. Spokojnym, wolnym od koszmarów snem.

– Opowiedział pan kiedyś swojemu bratu Enricowi o spotkaniu z małą Amélie Volange w Paryżu?

Leone Azais blednie, jakby zapomniał, że już opowiedział o tym inspektorowi.

– Enricowi? Możliwe. Ale nie ostatnio, to na pewno. Może rozmawialiśmy o tym w dzieciństwie.

– Pana ojciec zabierał do Paryża także Enrica?

– Jego spytajcie! Nie mogę tego pamiętać. Wszyscy wyjeżdżaliśmy, po kolei. Ja byłem w Paryżu, ale też w Wiedniu, w Sztokholmie... w Meksyku... Mój brat Oscar z kolei pojechał z ojcem w trasę promocyjną po Hiszpanii. Wrócili ze szpadą torreadora, a mój ojciec przechodził wtedy fazę hemingwayowską. Napisał brzydką kopię *Słońce też wschodzi*, która wylądowała w kominku podczas jednego z jego

ataków złości.

– Sądzi pan, że Oscar i Enrico znali Amélie?

Po raz pierwszy Leone wydaje się zirytowany.

– Czemu pyta pan o to mnie? Moi bracia są żywi, zdrowi i chętni współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Niech pan ich spyta, czy znali Amélie!

– Spotkał ją pan tylko dawno temu... kiedy był pan chłopcem?

– Nie. Widziałem ją jeszcze raz. Wiele lat później. Odwiedziła ojca w moim domu, razem z matką – przyznaje, jakby wiele go to kosztowało.

Calligaris sztywnieje.

– A bardziej precyzyjnie?

– Moje dzieci były jeszcze małe. Ojciec już nie chodził. Sądzę, że korespondował z tą kobietą. Kiedy u mnie mieszkał, dostawał wiele listów. Pewnego dnia, w lecie, zadzwoniły do drzwi te dwie obce kobiety. Starsza mnie pamiętała, powiedziała: „Ale wyrosłeś!”. Wtedy połączyłem fakty, zawsze miałem dobrą pamięć. To nasza rodzinna cecha.

– A potem?

– Była z nią córka, Amélie. Bardzo cicha. Weszły do pokoju mojego ojca i... Tak, podsłuchiwałem.

– I?

– Bardzo się pokłócili. Mówili po francusku, nic z tego nie zrozumiałem. Ale od tamtej pory już ich nigdy nie widziałem.

– Wiedział pan, że Amélie Volange jest córką pana ojca?

– Nie miałem pewności, ale podejrzewałem to.

– I sądzi pan, że Amélie wiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego pan milczał? Nie zdaje pan sobie sprawy, że im więcej niedopowiedzeń, tym więcej podejrzeń pan na siebie ściąga?

Leone przykładą dłoń do czoła.

– Wiem. Ale... ja nie mam z tym nic wspólnego, naprawdę. I nic więcej nie ukrywałem.

* * *

W samochodzie Calligaris wzdycha ciężko.

– Trzeba skontaktować się z Catherine Rouvroy.

– O co chce pan ją zapytać?

– Czy Konrad i jego synowie wiedzieli o Amélie.

– Inspektorze, Oscar na pewno nie wiedział. Być może jest próżniakiem i oportunistą, ale kazirodztwo...

– Tak, on rzeczywiście nie mógł o tym wiedzieć – przerywa mi. – Ale pozostali dwaj? Ach, jakim utrudnieniem jest etyka zawodowa. Wiem na pewno, że to sprawa

Galli, ale nie mogę powstrzymać skrupułów.

– Co za szczęście, inspektorze, że ktoś jeszcze kieruje się etyką zawodową!

*Kiedy serce mego ojca bić
przestało, mnie nic nie
zabolało.*

Calligaris nie tracił czasu i Catherine Rouvroy wróciła do Rzymu po raz kolejny, samotna, wysuszona staruszka.

Jej twarz jest naznaczona głębokimi zmarszczkami, a pod oczami widnieją czerwone cienie. Jej strój to znów połączenie ubrań nieodpowiednich do pory roku i niedopasowanych kolorystycznie, które tylko ona może nosić z wdziękiem. Calligaris odwiedza Catherine w jej pokoju w hotelu Le Clarisse al Pantheon. Ona siedzi w fotelu z beżowego aksamitu, włosy barwy popiołu zebrane są w kok z innej epoki. Między delikatnymi kosmykami klejnot z opalonego srebra o staroświeckim, lecz fascynującym kształcie – równie dobrze może pochodzić z jakiegoś odległego kraju Europy Wschodniej, co z chińskiej fabryki.

Jest bez skazy, jak te kobiety, które potrafią przetrwać wszystko i wszystkich. Obok niej siedzi tłumaczka języka francuskiego, która pracuje dla policji i sprawia, że zaczynam tęsknić za Beatrice. Ona tłumaczyła myśli Catherine – jej staromodny sposób mówienia, jej świadomość bycia żywą legendą – ze znacznie większą wrażliwością.

– Pani Rouvroy, jak już wspominałem, potrzebuję pomocy w śledztwie dotyczącym śmierci pani córki. Mam powody, by sądzić, że nie był to wypadek, Aby wyjaśnić kilka rzeczy, zmuszony jestem zadać kilka pytań, które mogą się pani wydać niedyskretne. Ale na tym polega moja praca – kończy Calligaris, zmieniając ton z serdecznego na znacznie bardziej kategoryczny.

Catherine prostuje szczupłe ramiona i zapewnia o swojej chęci współpracy. Ma kryształowy głos kogoś, kto nigdy nie wdychał dymu.

– Jakie były pani relacje z Konradem Azaisem? – zaczyna inspektor.

– Co Konrad ma wspólnego ze śmiercią mojej córki? Czy to nie ta wariatka ją potrafiła? – odpowiada ona, a jej chęć współpracy zdaje się już znikać w obłoku złości. Na dźwięk jego imienia jej rysy zasklepiają się w maskę goryczy.

– Widzi pani, pani Rouvroy, ta wariatka, jak ją pani nazywa, miała bliskie relacje z rodziną Azaisów.

– Oczywiście. Była związana z Oscarem. A Oscar uwiódł i rozczarował moją Amélie. Ta kobieta zabiła ją z zazdrości. To wszystko jest takie banalne i obmierzłe.

– Ale Amélie była siostrą Oscara – sylabizuje Calligaris, a cisza otacza nas niczym

oślepiająca mgła.

Brwi Catherine unoszą się z żalem.

– Tak.

– Czy Amélie o tym wiedziała?

– Oczywiście, że nie. Amélie sądziła, że jest córką Oliviera. Nie wiedział o tym nikt... prócz mnie.

– A Konrad?

– Nie mogłam tego przemilczeć. Konrad pragnął naprawić wszystkie szkody, jakie wyrządził Olivierowi. Ukradł mu wszystko, co mógł ukraść i nigdy nie poczuł nawet cienia żalu. Jeszcze kilka lat temu uważał, że wszystko potoczyło się tak, jak powinno, bo Olivier nie zasługiwał na to, czego nie potrafił strzec i kochać. W pewnym sensie miał rację. Mój mąż pogrążony wiecznie w depresji nie umiał mierzyć się z innymi, zwłaszcza ze mną. Sądzę, że sam był powodem swojego niepowodzenia, bo nie miał w sobie nigdy zapału, potrzebnego, by afirmować samego siebie na jakimkolwiek polu. Ja zawsze kochałam Konrada. Nigdy go nie zapomniałam, mimo lat małżeństwa z Olivierem i mimo że miałam już z nim syna, Sebastiana. Konrad odnalazł mnie po latach. Nie widzieliśmy się od tego straszego dnia, w którym pobił mnie z takim gniewem, że prawie miesiąc leżałam w szpitalu. Poprosił o wybaczenie i wszystko zaczęło się na nowo, jakby nic złego się nie wydarzyło.

Kiedy zaszłam w ciążę, on od razu zrozumiał, że jest ojcem, ale nigdy nie miał żadnych pretensji do mnie ani do córki. Nigdy nie zostawiłby Mai ani swoich dzieci i tak było dobrze... Ja też milczałam, bo sądziłam, że gdybym Olivier się dowiedział, nigdy już by się nie podniósł. Jednak dopiero wiele lat później zrobił to, czego się obawiałam, i bynajmniej nie dlatego, że podejrzewał mnie o zdradę. Prawda jest taka, że dla takiego mężczyzny jak on samobójstwo było nieuniknione i zabiłby się z takiego lub innego powodu. Przynajmniej nie musiałam się obwiniać, nie mogłam zmienić jego duszy: była chora i ja nie mogłam jej naprawić.

Dopiero w ostatnim czasie Konrad zrozumiał wagę swoich błędów. Nigdy nie przyznał, przynajmniej mnie, że ukradł rękopis. Kiedy go o to spytałam, ledwie powstrzymał dłoń, którą chciał mnie uderzyć. Wiem, że poprzez testament pragnął wszystko naprawić i zostawił list, w którym wyznaje swoje winy. Ucieszyłam się, że pod koniec życia odnalazł spokój ducha.

– Pani Rouvroy, czy wiedziała pani o romansie Amélie i Oscara?

– Oczywiście, że nie! Myśli pan, że pozwoliłabym mojej córce na kazirodztwo? Amélie miała charakter swojego ojca. Paskudny charakter. Nie byłyśmy ze sobą blisko, bo już wcześniej nie popierałam różnych jej decyzji. Nie zamierzała mi powiedzieć, że spotyka się z tym mężczyzną.

– Od Leone Azaisa dowiedzieliśmy się, że pani i Amélie odwiedziłyście Konrada wiele lat temu. Jak wytłumaczyła pani córce tę wizytę?

– Zapytała, czy może mi towarzyszyć, wtedy opowiedziałam jej część prawdy... Że bardzo go kochałam i że nie był taki zły, jak sądziła. Amélie zgodziła się, ale miała dodatkowy cel: chciała wykrzyczeć mu całą swoją nienawiść. Olivier opowiedział jej o kradzieży rękopisu, a ona pragnęła się zemścić. Tego dnia omal nie dostał zawału. Takie dwa temperamenty, twarzą w twarz... Cały dom się trząsł od ich wrzasków.

– Czy Amélie utrzymywała kontakty z rodzeństwem? Oprócz romansu z Oscarem?

W dzieciństwie poznała ich wszystkich. Konrad przyjeżdżał do Paryża pod pretekstem promocji swoich książek i za każdym razem zabierał jedno z nich ze sobą, ponieważ Maia tego wymagała.

– Oscara też?

– Owszem. Oscar był najładniejszym i najbardziej interesującym z synów Konrada. Ona nie mogła go jednak pamiętać, była za mała. Jestem pewna, że on z kolei pamiętał. Oscar wszystko wyliczył. Wszystko zrozumiał. Mogę się założyć. Oscar wiedział, że Amélie była dziewczynką, którą spotykał w Paryżu ze swoim ojcem. Musiał też zrozumieć, że była dzieckiem Azaisa, tak samo jak on. Bo inaczej dlaczego Konrad zostawiłby jej wszystkie te pieniądze? I to odbierając je im! Tylko po to, żeby wyrównać rachunki za rękopis? O nie. Oscar Azais wszystko wiedział. Poszedł do łóżka ze swoją siostrą, byle odzyskać te pieniądze. Inspektorze, chce pan znać moje zdanie? Może rzeczywiście to Vittoria Galli zabiła moją córkę. Mówicie, że z zazdrości. Ale nie pomyśleliście nigdy, że mogła to zrobić dla Oscara? Ponieważ ją o to poprosił?

– A Leone? Amélie jego też znała? Już w dorosłym życiu? – odpowiada Calligaris, celowo ignorując uwagę Catherine.

– Spotkała go podczas tej wizyty, o której przed chwilą panu mówiłam. Nie sądzę, by utrzymywali później ze sobą kontakt.

– A Enrico i Selina?

– Ta maruda, córka Konrada... pamiętam ją bardzo dobrze. Była w tym samym wieku co Amélie. Nie sądzę, by się znały. A Enrico... nie, jego też chyba nigdy więcej nie widziała.

– Od kogo Amélie dowiedziała się, że dziedziczy po Konradzie?

– Mnie wmawiała, że od notariusza. Dopiero później odkryłam, że skłamała. Testament nie został otwarty przed jej śmiercią. Sądzę zatem, że Oscar jej powiedział. Nie sądzicie, że miał doskonałe powody, by pragnąć jej śmierci?

– Jak wszyscy Azaisowie. Żaden z nich nie mógł jednak wiedzieć, że pani, Catherine, zrezygnowałaby ze spadku i wszystkie pieniądze, koniec końców, wróciłyby do nich.

– To prawda, nie mogli tego wiedzieć. Ale mogli sądzić, że po jej śmierci od razu wszystko by odziedziczyli. Są głupi, znają tylko język pokus i pieniędzy. Możecie być pewni, że stoi za tym któryś z braci i że – nawet jeśli faktycznie macie dowody przeciw

Vittorii Galli – stał za nią Oscar.

Żmije w rodzinie.

W samochodzie Calligaris wygląda jak kucharka, której zważył się majonez.

Jestem pewna, że nie rozważał nawet możliwości spisku między Vitorią i Oscarem; nie mam odwagi zapytać, żeby go nie irytować, ale jego zamyślenie jest bardziej znaczące niż jakiegokolwiek potwierdzenie.

Nagle, kiedy w radiu puszcza ją *Me and Mr Jones* Amy Winehouse, uderza dłonią o kierownicę.

– Jeśli Catherine Rouvroy ma rację... a umówmy się, może ją mieć, a jakże!... nie mam innego wyboru, jak przycisnąć Vitorię Galli i zmusić ją do mówienia.

– Vittoria już by się przyznała. Mając w perspektywie trzydzieści lat więzienia, każdy by się poddał. Naprawdę sądzi pan, że tą kobietą można manipulować? Nie, inspektorze. Moim zdaniem absolutnie się nie da. Sądzę, że jeśli zabiła – podkreślam tu słowo, jeśli” – Vittoria zrobiła to z własnej woli, a nie dlatego, że Oscar ją do tego zmusił.

– Przyznaj: według ciebie winny jest Oscar.

– Owszem, przyznaję, ta myśl jest mi bliska. Z pewnością chodzi o sprawę rodzinną.

– Ja też sądzę, że zabił jeden z Azaisów dla spadku. Tylko oni wiedzieli, że została wskazana w testamencie jako dziedziczka. Musieli się spieszyć, nim rozpoczęło się postępowanie sądowe. Byli przekonani, że po śmierci Amélie odzyskają to, co im się należy. Nie wpadli na to, że spadek przypadłby Catherine, a nie mogli przecież wiedzieć, że ona go odrzuci. Z nich trzech jeden wiedział, że może użyć Vittorii jako tarczy i wyjść z tego czysty. Vittoria i motyw zazdrości. Vittoria i jej brak rozwagi, telefon do Amélie, groźby. Zatem kto, jeśli nie Oscar? W każdym razie on jest nie do ruszenia. To kłamca, podstępny i wredny, ale ma alibi.

– W takim razie weźmy pod wagę Leone. Zna Vitorię. Wie, że jest nachalna i zaślepiona zazdrością. Mógł wszystko zaplanować. Mógł wyjść z domu po odwiezieniu syna, kiedy żona spała. Mógł ukraść samochód Vittorii i zabić Amélie, wiedząc, że wina spadnie albo na nią, albo na jego brata. Leone jako jedyny miał niemal całkowitą pewność, że Amélie była jego siostrą. Zapewne od razu zrozumiał, że była też adresatką listu. Mógł zatrudnić prywatnego detektywa, śledzić ją i w ten sposób odkryć jej romans z Oscarem.

Calligaris nie odpowiada. Kiedy wpada w taki humor, należy zostawić go w spokoju. Lepiej, żeby pomysły gromadziły się w jego umyśle w oczekiwaniu, aż

Opatrzność ześle mu iluminację.

* * *

Książka Enrica Azaisa nie jest zła, w sumie zasługiwała na publikację.

Ukazuje dużą wrażliwość w opowiadaniu historii Konrada i Catherine. Kiedy czytam opisy ich myśli, wyczuwam wciąż jakieś skojarzenia, być może wynikające z tego, że poznałam ich oboje. Nie przeczytałam jeszcze ostatniego rozdziału o tym, co wydarzyło się, kiedy Vincent i Lily zamieszkali razem z dziewczynką, ale jeśli rozumiem inklinacje autora do dramatu, wydarzy się coś strasznego. Enrico Azais z pewnością nie jest kimś, kto podarowałby swojemu ojcu szczęśliwe zakończenie. Nie sądzę, by podarował je komukolwiek. To raczej typ, który wykorzystuje stworzone przez siebie postaci, by skrzywdzić ludzi, przeciw którym nie umie zbuntować się w prawdziwym życiu.

Dowodem jest paskudny sposób, w jaki Enrico opisał Oscara, określając najmłodszego syna Vincenta jako pustego, niewrażliwego oportunistę. Prawda jest jednak taka, że trudno się z nim nie zgodzić. Kończę książkę i odkładam ją na szafkę.

Obiad cudów.

Jest niedziela i ledwie zdążyłam otworzyć oczy, kiedy histeryczny dzwonek telefonu informuje mnie, jak bardzo inspektor Calligaris chce ze mną porozmawiać.

– Nie spałem całą noc! – woła tonem tak zadowolonym, jakby chciał powiedzieć coś zupełnie odwrotnego.

– I to pana cieszy?

– Oczywiście! Ponieważ bezsenność dała mi cenną wskazówkę!

– Czekam na więcej – mówię, siadając na łóżku z Ichim, który wydaje się pogrążony w myślach; za dwie minuty przejdzie do akcji, czekając, by otrzymać poranne chrupki.

– Zapraszam cię do nas na obiad, będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Moja żona chciałaby cię poznać. Są też bliźniaki...

Zgadzam się zaciekawiona, kim jest kobieta, która poślubiła Calligarisa i jego nadmierną potliwość.

Podaje mi adres, a ja przychodzę punktualnie. Zabieram ze sobą tiramisu, które przygotowałam rano – według przepisu Alessandry – i stoję przed drzwiami, które otwiera chłopiec szerszy niż wyższy, coś w rodzaju kanapki z McDonalda, obdarzonej własnym życiem.

– Cześć – jak widać kanapka umie też mówić.

– Cześć – odpowiadam, podając mu tacę.

– Co to?

– Tiramisu.

– Nie mogę go zjeść. Mama nie pozwala nam jeść słodczy z kawą w środku.

Mam ochotę powiedzieć mu, że nie ma w tym nic złego. Uśmiecham się i myślę sobie, że naprawdę jestem Alicją w krainie czarów, skoro przed sobą mam teraz Dyludyludi i Dyludyludam. Drugi z bliźniaków pojawia się w kapciach De Fonseca z motywem Braci Be na nogach i w towarzystwie matki.

Oto i ona: pani Calligaris. Koścista podobnie jak mąż, w połowie tak wysoka i słodka jak beza.

Ma regularne, przyjemne rysy twarzy, a Calligaris jest w niej zakochany jak licealista. W czasie obiadu zachwyca się jej kucharskimi i nauczycielskimi zdolnościami, nie wspominając już o tym, że patrzy na nią tak, jak na mnie nikt nigdy nie patrzył.

W tym domu, zamieszkiwanym przez dwójkę drobniutkich rodziców i dwóch

bliźniaków XXL, oddycha się domowym spokojem, który nie zostaje przerwany nawet w chwili, gdy małżonkowie orientują się, że – z niezrozumiałego dla mnie powodu – moje tiramisu jest paskudne, z czego bliźniaki cieszą się po cichu.

Po obiedzie dzieci wracają do swojego pokoju. Pani Calligaris myje naczynia, kiedy ja siadam z inspektorem w małym saloniku, na fotelach obitych materiałem, będącym paskudną kopią Laury Ashley; wszystko błyszczy, a w kącie, podłączony do prądu, stoi dyfuzor o zapachu lawendy, który powoli się kończy.

Inspektor nalewa sobie lyk Punch Abruzzo i częstuje mnie, zachwycony intensywnością aromatu i istnieniem tak prestiżowej destylarni.

– Wreszcie możemy spokojnie porozmawiać. Teraz poczułem zmęczenie... Bezsenność jednak nie jest zdrowa, nawet jeśli przynosi przebłycki geniuszu.

Przerywa zadowolony, że może trzymać mnie chwilę w niepewności, ale ja nie chwytam przynęty i czekam spokojnie, aż znowu raczy przemówić.

– Długo zastanawiałem się nad pewnym szczegółem. Niedaleko bramy budynku, w którym mieszkała Amélie Volange, znaleziono dużo śladów. Między nimi jeden, który z początku wydał mi się pozbawiony znaczenia. Zaznaczam, że jest to dzielnica rezydencji i chodniki są bardzo czyste. Nie ma śladu psich kup ani petów. Jakby się było w Austrii. Chodzi o paragon fiskalny z dnia, w którym zginęła Amélie, pochodzący ze sklepu z materiałami papierniczymi. Wiesz, jednego z tych, które sprzedają zeszyty po zawyżonych cenach, ekskluzywny papier importowany z Chin i wieczne pióra. Byłem tam i powęszyłem trochę. Pokazałem zdjęcia Oscara, Amélie i wszystkich mieszkańców budynku – w sumie nie ma ich wielu. Nikt nie rozpoznał Oscara, zresztą nie jestem taki pewien, czy nasz artysta mógłby sobie pozwolić na zakupy w takim miejscu. W nocy przypomniałem sobie twoje słowa. Pomyślałem, że któryś z trzech Azaisów mógłby mieć jeszcze lepsze niż Vittoria Galli powody, aby pozbyć się Amélie. Doszedłem do wniosku, że może nie pokazałem sprzedawcom właściwych twarzy. Przejrzałem dokumenty i sprawdziłem, że syn Leone Azaisa uczy się w liceum plastycznym. Leone mógłby robić dla niego zakupy w podobnym sklepie... Pieniądzy mu nie brakuje. Gdyby został rozpoznany, byłby to interesujący punkt wyjścia, który zwróciłby uwagę na wiele detali pozornie ze sobą niepowiązanych.

– Myśli pan o moich teoriach na temat Leone Azaisa?

– Tak. W tym, co mówiłaś, jest dużo rozsądku, więc nie chciałem pozostawić żadnych niedopowiedzeń. Nie mogę zapominać, że Vittoria Galli jest jedyną oskarżoną pomimo alibi, które zapewniła jej współniczka. A tak naprawdę alibi Leone Azaisa jest znacznie bardziej chwiejne.

– Czy jutro pójdzie pan do tego sklepu?

– Oczywiście. Po południu.

– Chciałabym pójść z panem!

– Teraz jesteśmy już drużyną. Nieoficjalną, ale... zgraną. Jeśli to ma dla Ciebie znaczenie... mnie z Tobą pracuje się bardzo dobrze.

Inspektor wydaje się nieco poruszony i onieśmielony. Prawie się rumieni.

* * *

W sklepie rozbrzmiewa w tle *J'attenderai* Riny Ketty. Czekam na inspektora i oglądam notesy oprawione w miękką skórę koloru kości słoniowej, wącham papier, testuję pióra. Oglądam czarno-białe szkice, drewniane manekiny, których studenci używają, by uczyć się odwzorować dynamikę ludzkiego ciała.

Sprzedawczyni wita Calligarisa serdecznie i zaprasza nas na zaplecze. Po krótkiej, nieistotnej wymianie zdań on pokazuje dziewczynie zdjęcie Leone Azaisa, które nie jest zresztą zbyt korzystne.

Sprzedawczyni wydaje się zaskoczona i odczekuje chwilę. Potem jednak mówi:

– Wie pan, minęło kilka miesięcy.

– Wiem, moja droga, wiem. Ale nie rozpoznaje w nim pani stałego klienta?

Ona wykrzywia wargi, zagryza dolną.

– Muszę przyznać, że ma znajomą twarz. Ale nie jestem pewna!

– Dlaczego? Skoro jest znajoma...

– Już mówię. To tak, jakbym widziała brzydszą kopię tego mężczyzny. Na tym zdjęciu wydaje się poważny i bogaty w tym szarym garniturze i krawacie od Marinelli... Ja widziałam mężczyznę bardzo podobnego, ale starszego.

Szukam spojrzenia Calligarisa, ale ten jest skoncentrowany i nie odrywa wzroku od dziewczyny.

– Co jeszcze może mi pani powiedzieć o tym mężczyźnie?

– Pokazuje się tu od czasu do czasu, nieregularnie. Jeśli dobrze pamiętam, płaci gotówką i kupuje małe, kieszonkowe notesy.

– A o jego wyglądzie?

– Już wyjaśniłam... to mógłby być ten mężczyzna ze zdjęcia, ale nie jestem pewna. Na fotografii jest przystojniejszy, ale nie wykluczam, że może to być ten sam człowiek. Bardzo mi przykro.

Calligaris puchnie z dumy. Delikatnie dotyka ją w ramię, mówiąc:

– Nie ma powodu, aby było pani przykro! Nawet pani sobie nie wyobraża, jak bardzo nam pomogła!

Po wyjściu ze sklepu Calligaris otwiera mi drzwi punto prowadzonego przez Calonera.

– Wsiadaj – mówi bez ceregieli. – Via Nievo 13 – rozkazuje kierowcy, który rusza z piskiem opon, przypominając mi atmosferę policyjnego filmu z lat siedemdziesiątych.

– Dokąd jedziemy?

– Do domu Enrica Azaisa oczywiście!

*Byli kimś więcej niż wrogami,
byli braćmi.*

Mieszkanie jest tak przerażająco brudne, że nie czułam podobnego smrodu nawet w tych domach, w których znajduje się ciało gnijące od trzech miesięcy. Enrico ma na sobie niebieski szlafrok, spod którego wystają szare spodnie od piżamy. Porusza się powoli, odsłania okno, żeby wpuścić choć odrobinę światła, proponuje kawę, której nie przyjąłabym nawet w obliczu fizycznej groźby, siada na purpurowym fotelu i patrzy na nas w oczekiwaniu na coś, o czym nie ma jeszcze pojęcia.

Calligaris siada naprzeciwko niego i uśmiecha się ciepło.

– Enrico, czy znał pan Amélie Volange?

– Nie.

– Cholerka! Odpowiada pan z ogromną pewnością!

– Nie mam powodu do wątpliwości. Jeśli mówię, że jej nie znam, to jej nie znam.

Inspektor zdejmuje marynarkę i próbuje położyć ją w najmniej zakurzonym miejscu, inaczej nasłucha się od swojej żony!

– Czy robi pan zakupy w sklepie papierniczym... w sklepie dla plastików przy ulicy Torre Argentina?

Enrico Azais unosi brew.

– Tak. Jestem tam stałym klientem – potwierdza z dumą w głosie.

– Co pan zazwyczaj kupuje?

– Zeszyty. Jestem pisarzem.

– Czy po zakupach wyrzuca pan czasem paragony na ziemię?

Enrico jest zaskoczony.

– O to mnie oskarżacie? Nie wiedziałem, że włoska policja mobilizuje się w tak drobnych sprawach!

Calligaris odpowiada bardzo chłodnym uśmiechem.

– Zajmujemy się tym wtedy, kiedy paragony stają się poszlakami.

– Czego?

– Potwierdzają, że znajdował się pan niedaleko domu Amélie Volange w dniu jej śmierci.

– Proszę pana, ja nawet nie wiem, kim jest Amélie Volange. A właściwie dowiedziałem się niedawno, że mój brat był zamieszany w jej zabójstwo... i że ta kobieta znała mojego ojca.

– Nie wie pan, że była jego spadkobierczynią?

– Moi bracia nigdy mi o niczym nie mówią. W ogóle się nie liczę w tej rodzinie.

– Enrico, niech pan skończy te wygłupy. Doskonale pan wie, kim była Amélie Volange. Nawet napisał pan o niej w swojej książce, przedstawiając ją jako cichą dziewczynkę. Czy naprawdę muszę panu o tym przypominać?

– Cieszę się, że przeczytał pan moją książkę tak uważnie. Z przykrością pana rozczaruję, ale to wytwór fantazji. Milcząca dziewczynka nie istnieje.

– Ale Vincent i Lily istnieli. Sam pan przyznał podczas spotkania z czytelnikami. To historia, którą ktoś panu opowiedział.

– Jestem bardziej znany, niż sądziłem! – woła Enrico, szczerze uradowany. – Wie pan, jak się mówi? Pisarze są złodziejami. Kradną cudze historie. Cudze twarze i zdania, z którymi robią, co im się podoba. Ja nie różnię się od innych.

– Panie Azais, co pan robił w mieszkaniu należącym do przyjaciółki Amélie Volange?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Dobrze, już wyjaśniam. Wiedział pan, że Amélie jest pana przyrodnią siostrą. Jako że cechuje pana niezwykła wrażliwość i szczególny zmysł obserwacji, kiedy był pan w Paryżu z ojcem, pojął pan całą prawdę. Po znalezieniu przez Leone listu pan nie miał żadnych wątpliwości. Adresatką była ta dziewczynka, która utkwiała panu w pamięci tak bardzo, że opisał ją pan w swojej książce. Kiedyś mi pan powiedział, że ma pan dużo wolnego czasu. Skarga pana brata Oscara, który twierdził, że ktoś go śledzi... Całkiem przypadkiem po śmierci Amélie nikt go już nie nękał. Śledził pan ją i swoich braci, prawda? Szybko odkrył pan, że Amélie i Oscar się spotykają. Postanowił pan nie wypuścić z rąk takiej okazji. Dzięki intrygom Oscara i Vittorii mógł pan wyeliminować Amélie i zrzucić całą winę na brata, którego nienawidził pan i nienawidzi ze wszystkich sił. Gdzie się podział samochód Vittorii Galli, panie Azais?

Enrico wstaje z dumą i podnosi stary telefon komórkowy z brudnego kuchennego blatu.

– Czy mogę zadzwonić do mojego adwokata? – pyta kryształowym głosem.

– Proszę nam przynajmniej powiedzieć, czy zrobił to pan dla pieniędzy – szepcze Calligaris z dyskretnym zadowoleniem.

– Dla pieniędzy? Oczywiście, że nie. Nie jestem Oscarem, który sprzedałby nawet tę dobrą duszę, naszą matkę. Zrobiłem to, bo Amélie Volange była kobietą głupią i niepotrzebną, która zniszczyłaby wszystko to, co mój ojciec budował przez pięćdziesiąt lat. Ta historia z plagiatem... to bzdura. Być może ojciec czymś się zasugerował, ale Olivier Volange nigdy nie napisałby takiej książki, takiego arcydzieła.

– Wiedział pan o plagiacie? Od kiedy? – przerywa mu Calligaris, próbując ustalić przebieg wydarzeń.

– Amélie mi powiedziała. Wiem, mówiłem, że jej nie znam, ale nie ma już chyba

sensu zaprzeczać.

– Proszę wyrażać się bardziej precyzyjnie – prosi inspektor.

– Po raz pierwszy spotkałem ją, kiedy była dziewczynką. Wszyscy jeździliśmy z ojcem do Paryża, gdy odnosił sukcesy, ale w ostatnich latach... zabierał tylko mnie. Bo ja potrafiłem siedzieć cicho, a on nie chciał, żeby moja matka cokolwiek podejrzewała. Oscar i Selina byli mali i gadatliwi. Leone był zbyt przywiązany do mojej matki i istniało ryzyko, że wszystko jej opowie. Dlatego ojciec wybierał mnie. Nie spotkałem jej już jednak w następnych latach, kiedy kariera mojego ojca zahamowała. Potem Amélie towarzyszyła matce na pogrzebie. Trzymały się z boku, nie odezwały się słowem do nikogo, ale je rozpoznałem.

Ta wiadomość jest zaskakująca, bo Leone nie wspomniał o ich obecności na pogrzebie. A on przecież widział je później. Kłamał czy ich nie zauważył?

– Podeszedłem do nich i podziękowałem za przybycie. Amélie rzuciła mi wściekłe spojrzenie i powiedziała po francusku, że moja wdzięczność jest uzasadniona, bo ten złodziej nie zasługiwał na ich czas i poświęcenie. Potem Catherine przerwała córce i odeszły.

– Proszę mówić dalej.

– Cały czas zastanawiałem się nad określeniem, którego użyła Amélie. Złodziej. Wiele lat wcześniej, w pewnych kręgach krążyła ta złośliwa plotka na temat mojego ojca. Od razu zrozumiałem, że mówi o tamtej historii. Nigdy bym w to nie uwierzył, gdyby ojciec nie uczynił jej spadkobierczynią i nie pisał o sumieniu w liście, który znalazł Leone. Nie od razu, ale po pewnym czasie odnalazłem ją. Udałem, że nic nie rozumiem i zapytałem, dlaczego nazwała mojego ojca złodziejem. Amélie wyjaśniła, że Volange przed śmiercią wyznał jej całą prawdę. Ona wiedziała już, że jest jedyną spadkobierczynią mojego ojca. Sądzę, że to Oscar o wszystkim jej powiedział. Oczywiście była przekonana, że stało się tak z powodu plagiatu.

– Amélie była pana siostrą. Niech pan nie udaje, że pan nie wie.

– Mam tylko jedną siostrę: Selinę. Jak można ufać komuś pokroju Catherine? Catherine to Margo. Nie wiecie? Ojciec napisał całą trylogię, żeby opowiedzieć... zresztą nieważne. Jeśli o mnie chodzi, mogłaby być czyjąkolwiek córką, ja nie uważam jej za swoją siostrę. Tata wcale nie był pewien ojcostwa. Inaczej wyraziłby to jasno, kiedy zapisał jej cały majątek.

– W takim razie, czemu Amélie...

– Powiedziała, że upubliczni wszystko, co wie. Spędziłem życie w cieniu ojca, ale nikogo nie kochałem bardziej od niego. Zazdrościłem mu, ponieważ miał wszystko to, czego ja nie zdołałem osiągnąć. Był kultowym autorem. Jego życie było bardziej emocjonujące niż powieść. Nie ujrzałem nawet cienia tego bogactwa.

Enrico wydaje się osłabiony, jakby brakowało mu głosu, ale ciągnie swoją opowieść.

– Nie zgadzam się na to, by wszystko, w co wierzyłem, okazało się tylko iluzją. Nie zgadzam się na to, by uznać go za złodzieja. Amélie żądałaby sprawiedliwości dla swojego ojca-przeciętniaka, a mój nie miałby możliwości obrony. Czy to sprawiedliwe? Naprawdę miałbym na to pozwolić? Zrobiłem tylko to, co należało... I nic więcej.

*The only moment we were
alone.*

Jest 27 września 2011 roku.

Lotnisko Fiumicino, godzina trzynasta trzydzieści. Już po odprawie. W drodze do bramki słucham na słuchawkach *Alone in Kyoto Air*, by wczuć się w atmosferę podróży. Z mojej torby wystaje „Lonely Planet”.

Przed butikiem Gucciego, pomiędzy ludźmi w podróży, widzę g°.

Najpierw chwila zdziwienia.

Nie dziwi mnie zresztą, że widuję go wszędzie. Praca z jego ojcem i mieszkanie z jego siostrą nie pomagają usunąć go z pamięci.

Ale teraz nie mam żadnych wątpliwości: to on.

Rozmawia przez telefon i chichocze, jakby flirtował; czuję przecinające ostrze zazdrości. Arthur nie zauważył mnie, pojawiając się obok niego cicho i dostojnie niczym skała z Wyspy Wielkanocnej. Różnica wzrostu między nami nie jest zbyt duża, on opuszcza wzrok i kończy rozmowę z kobietą, co łatwo poznać po tym, że wydaje się pełen poczucia winy.

– *Elis!*

– Zwykłych ludzi spotyka się codziennie w mieście. Ciebie mogłam spotkać tylko na lotnisku.

– To prawda – odpowiada z radosnym uśmiechem. – Dokąd lecisz? Jesteś sama? – pyta, rozglądając się dokoła.

– Lecę do Kioto. Do Yukino. A ty?

– Do Abidjan. Wracam na Wybrzeże Kości Słoniowej – precyzuje, widząc moje zagubienie.

– Cieszysz się swoim nowym życiem? – Oto pytanie, które od dawna miałam na końcu języka. To raczej wyzwanie niż zwykła ciekawość: ktoś taki jak on nigdy nie poczułby satysfakcji, zadowolenie nie jest częścią jego natury.

– A ty jesteś szczęśliwa z Confortim? – odpowiada nagle.

Wyraz mojej twarzy najwyraźniej wywołuje w nim litość.

– Nieważne. I tak wolałbym nie wiedzieć. Dlaczego pytasz mnie, czy cieszę się życiem?

– Żeby zrozumieć, czy jest warte ceny, którą za nie płacisz.

Spogląda na mnie chłodno.

– Za to, czego pragniemy naprawdę, zawsze płacimy zbyt wysoką cenę. Ale tak jest lepiej. *Don't you think?*

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– *I'm quite satisfied but... sometimes I feel a little lonely.*

Arthur używa swojego ojczystego języka tylko wtedy, kiedy otwiera drzwi do swojej najbardziej prywatnej sfery.

– Myślałam, że jesteś odporny na samotność. Że należysz do tej błogosławionej mniejszości, która jej nie odczuwa.

– Nikt nie jest na nią obojętny. Byłaś na obiedzie? Może zjemy razem?

– Będzie mi miło zjeść z tobą obiad – mówię, po czym ruszamy ku oszukanej sycylijskiej restauracyjce. On zamawia *arancino*, a ja talerz makaronu: potem dzielimy się kawałkiem *cassaty*, jak para zakochanych. Przez chwilę przypomina mi się podróż na Sycylię i myślę, że chciałabym wrócić tam z nim. Ale też przypominam sobie, co wydarzyło się na Sycylii z Claudiem.

Żal przykrywa mnie niczym wełniana kołdra.

Jest już późno, muszę iść do bramki. On to rozumie, szybko płaci rachunek.

Odprowadza mnie przez chwilę, potem jednak musimy się pożegnać. Nie wiem, co się ze mną dzieje, moje oczy niespodziewanie wypełniają się łzami.

Przestań, ty paskudna bekso!

Zrobiłam z siebie kretynekę. Próbuję się nie rozpłakać i rzeczywiście silna wola zwycięża, ale łzy, które pchały się do moich oczu, znajdują się nagle na moich policzkach, ciepłe, palące.

– *Elis* – mówi, zaskoczony, niepewny. – *Tears? Why?*

Nie chcę wypowiadać moich myśli, pozbawionych logiki i sensu. Także dlatego, że byłoby mi głupio przyznać, że płaczę tak melodramatycznie nad naszym zmarłym uczuciem.

– Bo jestem głupia – odpowiadam.

Kładzie mi dłoń na ramieniu, zmuszając, bym do niego podeszła. Opieram twarz na jego piersi przez chwilę, nie wiem, jak długą, nie wiem, jak krótką.

Mówi:

– Udanej podróży – mówi, a jego głos jest niski, bezbarwny.

– Nawzajem – odpowiadam.

Szuka moich ust, których dotyka opuszkami palców, a wreszcie całuje, ale to tylko podmuch, który żałuje, że nie jest niczym więcej.

Postcards from far away.

Kioto jest urokliwym, pełnym wdzięku miejscem, gdzie harmonia, niczym śnieg, pokrywa drzewa i drogi, domy i dachy świątyń.

Z sanktuarium Shimogamo-Jinja zabieram *omikuj*: przepowiednie, które wyławia się z drewnianego pudełka w zamian za małą ofiarę. Yuki wyjaśnia, że jeśli nie cieszy mnie jakaś przepowiednia, mogę przywiązać ją do sosnowej gałęzi, żeby się nie spełniła. Jeśli przypadnie mi do gustu, powinnam ją zachować. Karteczka jest tak cienka, że rozpływa mi się w dłoni. Odczytuje ją dla mnie:

– To *sue-koy*! Prawie klątwa.

– Świetnie. Właśnie tego mi trzeba... Co dokładnie mówi? – pytam.

– Pragnienie: zajmie ci to dużo czasu, ale wreszcie je spełnisz. Jeśli czekasz na wizytę: nadejdzie, ale późno. Interesy: czas na zakupy. Nauka: ucz się dużo albo poniesiesz porażkę. Miłość: nie wahaj się wyrażać swoich uczuć. Podróże: nie spiesz się.

– Nie jest tak źle – zauważam. – Wyraża mniej więcej, jak wygląda moje życie.

– Tak, bo to PRAWIE klątwa. Mogłoby trafić ci się prawdziwe przekleństwo.

– A co ty wyłowiałaś?

– Ja *sho-kichi*. Małe błogosławieństwo. I tak jest OK.

– To może przywiąż moje prawie przekleństwo do gałęzi sosny – mówię, odbierając karteczkę z jej drobnych dłoni.

– Tak, lepiej dla ciebie, ja bym zrobiła tak samo.

Autobusem przejeżdżamy długą trasę i dojeżdżamy do Higa – shiyama. Zachód słońca otacza Kioto, barwiąc je na czerwono, a widok na miasto jest niesamowity, pełen uporządkowanej, spokojnej symetrii.

Ta podróż jest niezwykła.

Szczęśliwa melancholia: czy istnieje coś bardziej absurdalnego?

* * *

Po kolacji złożonej z sashimi, przygotowanej przez ojca Yukino, podczas wieczoru spędzonego jak za dawnych czasów – w znacznie bardziej interesującej scenografii niż ta, którą dzieliliśmy w Rzymie – chowam się w swoim pokoju. Należy on do Kaoru, młodszej siostry Yu, której rzeczy leżą wszędzie wokół, czuję się więc trochę jak uzurpatorka. Kładę się na łóżku, abażur na szafce maluje na ścianach kształty kwiatów, a światło jest delikatne.

Czytam kilka stron *Tańcz, tańcz, tańcz* Murakamiego, po czym osuwam się

w nadchodzący sen. W momencie, kiedy moje mięśnie drżą lekko, w sposób obezwładniający i nieświadomy, wyciąga mnie na powierzchnię siła świadomości. To dźwięk telefonu komórkowego, wiadomość od Lary:

Kiedy wracasz, Alice?

Stało się coś bardzo ważnego. Ambra... zniknęła.

Podziękowania

Pisarz jest złodziejem. To absolutna prawda!

Pisząc swoją powieść, zaciągnęłam dług u wielu osób.

Chciałabym szczególnie podziękować profesorowi Claudiowi Crino, który wpadł na pomysł historii, która rozpoczynałaby się od testamentu, oraz mojej przyjaciółce Amalii Piscopo, która jest obecna w wielu szczegółach tej książki i zasugerowała zakończenie, które uznałam za genialne.

Dziękuję mojemu wydawnictwu, które traktuje mnie jak małą księżniczkę. Mam wielkie szczęście, że pracuję z prawdziwymi dżentelmenami. Giuseppe, Fabrizio – mój genialny, mądry redaktorze, Valentino, Tommaso, Alessio, Guglielmo, Viviano, Eleno, Francesco i, oczywiście, Stefano i Cristino – zbyt łatwo byłoby powiedzieć, że wykonujecie tylko swoją pracę. W rzeczywistości robicie znacznie więcej, z pasją i profesjonalizmem, które całym sercem podziwiam.

Dziękuję mojemu mężowi Stefano, który oświecił moje życie.

Mamo, dziadkowie, wujkowie i ciocie, Chiaro i Francesco. Kocham was.

Gorące podziękowania dla mojej nabytej rodziny za waszą cierpliwość i czułość, których nigdy mi nie brakuje.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom i studentom ze specjalizacji, którym coś ukradłam, choć jest was zbyt wielu, by móc wszystkich zacytować – każdy z was wie, do czego się odnoszę!

Oczywiście dziękuję również mojej drogiej, niezastąpionej agentce Ricie Vivian i zagranicznemu wydawnictwu, które zaszczyliły mnie publikacją mojej książki.

Dziękuję kolegom z Instytutu Medycyny Sądowej w Bari, bo oni przekazali mi anegdoty, które starałam się opisać, a które w oryginale były znacznie bardziej zabawne.

Za cenną pomoc w odkrywaniu meandrów sukcesji spadkowej dziękuję Amalii Macri Pellizzeri.

Instytut Medycyny Sądowej w Mesynie przez lata badał zgony wywołane przez emocje i zgony stresopochodne, czuję się więc jego dłużniczką, ponieważ wiele się nauczyłam z ich niezastąpionych publikacji. Czuję się dłużniczką zarówno aktualnych publikacji, jak i tych wszystkich artykułów naukowych, które zgłębiałam, pracując nad tą powieścią, z których jeden nawet miałam możliwość zacytować, za co dziękuję Instytutowi Medycyny Sądowej z Foggii.

Najważniejsze jednak, by wszystkie błędy zostały przypisane wyłącznie mnie, jako

że wszystkie, nie zawsze słuszne zachowania Alice mają na celu wyłącznie stworzenie zabawnych sytuacji.

Jestem wdzięczna za słowa ukradzione wszystkim artystom, którzy byli moją ścieżką dźwiękową podczas pisania tej powieści: Coldplay, których nie może zabraknąć; Led Zeppelin, Fabrizio De André, CCCP, Franco Battiato, Franz Ferdinand, The Smiths, Smashing Pumpkins, Johnny Cash, Morgan, Daniele Silvestri i Francesco De Gregori.

Podziękowania należą się też wszystkim, którzy poświęcili czas i słowa, by pomóc mojej książce: bibliotekarzom, blogerom, dziennikarzom i całej machinie produkcyjnej stojącej za kulisami świata książek.

Moją wdzięczność kieruję wreszcie ku wszystkim, którzy pisali do mnie (na Facebooku, przez mejle i bezpośrednio na adres wydawnictwa Longanesi), by podzielić się myślami i entuzjazmem na temat *Miłości i medycyny (sądowej)*. Nawet nie wiecie, jak ważni byliście dla mnie na mojej drodze niepewnej i zagubionej autorki. Dziękuję Wam z całego serca za wszystkie słowa, które były dla mnie nieustającym źródłem radości. Proszę, byście pisali do mnie nadal.

A.G., 2 stycznia 2012 roku

-
- 1 Wyprzedany.
 - 2 Christopher George Latore Wallace (1972-1997) amerykański muzyk, raper. Jego waga przekraczała 180 kg. (przyp. red.)
 - 3 dosł. trucizna jest w ogniu (łac.), czyli złośliwość kryje się na końcu listu, artykułu, jakiejś wiadomości (przyp. red.).
 - 4 Parfait Tic – jedna z najbardziej znanych mang (przyp. red.).
 - 5 japońska potrawa, makaron z mięsem, krewetkami, warzywami (przyp. red.).
 - 6 Lubiane i popularne we Włoszech ciasteczka o smaku czekoladowym (przyp. red.).
 - 7 Lacchè (wł.) – lokaj. Tu raczej w znaczeniu: piąte koło u wozu.
 - 8 Popularny we Włoszech satyryczny program telewizyjny.

===LUIgTCVLLIA5tAm9PFt56SXpMbBtyHnEGZydOIFQxQypLZRv5